

Robert Ludlum

Droga do Gandolfo

The Road to Gandolfo

Przełożyła: Małgorzata Żbikowska



Wydanie oryginalne: 1976

Wydanie polskie: 1991

Johnowi Patrickowi – wybitnemu pisarzowi, prawemu człowiekowi, dobremu przyjacielowi, który poddał mi ten pomysł z wyrazami głębokiej przyjaźni.

Duża część tej opowieści zdarzyła się tuż przed chwilą.

Wcale nie mało może zdarzyć się jutro.

Taka jest *licencia poetica* dramatu religijnego.

Słowo od autora

Droga do Gandolfo jest jednym z tych rzadkich, jeżeli nie szalonych przypadków, które mogą zdarzyć się pisarzowi raz lub dwa w ciągu całego życia. Dzięki boskiej lub szatańskiej opatrności rodzi się pomysł, który rozpala ogień wyobraźni. Autor jest przekonany, że to prawdziwie wstrząsająca przesłanka, która posłuży za szkielet prawdziwie wstrząsającej opowieści.

Wizje jednej sceny za drugą przesuwają się przez wewnętrzny ekran, a każda eksploduje dramatem i treścią, i... niech to diabli, jest piekielnie wstrząsająca!

Piętrzą się arkusze papieru. Maszyna do pisania pokrywa się kurzem, a ołówki tępią się; w głowie szaleje gwałtowna muzyka, która zagłusza ludzi i naturę, wdzierające się do celi wstrząsającego tworzenia. Szaleństwo ogarnia mózg. Uderzeniowa przesłanka – punkt wyjścia niewiarygodnej opowieści – zaczyna otaczać się treścią, wyłaniają się charaktery z twarzami i ciałami, postawy i konflikty. Toczy się fabuła, konflikty ścierają się i powstaje piekielny hałas, zagłuszając dorobek takich piekielnych mistrzów, jak pan Mozart i, jak mu tam było na imię, Haendel.

Lecz nagle coś się psuje. Coś jest nie tak!

Autor zaczyna chichotać. Nie może się powstrzymać od chichotania.

To okropne! Wstrząsającym przesłankom powinien towarzyszyć groźny szacunek... Niebo nie dopuszcza żadnych chichotów!

Wyteżając swój umysł, biedny głupiec tworzący opowieść wpada w pułapkę, bombardowany przez fugę głosów powtarzających starą polifoniczną frazę: Musisz bujać.

Nieszczęsny głupiec patrzy na muzy. Dlaczego one mrugają? Cóż on słyszy, „Mesjasza” czy „Mairzy-Dotes”? Co się stało ze wstrząsającym grzmotem? Dlaczego rozciąga się jak popsuta sprężyna na czystym błękitnym niebie, całą drogę czkając i zmieniając się wreszcie w cichy... chichot?

Biedny głupiec jest oszołomiony. Poddaje się. Lub raczej wchodzi w to, bo teraz ma mnóstwo uciechy. W końcu była przecież afera Watergate i nikt nie potrafiłby wymyślić takiego scenariusza! To znaczy nie w tym miejscu i czasie.

Tak więc nieszczęsny głupiec bawi się fantastycznie, mgliście tylko zastanawiając się nad

tym, kto podpisze zobowiązania finansowe, przypuszczając, że żona je zatrzyma, bo ten niedołęga potrafi od czasu do czasu coś wypichcić i robi cholernie dobre martini.

W końcu dzieło zostaje odczytane i rozlega się miły dla ucha głupca gabinetowy śmiech, po którym następują pełne oburzenia wrzaski i pogrożki o końcu nie do ocalenia i nieprzychylnym przyjęciu.

„Tylko nie pod własnym nazwiskiem!”

Czas pozwala na zmianę, a zmiana oczyszcza.

Teraz pojawia się ono pod moim nazwiskiem i mam nadzieję, że będzie się Państwu podobać. Bo mnie dostarczyło mnóstwo uciechy.

Robert Ludlum
Connecticut Shore 1982

Część pierwsza

Za każdą spółką musi stać jakaś siła lub cel, które wyróżniają ją wśród innych i zapewniają własną osobowość.

Prawa ekonomii Shepherda
Tom XXXII, rozdz. 12

Prolog

Tłumy gromadziły się na placu św. Piotra. Tysiące wiernych oczekiwało w milczeniu, by w oknie balkonowym ukazał się papież i przekazał im swoje błogosławieństwo. Wkrótce dzwony na Anioł Pański rozpoczną uroczystości ku czci św. Januarego. Ich dźwięk rozniesie się echem po całym Watykanie i Rzymie, głosząc nadejście radosnych i szczęśliwych dni. Błogosławieństwo papieża Francesca I będzie sygnałem do rozpoczęcia święta. Ulice rozświetlą się pochodniami i świecami, zapanuje taniec, muzyka i wino. Na Piazza Navona, di Trevi, nawet na Palatynie, długie stoły zapełnią się miskami spaghetti i mnóstwem domowych wypieków. Czyż nie tego uczy papież, umiłowany Francesco? Otwórzcie serca i spizarnie dla waszych sąsiadów, a oni niech zrobią to samo. Sprawcie, aby każdy człowiek, bogaty i biedny, zrozumiał, że stanowimy jedną rodzinę. W tych skomplikowanych czasach chaosu i drożyzny, najlepszym sposobem na ich pokonanie i zjednoczenie się z Bogiem jest okazanie prawdziwej miłości sąsiadowi.

Zapomnijcie na kilka dni o urazach i podziałach. Pozwólcie, aby wszyscy mężczyźni stali się dla siebie braćmi, a kobiety siostrami, a każdy z osobna opiekunem drugiego. Pozwólcie, aby w waszych sercach, choć na kilka dni, zapanowały miłosierdzie, dobroć i troska, dzieląc radość i smutek, bowiem zło nie ma wstępu tam, gdzie panuje dobro.

Podajcie sobie ręce, wnieście puchary z winem, śmieJCie się i płaczcie, i zaakceptujcie jeden drugiego okazując mu swą miłość! Niech świat zobaczy, że nie ma wstydu w triumfie duszy. A kogo to uczucie ogarnie, kto posłyszY głos braci i siostr, niech poniesie dalej radosne wspomnienia ze święta św. Januarego i pozwoli, by jego życiem kierowały odtąd zasady chrześcijańskiego miłosierdzia. Ziemia może stać się lepszym miejscem, a tylko od żyjących zależy, jaką ją uczynią. Tego właśnie uczył Francesco I.

Cisza zapanowała wśród setek tysięcy zgromadzonych na placu św. Piotra. Za chwilę umiłowany papież wyjdzie pełen emanującej z niego siły dostojeństwa i wielkiej miłości na balkon, aby wnieść ręce w geście błogosławieństwa. Anioł Pański się rozpocznie.

W wysokich komnatach pałacu watykańskiego, na wprost placu, zebrani kardynałowie,

prałaci i księży rozmawiali w grupach ciągle kierując wzrok na siedzącą w rogu postać papieża. Pokój błyszczał żywymi kolorami: szkarłatem, purpurą i nieskalaną bielą. Szaty, sutanny i nakrycia głów – symbole najwyższych dostojników kościelnych – falowały i obracały się, dając wrażenie ruchomego fresku. W rogu komnaty, w wysokim fotelu z kości słoniowej, wykładanym niebieskim aksamitem, siedział Namiestnik Chrystusa, papież Francesco I. Był mężczyzną o pełnej tuszy, silnych lecz delikatnych rysach twarzy człowieka ziemi. Tuż obok stał jego osobisty sekretarz, młody czarny ksiądz z Ameryki, z archidiecezji nowojorskiej. Rozmawiali cicho ze sobą, a papież odwracał swą wielką głowę i podnosił na młodego księdza ogromne, łagodne brązowe oczy, z których bił cichy spokój.

– *Mannaggi!* – szepnął Francesco, przykrywając usta szeroką chłopską ręką. – To szaleństwo! Całe miasto będzie przez tydzień pijane! Wszyscy będą się kochać na ulicach. Czy jesteś pewien, że postępujemy właściwie?

– Sprawdziłem dwa razy. Czy chcesz z nim dyskutować? – zapytał czarny ksiądz pochylając się z pozornym spokojem.

– Mój Boże, nie! On był zawsze najinteligentniejszy z nas.

W tej chwili do papieża podszedł kardynał i pochylił się nad nim.

– Ojciec Święty, już czas. Tłumy czekają – powiedział cicho.

– Kto? A tak, oczywiście. Za chwilę, mój dobry przyjacielu.

Kardynał uśmiechnął się pod ogromnym kapeluszem. Jego oczy wyrażały uwielbienie. Francesco zawsze nazywał go swym dobrym przyjacielem.

– Dziękuję, Wasza Świątobliwość. – I kardynał się wycofał.

Papież zaczął nucić. Popłynęły słowa:

– *Che gelida... manina... a rigido esanime... ah, la, la-laa, tra-la la, la-laaa...*

– Co ty robisz? – Młody adiunkt papieski z nowojorskiej archidiecezji, z Harlemu, był wyraźnie zdenerwowany.

– To aria Rodolfa. Ach, ten Puccini! Śpiew pomaga mi, kiedy jestem zdenerwowany.

– Przestań! Lub zaśpiewaj którąś z pieśni gregoriańskich, albo przynajmniej litanie.

– Nie znam żadnej. Twój włoski jest coraz lepszy, ale ciągle nie dość dobry.

– Staram się, bracie. Nie jesteś najłatwiejszym nauczycielem. A teraz chodź, idziemy na balkon.

– Nie popychaj mnie! Więc tak, wznoszę rękę, następnie ciągnę w górę, w dół, z prawa na lewo...

– Z lewa na prawo! – szepnął kapłan ostro. – Dlaczego nie słuchasz? Jeżeli mamy ciągnąć tę szaradę, na litość boską, naucz się wreszcie zasad!

– Pomyślałem, że jeśli stoję, dając, nie biorąc, powinienem robić to na odwrót.

– Nie komplikuj. Rób to, co jest naturalne.

– Więc będę śpiewał.

– Nie o taką naturalność mi chodzi. Idziemy.

– Dobrze już, dobrze.

Papież wstał z fotela i uśmiechnął się łagodnie do zgromadzonych w pokoju. Potem odwrócił się do swego sekretarza i szepnął tak cicho, by nikt nie mógł usłyszeć:

– Gdyby ktoś pytał, który to jest święty January?

– Nikt nie zapyta. A gdyby nawet, to zastosuj standardową odpowiedź!

– Ach tak. Czytaj Pismo Święte, mój synu. Wiesz, to wszystko jest szaleństwem.

– Idź wolno i stań prosto. I uśmiechaj się, na miłość boską! Jesteś szczęśliwy!

– Jestem nieszczęśliwy, ty Afrykańczyku.

Papież Francesco I, Namiestnik Chrystusa, przeszedł przez olbrzymie drzwi na balkon, gdzie powitał go grzmiący ryk, który wstrząsnął murami bazyliki. Tysiące wiernych wznosiło głosy w szalonej radości.

– *Il Papa! Il Papa! Il Papa!*

Kiedy Ojciec Święty wychodził na balkon rozjaśniony miriadami refleksów świetlnych, rzucanych przez zachodzące na pomarańczowo słońce, wiele osób zgromadzonych w komnacie, posłyszało stłumione dźwięki pieśni, wydobywającej się ze świętych ust. Każdy pomyślał, że to zapewne jakiś mało znany wczesny utwór muzyczny, o którym wiedzą tylko najbardziej wykształceni. A do takich właśnie należał *erudito*, papież Francesco.

– *Che... gelida... manina... a rigido esanimeee... ah, la, la-laaaa... tra-la, la, la... la-la-laaa...*

Rozdział I

– To sukinsyn! – generał brygady Arnold Symington opuścił z pasją przycisk do papieru na grube szkło przykrywające biurko w jednym z gabinetów w Pentagonie. Szkło pękło, a kawałki wystrzeliły w powietrze. – Jak on mógł!

– Niestety mógł, sir – odpowiedział wystraszony porucznik osłaniając oczy przed szklanym atakiem. – Chińczycy są oburzeni. Ich premier osobiście przesłał skargę do naszego poselstwa. Drukują już artykuły wstępne w „Czerwonej Gwiazdzie” i nadają je w Radio Pekińskim.

– Jak oni mogą, do diabła! – Symington wyjął kawałek szkła z małego palca. – Cóż oni, u diabła, wygadują. „Przerywamy program, by poinformować, że amerykański przedstawiciel wojskowy, generał MacKenzie Hawkins, odstrzelił jaja dziesięciostopowemu pomnikowi na placu Son Tai”. Brednie! Pekin nie dopuściłby do tego. To cholernie niegodne.

– Oni sformułowali to nieco inaczej, sir. Mówią, że on zniszczył historyczny pomnik z czarnego kamienia w Zakazanym Mieście. To tak, jakby ktoś wysadził w powietrze posąg Lincolna.

– To inny rodzaj posągu! Lincoln ma na sobie ubranie. On nie ma jaj na wierzchu! To nie to samo!

– Jednak Biały Dom uważa to porównanie za uzasadnione, sir. Prezydent chce, żeby Hawkinsa zdjęto ze stanowiska, a nawet więcej – usunięto ze służby. Sąd wojskowy i w ogóle.

– Na miłość boską, to absolutnie nie wchodzi w rachubę.

Symington odchylił się na oparcie fotela i zaczął głęboko oddychać, starając się opanować. Sięgnął po raport leżący na biurku.

– Przeniesiemy go, udzielając oficjalnego upomnienia. Prześlemy kopie... nagany, możemy to nazwać naganą, do Pekinu.

– To nie wystarczy, sir. Departament Stanu dał to wyraźnie do zrozumienia. Prezydent podziela ich zdanie. Mamy umowy handlowe w trakcie...

– Na litość boską, poruczniku! – przerwał mu generał. – Niech ktoś powie temu kręcącemu się bąkowi z biura jajogłowych, że nie może mieć wszystkiego naraz. Mac

Hawkins został wybrany spośród dwudziestu siedmiu kandydatów. Pamiętam dokładnie, jak prezydent powiedział, że jest doskonały.

– To już przestało być aktualne, sir. On uważa, że umowy handlowe są ważniejsze od innych względów. – Porucznik zaczął się pocić.

– Wy bękarty, zabijacie mnie! – Symington złowieszczo zniżył głos. – Po prostu mroziecie mi jaja. Jak pan to sobie wyobraża, to „przestało być aktualne”? Hawkins nieźle was capnął w tę waszą dyplomatyczną dupę, ale nie da się zmyć tego, co było aktualne. On był cholernie dobrym smarkaczem w bitwie o wyłom w Ardenach i w piłkę nożną w West Point. I gdyby dawali medale za to, co zrobił w Azji Południowo-Wschodniej, nawet Mac Hawkins nie dałby rady udźwignąć tego żelastwa. Przy nim John Wayne to maminsynek. On jest prawdziwy! Oto dlaczego to owalne jajo się go czepia.

– Myślę jednak, że prezydent – bez względu na to, co sądzi o tym człowieku – jako naczelny wódz...

– Do jasnej cholery! – ryknął generał mocno akcentując każdy wyraz, co nadało wykrzyknikowi charakter wojskowego rytmu. – Tłumaczę panu, najdobitniej jak umiem, że nie postawicie przed sądem wojskowym MacKenzie’ego Hawkinsa, by zadośćuczynić skardze Pekinu, bez względu na to, ile przeklętych umów handlowych zostało zawartych. Czy pan wie dlaczego, poruczniku?

Młody oficer odpowiedział spokojnie pewny trafności swoich słów:

– Ponieważ mógłby zrobić z tego publiczny użytek.

– Binggo! – komentarz Symingtona zabrzmiał jak jednostajnie brzmiący wysoki dźwięk.

– Hawkinsowie w tym kraju mają swoich zwolenników, panie poruczniku. Oto dlaczego nasz wódz naczelny dobiera mu się do skóry. On jest politycznym usprawiedliwieniem. I jeśli pan myśli, że on o tym nie wie, to nie trzeba go było werbować.

– Jesteśmy przygotowani na taką reakcję, generale. – Słowa porucznika były ledwo słyszalne.

Generał pochylił się w przód, uważając, by nie oprzeć łokci na rozbitym szkłe.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Departament Stanu przewidywał twardy opór. Dlatego musimy zarządzić ostrą kontrakcję. Biały Dom ubolewa z tego powodu, lecz w tym miejscu i czasie uznaje wagę kryzysu.

– Byłem pewny, że to usłyszę. – Symington mówił jeszcze ciszej niż porucznik. – Proszę dokładniej. Jak zamierzacie go załatwić?

Porucznik się zawahał.

– Proszę wybaczyć, sir, ale nie chodzi tu o załatwienie generała Hawkinsa. Jesteśmy w wyjątkowo trudnym położeniu. Ludowa Republika żąda zadośćuczynienia. I słusznie. Był to okrutny, wulgarny czyn ze strony generała Hawkinsa. W dodatku on odmawia publicznych przeprosin.

Symington spojrział na raport, który ciągle jeszcze trzymał w ręku.

– Czy raport wyjaśnia dlaczego?

– Generał Hawkins twierdzi, że to był podstęp. Jego oświadczenie jest na stronie trzeciej.

Generał przerzucił strony i zaczął czytać. Porucznik wyciągnął chusteczkę i wytarł nią podbródek. Symington ostrożnie odłożył raport na strzaskane szkło i podniósł głowę.

– Jeśli to, co Mac pisze, jest prawdą, to był to podstęp. Przekażcie jego opinię w tej sprawie.

– On nie ma swojej opinii, sir. On był pijany.

– Mac mówi, że był naćpany, nie pijany.

– Oni byli pijani, sir.

– A on był pod wpływem narkotyków. Przypuszczam, że Mac potrafi to odróżnić. Widziałem tę słodko-kwaśną papkę.

– Jednak on nie zaprzecza oskarżeniu.

– On zaprzecza, że jest odpowiedzialny za swoje czyny. Był najlepszym strategiem w wywiadzie w Indochinach. Znał kurierów i handlarzy narkotyków w Kambodży, Laosie, obu Wietnamach i prawdopodobnie wzdłuż granicy mandzurskiej. Wiedział, jaka jest ta pieprzona różnica.

– Bardzo mi przykro, sir, ale jego wiedza w niczym nie zmienia sytuacji. Kryzys zmusza nas do przyjęcia żądań Pekinu. Umowy handlowe są najważniejsze. Szczerze mówiąc, sir, potrzebny jest nam gaz.

– Chryste! Myślałem, że to jest jedyna rzecz, jaką macie.

Porucznik schował do kieszeni chusteczkę do nosa i uśmiechnął się blade.

– Zdaję sobie sprawę, że zabrzmiało to niepoważnie. Ale mamy zaledwie dziesięć dni, by wszystko zaplanować, przygotować dane wyjściowe i uzyskać pozytywne wyniki.

Symington wytrzeszczył oczy na młodego oficera; wyglądał, jakby miał się za chwilę rozpłakać.

– Co to znaczy?

– Przykro mi to mówić, ale generał Hawkins postawił własny interes ponad obowiązkiem. Musimy dać przykład. Dla bezpieczeństwa wszystkich.

– Przykład? Rozmijając się z prawdą?

– Jest wyższy obowiązek, generale.

– Wiem – powiedział generał ze znużeniem. – Względem umów handlowych, względem gazu.

– Jeśli mam być zupełnie szczery, to właśnie tak. W pewnych sytuacjach symbole trzeba odrzucić na korzyść pragmatycznych celów. Gracze zespołowi to rozumieją.

– Zgoda. Ale Mac nie będzie siedział beczynnienie i robił z siebie popiersia. Więc co to za dane wyjściowe?

– Generalny Inspektorat – powiedział porucznik jak nieznośny student, podnoszący

tasiemca na wykładzie z biologii. – Dokładnie prześledziliśmy jego życiorys. Wiemy, że był zamieszany w podejrzaną działalność w Indochinach. Mamy powody przypuszczać, że pogwałcił międzynarodowe zasady dowodzenia.

– Założę się, że tak. On był jednym z najlepszych.

– To nie jest sprzeczne z prawem. Inspektorzy generalni znają gorsze przypadki od tej *ex officio* działalności generała Hawkinsa.

Porucznik uśmiechnął się. Był to szczerzy uśmiech człowieka zadowolonego z siebie.

– Chcecie więc go załatwić za pomocą tajnych operacji, o których połowa wszystkich szefów i wszyscy w CIA wiedzą, że dostaliby za nie cały wór pochwał, gdyby mogli o nich mówić. Zabijacie mnie, dranie. – Symington kiwnął głową, przekonany o słuszności swoich słów.

– Może oszczędziłby pan nam czasu, generale, i zapoznał nas z paroma szczegółami?

– O nie. Skoro chcecie ukrzyżować tego sukinsyna, to sami zbudujcie sobie krzyż.

– Pan oczywiście rozumie sytuację, sir?

Generał cofnął krzesło i kopnął kawałki szkła leżące pod stopami.

– Coś panu powiem. Przestałem cokolwiek rozumieć od 1945. – Popatrzył na młodego oficera. – Wiem, że pan jest z 1600-tnej, ale czy to regularna armia?

– Nie, sir. Jesteśmy rezerwistami, czasowy przydział. Dostałem urlop z Y, J i B, by ugasić płomienie, zanim spalą się maszty, jak to czasem bywa.

– Y, J i B, nie znam tej dywizji.

– To nie jest dywizja, sir. Youngblood, Jakel i Blowe z Los Angeles. Jesteśmy czołową agencją reklamową na wybrzeżu.

Twarz generała Arnolda Symingtona przybrała wyraz nieszczęśliwego basseta.

– Ma pan bardzo ładny mundur, poruczniku. – Generał milczał chwilę, a potem pokręcił głową i powiedział: – 1945.

Major Sam Devereaux, terenowy kontroler z Generalnego Inspektoratu, popatrzył na kalendarz wiszący na przeciwległej ścianie. Wstał zza biurka, podszedł do kalendarza i zakreślił na nim kolejny dzień. Za miesiąc i trzy dni będzie znowu cywilem. Tak naprawdę to nigdy nie był żołnierzem, a z pewnością na pewno nie duchowo. Był ofiarą nieszczęśliwego zbiegu okoliczności. Wypadkiem przy pracy spowodowanym przez wielką pomyłkę, którego rezultatem było przedłużenie okresu służby. Miał do wyboru: albo ponowną służbę, albo Leavenworth.

Sam był prawnikiem, cholernie zdolnym prawnikiem od prawa kryminalnego. Przed laty zajmował się odroczeniami przymusowej pracy w wojsku. W czasie studiów w Harvardzie: w College'u i Wyższej Szkole Prawa. Potem dwa lata specjalizacji i pracy jako doradca prawny. Następnie czternaście miesięcy praktyki w prestiżowej bostońskiej firmie adwokackiej.

„Aaron Pinkus Associates”. Wojsko pozostało jedynie nieprzyjemnym, bladym wspomnieniem. Zapomniał o długiej liście odroczeń. Armia Stanów Zjednoczonych jednak nie zapomniała. W czasie jakiejś serii porządków organizacyjnych, które czasami opanowują armię, Pentagon odkrył brak prawników. Wojskowy Departament Sprawiedliwości znalazł się w kłopotcie: setki sądów wojskowych w bazach rozrzuconych po całym świecie zostało zawieszonych z powodu braku prokuratorów i obrońców. Obozy były przepełnione.

Pentagon przejrzał więc dawno zapomnianą listę odroczeń i dziesiątki młodych, bezdziejnych i niezależnych adwokatów otrzymało zaproszenie nie do odrzucenia, w których słowo „odroczenie” wyjaśniono jako antonim słowa „unieważnienie”.

To był czysty przypadek. Błąd Devereaux nastąpił później. Dużo później. Siedem tysięcy mil od Bostonu na zbiegających się ze sobą granicach Laosu, Birmy i Tajlandii.

W Złotym Trójkącie.

Devereaux – z powodów znanych tylko Bogu i wojskowej logistyce – nigdy nie widział sądu wojskowego ani tym bardziej w nim nie uczestniczył. Przydzielono go do Prawniczej Sekcji Dochodzeniowej przy Generalnym Inspektoracie i wysłano do Sajgonu dla zbadania, jakie prawa zostały tam naruszone.

Była ich taka masa, że nie sposób policzyć. A ponieważ wiązało się to z rynkiem narkotyków – uczestniczyło w nim po prostu zbyt wielu Amerykanów – śledztwo zawiodło go do Złotego Trójkąta, które kierowano jedną piątą światowych dostaw narkotyków, za łaskawym zezwoleniem grubych ryb z Sajgonu, Waszyngtonu, Wientianu i Hongkongu.

Sam był skrupulatny. Nie lubił handlarzy narkotyków i wysmarowywał na nich swoje raporty śledcze, uważając, by sprawozdania były przekazywane do Sajgonu odgórnie, razem z innymi rozkazami.

Żadnych podpisów pod raportami. Tylko nazwiska i wykroczenia. Przecież mógł być zastrzelony lub zasztyletowany, a co najmniej wykluczony z towarzystwa za takie postępowanie. Była to lekcja prowadzenia ukrytej działalności.

Do jego zdobyczy zaliczyć należało siedmiu generałów ARVN, trzydziestu jeden posłów z kongresu Thieu, dwunastu pułkowników armii amerykańskiej, trzech dowódców brygady i pięćdziesięciu ośmiu różnych majorów, kapitanów, poruczników i sierżantów. Dodać do tego trzeba pięciu kongresmenów, czterech senatorów, członka gabinetu prezydenckiego, jedenastu szefów amerykańskich kompanii zamorskich – sześciu z nich miało już dość problemów ze sprawami udziałów – i minister – baptysta z kwadratową szczęką, cieszący się poparciem wielkiej liczby zwolenników.

Z tego, co widział, jednego podporucznika i dwóch sierżantów postawiono w stan oskarżenia, sprawy pozostałych były w trakcie rozpatrywania.

I wówczas Sam Devereaux popełnił błąd. Był tak pewny, że nici wschodnioazjatyckiej sprawiedliwości oplotą gęsto przestępcze szlaki na pierwszą o nich wzmiankę, że postanowił złapać w sidła wielką rybę i dać w ten sposób przykład. Wybrał do tego generała-majora z

Bangkoku, Heseltine'a Brokemichaela, West Point rocznik 43.

Sam miał przeciw niemu dowody, całe mnóstwo dowodów. Zorganizował serię spreparowanych pułapek, w których on sam grał rolę łącznika, zaangażowanego w robotę człowieka, który mógł zeznać pod przysięgą, że generał dopuścił się wykroczenia. Nie mogło być w ogóle mowy o dwóch generałach Brokemichaelach i Sam odgrywał rolę oskarżającego anioła zemsty, który krąży wokół ofiary, by ją unicestwić.

Ale niestety było ich dwóch. Dwóch generałów o nazwisku Brokemichael – jeden Heseltine, a drugi Ethelred. Dwóch najprawdziwszych kuzynów. Ale ten z Bangkoku – Heseltine – nie był tym z Vientianu – Ethelredem. Właśnie wientiański Brokemichael był przestępcą. Nie zaś jego kuzyn. Co więcej, Brokemichael z Bangkoku był większym aniołem zemsty od Sama. W dodatku był przekonany, że to właśnie on zbiera dowody przeciw skorumpowanemu kontrolerowi z Generalnego Inspektoratu, bowiem Devereaux pogwałcił większość praw obowiązujących wśród przemytników i wszystkie w Stanach Zjednoczonych.

Sam został aresztowany przez MP, zamknięty w dobrze strzeżonej celi, i poinformowany, że może się spodziewać, iż spędzi lepszą część swojego życia w Leavenworth.

Na szczęście wyższy oficer z dowództwa Generalnego Inspektoratu, który nie bardzo pojmował sens takiej sprawiedliwości, która pozwoliła popełnić Samowi tyle przestępstw, ale docenił jego wkład prawny i inwigilacyjny na rzecz Inspektoratu Generalnego, przyszedł Samowi z pomocą. Devereaux wniósł więcej materiału dowodowego dotyczącego Azji Południowo-Wschodniej niż jakikolwiek inny oficer prawny. Jego działalność na tym terenie nadrobiła zaległości narosłe w Waszyngtonie.

Wyższy oficer pozwolił sobie na mały, nieoficjalny układ w tej sprawie. Jeżeli Sam przyjąłby dyscyplinarne zadanie z rąk rozgniewanego generała-majora Heseltine'a Brokemichaela z Bangkoku na sześć miesięcy bez zapłaty, nie wniesionoby przeciw niemu żadnych oskarżeń. Dodał do tego jeszcze jeden warunek: Sam miał pracować jeszcze dalsze dwa lata na rzecz Inspektoratu Generalnego po upływie terminu obowiązkowej służby. Do tego czasu, dowodził wyższy oficer, ten bałagan w Indochinach zostanie przekazany jego autorom i sprawy Inspektoratu zostaną zredukowane lub zakończone.

Ponowne powołanie do służby lub Leavenworth.

Tak więc major Sam Devereaux, patriota i żołnierz, przedłużył swój obowiązkowy okres. Bałagan w Indochinach bynajmniej się nie zmniejszył, ale rzeczywiście przekazano go jego uczestnikom i Devereaux przeniesiono do Waszyngtonu.

Jeszcze miesiąc i trzy dni, myślał, wyglądając oknem i obserwując wartowników z MP sprawdzających wyjeżdżające samochody. Minęła piąta. Za dwie godziny ma samolot. Dziś rano się spakował i zabrał walizkę do biura.

Cztery lata dobiegały końca. Dwa plus dwa. Czas, który tu spędził, mógł oburzać, ale nie był to czas stracony. Otchłań korupcji, którą była Azja Południowo-Wschodnia, dotarła wreszcie do hierarchicznych korytarzy Waszyngtonu. Mieszkańcy tych korytarzy znali go.

Miał więcej ofert z prestiżowych firm adwokackich niż mógł na nie odpowiedzieć, a tym bardziej rozważyć. I wcale nie chciał ich rozważać, po prostu nie podobały mu się. Tak jak nie podobało mu się obecne zadanie leżące na biurku.

Manipulanci znowu maczali w tym palce. Tym razem miała to być całkowita kompromitacja oficera o nazwisku Hawkins. Generał-porucznik MacKenzie Hawkins.

Początkowo Sam czuł się zaskoczony. MacKenzie Hawkins był kimś wyjątkowym, legendą, materiałem, z którego rodziły się kultury. Kultury przewyższające ten, którym cieszył się Attyła, wódz Hunów.

Pozycja Hawkinsa na wojskowym firmamencie była nie do podważenia. Wydawnictwo Bantam Books opublikowało jego biografię. Prawo do druku w odcinkach i prawa dla „Reader’s Digest” sprzedano jeszcze zanim na papierze pojawiło się pierwsze słowo. Hollywood zaproponowało obrzydliwą masę pieniędzy za zgodę na sfilmowanie jego życia. A pacyfiści zrobili z niego obiekt faszystowskiej nienawiści.

Biografia nie stała się wielkim sukcesem, bo sam bohater nie bardzo był chętny do współpracy. Poza tym pewne osobiste przyzwyczajenia nie podwyższały wartości wizerunku, a w szczególności jego cztery żony. Film też nie był triumfem, bo składał się z nie kończących się scen batalistycznych, a jedynym bohaterem był w nich autor, który mrużył oczy w bitewnym kurzu i wrzeszczał do swych ludzi sepleniąc w szczególny sposób: „Dostańcie tych pogańców (huk działa) którzy zdarliby naszą ukochaną flagę! Na nich, chłopcy!”.

Hollywood również odkryło owe cztery żony i pewne inne cechy swojego doradcy w studio. MacKenzie Hawkins został przyjęty jednocześnie przez trzy gwiazdki, flirtował z żoną producenta w basenie producenta, podczas gdy ten wściekał się obserwując wszystko przez okno saloniku. Mimo to nie przerwał kręcenia filmu. Na Boga, przecież kosztował go prawie sześć milionów!

Te nie przynoszące rezultatów wysiłki mogły innego załamać, choćby ze względu na wstyd, ale nie Maca Hawkinsa. Prywatnie, wśród równych sobie rangą, wyśmiewał tych specjalistów i raczył kolegów opowiastkami z Manhattanu i Hollywood.

Wysłano go do college’u wojskowego, by zdobył nową specjalizację: wywiad i tajne operacje. Jego koledzy poczuli się pewniej z charyzmatycznym Hawkinsem przeznaczonym do tajnych zadań. Z pułkownika zrobił się generał brygady, który pochłonął wszystko, co było do nauczenia się w nowej specjalności. Spędził dwa lata harując bez wytchnienia, studiując każdą fazę pracy wywiadowczej tak długo, aż instruktorzy stwierdzili, że już niczego więcej nie mogą go nauczyć.

Wysłano go więc do Sajgonu, gdzie eskalacja wrogich nastrojów przerodziła się w prawdziwą wojnę. I w obu Wietnamach, i w Laosie, i w Kambodży, i w Tajlandii, i w Birmie Hawkins przekupywał zarówno tych bez zasad, jak i tych z zasadami. Raporty z jego działalności na tyłach i na terenach neutralnych, które miały na celu „przeciwdziałanie

zapobiegawcze”, wydawały się układać w logiczną strategię. Tak nieszablonowe, tak rażąco przestępcze były jego metody postępowania, że G-2 w Sajgonie po prostu traktowało go jak powietrze, nie przyznając się do niego. Istnieją przecież jakieś granice przyzwoitości. Nawet dla tajnych operacji.

Skoro obowiązywała zasada „Ameryka na pierwszym miejscu”, Hawkins nie widział powodu, dla którego nie należało jej stosować w brudnym świecie tajnych operacji.

I Ameryka była rzeczywiście dla Hawkinsa na pierwszym miejscu.

To smutne, pomyślał Sam Devereaux, kiedy takiego człowieka wyrzucają z siodła ci, którzy dostali się tam, gdzie są teraz, owijając się dumnie flagą. Hawkins popełnił dyplomatyczny błąd i musi zostać usunięty, bo był zbyt tolerancyjny. Ci, którzy powinni stanąć za nim murem, robili wszystko, żeby go szybko pogrążyć – dokładnie w ciągu dziesięciu dni.

Normalnie Sam czułby przyjemność, szykując się do rozprawy z takim nawiedzonym osłem jak MacKenzie. Jednak bez względu na to, co o tym sądzi, zbierze materiał przeciw niemu. To jego ostatni klient i nie ma zamiaru ryzykować dwuletniej alternatywy. Mimo to nadal czuł się przygnębiony. Hawk, jakim go znano, niepoprawny fanatyk, zasługiwał na coś więcej, niż otrzymywał.

Być może, myślał Sam, to przygnębienie wywołała ostatnia „operacyjna” instrukcja z Białego Domu: znaleźć coś w mentalności Hawkinsa, czego nie będzie mógł się wyprzeć. Sprawdzić, czy był kiedykolwiek pod opieką psychiatry.

Psychiatra! Jezu! Oni się nigdy nie nauczą.

Tymczasem wysłał grupę ekspertów do Sajgonu, by sprawdzili, czy nie znajdą tam czegoś przeciw Hawkowi i wyruszył na lotnisko Dulles, by złapać samolot do Los Angeles.

Eks-żony Hawkinsa mieszkały w promieniu trzydziestu mil, między Malibu a Beverly Hills. Będą lepsze od każdego psychiatry.

Chryste! Psychiatra!

Na 1600 Pensylwania Avenue w Waszyngtonie wszyscy mieli w mózgu novocainę.

Rozdział II

– Nazywam się Lin Szu – powiedział umundurowany komunista, patrząc skośnymi oczyma na potężnego, niechlujnie wyglądającego, amerykańskiego żołnierza, który siedział w skórzanym fotelu, trzymając w jednej ręce szklaneczkę z whisky, a w drugiej mocno przeżute cygaro. – Jestem komendantem milicji w Pekinie. A pan od tej chwili pozostanie w areszcie domowym. To jest jedynie formalność i na nic się nie zdadzą żadne obraźliwe słowa.

– Jaka formalność! – krzyknął MacKenzie Hawkins z fotela, jedyne zachodniego sprzętu w tym orientalnym domu. Położył ciężki but na czarnym, pokrytym lakierem stole i przerzucił ramię przez oparcie fotela, niebezpiecznie zbliżając palące się cygaro do jedwabnego parawanu przedzielającego pokój. – Nie ma żadnych cholernych formalności, chyba że przez poselstwo. Proszę więc tam pójść i złożyć skargę. Prawdopodobnie będziecie musieli wejść na obce terytorium. – Zachichotał i pociągnął łyk ze szklaneczki.

– Wolał pan mieszkać poza poselstwem – ciągnął Chińczyk. Jego oczy biegały od cygara do parawanu. – Dlatego formalnie nie jest pan na terytorium Stanów Zjednoczonych i podlega pan miejscowej ludowej milicji. Niemniej jednak wiemy, że pan i tak nie wyjdzie, generale. Oto dlaczego mówię, że jest to formalność.

– Co macie tam, na zewnątrz? – Hawkins machnął cygarem w kierunku cienkich, prostokątnych okien.

– Po dwóch ludzi z każdej strony domu. W sumie ośmiu.

– Cholernie niezła ochrona dla kogoś, kto i tak nie może wyjść.

– Daliśmy panu niewielką swobodę, bo dwóch milicjantów to więcej niż jeden, a trzech oznaczałoby, że jest pan niebezpieczny.

– Pozwalacie na swobodę? – Hawkins zaciągnął się cygarem i ponownie przeniósł rękę za oparcie fotela. Palący się ogarek prawie dotykał parawanu.

– Tak postanowiło Ministerstwo Edukacji. Musi pan przyznać, generale, że pańskie miejsce odosobnienia jest bardzo przyjemne. To piękny dom na pięknym wzgórzu. Niezwykle spokojne miejsce z ładnym widokiem.

Lin Szu obszedł fotel i przesunął parawan dalej od cygara Hawkinsa. Było jednak za późno. Ogarek zdążył wypalić już małą dziurkę w materiale.

– To jest droga dzielnica – zauważył Hawkins. – Ktoś w tym ludowym raj, w którym nikt nic nie ma, ale wszystko należy do wszystkich, robi niezłą forszę. Czterysta na miesiąc.

– Ma pan szczęście, że o tym wie. Własność może być nabywana przez kolektyw. Kolektyw nie jest jednak prywatnym właścicielem.

Milicjant podszedł do wąskiego otworu w ścianie, który prowadził do małej, ciemnej sypialni. W miejscu, gdzie znajdowało się okno, przybito koc. Na podłodze piętrzył się stos mat ułożonych jedna na drugiej. Wszędzie walały się opakowania po amerykańskich batonikach i czuć było woń whisky.

– A po co te zdjęcia?

Chińczyk odwrócił głowę od nie milego widoku i powiedział:

– Aby pokazać światu, że traktujemy pana lepiej niż pan potraktował nas. Ten dom nie jest klatką na tygrysa jak w Sajgonie ani lochem w pełnych rekinów wodach w Holcotaz.

– Alcatraz. Indianie go mieli.

– Słucham?

– Nic, nic. Robicie wiele szumu wokół tej sprawy, prawda?

Lin Szu milczał przez chwilę szykując się do poważnej rozmowy.

– Gdyby ktoś, kto od lat publicznie krytykuje powszechnie czczone postacie w pańskiej ukochanej ojczyźnie, wysadził wasz pomnik Lin-Kolona na placu w Waszyngtonie, ci barbarzyńcy w togach z waszego najwyższego sądu natychmiast by go skazali. – Chińczyk uśmiechnął się i wygładził bluzę uniformu Mao. – My nie zachowujemy się w tak prymitywny sposób. Życie jest zbyt drogocenne. Nawet takiego chorego psa jak pan.

– A wy, żółtki, nigdy swoich nie krytykujecie, tak?

– Nasi przywódcy mówią tylko prawdę. O tym wie cały świat. To są nauki nieomylnego przewodniczącego. Prawda nie jest krytykowaniem, generale. To po prostu prawda. Oto cała mądrość.

– Jak mój stan Columbia – mruknął Hawkins zdejmując nogę z lakierowanego stołu. – Dlaczego, do diabła, wybraliście właśnie mnie? Mnóstwo ludzi dopuszcza się tej cholernej krytyki. Dlaczego wyróżniono właśnie mnie?

– Ponieważ inni nie są tak sławni. Lub niesławni, jeśli pan woli. Choć podobał mi się film o pańskim życiu. Bardzo artystyczny poemat o sile.

– Widział pan go?

– Prywatnie. Pewne sekwencje mocno zaakcentowano. Szczególnie te pokazujące, jak aktor grający pana, morduje naszą bohaterską młodzież. Bardzo okrutne, generale. – Komunista okrążył czarny lakierowany stół i ponownie się uśmiechnął. – Tak, jest pan niesławnym człowiekiem. A teraz znieważył nas pan, niszcząc czcigodny pomnik...

– Dość tego! Ja nawet nie wiem, co się stało. Byłem pod wpływem narkotyków i pan doskonale o tym wie. Byłem z pańskim generałem Lu Sin. Z jego dziwkami i w jego domu.

– Musi pan nam przywrócić honor, generale Hawkins. Czy to tak trudno zrozumieć? –

Lin Szu mówił cicho, jak gdyby Hawkins wcale mu nie przerwał. – Będzie to dla pana prosta sprawa, wygłosić publicznie przeprosiny. Ceremonia już zaplanowana. Z małą grupką dziennikarzy. Napisałyśmy dla pana tekst.

– Rany boskie! – Hawkins poderwał się z fotela. Wzrostem górował nad milicjantem. – Znowu wracamy do tego samego. Ile razy muszę wam to powtarzać, bękarty? Amerykanin nie płaszczy się przed nikim. W żadnej cholernej ceremonii, z prasą lub bez niej! Zrozum to wreszcie, ty zarzygany karle!

– Niech się pan nie denerwuje. Przykłada pan zbyt wielkie znaczenie do zwykłej ceremonialnej uroczystości. Stawia pan nas wszystkich w niezwykle trudnym położeniu. To taka mała uroczystość, taka prosta.

– Nie dla mnie. Reprezentuję siły zbrojne Stanów Zjednoczonych i nic nie jest dla nas małe lub proste! Nie tak łatwo nas nabrać, kolego. Maszerujemy prosto na bębny.

– Słucham?

Hawkins wzruszył ramionami, podniecony własnymi słowami.

– Nieważne. Odpowiedź brzmi: nie. Może pan przestraszyć tych dyszących, szamerowanych chłopaczków z poselstwa, ale mną pan nie wstrząśnie.

– Zwrócili się z apelem do pana, ponieważ tak im kazano. Z pewnością musiało to panu przyjść do głowy.

– Cholerne brednie! – Hawkins podszedł do kominka, pociągnął łyk ze szklaneczki, a następnie postawił ją na gzymsie obok kolorowego pudełka. – Te pedały wypichciły coś z tą grupą królewiatek w Stanach. Poczekajcie, aż Biały Dom, aż Pentagon przeczyta mój raport. Zwiejcie wtedy w góry, a wówczas my je wysadzimy w powietrze!

Hawkins uśmiechnął się szeroko, jego oczy błysnęły.

– Jest pan taki ordynarny – powiedział Lin Szu cicho, kręcąc smutno głową. Wziął do ręki kolorowe pudełko stojące obok generalskiej szklaneczki. – Petardy Tsing Taou. Najlepsze na świecie. Głośne i jasne, błyszczące białym światłem, kiedy wybuchają bang, bang, bang. Są wspaniałe i do oglądania, i do słuchania.

– Taak – przytaknął Hawkins lekko skonfudowany zmianą tematu. – Dał mi je Lu Sin. Wystrzeliliśmy ich niezłą partię. Zanim ten skurwysyn nie dosypał mi narkotyku.

– Pięknie, generale Hawkins. To wspaniały prezent.

– Jeden Bóg wie, że on jest mi coś winny.

– Ale czy pan nie widzi? – ciągnął komendant milicji. – One brzmią jak ładunek wybuchowy, wyglądają jak wybuchająca amunicja, lecz nie są ani jednym, ani drugim. To tylko przedstawienie, jedynie pozory czegoś. Są realne same w sobie, lecz są tylko złudzeniem rzeczywistości. Nie są w ogóle niebezpieczne.

– Więc?

– To jest dokładnie to, o co jest pan proszony. Jedynie o pozór, nie rzeczywistość! Musi pan tylko stwarzać pozory. W krótkiej prostej ceremonii z kilkoma słowami. Nie ma w tym

nic niebezpiecznego. I wszystko odbędzie się bardzo kulturalnie.

– Nieprawda! – ryknął Hawkins. – Każdy wie, co to jest petarda. Nikt nie uwierzy, że udaję.

– Jestem innego zdania. To nic więcej jak dyplomatyczny rytuał. Każdy to zrozumie, daję panu na to moje słowo.

– Taak? A skąd pan może o tym wiedzieć, u diabła? Pan jest pekińskim gliną, a nie Kissingerem.

Chińczyk dotknął pudełka z petardami i westchnął głośno.

– Muszę pana przeprosić za małe oszustwo, generale. Ja nie jestem z milicji. Jestem drugim wiceprefektem w Ministerstwie Edukacji. Jestem tu po to, by zaapelować do pana. By odwołać się do pańskiego rozsądku. Jednak cała reszta pozostaje prawdziwa. Jest pan w domowym areszcie, a strażnicy na zewnątrz są milicjantami.

– Będę przeklęty! Przysłali mi facecika z lampasami. – Hawkins znów się uśmiechnął szeroko. – Martwicie się chłopaki, naprawdę się martwicie, co?

Komunista ponownie westchnął.

– Tak. Tych idiotów, którzy wpadli na ten pomysł wysłano do kolektywnej pracy w kopalniach Mongolii. To było szaleństwo, choć muszę się z nimi zgodzić, że był pan dla nich wielką pokusą, generale Hawkins. Czy zdaje pan sobie sprawę z ogromu obelżywych napaści, których był pan autorem, na każdego marksistę, socjalistę i proszę mi wybaczyć, nawet na przychylnie ustosunkowany do demokracji naród? To najgorsze przykłady, powinienem powiedzieć najlepsze przykłady, demagogii.

– Sporo tych bzdur napisali ludzie, którzy zapłacili mi za to, żebym tak mówił – powiedział Hawkins zamyślając się lekko. Po chwili jednak dodał: – Nie, żebym w to nie wierzył. Do cholery, wierzę!

– Jest pan niemożliwy! – Lin Szu tupnął nogą jak dziecko. – Jest pan równie szalony jak Lu Sin i jego banda ryczących papierowych lwów! Niech oni wszyscy rozłupują skały i uprawiają nierząd z mongolskimi owcami! Jesteście po prostu niemożliwi!

Hawkins wpatrywał się w komunistę, który z wściekłością na twarzy, trzymał jednocześnie kolorowe pudełko z petardami w ręku. Podjął już decyzję i obaj o tym wiedzieli.

– Jestem jeszcze czymś skośnooki – odezwał się generał zbliżając się do Lin Szu.

– Nie! Nie! Tylko bez przemocy, ty idioto...

Lecz nie zdążył już krzyknąć! Hawkins chwycił go za bluzę, zwałił z nóg i trzasnął w szczękę. Wiceprefekt z Ministerstwa Edukacji w jednej chwili stracił przytomność. Hawkins wyrwał mu pudełko z petardami z ręki i popędził, okrążając lakierowany stół, do sypialni. Chwycił koc przybity do okna, oderwał kawałek i wyjrzał na zewnątrz. Stało tam dwóch uzbrojonych milicjantów, którzy spokojnie rozmawiali. Za nimi rozpościerało się strome wzgórze, za którym znajdowała się wioska.

Hawkins zdjął z okna koc i na czworakach wrócił do saloniku, a następnie w ten sam

sposób podkradł się do frontowych drzwi. Wstał i cicho je uchylił. W odległości około czterdziestu stóp stało dwóch milicjantów. Byli tak samo rozluźnieni jak ci z tyłu. Co więcej patrzyli na drogę, a nie na dom.

MacKenzie wyjął spod pachy pudełko z petardami, zerwał cienki papier, związał dwie petardy razem, skręcił oba lonty ze sobą i wyjął z kieszeni zapalniczkę Zippo, pamiętającą czasy drugiej wojny światowej.

Nagle zatrzymał się, zły na siebie. Trzymając petardy pod pachą, przeszedł spokojnie obok okien do sypialni i zdjął pas z bronią wiszący na gwoździu wbitym w cienką ścianę. Umocował go w talii, wyjął kolta 45 i sprawdził magazynek. Zadowolony wsunął broń z powrotem do kabury i wyszedł z sypialni. Okrążył fotel stojący przed kominkiem, przeszedł nad leżącym bez ruchu Lin Szu i wrócił do frontowych drzwi. Zapalił Zippo, przytrzymał płomień pod skręconymi lontami, otworzył drzwi i rzucił petardy na trawę przed gankiem, po czym szybko i cicho zamknął i zaryglował drzwi. Następnie przyciągnął stojącą w korytarzu małą czerwoną, lakierowaną skrzynię i oparł ją o grubą rzeźbioną framugę. Potem pobiegł do sypialni, oderwał brzeg koca przymocowanego do okna i czekał.

Wybuchy, które nastąpiły, były nawet głośniejsze, niż się tego spodziewał. Sprawily to połączone laski różnych petard, wybuchające jedna po drugiej.

Strażnicy na tyłach domu zostali wyrwani z letargu; karabiny uderzyły o siebie, kiedy jednocześnie podnieśli je z ziemi. Z bronią przygotowaną do strzału rzucili się w kierunku frontowych drzwi.

Kiedy znaleźli się poza zasięgiem wzroku, Hawkins zerwał koc i strzaskał nogą okno składające się z małych szybek połączonych wąskimi paskami drewna. Wskoczył na trawę i zaczął biec w kierunku pól i wzgórza.

Rozdział III

U stóp wzgórza rozciągała się piaszczysta droga otaczająca wioskę. Jak szprychy w kole rozchodziły się od niej promieniście liczne odnogi prowadzące na mały plac targowy w centrum wioski. W bok od tej drogi odchodziła brukowana ulica łącząca się z szosą do Pekinu w odległości około czterech mil na wschód. Do amerykańskiego poselstwa było tą szosą dwanaście mil.

Przydałby mu się teraz jakiś środek lokomocji, najlepiej samochód, lecz te praktycznie nie istniały poza głównymi okręgami. Oczywiście ludowa milicja miała samochody. Przyszło mu przez myśl, żeby wrócić po auto Lin Szu, ale łączyło się to ze zbyt dużym ryzykiem. Nawet gdyby je znalazł i ukradł, byłby to znaczony samochód.

Okrażył wioskę trzymając się terenu nad drogą. Na pewno za nim pójdą. Mógłby się ukryć na jakiś czas wśród tych wzgórz, to nie byłoby trudne. Kiedyś ukrywał się przez kilka miesięcy w górach Cong-Sol i Lai Tai w Kambodży. Mógł przeżyć w lesie lepiej od wielu zwierząt. Cholera, był przecież zawodowcem! Ale to też nic by nie dało. Musi dostać się do poselstwa i poinformować wolny świat, jakiemu wrogowi się podlizuje. Dość tego do cholery! Mogliby przesłać informacje drogą radiową, zabarykadować się w budynku i odpierać ataki, dopóki lotniskowce nie wyślą samolotów, które rozniosą wszystko w proch, nawet gdyby miało to oznaczać rozwalenie połowy Pekinu. Wtedy przylecą helikoptery i wydostaną ich stamtąd.

Oczywiście ci cywile sraliby w gacie ze strachu, ale on potrafi utrzymać ich w ryzach. Nauczy tych kapryśnych lalusiów, jak trzeba walczyć. Walczyć! Nie gadać!

Dość tego fantazjowania! Poniżej na prawo, pokonując zakręt, w odległości ćwierć mili od niego, jechał samotny motocykl. Siedział na nim szy-san, milicjant z drogówki. Oto była odpowiedź na jego modlitwę!

Wstał z wysokiej trawy i ruszył wzdłuż wzgórza. W mig znalazł się na skraju piaszczystej drogi. Motocykl nie pokonał jeszcze zakrętu, był niewidoczny, ale słychać było jak się zbliża. Położył się na środku drogi, przyciągając nogi do klatki piersiowej, by wydać się mniejszym, i zastygł w tej pozycji.

Motocykl zaryczał pokonując zakręt, a potem bryznął piaskiem gwałtownie hamując.

Milicjant zsiadł i błyskawicznie postawił pojazd na podnóżku. Hawkins posłyszał i wyczuł szybkie zbliżające się kroki. Szi-san pochylił się nad nim i dotknął ramienia, cofając się na widok amerykańskiego munduru. Hawkins momentalnie się podniósł. Szi-san krzyknął.

Pięć minut MacKenzie wciągał jego bluzę i spodnie na swoje własne. Włożył gogle Chińczyka i śmiesznie małą czapkę z daszkiem mocując pasek pod brodą – mały akcent na przyciętych na jeża, szpakowatych włosach. Na szczęście miał cygaro. Zgryzł koniec do pożądanej miękkości i zapalił. Był gotów do odjazdu.

Attaché dyplomatyczny wpadł do gabinetu dyrektora – nie mówiąc słowa sekretarce, ani nie pukając do drzwi. Szef czyścił zęby jedwabną nitką.

– Przepraszam, sir, ale otrzymałem właśnie instrukcje z Waszyngtonu. Wiem, że chciałby je pan przeczytać.

Szef misji dyplomatycznej w Pekinie wziął depezę i zaczął czytać. Oczy stały się okrągłe, a usta otworzyły się ze zdziwienia. Długa nitka nadal tkwiła w zębach.

Zobaczył blokadę na drodze odcinającą dostęp do szosy pekińskiej. Znajdowała się w odległości trzech czwartych mili. Stał tam samochód patrolowy i rząd milicjantów ustawionych w poprzek drogi – tylko tyle mógł dostrzec przez zakurzone gogle. Kiedy podjechał bliżej, spostrzegł, że milicjanci coś krzyczą. Jeden z nich wystąpił naprzód i zaczął wymachiwać historycznie pistoletem, dając znak jadącemu, by się zatrzymał.

Jest tylko jeden sposób na blokadę, pomyślał Hawkins. Jeśli chcesz sobie sprawić pogrzeb, to niech będzie przynajmniej okazały. Repetuj, ile wlezie, grzmiąc ze wszystkich luf z hukiem i błyskiem; wrzeszcz ile tchu w piersiach, na tych komunistycznych bękartów, aż ci zadzwięczy w uszach! Cholera! Nic nie widział przez ten pieprzony kurz, a do tego stopa ciągle ześlizgiwała mu się z cienkiego pedału gazu.

Sięgnął ręką do kabury i wyciągnął czterdziestkę piątkę. Nie mógł dobrze wycelować, ale, na Boga, mógł naciskać cyngiel. Robił to więc bez ustanku!

Ku jego zdziwieniu milicjanci nie odpowiedzieli ogniem; zamiast tego kryli się za kopce z gliny i piasku, kwicząc jak prosiaki, albo pędzili jak oparzeni przeskakując kopce i chowając tyłki przed ognistą siłą jego czterdziestki piątki. Pieprzone tchórze!

Chyba te gogle robią mu sztuczki z kurzem i dymem cygara, bo nawet milicjant na przedzie – z pewnością oficer nawet on nie użył broni, by go powstrzymać. Oficer, cholera!

MacKenzie trzymał motocykl na najwyższych obrotach i wystrzelał cały magazynek czterdziestki piątki. Poderwał maszynę nad kopcem gliny i piasku i wznosił się na wysokość pokrytego trawą wzgórza. Kiedy motocykl znajdował się w powietrzu, zobaczył pod sobą krzyczące głowy i pożałował, że nie ma więcej amunicji. Gwałtownie skręcił rączki

kierownicy, by móc opaść ukośnie z powrotem na drogę.

Uderzył w nawierzchnię! Cholera, przedarł się przez barykadę! A teraz pędzi szosą prosto do Pekinu!

Równa nawierzchnia była rozkoszą. Kręcące się koła motocykla szumiały. Wiatr dmuchał mu w twarz – czyste, odurzające podmuchy powietrza bez odrobiny kurzu, wciskające dym z cygara do uszu. Nawet gogle były teraz czyste.

Następne dziewięć mil leciał jak błyszczący meteor przez nieznanne chińskie niebo. Jeszcze mila i wjedzie od strony północnej do Pekinu. Niech ich diabli! Właśnie, że mu się to uda! A wtedy, na Chrystusa, te komunistyczne bękarty dowiedzą się, co to jest amerykańskie kontruderzenie!

Przemknął przez zatłoczone ulice i zahamował u wylotu placu Niebiańskiego Kwiatu, przy końcu którego mieściło się poselstwo z alabastrowym frontonem przydającym mu wschodniego splendoru. Kręciło się tu jak zwykle mnóstwo ludzi, pekińczyków i przyjezdnych czekających, by zobaczyć choć przez chwilę dziwnych, wielkich, różowych ludzi, którzy wchodzili i wychodzili przez białe stalowe drzwi do średnich rozmiarów budynku. Nie otaczał go ceglany mur ani wysokie metalowe ogrodzenie. Tylko cienkie okratowanie z ozdobnego drewna polakierowane dla trwałości, i strzyżony trawnik prowadzący do schodów. Za to okna i drzwi wzmocniono żelaznymi kratami.

MacKenzie zwiększył obroty silnika do maksimum przypuszczając, że hałas rozproszy tłum gapiów. I nie pomylił się. Chińczycy rozbiegli się na wszystkie strony, kiedy pędził przez plac. Jednak mało nie wyleciał z siodelka widząc przed sobą coś, co sprawiało wrażenie, że pędzi w jego stronę z szybkością pięćdziesięciu mil na godzinę.

Były to trzy drewniane barykady – wydłużone kozły ustawione przed okratowaną furtką. Poziomo ułożone grube deski ustawiono w odległości około stopy, jedna po drugiej, tworząc grubą ścianę w formie cofających się schodów, którą podtrzymywał delikatny filigranowy płot.

Przed tą zaporą w szeregu, w postawie „prezentuj broń” stał tuzin lub coś koło tego żołnierzy z dwoma oficerami po bokach – wszyscy mieli wzrok utkwiony w jeden punkt: w niego.

Więc tak to wygląda, pomyślał MacKenzie, najmniejszego gestu, ruchu – sam czyn.

Totalny opór! Niech ich diabli! Gdyby tylko miał naboje!

Skulił się i skierował motocykl w sam środek barykady; przekręcił rączkę gazu na maksimum. Wskazówka szybkościomierza drgnęła gwałtownie i strzeliła na koniec skali. Człowiek i maszyna rwali powietrznym korytarzem jak dziwny, ogromny pocisk z ciała i stali.

Wśród histerycznych krzyków tłumu i rozbiegających się w panice żołnierzy Hawkins szarpnął rączki gwałtownie do tyłu, a ciężar ciała przeniósł na brzeg siodelka. Przednie koło uniosło się w górę jak nierzeczywisty, wirujący feniks z dziwnie wydłużonym ogonem i

jeźdźcem, i uderzyło w górną część barykady.

Nastąpił ogłuszający trzask drewna i okratowania, kiedy MacKenzie przeleciał przez warstwy zaporowe jak szaleńczo skuteczna ludzka kula armatnia, ciągnąca za sobą resztę muru.

Motocykl opadł na ścieżkę wyłożoną kamykami, która prowadziła do schodów budynku. W tym momencie MacKenzie'ego rzuciło w przód, przeokołkował nad kierownicą i przejechał po drobnych kamykach, uderzając z głuchym łoskotem w podstawę schodów prowadzących do białych stalowych drzwi. Cygaro jednak wciąż tkwiło między zębami.

W każdej sekundzie Chińczycy mogli się przegrupować, zaczęłyby się strzelanina, poczułby ostre jak lód ukłucia i po chwili zapadłby w nieświadomość.

Lecz nic takiego się nie stało. Słyszeć było jedynie coraz głośniejsze krzyki tłumu i żołnierzy. Żółte twarze wзираły zza masy pogruhotanych desek i strzaskanego okratowania. Większość żołnierzy, którzy rzucili się na ziemię, podnosiła się teraz.

Jednak atak nie nastąpił. Wówczas MacKenzie zrozumiał: znajdował się przecież na terytorium USA. Gdyby został zastrzelony na terenie poselstwa, mogłoby to zostać odebrane jak egzekucja na amerykańskiej ziemi, incydent o randze międzynarodowej. Cholera! Chronili go paniczycy w koronkowych majteczkach! Dyplomatyczne subtelności uratowały mu życie!

Wygramolił się na nogi, wbiegł po schodach do białych stalowych drzwi i zaczął naciskać dzwonek i tłuc pięścią w metalowe obudowę.

Bez skutku.

Zaczął walić mocniej, drugą rękę trzymając na dzwonku. Wrzeszczał do tych w środku i po nieznośnie długiej chwili otworzyła się prostokątna klapka w drzwiach i ukazały szeroko otwarte przestraszone oczy.

– Na litość boską, to ja, Hawkins! – ryknął MacKenzie zbliżając usta do oczu o panicznym wyrazie. – Otwórz te przekłete drzwi, ty sukinsynu! Co robisz, do diabła!

Oczy zamrugały, lecz drzwi pozostały zamknięte.

Hawkins ryknął znowu i oczy ponownie zamrugały. Po kilkunastu sekundach na miejscu oczu pojawiły się drżące wargi.

– Nikogo nie ma w domu, sir – zabrzmiały nieprawdopodobne słowa.

– Co takiego?!

– Przykro mi, generale.

Usta zniknęły za szybko zamykającą się klapą.

MacKenzie'ego na moment zamurowało. Potem znowu zaczął walić i krzyczeć, i naciskać guziki dzwonek tak mocno, że aż popękał bakelit.

Na próżno.

Spojrzał w tył na tłumy ludzi i żołnierzy i dotarły wówczas do jego świadomości krzyki, szczerzenie zębów w uśmiechu i napływające falami chichotanie.

Zeskoczył ze schodów i przebiegł przez trawnik. Wszystkie okna były zamknięte i dodatkowo zabezpieczone metalowymi okiennicami. Całe przekłute poselstwo było szczelnie spięte ogromną, białą, prostokątną klamrą. Obiegł dom dookoła. Wszędzie to samo: zamknięte okna, metalowe okiennice, kraty. Pognał na tył domu do dużych metalowych drzwi. Zaczął w nie walić i wrzeszczeć tak, jak nie krzyczał nigdy w życiu.

W końcu w otworze ponownie ukazały się oczy, mniej wystraszone niż tę we frontowych drzwiach, niemniej szeroko otwarte i zdenerwowane.

– Otwórz te pieprzone drzwi, do cholery!

Jeszcze raz pojawiły się usta, ale tym razem okolone siwymi wąsami. Był to sam ambasador.

– Odejdź stąd, Hawkins – powiedział głęboki, z angielskim akcentem głos, znamionujący wschodnie wyższe sfery. – Jesteś skończony.

I otwórz się zamknął.

MacKenzie stał jak przymurowany. Czas i przestrzeń przestały dla niego istnieć. Ledwie zdawał sobie sprawę, że tłumy gapiów i żołnierze otoczyli drewniane ogrodzenie i tył poselstwa. Bezwiednie cofnął się od drzwi i spojrzał w górę na zewnętrzną ścianę budynku i na dach. Mógł tego dokonać posługując się kratami w oknach. Podskoczył do najbliższego i wspiął się po kracie do następnego. W kilkanaście minut pokonał boczną ścianę budynku i wdrapał się na brzeg spadzistego, krytego dachówką dachu.

Z trudem wpełznął na szczyt i rozejrzał się. Maszt flagowy stał w samym środku trawnika, na lewo od zwirowanej ścieżki. Łagodnie powiewająca flaga amerykańska falowała na wietrze samotna w swym dostojństwie. Generał MacKenzie Hawkins sprawdził kierunek wiatru i odpiął zamek błyskawiczny.

Rozdział IV

Devereaux uśmiechnął się do portiera z hotelu „Beverly Hills”, potem podszedł do ogromnego samochodu od strony kierowcy, dał napiwek chłopcu parkingowemu i usiadł za kółkiem. Ostry blask słońca odbijał się od maski pojazdu. Taka była Południowa Kalifornia: portierzy, chłopcy parkingowi, ciche napiwki, zbyt duże samochody i oślepiające słońce.

Dwie godziny temu odbył rozmowę telefoniczną z pierwszą panią MacKenzie Hawkins. Postanowił postępować zgodnie z logiką, składając do kupy porozrzucane kawałeczki z życia tego człowieka. Z pewnością wyjdzie jakiś wzór. Będzie łatwiej dokumentować tę współczesną wersję *Kariery rozpustnika*, zaczynając wprowadzenie w ten prawdziwie skorumpowany świat od delikatnych jedwabi i pieniędzy zamiast od zabijania, tortur i arogancji West Pointu.

Regina Sommerville Hawkins była takim wprowadzeniem. Według banku danych pochodziła z Hunt Country w Wirginii i była bogatą, rozpieszczoną panną wywodzącą się z Foxcroftów i Finchów. W 1947 roku przystroiła się w swój kotylionowy pióropusz, by zdobyć trofeum nazwiskiem Hawkins, które opromienione sławą zdobytą w bitwie o wyłom w Ardenach, popisywało się teraz wyczynami na boisku piłki nożnej. Ponieważ tata Sommerville był właścicielem większej części wirgińskiego wybrzeża, a Ginny była prawdziwą południową pięknoscią – małżeństwo zostało bez trudu zaaranżowane. Chodzący w glorii chwały, wybijający się wychowanek West Pointu został złapany w sidła, osaczony i chwilowo podbity przez śpiewne przeciąganie wyrazów, duże piersi i pełny komfort tej łagodnej, ale wytrwałej córki Konfederacji.

Tatuś znał mnóstwo ludzi w Waszyngtonie, więc łącząc talent Hawkinsa z tempem awansu, Regina spodziewała się, że zostanie panią generałową w ciągu sześciu miesięcy. W najgorszym razie po roku, i osiadzie w Waszyngtonie albo w Newport News, albo w Nowym Jorku, albo może na uroczych Hawajach, ze służącymi, mundurami, tańcami, potem z jeszcze większą liczbą służby itd. Jednak Hawkins okazał się dziwakiem, a tatuś nie znał aż tylu ludzi, żeby mogli powściągnąć jego osobliwe zachowanie. Hawk wcale nie marzył o nadętym życiu w Waszyngtonie, Newport News czy Nowym Jorku. Chciał być ze swoimi żołnierzami. I zachowywał się jak kongresmen, niełatwo było z nim dyskutować. Regina znalazła się w

położonych na uboczu wojskowych obozach, gdzie jej mąż szkolił zawzięcie poborowych do wojny, której nie było. Postanowiła więc pozbyć się swojej zdobyczy. Tatusz znał wystarczająco dużo ludzi, by to ułatwić. Hawkinsa przeniesiono do Niemiec Zachodnich, a lekarze Reginy zdecydowanie oświadczyli, że jej organizm nie zniósłby tamtejszego klimatu. Odległość między nimi ułatwiła zakończenie całej sprawy.

Teraz, prawie po trzydziestu latach, Regina Sommerville Hawkins Clark Madison Greenberg mieszkała na peryferiach Los Angeles zwanych Tarzana z czwartym mężem, Emmanuelem Greenbergiem, producentem filmowym. Dwie godziny temu powiedziała Samowi Devereaux przez telefon:

– Słuchaj, kochasiu, chcesz pogadać o Macu? Ściągnę dziewczęta. Zwykle spotykamy się w czwartki, ale to nie ma znaczenia.

Sam zapisał więc adres i jechał teraz wynajętym samochodem do domu Reginy. W radiu rozbrzmiewały dźwięki „Mętnych wód”, co wydawało się pasować do sytuacji. Odnalazł drogę dojazdową do rezydencji Greenberga i pnąc się po niej w górę był przekonany, że wjeżdża na sam szczyt wzgórza. W połowie drogi do posiadłości znajdowała się zdalnie sterowana żelazna brama. Otworzyła się, kiedy podjechał bliżej.

Zaparkował przed garażem mieszczącym cztery samochody. Na płaskiej asfaltowej nawierzchni stały dwa cadillaki, srebrzysty rolls i, jako raczej oczywisty kontrpunkt – maserati. Dwóch szoferów w uniformach rozmawiało beztrosko, opierając się o rollsa. Sam wysiadł z samochodu z walizką i zamknął drzwi.

– Jestem pośrednikiem, pani Greenberg mnie oczekuje – poinformował szoferów.

– To najlepsze miejsce do tego – zaśmiał się młodszy.

– Merwill, Lynch i dziewczynki. Tak powinno się je nazywać.

– Może któregoś dnia tak będzie. Czy ta ścieżka prowadzi do drzwi? – Sam wskazał na chodnik, który wydawał się znikać w niskim zagajniku porośniętym kalifornijskimi paprociami i miniaturowymi drzewami pomarańczowymi.

– Tak, proszę pana – odezwał się starszy, pełen godności szofer, jak gdyby tą krótką odpowiedzią chciał zatuszować mało oficjalne zachowanie młodszego. – Na prawo. Zobacz pan.

Sam poszedł ścieżką do frontowych drzwi. Nigdy przedtem nie widział różowych drzwi, ale gdyby takie zobaczył, domyśliłby się, że pochodzą z Południowej Kalifornii. Nacisnął dzwonek i usłyszał pierwsze takty tematu muzycznego z *Love Story*. Był ciekaw, czy Regina zna zakończenie.

Drzwi się otwarły i oto stała przed nim, ubrana w obcisłe szorty i równie obcisłą, prześwitującą bluzkę, dzięki której jej wielkie piersi sterczały wyzywająco. Chociaż po czterdziestce, Regina miała ciemne włosy, brązową skórę bez zmarszczek i swój piękny wygląd obnosiła z pewnością siebie wieku młodzieńczego.

– Pan jest majorem? – zapytała z charakterystycznym dla stron, z jakich pochodziła,

niskim, przeciągłym „o” z Hunt Country.

– Major Sam Devereaux – przedstawił się.

Głupio było podawać nazwisko tak oficjalnie, ale uwagę miał skupioną na jej dwóch tytanicznych wyzwaniach.

– Proszę wejść! Przypuszczam, że wyobrażał pan sobie, że wszystkie poczujemy się dotknięte z powodu munduru.

– Coś w tym rodzaju. – Devereaux zaśmiał się głupio, siłą zmuszając się, by nie patrzeć na bluzkę i wszedł do hallu. Korytarz był mały i prowadził do wielkiego, głębokiego salonu, którego przeciwległa ściana była cała ze szkła. Za szkłem znajdował się basen w kształcie nerki, z tarasem wyłożonym włoskimi kafelkami, zamkniętym ozdobnym metalowym ogrodzeniem wychodzącym na dolinę.

Wszystko to zauważył po, no powiedzmy, piętnastu sekundach. Pierwsze ćwierć minuty zabrało mu obserwowanie trzech dodatkowych par biustów. Każdy był wyjątkowy w swoim rodzaju. Pełny i krągły. Mały i spiczasty. Ciężki lecz wymowny. Należały one kolejno do Madge, Lillian i Anne. Regina dokonała prezentacji szybko i miło. A Sam automatycznie połączył biusty z danymi, jakie miał w swojej walizeczce.

Lillian była numerem trzecim – Palo Alto, Kalifornia.

Madge była numerem dwa – Tuckahoe, Nowy Jork.

Anne była numerem czwartym – Detroit, Michigan.

Ładny przekrój Ameryki.

Regina – Ginny – była oczywiście najstarsza; nie tyle wyglądem ile autorytetem. Bowiem prawdę powiedziawszy, to wszystkie dziewczęta były w tym trudnym do sprecyzowania wieku, między połową trzydziestki a kolejną dekadą, natomiast piękność południowokalifornijska była mistrzynią w maskowaniu się. Każda była atrakcyjna i dominowała nad innymi na swój niepowtarzalny sposób. Każda ubrana seksownie, w stylu południowokalifornijskim, niedbale, lecz z nieznaną dbałością o końcowy efekt.

MacKenzie należał do tych, którym można pozazdrościć smaku i umiejętności.

Wstępne uprzejmości odbyły się szybko i grzecznie. Samowi zaproponowano drinka, którego nie śmiał odmówić w takim towarzystwie i zapadł się w niezwykle głębokim fotelu. Starał się ustawić walizeczkę obok, ale natychmiast się zorientował, że sięgnięcie po nią będzie wymagać karkołomnych wyczynów, a podniesienie jej i otworzenie na kolanach nadwerzęży nawet człowieka z gumy, miał więc nadzieję, że nie będzie musiał tego robić.

– A więc jesteśmy tu wszystkie – powiedziała przeciągając wyrazy Regina Greenberg. – Cały harem Hawkinsa. Czego chce Pentagon? Zaświadczeń?

– Jedno możemy dać bez ograniczeń – powiedziała bystro Lillian.

– Z przyjemnością – dodała Madge.

– Ooch – przytaknęła Anne.

– No tak. Możliwości generała są ogromne – wyjąkał Sam. – To znaczy... chciałem

powiedzieć, że nie spodziewałem się, że zastanę was wszystkie razem.

– Jesteśmy prawdziwą korporacją, majorze. – Madge, o pełnych i krągłych, siedząca w fotelu obok Sama, wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia. – Ginny chyba panu mówiła. Hawkins...

– Tak, rozumiem – przerwał jej prędko Devereaux.

– Rozmawiając z jedną z nas o Macu, to jakby pan rozmawiał z nami wszystkimi – dodała Lillian o małych i spiczastych, siedząca po drugiej stronie, niezwykle melodyjnym głosem.

– To prawda – zagruchała Anne – o ciężkich lecz wymownych – stojąc bezwstydnie przed szklaną ścianą wychodzącą na basen.

– Jeśli chodzi o to wydarzenie, to nie mamy pełnych wiadomości. Występuję tu jako rzecznik – powiedziała cedząc słowa Regina Greenberg, siedząca na tapczanie pokrytym skórą jaguara. – Z racji pierwszeństwa i wieku.

– Co nie znaczy, że jesteś stara, kochanie – powiedziała Madge.

– Nie pozwolimy, byś się oczerniała.

– Najtrudniej jest zacząć – powiedział Sam, który nie bardzo wiedział, jak przedstawić całą sprawę. Po raz pierwszy musiał stawić czoło kłopotom, które pojawiają się, kiedy ma się do czynienia z tak wyjątkową indywidualnością. Powoli i łagodnie wyjaśnił, że MacKenzie postawił rząd w niezwykle trudnej sytuacji, z której trzeba znaleźć wyjście. I chociaż ten rząd jest głęboko i dozgonnie wdzięczny generałowi Hawkinsowi za wszystko, co zrobił, wydaje się konieczne cofnięcie się w jego przeszłość, by pomóc jemu i rządowi wyjść z tej delikatnej sytuacji. Z częściowego negatywu może powstać pozytywny, jeśli tylko umiejętnie wyważy się i zaakcentuje pewne sprawy.

– Więc chce go pan załatwić? – podsumowała Regina Greenberg. – To się musiało tak skończyć, prawda dziewczęta?

Odpowiedzią był zgodny chór aprobujących pomruków.

Sam nie był tak głupi, żeby wypowiedzieć płaskie zaprzeczenie. Miał przed sobą wyjątkowo inteligentne i domyślne audytorium, niż można było początkowo przypuszczać.

– Czemu pani to mówi? – zapytał Ginny.

– Na Boga, majorze! – odpowiedziały tytany – Mac od lat był na bakier z tymi wyorderowanymi nadętymi kutasami! Przejrzał ich brudną grę. Oto dlaczego cieszą się, że ci północni liberałowie robią z niego pajaca. Ale Mac nie jest pajacem!

– Nikt tak nie myśli, pani Greenberg, zapewniam panią.

– Co on zrobił?

Pytanie zadała Anne, której sylwetka wspaniale prezentowała się na tle szyby.

– Zeszpecił... – Sam się zawahał. Nie, to złe słowo. – Zniszczył narodowy pomnik należący do rządu, z którym próbowaliśmy utrzymywać dobre stosunki. Podobny do naszego pomnika Lincolna.

– Czy był pijany? – zapytała Lillian, zwracając oczy i szczupły biust ku Samowi; dwa ostre działa wymierzone w niego.

– Twierdzi, że nie był.

– Więc nie był – stwierdziła Madge kategorycznie tuż obok niego.

– Mac potrafi wypić całe wiadro pomyj. – Każde słowo Ginny Greenberg podkreślała kiwnięciem głowy. – Ale nigdy, powtarzam, nigdy, nie bawiłby się alkoholem, gdyby to miało zaszkodzić mundurowi.

– On by tego nie powiedział, majorze – dodała Lillian – lecz to zasada silniejsza od jakiegokolwiek przysięgi.

– Z dwóch powodów – uzupełniła Ginny. – Z pewnością nie zhańbiłby szlifów generalskich i co równie ważne, nie dopuściłby do tego, by pijaństwo stało się powodem do śmiechu dla tych nadętych kutasów.

– Widzi więc pan, że Mac nie mógł zrobić tego, co oni mówią, z pomnikiem Lincolna – skonstatowała Madge. – Po prostu nie mógł.

Sam przyjrzał się całej czwórce. Żadna z tych eks-pań Hawkins nie miała zamiaru mu pomóc. Żadna nie powie złego słowa o tym człowieku. Dlaczego? Spróbował wstać z fotela i przyjął pozycję adwokata biorącego delikwenta w krzyżowy ogień pytań. Adwokata niezwykle wyrozumiałego i subtelnego. Podszedł wolno do ogromnego okna. Anne przesiadła się na fotel.

– Z pewnością okoliczności i grono zgromadzonych tu osób nasuwają pewne pytania – zaczął z uśmiechem. – Nie mają panie obowiązku na nie odpowiadać, ale szczerze mówiąc nie bardzo rozumiem, dlaczego...

– Proszę pozwolić mi odpowiedzieć – przerwała Regina. – Nie może pan zrozumieć, dlaczego harem Hawkinsa ochrania swego pana, tak?

– Zgadza się.

– Jako rzecznik – ciągnęła Ginny otrzymując przyzwalające kiwnięcia głową pozostałych dziewcząt – powiem krótko. Mac Hawkins jest wielkim facetem – i w łóżku, i poza nim. Proszę nie lekceważyć łóżka, bo większość małżeństw nawet tego nie ma. Nie można żyć z tym sukinsynem, ale to nie jego wina.

– Mac dał nam coś, czego nigdy nie zapomnimy, bo to tkwi w nas samych. Nauczył nas rozbijać własne skorupy. Wydaje się takie proste: rozbić własną skorupę, prawda? Ale to czyni cię wolnym, kochanie. „Jesteś panem własnego ja”, jak by on powiedział. „Nie ma niczego, co musiałbyś robić ani niczego, czego nie mógłbyś zrobić. Wykorzystuj własne ja i pracuj jak wszyscy diabli”.

– Nie sądzę, aby dzisiaj któraś z nas wierzyła w tę świętą zasadę, ale, na Boga, on zmusił nas, byśmy próbowały z całych sił. Uczynił nas wolnymi, zanim stało się to modne i nie wyszłyśmy na tym źle. Dlatego wszystkie mu pomożemy, gdyby Mac zapukał do drzwi. Kapuje pan?

– Kapuję – odpowiedział spokojnie Sam.

Zadzwonił telefon. Regina sięgnęła ręką za tapczan po słuchawkę leżącą na marmurowym stole.

– To do pana – zwróciła się do Sama.

Sam wyglądał na zaskoczonego.

– Zostawiłem w hotelu pani numer, ale nie spodziewałem się...

Podszedł do stołu i wziął słuchawkę.

– On co?! – Krew odpłynęła mu z twarzy. Słuchał przez chwilę. – Jezu! On nie mógł! – A potem głosem znużonym, jak po wielkim szoku powiedział: – Tak, sir. Rozumiem, że jednak to zrobił... Wracam do hotelu i będę czekać na instrukcje. Chyba że przekazałby pan tę sprawę komuś innemu. Moja służba kończy się za miesiąc, sir. Rozumiem. Najwyżej pięć dni, sir.

Odłożył słuchawkę i odwrócił się w stronę haremu Hawkinsa. Te cztery wspaniałe pary biustów, które jednocześnie zapraszały i nie poddawały się opisowi.

– Nie będziemy już pań potrzebować. Chociaż Mac Hawkins może.

– Jestem pańskim jedynym kontaktem z 1600, majorze – powiedział młody porucznik przemierzając, jakoś po dziecinnemu, pomyślał Sam, pokój w hotelu „Beverly Hills”.

– Może pan zwracać się do mnie Lodestone.

– Porucznik Lodestone z 1600. Nieźle brzmi – powiedział Devereaux, nalewając sobie kolejnego burbona.

– Byłbym ostrożniejszy z alkoholem.

– Dlaczego pan nie jedzie do Chin zamiast mnie?

– Czeka pana bardzo długi lot.

– Jeżeli pan to robi, to nie.

– Nie miałbym nic przeciwko temu. Czy pan zdaje sobie sprawę, że tam jest siedemset milionów potencjalnych klientów? Naprawdę chciałbym rzucić okiem na ten rynek.

– Rzucić czym?

– Rozejrzeć się. Zapuścić żurawia.

– Aaa, rozejrzeć się, nie rzucić...

– Co za okazja!

Porucznik stał przy oknie z rękoma splecionymi na plecach. Potencjalny klient.

– Więc niech pan jedzie, na rany Chrystusa! Za trzydzieści dwa dni wychodzę z tego Disneylandu i nie chcę przehandlować munduru za chińską bluzę.

– Niestety nie mogę, sir. 1600 potrzebuje teraz specjalistów od informacji. Inni odeszli. Część wyrzuca pierwszorzędnny miejscowy organ w Dannemorze... Cholera! – Porucznik odwrócił się od okna i podszedł do biurka, na którym leżało pół tuzina fotografii 5 x 7. – To

jest wszystko, majorze. Wszystko, czego pan potrzebuje. Zdjęcia są trochę niewyraźne, ale znak x widać wspaniale. Teraz się nie wyprze.

Sam popatrzył na zamazane, ale możliwe do odczytania, zdjęcia z Pekinu.

– Prawie mu się udało, co?

– To hańba! – Porucznik skrzywił się oglądając fotografie. – Nie pozostaje nic do dodania.

– Z wyjątkiem tego, że prawie mu się udało.

Sam przeszedł przez pokój i usiadł w fotelu ze szklaneczką burbona w rękę. Porucznik poszedł za nim.

– Pański zwierzchnik w Sajgonie prześle panu swoje raporty w Tokio. Proszę je zabrać ze sobą do Pekinu. Zawierają same brudy. – Młody oficer uśmiechnął się szeroko. – Na wypadek gdyby pan potrzebował ostatniego gwoźdźca do trumny.

– Jezu, miły z ciebie dzieciak. Czyś ty w ogóle znał swego ojca? – Sam pociągnął spory łyk burbona.

– Nie musi pan tego tak brać do siebie, majorze. To jest zaplanowana operacja i mamy do niej niezbędne materiały. To wszystko jest częścią...

– Niech pan znowu nie powtarza, że...

– ...planu. – Lodestone zatrzymał się. – Przepraszam. W każdym razie, jeśli naprawdę bierze pan to do siebie, czego więcej pan chce? Ten człowiek to maniak. Niebezpieczny, egoistyczny szaleniec, który niszczy pokojowe przedsięwzięcia.

– Jestem prawnikiem, poruczniku, nie aniołem zemsty. Ten pański maniak przyczynił się walnie do innych planów. Zebrał mnóstwo ludzi w swoim narożniku. Spotkałem się dziś po południu z ośmioma... czterema z nich.

Sam spojrzął na swoją szklaneczkę. Gdzież się podział ten burbon?

– Już nie – powiedział oficer stanowczo.

– Co nie?

– Jeśli miał jakichś zwolenników, to już ich nie ma.

– Zwolenników? Czy on jest politykiem?

Sam doszedł do wniosku, że potrzebuje jeszcze jednego drinka. Nie mógł już nadażyć za tym Busterem Brownem. Więc czemu się porządnie nie upić?

– Nasiusiął na flagę amerykańską. To już szczyt wszystkiego!

– Czy on naprawdę do niej dosięgnął?

– Wysyłamy pana do Chin – ciągnął Lodestone, pomijając pytanie – najszybciej jak to możliwe, phantom jetem lecącym do Tokio z przystankami w Juneau i na Aleutach. Stamtąd transportowcem dostawczym do Pekinu. Przyniosłem wszystkie papiery, których będzie pan potrzebował z Waszyngtonu.

Devereaux zamruczał do burbona:

– Nie lubię mruczenia lepiej uśmiechniętej facjaty i nie cierpię faszerowanych jaj...

– Proponuję, żeby pan się przespał, sir. Jest prawie dwudziesta trzecia, a musimy wyjechać do bazy o czwartej. Odlatuje pan o świcie.

– Chciałem właśnie to powiedzieć, Lodestone. Ładnie brzmi. Pięć godzin. A pan jest na dole w hallu, a nie tutaj.

– Sir? – młody człowiek podniósł głowę.

– Mam zamiar wydać panu rozkaz. Odmaszerować! Nie chcę pana widzieć do chwili, aż przyjdzie pan przyczepić plakietki z moim nazwiskiem.

– Co takiego?

– Wynoś się stąd, do diabła!

W tym momencie Sam przypomniał coś sobie i jego oczy, choć lekko szkliste, zaśmiały się.

– Wie pan, kim pan jest poruczniku? Nadętym kutasem. Najprawdziwszym nadętym kutasem. Teraz wiem, co to znaczy!

Cztery godziny... Zastanawiał się przez chwilę. Warto by spróbować. Ale najpierw musi się napić. Nalał sobie, podszedł do biurka i roześmiał się na widok pekińskich fotografii. Ten sukinsyn miał dryg, bez dwóch zdań. Ale nie podszedł do biurka, by oglądać fotografie. Otworzył szufladę i wyjął notes. Przerzucił strony i próbował się skupić na własnych notatkach. Podszedł do telefonu stojącego przy łóżku, wykręcił dziewiątkę, a potem zapisany numer.

– Halo? – Głos miał delikatność magnolii i Sam czuł w tej chwili zapach kwitnącego oleandru.

– Pani Greenberg? Tu Sam Devereaux...

– Witam pana, co słyhać? – Pozdrowienie Reginy było wyjątkowo entuzjastyczne. Nie ukrywała, że sprawia jej przyjemność, że telefonuje do niej mężczyzna. – Zastanawialiśmy się, do której z nas pan zadzwoni. Zwalił mnie pan z nóg, majoorze! Chciałam powiedzieć, że jestem najstarsza w tym gronie. Jestem mile zaskoczona.

Jej męża prawdopodobnie nie ma, pomyślał Sam w oparach burbona, rozgrzany wspomnieniem jej śmiałej, przezroczystej bluzki.

– To miło z pani strony. Wie pani, za chwilę wyruszam w bardzo długą podróż, za oceany i góry, i znowu oceany, i wyspy, i... – Jezu! Nie pomyślał, jak to zaproponować. Nie był pewny, czy w ogóle będzie miał odwagę wykręcić jej numer. Cholerne pomysły burbona. – To sekret. Bardzo tajny. Ale mam zamiar porozmawiać z pani... byłym mężem.

– Oczywiście, kochanie. I naturalnie nie dano panu szansy, by zadać te wszystkie ważne urzędowe pytania. Rozumiem to doskonale.

– Wyłoniło się kilka punktów, zwłaszcza jeden...

– Tak zwykle bywa. Przypuszczam, że powinnam zrobić wszystko, co w mojej mocy, by pomóc rządowi w tej delikatnej sprawie. Czy jest pan w „Beverly Hills”?

– Tak. Pokój 820.

– Proszę sekundę poczekać! – Zakryła ręką słuchawkę, ale Sam usłyszał, jak woła: Manny! Nagły wypadek wagi Państwowej. Muszę jechać do miasta.

Rozdział V

– Majorze, majorze Devereaux! Nie można się do pana dodzwonić. To przechodzi ludzkie pojęcie!

Nieustające, głośnie stukanie towarzyszyło nosowym wrzaskom Lodestone’a.

– Cóż to za piekło, na Boga Wszechmogącego? – zapytała Regina Greenberg trącając Sama pod kołdrą. – To brzmi jak nie naoliwiony tłok.

Devereaux otworzył oczy poprzez otchłań kaca.

– To, droga siłaczko, jest głosem złych ludzi. Wychodzą na powierzchnię, kiedy ziemia drży.

– Czy wiesz, która godzina? Na miłość boską, dzwoń na policję!

– Nie – powiedział Sam, niechętnie wstając z łóżka. – Jeśli to zrobię, ci dżentelmeni zadzwonią do wszystkich szefów sztabu. Myślę, że oni śmiertelnie się go boją. To tylko zawodowi mordercy, a Hawkins jest specjalistą.

Zanim Sam się zorientował, czyjeś ręce go ubrały, jakieś samochody zawiozły, jacyś ludzie na niego wrzeszczeli i wreszcie znalazł się, spięty pasami, w samolocie.

Wszyscy tu się uśmiechali. W Chinach każdy się uśmiecha. Bardziej ustami niż oczami, pomyślał Sam.

Na płycie lotniska w Pekinie czekał na niego samochód z poselstwa, eskortowany przez dwa chińskie samochody wojskowe i ośmiu chińskich oficerów. Wszyscy się uśmiechali, nawet pojazdy.

Dwaj zdenerwowani Amerykanie, którzy po niego przyjechali, byli attaché. Chcieli jak najszybciej znaleźć się w poselstwie; niezbyt dobrze czuli się w otoczeniu chińskich oddziałów. Żaden nie miał ochoty na dyskusję na inny temat z wyjątkiem pogody, która zresztą była ponura i pochmurna. Kiedy tylko Sam poruszał temat MacKenzie’ego Hawkinsa – a dlaczegoż by nie? Ostatecznie ulżył sobie na ich dachu – zaciskali usta, nerwowo wstrząsali głowami, wskazywali palcami różne miejsca w samochodzie poniżej okien i wybuchali śmiechem zupełnie bez powodu.

W końcu Devereaux się domyślił, że pewnie chodzi o podsłuch. Wobec tego zaśmiał się także bez powodu. Gdyby samochód rzeczywiście był wyposażony w elektroniczny podsłuch i gdyby rzeczywiście ktoś podsłuchiwał, to oczami wyobraźni ujrzałby trzech dorosłych mężczyzn kartkujących z zapalem świerszczyki, pomyślał Devereaux. Jeśli podróż z lotniska do poselstwa wydawała się Samowi dziwna, to półgodzinne spotkanie z ambasadorem było śmieszne.

Został wprowadzony do budynku przez swą rechoczącą eskortę i powitany uroczyście przez grupę Amerykanów o poważnych twarzach, którzy zgromadzili się w hallu jak widzowie w ogrodzie zoologicznym – niepewni swego bezpieczeństwa, lecz zafascynowani nowym zwierzęciem – i popędzony korytarzem do wielkich drzwi, prowadzących do biura ambasadora. Ambasador wymienił z nim szybki uścisk dłoni, jednocześnie wznosząc palec do nieznacznie drżących wąsów. Jeden z eskortujących przyniósł małe, metalowe urządzenie, mniej więcej wielkości paczki papierosów, i zaczął przesuwac je wzdłuż okien, jakby błogosławił szyby. Ambasador uważnie go obserwował.

– Nie jestem pewny – wyszeptał attaché.

– Dlaczego nie? – zapytał dyplomata.

– Igła się poruszyła, ale to pewnie przez te głośne rozmowy na placu.

– Psiakrew! Musimy mieć bardziej wymyślne urządzenia. Wyskrob memorandum do Waszyngtonu. – Ambasador wziął Sama pod łokieć i poprowadził do drzwi. – Proszę ze mną, generale.

– Jestem majorem.

– To miło.

Tym razem ambasador powiódł Sama korytarzem do innych drzwi, które otworzył, a następnie zszedł w dół po stromych schodach do wielkiej sutereny. W ścianie tkwiła pojedyncza żarówka. Ambasador włączył ją i przeszedł obok licznych drewnianych skrzyń do innych drzwi w ledwo widocznej ścianie. Były ciężkie i ambasador musiał oprzeć się nogą o cementową ścianę, by je otworzyć. Wewnątrz stała od dawna nie używana szafa chłodnicza, która teraz służyła do przechowywania wina. Ambasador wszedł do środka i zapalił zapałkę. Na jednej z półek stała do połowy wypalona świeca. Dyplomata przytrzymał płomień nad knotem i za chwilę rozbłysło światło omiatając migotliwym blaskiem półki i ściany.

Wino nie należało do najlepszych, zauważył w duchu Devereaux.

Ambasador pociągnął Sama w stronę małej kraty, a następnie szarpnął za ciężkie drzwi nie zamykając ich do końca. Migocący płomień świecy podkreślał jego szczupłą sylwetkę. Dyplomata uśmiechnął się przepraszająco:

– Może pan nas uznać za dotkniętych obłędem, ale zapewniam pana, że tak nie jest.

– Ależ nie, sir. Tu jest bardzo przytulnie. I spokojnie.

Sam spróbował odwzajemnić uśmiech ambasadora. W ciągu następnych trzydziestu minut otrzymał kolejne instrukcje. Było to właściwe miejsce na ich wysłuchanie: głęboko pod

ziemią z żyjącymi tu robakami, które nigdy nie widziały dziennego światła.

Uzbrojony jedynie w teczkę, bo odwaga go opuściła, Devereaux przeszedł przez białe stalowe drzwi poselstwa, gdzie powitał go chiński oficer, stojący przy końcu ścieżki i machający na niego ręką.

Sam zobaczył wówczas po raz pierwszy dowody zniszczenia – wielkie drewniane drzazgi, kilkanaście kątowników – rozrzuconych po trawniku. Oficer stał poza granicą posiadłości i miał na twarzy płaski uśmiech.

– Nazywam się Lin Szu, majorze Deveroks. Będę towarzyszył panu do generała Hawkinsa. Zechce pan wsiąść do samochodu.

Sam usiadł na tylnym siedzeniu wojskowego samochodu i oparł się wygodnie, kładąc walizkę na kolanach. W przeciwieństwie do nerwowych Amerykanów Lin Szu chętnie podtrzymywał rozmowę. Generał MacKenzie Hawkins stał się szybko głównym tematem.

– Wysoce zmienna indywidualność, majorze Deveroks – powiedział Chińczyk kręcąc głową. – On jest opętany przez smoki.

– Czy ktoś próbował go przekonywać?

– Ja osobiście. Z wielkim i czarującym wdziękiem.

– Lecz bez wielkiego i czarującego sukcesu, jak się domyślam?

– Cóż mogę panu powiedzieć. On napadł na mnie. To nie było w porządku.

– I z tego powodu żąda pan pełnego procesu. Ambasador mówił, że był pan nieugięty.

Proces lub mnóstwo *hazzeraí*.

– *Hazzeraí*?

– To oznacza kłopot po żydowsku.

– Nie wygląda pan na Żyda...

– Co z tym procesem? – przerwał Sam. – Czy zarzuty dotyczą napaści?

– Och nie, to nie byłoby zgodne z filozofią. My preferujemy psychiczne cierpienie. Siła tkwi w zmaganiach i cierpieniu. – Lin Szu się uśmiechnął. Devereaux nie wiedział dlaczego.

– Generał będzie sądzony za zbrodnie przeciw ojczyźnie.

– Oryginalne oskarżenie – skomentował cicho Sam.

– Daleko bardziej złożone – odparł Lin Szu z uśmiechem, który zmienił się w przygnębienie. – Umyślne zniszczenie narodowych relikwii, nie takich jak wasz pomnik Lincoln. Pan wie, że on nam raz uciekł. Skradzioną ciężarówką wpadł na pomnik na placu Son Tai. Oskarżony jest o zniszczenie otaczanego wciąż mistrzowskiego dzieła artystycznego. Rzeźba, na którą wpadł, została wykonana według projektu żony przewodniczącego. I żadne tłumaczenie, że był pod działaniem narkotyków, nic tu nie da. Widziało go zbyt wielu dyplomatów. Narobił potwornego hałasu na Son Tai.

– On będzie się domagał okoliczności łagodzących.

Nie zawadzi spróbować, pomyślał Devereaux.

– Jeśli chodzi o napaść, to nie ma żadnych.

– Rozumiem. – Sam nie rozumiał, ale nie było sensu tego ciągnąć. – Co on może dostać?

– Jak to dostać? Chodzi o rzeźbę?

– O więzieniu. Jaką karę więzienia może otrzymać? Na jak długo?

– W przybliżeniu cztery tysiące siedemset pięćdziesiąt lat.

– Co? Równie dobrze możecie go stracić!

– Życie jest drogie dla synów i córek tej ojczyzny. Każda żywa istota jest zdolna wnieść swój wkład. Nawet taki występny kryminalista jak pański, dotknięty manią imperialistyczną, generał. Może spędzić wiele płodnych lat w Mongolii.

– Chwileczkę!

Devereaux zmienił nagle pozycję, by patrzeć Lin Szu prosto w oczy. Nie był pewny, ale wydawało mu się, że słyszy metaliczny trzask dobiegający z przedniego siedzenia. Jak odbezpieczenie spustu w pistolecie. Postanowił o tym nie myśleć. Tak było wygodniej. Skoncentrował całą uwagę na Lin Szu.

– To szaleństwo! Przecież pan wie, że to kompletna bzdura. O czym pan mówi, do diabła? Cztery tysiące, Mongolia? – Walizeczka spadła mu z kolan. Znow pośluszał metaliczny trzask. – To znaczy, bądźmy rozsądni... – W jego słowach zadźwięczała nerwowość. Podniósł skórzaną walizeczkę.

– Istnieją prawnie usankcjonowane kary za takie zbrodnie – powiedział Lin Szu. – Żaden obcy rząd nie ma prawa ingerować w wewnętrzną dyscyplinę narodu, który go żywi. To niepojęte. Chociaż w tej wyjątkowej sprawie może nie tak całkiem pozbawione sensu.

Sam przyglądał się, jak nieznacznie, bardzo nieznacznie w stosunku do poprzedniego uprzejmego uśmiechu powraca na twarz Lin Szu gniew.

– Czy nie miał to być wstęp do ugody z pominięciem sądu?

– Jak to z pominięciem sądu?

– Kompromis. Nie możemy porozmawiać o kompromisie?

Lin Szu pozwolił, aby gniew odpłynął z jego twarzy. Tym razem uśmiech stał się tak miły, jak tylko Devereaux mógł sobie wyobrazić.

– Proszę bardzo. Kompromis rozjaśniłby sprawę. Siła tkwi również w niesieniu światła.

– To może trochę mniej niż cztery tysiące lat w Mongolii?

– Możliwości jest wiele. Powinien pan osiągnąć sukces tam, gdzie inni przegrali. Przecież obu stronom zależy na ugodzie.

– Ma pan absolutną rację. Hawkins jest naszym narodowym bohaterem.

– Był waszym Spiro Agaru, majorze. Tak powiedział wasz prezydent.

– Co pan może zaproponować? Odstąpienie od procesu?

Z twarzy Lin Szu zniknął uśmiech. Zbyt szybko, pomyślał Sam.

– Nie możemy tego zrobić. Proces już ogłoszono. Zbyt wielu ludzi na świecie wie już o

nim.

– Chcecie ratować pozory, czy też chcecie sprzedać gaz?

Devereaux odchylił się na oparcie. Chiński oficer nie chce pójść na kompromis.

– Wszystkiego po trochu, to jest kompromis, czyż nie tak?

– Co jest dla was tym trochę? Jeśli chodzi o mnie, muszę dostać Hawkinsa, żeby to miało sens.

– Można rozważyć skrócenie wyroku. – Uśmiech powrócił na twarz Lin Szu.

– Z czterech tysięcy do dwóch i pół? Macie złote serca. Zaczniemy od zawieszenia wyroku. Odstąpię od unieważnienia.

– Jak to zawieszenia?

– Wyjaśnię to później. Spodoba się panu. Proszę mi zaproponować coś, co by mnie zachęciło do dalszej pracy.

Sam stukał rytmicznie palcami o brzeg walizeczki. Był to głupi odruch, który zwykle rozpraszał przeciwnika i czasami rodził prędkie ustępstwo.

– Chiński proces ma wiele form. Może być długi, ozdobny, przybierający formę obrzędu. Albo krótki, szybki i wolny od przesady. Może trwać trzy miesiące lub trzy godziny. Może będę mógł doprowadzić do tego ostatniego.

– Kupuję to i zawieszenie wyroku – powiedział szybko Sam. – To wystarczy, by zachęcić mnie do wytężonej pracy. Załatwione. Będzie pan musiał określić to bardziej precyzyjnie.

– Co z tym zawieszeniem?

– Zasadniczo to nie tylko zachowanie pozory i sprzedanie gaz, ale możecie również pokazać, jacy jesteście twardzi i pozostać bohaterami prasy światowej. Wszystko jednocześnie. Cóż mogłoby być lepszego?

Lin Szu uśmiechnął się. Devereaux przemknęła przez głowę myśl, czy aby ten uśmiech nie kryje w sobie jeszcze jakiegoś znaczenia. Jednak wkrótce zapomniał o tym, bo Lin Szu zadał pytanie i odpowiedział na nie, jeszcze zanim Sam zdążył otworzyć usta.

– Cóż mogłoby być lepszego? Na przykład trzymać generała Hawkinsa z dala od Chin. Tak, to byłoby najlepsze.

– Cóż za zbieżność interesów. Jest to bowiem jedna niewielka część zawieszenia.

– Czyżby? – Lin Szu patrzył prosto przed siebie.

– Mogę pana zapewnić – powiedział Sam zamyślając się. – Jednak niepokoi mnie sam generał.

Rozdział VI

Przez okienko umieszczone w ciężkich stalowych drzwiach widać było wnętrze celi. Stało w niej łóżko w stylu zachodnim i biurko; oba te sprzęty oświetlały wmontowane w ścianę lampy; na podłodze leżał dywan. Drzwi po prawej stronie prowadziły do małej sypialni, a po lewej stała pozioma półka na ubrania. Pokój miał nie więcej jak dziesięć na dwanaście stóp, ale mimo wszystko było wiele większy niż Sam to sobie wyobrażał. Jedynej rzeczy, której brakowało, to MacKenzie'ego Hawkinsa.

– Widzi pan – odezwał się Lin Szu – jacy jesteśmy troskliwi, jak dobrze wyposażone jest mieszkanie generała?

– Jestem pod wrażeniem – odpowiedział Devereaux. – Tylko nie widzę generała.

– Och, on tam jest. – Chińczyk uśmiechnął się i mówił cicho dalej: – On ma swoje małe gierki. Słyszysz kroki i chowa się za drzwiami. Dwa razy strażnicy zostali zaalarmowani i zbyt pochopnie weszli do środka. Na szczęście znalazło się kilkunastu takich, którzy pokonali generalską siłę. Wszystkie zmiany są o tym uprzedzone. Posiłki dostarcza się przez szczelinę.

– Ciągle próbuje. – Sam zachichotał. – Jednak to jest ktoś.

– On jest wieloma osobami jednocześnie – dodał Lin Szu enigmatycznie i podszedł do mikrofonu umieszczonego poniżej okienka i nacisnął czerwony guzik. – Panie generale, proszę się pokazać. To pański dobry i łaskawy przyjaciel Lin Szu. Wiem, że pan jest za drzwiami, generale.

– Mam cię w dupie, żółtku!

Lin Szu natychmiast zwolnił guzik i odwrócił się do Devereaux.

– Nie zawsze jest uprzedzająco grzeczny.

Ponownie odwrócił się do mikrofonu i nacisnął guzik.

– Generale, proszę. Jest tu ze mną pański rodak. Przedstawiciel pańskiego rządu, sił zbrojnych pańskiego narodu...

– Lepiej sprawdź jej torebkę! Może ma coś pod spódnicą. W szmince może być bomba! – dobiegł ich krzyk niewidzialnego generała.

Lin Szu odwrócił się zmieszany do Devereaux. Sam delikatnie odsunął na bok Chińczyka, sam nacisnął guzik i ryknął do mikrofonu:

– Wyłaź, ty koguci kutasie! Jesteś cholernym siniakiem na moim penisie. Pokaż tę zarośniętą dupę, którą nazywasz twarzą, albo otworzę celę i wrzucę tę pieprzoną szminkę. Ostrzegam cię, ty nędzny sukinsynu! Nawiasem mówiąc, Regina Greenberg przesyła ukłony.

Wielka głowa MacKenzie'ego Hawkinsa powoli ukazała się w okienku. Wychyłała nagle z boku, ogromna, obcięta na jeża, poorana zmarszczkami. Wyrażała zupełną konsternację. Do połowy zżute cygaro tkwiło między zębami, a szeroko otwarte, nabiegłe krwią oczy, zdradzały jednocześnie niedowierzanie i ciekawość.

– Nie rozumiem, co pan powiedział? – Opanowany Lin Szu tym razem okazał zdziwienie.

– Jest to niezwykle tajny wojskowy szyfr – wyjaśnił Devereaux. – Używamy go tylko w wyjątkowych wypadkach.

– Nie wejdę z panem do celi, nie byłoby to grzeczne. Jeżeli naciśnie pan dźwignię z boku okienka, generał Hawkins zobaczy pana. Gdy będzie pan gotów, wpuszczę pana. Jednak pozostanę na zewnątrz, jeśli pan pozwoli.

Sam nacisnął małą rączkę; rozległ się trzask. Ogromna, z przymrużonymi oczami twarz zareagowała natychmiastową wrogością. Devereaux miał uczucie, jakby Hawkins patrzył na coś obrzydliwego, ale mało ważnego: na Sama, wojskową pomyłkę.

Devereaux skinął na Lin Szu. Chińczyk wyciągnął w przód obie ręce, jak gdyby jedną miał pociągnąć, a drugą pchnąć i odblokował drzwi. Ciężka stalowa płyta się otworzyła i Sam nadział się wprost na ogromną pięść, która natarła na jego lewe oko. Nastąpił cios. Pokój, świat, galaktyka zawirowały i zamieniły się w tysiące skrzących się plam białego światła.

Poczuł najpierw coś wilgotnego na twarzy, a dopiero potem ból głowy, szczególnie oka i pomyślał, że to dziwne. Ściągnął to coś z twarzy i zobaczył najpierw biały sufit. Centralne światło raziło go w oczy, a głównie w lewe. Zobaczył, że leży na łóżku. Przewrócił się na bok i nagle wróciła mu świadomość.

Hawkins stał przy biurku zarzuconym papierami i fotografiami. Przeglądał plik spiętych papierów. Devereaux nie musiał obracać obolałej głowy, żeby się domyślić, że jego walizeczka leży gdzieś w pobliżu generała. Mimo to wykonał ten ruch i zobaczył ją u stóp Hawkinsa, otwartą, do góry dnem i pustą. Zawartość leżała przed generałem.

Chrząknął. Nie był w stanie niczego innego wymyślić. Hawkins się odwrócił. Nie miał przyjemnego wyrazu twarzy. Nieme było to powitanie dwóch godnych siebie kolegów z wojska.

– Napracowałeś się, co, ty mały nadęty kutasie?

Devereaux z trudem spuścił nogi z łóżka i dotknął lewego oka. Dotknął go delikatnie, głównie dlatego, że ledwo mógł na nie patrzeć.

– Mogę być kutasem, generale, ale nie jestem mały. Mam nadzieję, że pewnego dnia to panu udowodnię. Chryste, jestem ranny.

– Pan chce coś udowodnić – Hawkins wskazał na papiery i pozwolił sobie na cyniczny grymas – mnie? Z tym, co pan o mnie wie? Ma pan odwagę, chłopie, muszę to przyznać.

– To zadanie jest tak stare jak pan – mruknął Sam wstając chwiejnie. – Zadowolony pan z lektury?

– To są jakieś cholerne akta. Oni pewnie chcą zrobić jeszcze jeden film o mnie.

– Wytwórnia Leavenworth. Film rozgrywa się w więziennej pralni. Jest pan prawdziwym szaleńcem. – Devereaux wskazał na koc przykrywający otwór judasza. – Czy to mądrze?

– To nie jest takie głupie. Wprawia ich w zakłopotanie. Wschodni umysł ma dwa słabe punkty: zakłopotanie i konsternacja. – Oczy Hawkinsa nie wyrażały żadnych uczuć.

Wypowiedź zaskoczyła Sama. Może dobór słów lub ukryta inteligencja w głosie. Cokolwiek to było, nie spodziewał się tego.

– Według mnie to jest bezcelowe. Pokój jest na podsłuchu. Na podsłuchu, do diabła! Oni po prostu naciskają czerwony guzik i słyszą wszystko, o czym my tu mówimy.

– Mylisz się, żołnierzu – odpowiedział generał wstając z krzesła. – Jeśli jest pan prawdziwym żołnierzem, a nie cholernym, szemranym paniczykiem. Proszę tu podejść.

Hawkins podszedł do koca i odchylił najpierw prawy róg, a potem lewy. W obu tych miejscach były ledwie widoczne dziury w ścianie, w które wciśnięto mokry papier toaletowy. Hawkins opuścił jeszcze niżej koc i wskazał na sześć dodatkowych korków z wilgotnego papieru toaletowego – po dwa na każdej ścianie, górnej i dolnej – i zmarszczył twarz w uśmiechu.

– Przeszukałem tę pieprzoną celę piędź po piędzi. Zablokowałem wszystkie mikrofony. Oczywiście nie dotykałem ich przedtem. Proszę zobaczyć, jak przezorne są te przekłete małpy. Jeden znalazłem przy poduszce, na wypadek, gdybym mówił przez sen. Ten był najtrudniejszy do wykrycia.

Sam niechętnie kiwnął głową. A potem pomyślał o tym, co się natychmiast narzucało.

– Skoro pan zatkał wszystkie, to oni tu wpadną i przeniosą nas. Powinien pan o tym wiedzieć.

– A pan powinien myśleć. Elektroniczny podsłuch w zamkniętych pomieszczeniach jest podłączony do jednej aparatury. Najpierw pomyślą, że nastąpiło zwarcie i zaczną go szukać, co zajmie z godzinę, jeśli nie będą rozwałać ścian i zrobią to za pomocą czujników, a to wprawi ich w zakłopotanie. Potem, kiedy znajdą przyczynę i domyślą się, że ja je zablokowałem, powstanie konsternacja. Zakłopotanie i konsternacja, dwa słabe punkty. Następną godzinę zajmie im wymyślanie, jak przenieść nas gdzie indziej, bez przyznania się do błędu. Mamy co najmniej dwie godziny. Więc lepiej niech pan przez ten czas wszystko pięknie wyjaśni.

Sam miał niejasne odczucie, że lepiej będzie postarać się o takie wyjaśnienie. Hawkins był przebiegłym graczem i Sam nie miał ochoty na jakąkolwiek konfrontację. A na pewno nie fizyczną lub, co zaczynał podejrzewać, umysłową.

– Nie chce pan usłyszeć czegoś o Reginie Greenberg?

– Czytałem pańskie notatki. Ma pan ohydny charakter pisma.

– Jestem prawnikiem. Wszyscy prawnicy mają ohydne pismo. Jest to część egzaminu na adwokata. Poza tym nie zamierzałem ich przepisywać.

– Mam nadzieję, że nie – powiedział Hawkins. – Ma pan także brudne myśli.

– A pan okropny gust.

– Nie dyskutuję na temat byłych żon.

– A one dyskutują o panu – odparował Sam.

– Znam dziewczęta. Nie dostał pan nic, co mógłby pan wykorzystać. W każdym razie nie od dziewcząt. Cokolwiek jeszcze pan ma, to już nie mój interes.

– Czyżbym odkrył życiową zasadę?

– Na mój własny brutalny sposób. Mam małą klasę, chłopcze. A teraz niech pan objaśni te śmieci – Hawkins wskazał na biurko. Jego ramię, ręka i wyciągnięty palec nawet nie zdrząły.

– Co tu jest do wyjaśniania? Przecież pan to czytał. Czy muszę tłumaczyć, że dotyczy to pewnej osoby, która jest persona non grata dla jednych i wielkim kłopotem dla drugich? Jeśli tak, właśnie to zrobiłem.

Devereaux dotknął ucha. Bolało jak diabli, więc usiadł znowu na łóżku.

– Ten materiał o Indochinach – warknął Hawkins podchodząc do biurka i biorąc do ręki spięte papiery. – Jestem w nim opisany tak, jakbym pracował dla pieprzonych Azjatów.

– Nie posuwałbym się aż tak daleko. Porusza pewne kwestie dotyczące pańskich metod działania...

– Posuwa się aż tak daleko, chłopcze – przerwał mu generał. – Wynika z niego, że albo pracowałem dla nich, albo pracowałem na dwie strony, albo po prostu wkładałem sobie połowę forszy z łapówek do kieszeni! Lub też byłem tak głupi, że nie miałem pojęcia, co robię.

– Ahaa! – zaśpiewał Sam fałszywym głosem. – Teraz zaczynamy rozumieć, powiedziała Alicja do koguta Robina. Doświadczony żołnierz odznaczony dwoma medalami za zasługi jest wątpliwym materiałem na zdrajcę. Ale te zmagania, ciągła kanonada, wypadki poza linię, pojmanie, tortury i walka o przetrwanie – to wszystko razem z pewnością wprowadziło naszego bohatera w stan błogiej nieświadomości. Bardzo smutne, ale ludzka psychika tylko tyle może znieść.

– Bzdury! – ryknął Hawkins. – Moja głowa siedzi na karku mocniej niż tych skurwysynów, którzy pieprzą te głupoty.

– Dwa punkty dla generała – powiedział Devereaux unosząc palec w kształcie litery V. – Niniejszym ogłaszam, że głowa generała siedzi mocniej niż kogokolwiek z 1600. I mogę dodać, że sam generał także.

– Co to ma znaczyć, chłopcze?

– Niech pan da spokój, Hawkins. Jest pan skończony! Jak i dlaczego tak się stało, nie wiem. Wiem tylko, że narozrabiał pan w najmniej odpowiednim momencie; narobił pan zbyt wiele hałasu i jest pan przeznaczony na odstrzał. Nie tylko na odstrzał, ale jest pan przeklętym

pionkiem, którego 1600 pozbywa się głośno i wyraźnie. Służy pan nawet za przykład.

– Gówno prawda! Niech pan poczeka, aż Pentagon to wywacha.

– Oni – to znaczy Pentagon – mają tego pełne nosy. Cała góra zderzyła się ze sobą, biegnąc do tych fabryk zapachowych. Pan już nie istnieje, generale. Może tylko jako niemiłe wspomnienie.

Sam wstał z łóżka. Ból w oku promieniował na całą głowę.

– Nie potrafi pan tego sprzedać, a ja tego nie kupię – powiedział Hawkins przyjmując obronną postawę. Jednak w głosie czuło się, że stracił nieco na pewności siebie. – Mam przyjaciół, mój życiorys czyta się jak plakat werbunkowy. Do cholery, żołnierzu, jestem generałem, który zaczynał od szeregowca, od tego całego bagna w Belgii. Oni nie mogą mnie w ten sposób traktować!

– Nie jestem żołnierzem. Jestem prawnikiem i mówię panu, że wszyscy nagle stracili pamięć. Te fotografie od pańskich kumpli z Pekinu przypieczętowały całą sprawę. Puściły panu nerwy.

– Najpierw muszą to udowodnić.

– Zrobili to. Dostarczono mi dowód w czarnej jak smoła piwnicy na wino. Od szajbusa ze świecą w ręku. Bardzo solidnego obywatela. Mają pana.

Hawkins przymrużył oczy i wyjął zżute cygaro z ust.

– W jaki sposób?

– Raporty medyczne. To mocny dowód. Psychiatryczny i fizyczny. „Załamanie nerwowe” to tylko początek. Departament Obrony wyda oświadczenie, w którym poinformuje w skrócie, że celowo stawiano pana w trudnych sytuacjach, by móc zaobserwować rozwój choroby. „Postępująca schizofrenia”, tak to chyba nazwano. Sprzeczne cele, jak w przypadku Indochin. Również te zdjęcia, na których sika pan na dach poselstwa, mają bardzo skomplikowane psychiatryczne wytłumaczenie.

– Mam lepsze. Byłem cholernie wściekły. Poczekać, aż przedstawię moją wersję.

– Nie będzie pan miał okazji. Jeśli ich plan się nie powiedzie, prezydent wystąpi w radiu, wyśpiewa peany na pańską cześć i przedstawi świadectwa lekarskie – oczywiście z wielkim bólem w głosie – i poprosi wszystkich, aby się za pana modlili.

– To się nie uda. – Generał pokręcił głową z przekonaniem. – Nikt już nie uwierzy prezydentowi.

– Może nie, ale on nadal pociąga za sznurki. Może nie własne, ale innych. Wrzucą pana związanego do silosa, jeśli on tego zażąda.

Sam zauważył metalowe lustro w małym pomieszczeniu z toaletą. Ruszył w tamtym kierunku.

– Ale dlaczego miałby to robić? Dlaczego ktoś miałby mu kazać?

Obrzynek cygara tkwił między palcami. Devereaux obejrzał guza nad lewym okiem.

– Ponieważ potrzebny jest nam gaz – odpowiedział.

– Co? – Hawkins rzucił cygaro na dywan i bezmyślnie przydeptał je nogą. – Jaki gaz?

– To zbyt skomplikowane. Nieważne. – Sam nacisnął lekko miejsce wokół oka. Nie miał podbitego oka od ponad piętnastu lat. Zastanawiał się, jak długo potrwa, nim ten guz zniknie.
– Po prostu niech pan pogodzi się z obecną sytuacją, postara się zrobić wszystko, co możliwe. Nie ma pan wielkiego wyboru.

– To znaczy mam się położyć i tak po prostu przyjąć?

Devereaux wyszedł z łazienki, zatrzymał się i westchnął.

– Chciałem powiedzieć, że najważniejsze to nie dopuścić, aby się pan położył w Mongolii. Na jakieś cztery tysiące lat. Jeśli będzie pan współpracował, spróbuję pana z tego wyciągnąć.

– Poza teren Chin?

– Tak.

– Jaka ma być ta współpraca? Z żółtkami i Waszyngtonem?

Złośliwość Hawkinsa była bardzo wyraźna.

– Duża. W dół ze szczytu.

– Poza szeregi armii?

– Nie ma sensu zostawać.

– Cholera!

– Zgadzam się. Ale dokąd to pana zaprowadzi? Poza mundurem istnieje wielki świat. Spodoba się panu.

Hawkins podszedł do biurka bez słowa. Wziął do ręki jedną z fotografii, wrzucił ramionami i odłożył z powrotem. Sięgnął do kieszeni po nowe cygaro.

– Cholera, chłopcze, znowu nie myślisz. Może jesteś prawnikiem, ale jak sam powiedziałeś, nie jesteś żołnierzem. Dowódca, który zwabia w pułapkę wrogi patrol, nie będzie go żywił, on go zabije. Nikt nie pozwoli mi się cieszyć światem. Wsadzą mnie do tego silosa, o którym mówiłeś, żeby zamknąć mi usta.

Devereaux odetchnął głęboko.

– Istnieje pewna szansa na to, by zadowolić wszystkie strony. Skoro już pan znalazł się tutaj, to najlepszym wyjściem byłaby pełna spowiedź, publiczne przeprosiny, wszystko co tylko możliwe.

– Cholera jasna!

– Mongolia, generale...

Hawkins wbił zęby w cygaro. Pocisk między ustami, pomyślał Sam.

– Co to za szansa?

– Wykombinowałem sobie, że to będzie list do dowództwa armii nagrany na taśmę, z potwierdzoną wiarygodnością głosu. W tym liście i na taśmie oświadczy pan, że w momentach świadomości zdawał pan sobie sprawę z choroby i tak dalej, i tak dalej.

Hawkins wytrzeszczył oczy na Devereaux.

– Pan oszalał!

– Jest mnóstwo silosów w Dakocie.

– Jezu!

– Nie jest to takie straszne, na jakie wygląda. List i taśma pozostaną w Pentagonie. Zostaną użyte tylko w wypadku, jeśli publicznie będzie pan mącił wodę. Jedno i drugie do zwrotu powiedzmy za pięć lat. Co pan na to?

Hawkins sięgnął do kieszeni po pudełko zapalek. Zapalił jedną i chmura gryzącego dymu nieomal zasłoniła mu twarz; ale głos brzmiał wyraźnie.

– Skończmy z tym pańskim chińskim szczytem. Nie będzie żadnego gadania o tych psychiatrycznych bzdurach. Nikt nie zrobi ze mnie czubka.

– Oczywiście, że nie. Nic z tych rzeczy. To tylko zwykłe wyczerpanie. – Devereaux przeszedł się tam i z powrotem po małym pomieszczeniu, tak jak to często robił w salach konferencyjnych obmyślając plan obrony.

– Może lekkie zamroczenie. To budzi sympatię, a nawet ciekawość, kiedy klient jest facetem z jajami. – Sam zatrzymał się wyjaśniając swoje myśli. – Chińczycy woleliby ideologiczne podejście. To by ich zmiękczyło. Przejrzał pan na oczy. Staliby się dla pana wielkoduszni, wręcz mili. Ludowy ustrój jest cudowny i tolerancyjny. Nie zdawał pan sobie z tego sprawy. Jest panu naprawdę przykro z powodu tych wszystkich nieprzyjemnych rzeczy, które pan wygadywał przez ćwierć wieku.

– Cholera! Przez ciebie krwawię, chłopcze! – W sposób, który umknął uwadze Sama, Hawkins żuł cygaro i wrzeszczał. A potem wyjął je i zniżył głos. – Wiem, wiem. Silosy albo Mongolia. Jezu!

Devereaux przyglądał się temu człowiekowi ze ściśniętym sercem. Postąpił kilka kroków w jego stronę i rzekł cicho:

– Został pan przyciśnięty do muru. Przez cnotliwe figurki z papieru. Nikt tego nie wie lepiej ode mnie. Przejrzałem pańskie akta i zgadzam się może w pięćdziesięciu procentach z tym, o co pan walczy. Wiele pańskich wyczynów wskazuje na to, że jest pan szaleńcem. Ale jedno wiem na pewno, nie jest pan kombinatorem. I nie jest pan żartownisiem. Czy pamięta pan, co powiedział dziewczętom? Każdy sam kształtuje własne ja. To wiele dla mnie znaczy. Dlatego proszę pozwolić sobie pomóc. Nie jestem żołnierzem, ale za to cholernie dobrym prawnikiem.

Hawkins odwrócił się. Zakłopotany, pomyślał Sam. Kiedy popłynęły słowa, tyle było w nich bezradności, że Samowi serce ścisnęło się z bólu.

– Pan nie wie, dlaczego tak przejmuję się tym, co oni mówią i dlaczego nie chcę się zgodzić na silos czy Mongolię. Niech to diabli, chłopcze, spędziłem trzydzieści kilka lat w wojsku. Zdejmie mi pan mundur – obojętne, gdzie mnie pan wstawi – i jestem nagi jak oskubana kaczka. Znam się tylko na wojsku. Niczego więcej nie umiem robić, jeśli o tym pan myśli. Nie mam pojęcia o technologii, z wyjątkiem niewielkich zespołów w G-2. Nie wiem

nic o wymyślnych posunięciach o nazwie negocjacje. Umiem jedynie wszystko pieprzyć i łapać grubych łapówkarzy – te raporty z Indochin mają rację: przechrztyłem KGU, CIA, ARVN i nawet zdrajców z sajgońskiego sztabu generalnego. Ale to co innego. Umiem chyba trzymać w garści swoich ludzi. Lecz oni zawsze przysyłali mi nie tych, co trzeba, degeneratów zza kratki. Gdyby byli cywilami, nie wypuszczono by ich na ulice. Zawsze dawałem sobie z nimi radę. Potrafiłem kierować tymi przebiegłymi draniami. Potrafiłem włożyć te ich lepkie buty i chodzić w nich tak, jak mi się podobało, wykorzystać ich przekłety punkt widzenia. Lecz nie ma nic, co mógłbym zrobić, kiedy wyrzucą mnie poza nawias.

– To nie pasuje do człowieka, który powiedział, że każdy sam kształtuje własne wnętrze. Jest pan sto razy lepszy.

Hawkins odwrócił się i popatrzył na Sama. A potem powiedział wolno, w zamyśleniu:

– Wszystko to gówno, chłopcze. Wiesz co? Może jedyną rzeczą, której się nauczyłem, to być kanciarzem. Ale pewnie i to spieprzę, bo za mało dbam o pieniądze.

– Szuka pan wyzwania. To domena ludzi utalentowanych. Pieniądze są produktem ubocznym. Zwykle wyzwanie odgrywa najważniejszą rolę, a nie co z tego można mieć.

– I ja tak myślę.

Hawkins głęboko odetchnął i przeciągnął się. Powoli zaczyna kapitulować, pomyślał Devereaux. Spacerował bez celu nucąc pierwsze takty „Mairzy-Doats”.

Devereaux wiedział z doświadczenia w obcowaniu z klientami, że trzeba pozwolić, aby sytuacja dojrziała, by miał dość czasu na podjęcie decyzji.

– Chwileczkę, chłopcze. Chwileczkę. – Hawkins wyjął z ust cygaro i popatrzył Samowi w oczy. – Wszyscy chcą mojej współpracy. Chińczycy, te dziurawe dupy z Waszyngtonu – prawdopodobnie tuzin gazowych mieszanek. Chodzi mi o to, że oni nie tylko chcą tej współpracy, oni jej potrzebują. Tak bardzo, że będą fabrykować dokumenty, robić całą tę hecę... Wielki balon złości wymknął się spod kontroli...

– Chwileczkę, nie tak szybko. To, z czym mamy do czynienia...

– Nie, to ty poczekaj, chłopcze! Nie mam zamiaru utrudniać ci sprawy. Załatwię to lepiej, niż się spodziewałeś. – Hawkins wcisnął cygaro między zęby, oczy błysnęły, a głos, choć zamyślony, był zdecydowany. – Zrobię wszystko i powiem wszystko, co wy, dranie, zechcecie. Słowo w słowo, gest w gest. Pocałuję każdy pet na placu Son Tai, jeśli zechcecie. Pod dwoma warunkami. Muszę znaleźć się poza terenem Chin i wystąpić z armii – to jedno. I druga sprawa: trzy dni w archiwum G-2 w Waszyngtonie. Tylko ja sam, nikt inny. W końcu to ja osobiście pisałem raporty z tych przeklętych spraw! To będzie ostatnie spojrzenie na moje zasługi. Dokonam końcowych analiz i ocen. To normalna procedura dla zwalnianych oficerów wywiadu. Co ty na to?

Sam zawahał się.

– Nie wiem. Te materiały są zaklasyfikowane jako...

– Nie dla oficera, który je zbierał. Tajne operacje, ustęp regulaminu numer siedem siedem

pięć, prawo do poprawek. Nakazuje się, aby dokonał końcowych ocen.

– Jest pan pewny?

– Niczego nie byłem bardziej pewny, chłopcze.

– No, jeżeli to jest normalna...

– Przecież podałem ci ustęp regulaminu! To wojskowa Biblia, chłopcze!

– Wobec tego nie widzę przeszkód...

– Chcę to mieć na piśmie. W zamian za ten list i taśmę, które twierdzą, że jestem tak wyczerpany, że jem gówno jaszczurki. Właściwie to stawiam ultimatum: albo Waszyngton wyda mi pisemny rozkaz odnośnie do przepisu numer 775 po moim powrocie do Stanów, albo wybieram wszystkie silosy w Mongolii. Nadal mam w Ameryce mnóstwo zwolenników. Mogą być trochę zwariowani, ale narobią cholernie dużo hałasu.

MacKenzie Hawkins zachichotał. Jego cygaro zmieniło się w nieforemną miazgę. Tym razem to Sam popatrzył na niego z ukosa.

– O czym pan myśli?

– O niczym wielkim, chłopcze. Właśnie mi o czymś przypomniałeś. Każdy jest panem swojego losu. Sumą talentów. Poza tym czeka na nas cholernie wielki świat. I parę wyzwania do podjęcia.

Część druga

Ta utrzymywana pod ścisłym nadzorem korporacja to znana spółka, w której jest kilku akcjonariuszy, bez względu na kapitał – musi mieć u podstaw finansowych ludzi o hojnym sercu i wielkiej odwadze, którzy natchną ją swoim oddaniem do wytkniętego celu.

Prawo ekonomii Shepherda

Tom CVI, rozdz. 38

Rozdział VII

Proces przebiegł sprawnie ku zadowoleniu wszystkich zainteresowanych. MacKenzie Hawkins po mistrzowsku zagrał rolę nawróconego, nie do poznania odmienionego wroga, słodkiego tygrysiątka. Po przybyciu do bazy sił powietrznych w Travis w Kalifornii wyszedł z samolotu stoicko spokojny i wygłosił równie spokojne przemówienie przed kamerami i tłumem zgromadzonych na lotnisku dziennikarzy i wielbicieli. Oczarował mass media i rozbroił skrzeczających nadgorliwych patriotów. Oświadczył, że nadszedł czas, aby starzy żołnierze, a nawet ci młodszy, usunęli się z wdziękiem na bok. Czasy się zmieniły, a razem z nimi i wartości. Co było zdradą dziesięć lat temu, jest dziś właściwym sposobem postępowania. Żołnierz, wojskowy umysł, nie jest przeznaczony, ani nie powinien być szkolony, do wielkich międzynarodowych zadań. Wystarczy, by wojskowy, prosty wojownik ojczystych legionów – sic... ibid... in gloria transit... – MacKenzie Hawkins trzymał się odwiecznych prawd.

Wszystko to było bardzo pokrzepiające.

Wszystko to było z głębi serca płynące.

Wszystko to było jedną wielką bzdurą.

A Mac Hawkins był wspaniały.

Można było sobie wyobrazić, jak człowiek z Owalnego Domu ogląda to przedstawienie zagłębiony w fotelu ze 150-funtowym pieszczochem – psem o imieniu Pyton – leżącym mu na kolanach. Śmieje się i klaszcze w ręce, tupie nogami, chichocze i wspaniale spędza czas. Jego dzieci skaczą i śmieją się, i klaszczą w ręce, i tupią tak jak tata. Nie bardzo wiedzą, dlaczego tatuś jest taki szczęśliwy, ale to najlepsza zabawa, od czasu gdy tata strzelił temu okropnemu spanielowi w brzuch.

Sam Devereaux obserwował tę przemianę MacKenzie'ego Hawkinsa – z ryczącego niedźwiedzia w biernego oposa – z mieszanymi uczuciami. Jastrząb zmienił się w cikliwego, grubawego puchacza, a w tym wszystkim najbardziej niejasny był motyw. Sam nie umniejszał wiszącego nad generałem widma więzienia – Mongolia lub Leavenworth – ale skoro raz Hawkins zgodził się na przyznanie się do winy, publiczne przeprosiny, list i niepotrzebne fotografie jego pochylonej głowy podczas ogłaszania wyroku z zawieszeniem na

sto lat, mógł po prostu powrócić do dawnego wojskowego zachowania i pozwolić wyszumieć się tkwiącej w nim sile. Zamiast tego popadł w przesadę, uciszając jakiegokolwiek kontrowersje. Wyglądało to, jakby naprawdę chciał zniknąć. Straszne przypuszczenie, pomyślał Devereaux.

Oczywiście Samowi przyszło do głowy, że zachowanie Hawkinsa łączy się jakoś z archiwum G-2, punktem regulaminu 775 i dostępem MacKenzie'ego do akt. Jeżeli tak było, był to niepotrzebny wysiłek ze strony generała. Trzy służby wywiadowcze przejrzały akta i nie znalazły nic, co mogłoby zagrozić bezpieczeństwu państwa. Na ogół raporty dotyczyły starych sajgońskich spisków, przestarzałych europejskich spekulacji i mnóstwa domysłów, pogłosek i nie popartych dowodami informacji – same bezwartościowe bzdury.

Gdyby Hawkins naprawdę wierzył, że może je w jakiś sposób wykorzystać – bo w jakim innym celu należałoby na ten punkt regulaminu – z tych przestarzałych, niepotwierdzonych informacji nic by nie uzyskał. Co z obniżeniem poziomu życia – zmniejszona emerytura, i całkowite wykluczenie z szeregów – czyniło jego sytuację wystarczająco ciężką. Nikt więc zbytnio nie zastanawiał się nad tym, co zrobi z beużytecznymi aktami. Poza tym, gdyby wyniknęły z tego jakieś kłopoty, był jeszcze list.

– Cholernie miło cię znowu słyszeć, chłopcze.

Głos MacKenzie'ego był donośny i pełen entuzjazmu, aż Sam musiał odsunąć słuchawkę od ucha. Ten gest został wywołany przez krzyk wydobywający się ze słuchawki i piekielny strach przed kontaktem z tym człowiekiem.

Devereaux zostawił Hawka przed dwoma tygodniami w Kalifornii, tuż po konferencji prasowej w Travis, po czym wrócił do Waszyngtonu. Jego służba kończyła się za trzy dni, spędzał więc czas na porządkowaniu spraw, które mogły stanąć na drodze do tej szczęśliwej chwili.

Hawkins do nich nie należał, lecz sama jego obecność stanowiła zagrożenie. Generalnie rzecz biorąc.

– Cześć, Mac – powiedział Sam ostrożnie. Przestali tytułować się po wojskowemu jeszcze na początku procesu pekińskiego. – Jesteś w Waszyngtonie?

– A gdzie miałbym być, chłopcze? Jutro wędruję do G-2 na moje siedem siedem pięć. Nie wiedziałeś o tym?

– Byłem bardzo zajęty. Miałem mnóstwo spraw do wykończenia. Po co ktoś miałby mi mówić o twoim 775?

– Dla prostej przyczyny – odparł Hawkins. – Ty mnie eskortujesz. Myślałem, że o tym wiesz.

Devereaux poczuł nagły skurcz żołądka. Z roztargnieniem odsunął szufladę biurka i wyjął butelkę Maaloxa.

– Eskortuję? – zdziwił się. – Dlaczego potrzebujesz eskorty? Nie znasz adresu? Zaraz ci podam Mac, mam go tutaj. Poczekaj chwilę. Sierzancie! Proszę mi podać adres archiwum G-2. Ruszcie tyłek, sierzancie!

– Poczekaj, Sam – popłynęły uspokajające słowa MacKenzie’ego Hawkinsa. – To tylko zwykła procedura, nic więcej. Poza tym znam adres. I ty go także powinieneś znać.

– Nie chcę cię eskortować. Jestem marną eskortą. Pożegnałem się z tobą w Kalifornii.

– Możesz się ponownie przywitać przy kolacji. Co ty na to?

Devereaux odetchnął głęboko. Łyknął z butelki i odprawił machnięciem ręki dziewczynę z WAC-u w randze sierżanta.

– Przykro mi, Mac, ale mam naprawdę mnóstwo spraw do załatwienia. Może pod koniec tygodnia. Pojutrze o każdej porze. A dokładnie po szesnastej.

– Sam, uważam, że powinniśmy załatwić G-2 jutro rano. To znaczy, że ty też tam musisz być, synu. Takie są przepisy. Chyba nie chcemy tam niczego spieprzyć, prawda? W przeciwnym razie nie wypuściliby nas stamtąd.

– Gdzie chcesz zjeść kolację? – zapytał Devereaux.

Skrzywił się. Butelka Maaloxa była pusta.

„Eskortujesz mnie. Myślałem, że o tym wiesz... Takie są przepisy. Nie chcemy tam niczego spieprzyć, prawda?”

Z pewnością nie. Devereaux pokręcił głową. Para siedząca przy sąsiednim stoliku wytrzeszczyła na niego oczy. Przestał kręcić głową i uśmiechnął się głupio. Zaczęli do siebie szeptać i odwrócili wzrok. Ich reakcja była jednoznaczna. Nigdy nie wiesz, kto będzie następny.

Wysoki mężczyzna zatrzymał się przy wejściu i ruszył w głąb sali. Tym razem to Sam wytrzeszczył oczy – ze strachu. To był Hawk. Nie miał co do tego wątpliwości. Lecz ten wysoki mężczyzna, manewrujący zręcznie między zatłoczonymi stolikami, zupełnie nie przypominał zaniedbanego, żującego cygaro MacKenzie’ego Hawkinsa, rzucającego ukradkowe spojrzenia przez okienko w pekińskiej celi. A tym mniej ostrzyżonego Hawkinsa, który zawsze stawał, jakby kij połknął, a jego chód przypominał marszowy krok do wtóru tysiąca kobziarzy, idących pod wiatr.

Przede wszystkim miał teraz brodę, jak na portretach Van Dycka. Pomijając samo określenie, była czysta i nadzwyczaj dobrze utrzymana. Podobnie było z włosami: nie tylko odrosły, ale ułożyły je ręce fryzjera, które utworzyły fale nad uszami. Wyglądało to bardzo dystygowanie. Jeśli chodzi o oczy, to nie można było ich dostrzec, bo skrywały je ciemne, sztyldkretowe okulary; szkła były lekko przyciemnione, w stylu raczej akademickim czy dyplomatycznym. I jak on szedł. Dobry Boże? Szttywną wojskową posturę zastąpił, niech to diabli!, elegancki wdzięk. Cała postawa miała w sobie jakąś miękkość w stylu bardziej Palm

Beach niż Fort Benning.

– Zauważyłem, jak mnie obserwujesz – powiedział Hawk, wsuwając się na swoje miejsce. – Nieźle, co, chłopcze? Żaden z tych nadętych kutasów mnie nie zatrzyma. Co ty na to?

– Jestem zaskoczony – odparł Sam.

– Nie powinienes, synu. Pierwszej rzeczy, której się uczysz w wywiadzie, to umiejętność przystosowania się. Nie do terenu, lecz do miejscowych zwyczajów i zachowania. To jest forma wojny psychologicznej.

– O czym ty, do diabła, mówisz?

– Poza linią frontu, Sam. To jest wrogie terytorium, nie wiesz o tym?

Gdy Mac Hawkins zjadł już elegancko zimną zupę cebulową, wyłożył powód, cel, dla którego chciał zjeść obiad z Samem. Było to jak strzał w dziesiątkę za pomocą jednego nazwiska. Heseltine Brokemichael. Dawniej generał-major w naczelnym dowództwie w Bangkoku. Obecnie zapomniany przez wszystkich w Waszyngtonie.

– Tak, Sam, stary Brokey był ze mną w Korei i na przylądkach wschodnim i południowym. To cholernie dobry oficer; trochę w gorącej wodzie kąpany, ale z drugiej strony zawsze musiał rywalizować z tym głupim bękartem, swoim kuzynem. On miał takie idiotyczne imię Ethelred. Wyobrażasz sobie? Dwóch Brokemichaelów w jednej armii, dwóch z dziwnymi imionami.

– Odechciało mi się jeść – powiedział cicho Devereaux.

Hawk zaś ciągnął dalej:

– Tak, szanowny panie, postawiłeś ciężki mózdzierz na drodze do kariery Brokeya. Nie mógł dostać kolejnej gwiazdki, nawet gdyby przekupił wszystkich astrologów w Pentagonie. Widzisz, oni nigdy już nie będą pewni. Jeden z tych cholernych Brokemichaelów jest oszustem, ale oczywiście ty nigdy tego nie udowodniłeś.

– Oni mi nie pozwolili! – szept Devereaux dotarł dalej, niż się spodziewał. Para przy sąsiednim stoliku znów zaczęła się na niego gapić. Sam ponownie wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Miałem dowody, materiały, a oni kazali mi to zostawić.

– I dobry człowiek został ścięty, w momencie, kiedy szefowie patrzyli na niego z życzliwością. Powiem ci, że źle się stało.

– Zostaw to, Mac. Miałem tego zimnego drania...

– Fałszywego, chłopcze. A poza tym popełniłeś poważne przestępstwa, żeby zdobyć ten twój tak zwany dowód.

– Specjalnie ryzykowałem, bo byłem cholernie wściekły. Zapłaciłem za to dwoma latami mojego życia w tym cyrkowym mundurze i dlatego chcę z tym skończyć.

– To bardzo źle. To znaczy przykro mi to słyszeć, bo może będziesz musiał spędzić trochę więcej czasu w Generalnym Inspektoracie, jeśli...

– Dość! – przerwał mu Devereaux szeptem graniczącym z rykiem. – Pojutrze wychodzę. I

nic tego nie zmieni!

– Jestem przekonany, że nie. Jednak pozwól mi skończyć. Może będziesz musiał to zrobić, jeżeli nie wyperswaduję staremu Brokeyowi tego szalonego pomysłu. Widzisz, te zarzuty postawione ci w Bangkoku, nie zostały cofnięte; odłożono je tylko z powodu skomplikowanych okoliczności i wrzasków tych potworów od pokoju. Teraz Brokey nic nie ma przeciwko tobie, ale chciałby wyjaśnić swoją sytuację, chyba to rozumiesz. On wyobraża sobie, że kiedy wyciągnie te zarzuty, mógłbyś odkopać akta i dostać właściwego Brokemichaela – bo znalazłbyś się na wulkanie – wówczas zaczęliby się uśmiechać do niego tak, jak dawniej. To nie zajęłoby ci więcej jak sześć, siedem miesięcy, najwyżej rok – może 18 miesięcy, gdyby proces był długi – ale obaj dostalibyście to, co chcecie...

– Ja chcę wyjść! To wszystko! – Sam wykręcił serwetkę tak mocno, że aż zaskrzypiała. – Zapłaciłem za moją zniewagę. To już przeszłość.

– Przeszłość dla ciebie, chłopcze. Nie dla starego Brokey'a.

– Wszystko jest w aktach. Przecież dokonałem publicznych przeprosin. Jest na to dowód. Pojutrze, po godzinie szesnastej, podyktuję oświadczenie – cywilnej sekretarce – zamykające całą sprawę. Nie wznowię jej.

– Wznowisz, jeżeli stary Brokey wyciągnie pewien dokument z Bangkoku i wyda rozkaz, żeby ciebie aresztować. On nadal jest generałem, Sam. Może nawet kazać ci wyczyścić latryny tych pieprzonych, wyorderowanych facetów.

Hawkins cmoknął zmartwiony, wolno kręcąc głową. Ogromne oczy za przyciemnionymi okularami wyrażały jedynie niewinność.

– W porządku, Mac. Gra skończona. Powiedziałeś, jeżeli nie będziesz mógł wyperswadować Brokemichaelowi tych bzdur. Mógłbyś mu to wyperswadować?

– Albo wyperswadować, albo usunąć go ze sceny na parę dni. Tak, mogę zrobić jedno lub drugie. Kiedy już raz dostaniesz to zwolnienie, chłopcze, Brokey będzie musiał się piekielnie natrudzić, by przekonać kogoś do swoich planów. Ten papier jest czymś w rodzaju prekluzji. Ale przecież nie muszę ci tego mówić.

– Nie, nie musisz. Powiedz mi tylko, jakie świństwo mam dla ciebie popełnić?

Hawk zdjął wytworne okulary i wytwornie wypolerował zupełnie zbędne szkła, jak gdyby czyścił kamień szlachetny.

– Prawdę powiedziawszy, wiele myślałem o mojej najbliższej przyszłości. I doszedłem do wniosku, że znalazłoby się w niej miejsce dla ciebie, ale nie jestem pewny.

– Nigdy nie bądź. W przyszłym tygodniu będę siedział za biurkiem w Bostonie u Aarona Pinkusa, najlepszej adwokackiej firmy w stanie Massachusetts.

– Nie mógłbyś poświęcić jeszcze kilku tygodni? Jezu, chłopcze, spędziłeś tu cztery lata, cóż więc znaczy jeden miesiąc.

– Aaron Pinkus pewnego dnia zasiądzie w Sądzie Najwyższym. Każdy dzień z nim spędzony, to nowe doświadczenie i nie oddałbym za to nawet trzydziestu lat opłacanej nauki.

Co masz na myśli mówiąc, że znalazłbyś dla mnie miejsce? Do czego?

– Mogę potrzebować prawnika. Myślę, że jesteś najlepszym, jakiego kiedykolwiek spotkałem.

– Jestem prawdopodobnie jedynym, jakiego kiedykolwiek spotkałeś...

– Ale masz kilka słabych punktów, młody człowieku – przerwał mu Hawkins, wkładając na powrót ciemne okulary. – Przykro mi to mówić, ale to fakt. Więc nie wiem, czy mam cię angażować, czy nie. Muszę się jeszcze nad tym zastanowić.

– Tymczasem będziesz trzymał Brokemichaela z dala ode mnie?

– A ty zastanowisz się nad moją propozycją? Tylko na kilka tygodni. Widzisz, mam trochę zaoszczędzonych pieniędzy...

– Dokładnie wiem, ile masz pieniędzy – wpadł mu w słowo Devereaux. – Musiałem się tego dowiedzieć. Chcesz rady w sprawie lokaty kapitału?

– Coś w tym rodzaju...

– Wobec tego pomogę ci bez zastrzeżeń. Serio.

Po latach poświęceń, ryzyka i służby Mac zdołał zgromadzić sumę pięćdziesięciu kilku tysięcy dolarów. I nic poza tym. Żadnych domów, nieruchomości, akcji. Ta suma i zmniejszona emerytura miały mu wystarczyć na resztę życia.

– A jeżeli nie będę ci mógł udzielić rady, znajdę kogoś, kto ci pomoże.

– To wzruszające, synu.

Czyżby łąza błysnęła w tych twardych, porytych zmarszczkami oczach? Trudno było powiedzieć, zakrywały ją ciemne okulary.

– Tyle przynajmniej mogę zrobić. Może to zabrzmie staroświecko, ale to jest minimum tego, co powinien zrobić dla ciebie każdy podatnik. Dałeś z siebie dużo, a zostałeś przygwożdżony przez papierowych ludzi. Coś o tym wiem.

– No cóż, chłopcze – powiedział Hawkins oddychając głęboko, heroicznie – każdy robi na tym świecie to, co musi i to w ściśle określonym czasie. Au! Ten przekłety garnitur jest ciaśniejszy niż mundur na Memorial Day.

Hawk wyciągnął pomięte, wypłowiałe czasopismo z wewnętrznej kieszeni. Kartki miały ośle uszy i pokreślone były czerwonym ołówkiem.

– Co to jest? – zapytał Devereaux.

– Och, to chińska propaganda, którą żółtki zostawiły w mojej celi. To typowe komunistyczne brednie, z błędami ortograficznymi i w ogóle. To jest artykuł, który opisuje pewną niesprawiedliwość, jaka się dzieje w Kościele. Obecny katolicki papież ma kuzyna – coś jak Brokemichael, tylko, że nie noszą tych samych nazwisk, za to są do siebie bardzo podobni, prawie identyczni, dlatego ten kuzyn papieża nosi brodę, żeby ukryć podobieństwo.

– Nie rozumiem, a gdzie ta niesprawiedliwość?

– Ten kuzyn jest drugorzędnym śpiewakiem w drugorzędnym zespole i przez większą część roku jest bez pracy. Chińczycy dokonali oczywistego porównania: śpiewak wyśpiewuje

sobie serce dla ludu i umiera z głodu, podczas gdy jego kuzyn papież objada się smakołykami.

– Tak cię to zainteresowało?

– Do diabła nie, chłopcze. Ja tylko wyłowilem pewne nieścisłości dotyczące tego mojego księdza. Może cię to zdziwi, ale przemyślałem sobie pewne sprawy, nad którymi przedtem się nie zastanawiałem. Bóg, Kościół i takie tam rzeczy... Nie ma się z czego śmiać.

Devereaux uśmiechnął się lekko.

– Nigdy się nie śmieję z tych spraw. Nie ma w nich nic do śmiechu. Myśli dotyczące wiary to nie tylko prawo zagwarantowane przez konstytucję, lecz bardzo często rzeczywiste wartości odżywcze.

– Całkiem nieźle to ująłeś. Z wielkim wyczuciem, Sam. A tak na marginesie, jedna rzecz dotycząca Brokemichaela. Jutro rano w G-2. Zamknij gębę i zrób, co powiem.

Hawkins czekał przed wejściem do hotelu, kiedy Sam podjechał po niego samochodem. W jednej ręce trzymał coś, co wyglądało na niezwykle kosztowną teczkę, a drugą otworzył drzwiczki i wsunął się do środka. Szeroki uśmiech opromieniał mu twarz.

– Niech to diabli! Cóż za piękny ranek!

Na dworze było zimno i wilgotno, niebo zapowiadało deszcz.

– Twój barometr trochę szwankuje.

– Bzdura! Dzień – tak jak i wiek – zależy od twojego samopoczucia, chłopcze. A ja czuję się po prostu wspaniale!

Hawkins wygładził kłapy tweedowej marynarki, poprawił ciemnoczerwony wełniany krawat na modnej pasiastej koszuli i delikatnie przejechał palcami po włosach nad uszami.

– Cieszę się, że jesteś w tak dobrym humorze – powiedział Sam włączając się do ruchu. – Nie chcę ci go popsuć, ale nie możesz zabrać tej teczki ze sobą. Nie wolno ci wynieść żadnych papierów. Nic nie opuszcza archiwum G-2.

Hawkins zaśmiał się i wyjął z kieszeni cygaro.

– Och, nie kłopotz swojej prawniczej głowy detalami – powiedział odcinając koniec cygara srebrną maszynką. – Wszystkim się zająłem.

– Tu nie ma się czym zajmować. Odpowiadam za ciebie i pozostały mi jeszcze dwadzieścia cztery godziny, by w coś nie wdepnąć.

Devereaux wyładował swoją złość na klaksonie. Okoliczne samochody odplaciły mu tym samym.

– Jezu, niepotrzebnie się złościysz. Po prostu patrz przed siebie i nie zajmuj się flankami.

– Do jasnej cholery, czy nie potrafisz już mówić po angielsku? Co za flanki? O co znowu chodzi?

– Znaczy to tyle, ile powiedziałem wczoraj wieczorem – ciągnął MacKenzie zapalając

cygaro. – Rób, co mówię i nie mąć wody. Aha, czy chciałbyś poznać nazwisko tego faceta, któremu podlegają archiwa G-2? Nie ma potrzeby, żebyś je znał, ale bystry z niego sukinsyn, prawdziwy geniusz. Nie masz pojęcia, czego ja nie robiłem, aby wyciągnąć go z tego obozu na zachód od Hanoi kilka lat temu. On także skończył West Point. Dasz wiarę? Rocznik czterdziesty siódmy. Ten sam co ja. Cholera! Zbiegi okoliczności na tym świecie...

– Nie!... Nie, Mac! Nie! Nie, nie, nie! Nie możesz! Nie pozwolę ci!

Sam zaatakował klakson ponownie, wściekle w niego uderzając, kiedy kulawa staruszka miała kłopoty z przejściem przez jezdnię. Ze strachu wtuliła głowę w drżące ramiona.

– Paragraf 775 wyjaśnia, że prawdziwa eskorta właśnie tak postępuje. Eskorta, nie obserwator. Towarzyszy oficerowi od tajnych operacji do miejsca kontroli i z tegoż miejsca. Ale nie wolno mu wejść do środka. Pewnie jest dużo nieuczciwych adwokatów, Sam. – MacKenzie zaciągnął się głęboko aromatyzowanym dymem.

– Jest jeszcze jedna rzecz, której nie wolno zabierać do środka, ty sukinsynu! – Devereaux znowu zaatakował z wściekłością klakson. Kulawa stara kobieta kuśtykała teraz środkiem jezdni. – To teczka!

– Wolno, jeżeli oficer chce dokonać ostatnich wpisów. Nikt tego nie może widzieć z wyjątkiem archiwisty z G-2. To tajne dokumenty.

– Przecież nic w niej nie masz! – wrzasnął Sam, wskazując na teczkę.

– Skąd wiesz? Jest zamknięta.

Od chwili wejścia do budynku mieszczącego wywiad wojskowy do przeznaczonego dla niego pokoju, Hawkinsa eskortowało spokojnie i fachowo dwóch żandarmów. Pochód zamykał Sam. Wydawało mu się to tak ceremonialne, jak egzekucja, tylko że Mac był wolny i szedł lekko przygarbiony w swoim modnym tweedowym garniturze, wcale nie prężąc się jak struna. Lecz w momencie, kiedy weszli do pokoju, Hawkins wyprostował się i zmienił ciepły, cywilny ton na ostre dźwięki rozkazów doświadczonego generała. Nakazał żandarmom zabrać Sama do pokoju obok i wezwać zwierzchnika. Policjanci zaszalutowali, wzięli Devereaux pod łokcie i wyprowadzili w milczeniu do sąsiedniego pokoju, następnie zamknęli drzwi, sprawdzili korytarz i przeszli sprężystym krokiem do następnego korytarza, do którego drzwi również zamknęli.

Miał niejasne uczucie, jakby to już kiedyś widział. Nagle przypomniał sobie, że parę tygodni temu oglądał w kinie nocnym film *Siedem dni w maju*. Podszedł do pojedynczego okna i wyjrzał przez kraty na ulicę. Znajdował się na wysokości czwartego piętra. G-2 nie daje żadnych szans adwokatom Inspektoratu Generalnego, pomyślał.

Z sąsiedniego pokoju dobiegły go odgłosy rozmowy. A potem rozległ się męski śmiech, któremu towarzyszyły potoki wyzwisk. Starzy towarzysze z wojska przypominali sobie dobre stare czasy, kiedy każdy dawał sobie odstrzelić dupę z wyjątkiem generałów. Sam usiadł na

krzesła i wziął do ręki pomiętą broszurkę pt. Jak zlikwidować choroby weneryczne w G-2 i zaczął czytać.

Tę fascynującą lekturę przerwał mu nagle dochodzący z pokoju obok monotony dźwięk. Teramp-czamp. Teramp-czamp. Teramp-czamp.

Devereaux przełknął kilkakrotnie ślinę, zły na siebie, że nie zabrał z samochodu tabletek przeciw nadkwasocie! Tego dźwięku, który słyszał, nie można było porównać z żadnym innym, nawet gdyby bardzo się starał. Był to kserograf. Po co w pokoju przeznaczonym jedynie do przeglądania tajnych akt kserograf? Lecz z drugiej strony dlaczego nie? Bardziej logiczne wydawało się pierwsze pytanie. Kserograf nie pasował do przepisu 775. Sam powrócił do czytania, lecz nie mógł skupić uwagi nawet na obrazkach.

Po godzinie i dwudziestu minutach kserograf umilkł. Kilkanaście minut później dał się słyszeć metaliczny trzask zamka i drzwi do pokoju przesłuchań otworzyły się. Stanął w nich MacKenzie z kosztowną teczką w ręku, teraz wypchaną i owiązaną błyszczącymi stalowymi taśmami, z przyczepionym do nich łańcuchem długości jednej stopy.

– Cóż to jest, u diabła? – zapytał Devereaux ze swego miejsca bystro i wcale nie uprzejmie.

– Nic – odpowiedział niedbale Hawk. – To tylko kilka Flot.-Pac.-Dow.-Sat. akt do przekazania.

– A cóż to jest, u diabła?

– Majorze – ciągnął MacKenzie podnosząc głos i stając nagle na baczność – przedstawiam panu generała-brygadiera Beryzfickoosha. Baczność!

Devereaux poderwał się z krzesła i stuknął obcasami salutując, kiedy oficer z potężną klatką piersiową, z dwunastoma rzędami baretek, z opaską na oku i, przysięgłby, straszną peruką na głowie, wszedł energicznym krokiem do pokoju. Pozdrowienie zostało oddane równie energicznie. Następnie oficer wyciągnął do Sama dużą muskularną rękę.

– Słyszałem, że ma pan zostać zwolniony, majorze – odezwał się generał szorstko.

– Tak jest, sir – odpowiedział Devereaux ściskając wyciągniętą rękę.

W tym momencie Hawkins owinał łańcuch przytwierdzony do teczki wokół nadgarstka Sama, zatrzaszukując zamek z potrójną kombinacją i szczeknął:

– Akta gotowe do transportu, generale!

– Zatwierdzam, sir – odszczeknął generał, nadal trzymając dłoń Sama w żelaznym uścisku i nie spuszczając jedyne oko z Sama. – Flot.-Pac.-Dow.-Sat. jest teraz pod pańską opieką, majorze! Proszę się przygotować do transportu!

– Do czego, generale?

– Powiedziałem przecież! – Generał puścił rękę Sama.

– Czyż nie jesteście tym prawniczym kutasem, który przygwoździł starego Brokeya Brokemichaela?

Żołądek Devereaux podskoczył mu nagle do gardła. Pot wystąpił na czoło, jak gdyby

teczka potwornym ciężarem ciągnęła go ku podłodze.

– Są dwie strony tej sprawy, sir.

– Macie cholerną rację! – krzyknął generał. – Brokeya i pewnego zasranego dupka cywilnego, który powinien się znaleźć za murami obozu.

– Chwileczkę, generale...

– Cóż to ma być, żołnierzu, niesubordynacja?

– Nie, sir. Wcale nie, sir. Chciałbym tylko zwrócić uwagę...

– Zwrócić uwagę?! Zwróćcie swój tyłek w kierunku tamtych drzwi i będziecie eskortować transfer Flot.-Pac.-Dow.-Sat. albo skieruję pana prosto na sąd wojskowy! Za niesubordynację i nieudolność!

– Tak jest, sir! Zrozumiałem, sir!

Sam usiłował zaszalować, lecz łańcuch i teczka były zbyt ciężkie; wykonał więc szybki w tył zwrot i ruszył w kierunku drzwi, które jakimś cudem otworzyli dwaj żandarmi. Formalności przy wejściu trwały minutę. Stalowe taśmy ochraniające teczkę były pewnego rodzaju symbolem władzy.

Devereaux wpisał się do księgi wyjść i miniaturowa kamera zarejestrowała jego obecność.

Już na ulicy Sam zwrócił się do Hawka:

– Ten facet jest szalony! Następne dziesięć sekund, a wpakowałby mnie do ciupy! Za co?

– Stary Brokey ma mnóstwo przyjaciół – odpowiedział MacKenzie. – Ja poprowadzę.

– Dzięki. – Devereaux sięgnął niezdarnie do kieszeni i podał Hawkinsowi kluczyki drżącą ręką.

Przeszli na parking i wsiedli do samochodu.

Piętnaście minut później, w samym centrum Waszyngtonu, nerwy Sama zaczęły się uspokajać. Strach przed dziwnym apoplektycznym generałem, który stanął na drodze jego zwolnienia, ulotnił się. Lecz zastąpił go bardziej realny niepokój.

– Mac, teraz kiedy ta sarta papierów floty jakiegostam jest pod moją opieką, cóż, u diabła, mam z nią zrobić? Gdzie te akta mają być przekazane?

– Nie wiesz?

– Oczywiście, że nie wiem.

– Generał sądzi, że wiesz.

– No więc nie wiem.

– Chcesz tam wrócić i zapytać go, Sam? Osobiście nie polecałbym. Ze względu na to, co on do ciebie czuje. Jezuu! Mógłby wyciągnąć wiele bardzo poważnych zarzutów. I mają twoje zdjęcie. Jedna sprawa zwykle pociąga za sobą następną, wiesz, co mam na myśli. Jak w dominie. Twój proces może potrwać rok albo dwa.

– Co jest w tej teczce, do diabła? Przestań mi tu pieprzyć! Co tam jest?

– Przykro mi, Sam. Nie mogę ci nic powiedzieć. Rozumiesz, chłopcze, to ściśle tajne.

Sam siedział na tapczanie z ręką wyciągniętą na stoliku do kawy, a MacKenzie usiłował przepiłować łańcuch.

– Kiedy skończę z tym przeklętym łańcuchem, będziemy mogli zająć się zamkiem – powiedział Mac pocieszająco. – Z lutownicą pójdzie łatwiej.

– Nie na moich tętnicach, ty sukinsynu! I dzięki za to, że nie powiedziałeś mi, że nie znasz szyfru.

– Nie martw się. Załatwię to w dziesięć – piętnaście minut. Ta stal jest twardsza niż myślałem.

Po godzinie i piętnastu minutach pękły ostatnie ogniwa. Pozostał tylko jeden łańcuch z zamkiem o potrójnej kombinacji wokół nadgarstka Devereaux.

– Muszę skontaktować się z moim biurem – powiedział Sam. – Będą czekać na mój telefon.

– Nie będą. Jesteś ze mną. Ubezpieczasz moje siedem siedem pięć. Oto, co stwierdza umowa: minimum jeden dzień, maksimum trzy dni.

– Ale nas już tam nie ma.

– Poszliśmy na lunch... – MacKenzie odchrząknął.

– Powinienem jednak zatelefonować...

– Do jasnej cholery, zupełnie nie masz do mnie zaufania! A jak myślisz, do diabła, dlaczego czekałem aż do dziś z pójściem do G-2? Pozostał ci jeden dzień i wytłumaczę ci z niego. Jak możesz mieć kłopoty, skoro cię tam nie ma?

– Jasne, że nie, tylko pluton egzekucyjny.

– Bzdura. – Hawkins wstał z podłogi przenosząc oswobodzoną teczkę na biurko. – Jesteś bezpieczniejszy ze mną. Znam te inspektorskie rozliczenia. Myślisz, że wszystko skończyłeś, a tu wparowuje jakiś gówniany kutas i oświadcza ci, że nigdzie nie pójdziesz, dopóki nie skończysz jakiegoś sprawozdania.

Devereaux popatrzył na generała, który właśnie rozrywał metalowe taśmy i otwierał teczkę. W szaleństwie Maca była jakaś logika. Z pewnością znalazłby się jakiś dokument lub jeszcze coś, którego zdenerwowany przełożony nie miałby ochoty dostać w spadku. Mogło się zapodziać memorandum lub mogli go nie przeczytać. Nie wolno lekceważyć konfrontacji, a nawet dyskusji między kolegami prawnikami. Hawkins miał rację: Sam był bezpieczniejszy poza biurem.

MacKenzie wyjął gruby plik odbitych stron i położył je na biurku obok teczki. Devereaux wskazał na stos i zapytał:

– Czy to wszystko to twoje siedem siedem pięć?

– No niezupełnie. Większość to takie różne bzdury, które nigdy nie zostały zamknięte.

Sam poczuł się nagle gorzej.

– Chwileczkę. Powiedziałeś w G-2, że to tylko zwykłe akta ludzi, z którymi się zetknąłeś.

– Powiedziałem ludzi, z którymi inni ludzie się zetknęli. Byłeś tak zdenerwowany, że nie

słuchałeś.

– Chryste! Wziąłeś akta dotyczące spraw, które nie były twoimi?

– Nie, Sam – odparł Hawk układając jakieś strony. – Ty to zrobiłeś. To twój podpis figuruje w księdze wyjść.

Devereaux aż się cofnął na tapczanie. – Ty przewrotny sukinsynu.

– Tak to bywa – rzekł Hawkins smutno. – Zdarzały się takie chwile w terenie – w czasie piekielnych operacji na tyłach – kiedy dziwiło mnie, jak mogłem się zdobyć na coś takiego. Ale odpowiedź była zawsze ta sama: szkolono mnie, abym przeżył. I staram się przeżyć. – Przed Hawkinsem leżały teraz cztery równiutkie stosy odbitek. Przesuwał po nich palcami, jakby grał na pianinie, a potem popatrzył na Sama w zamyśleniu. – Myślę, że podejmiesz słuszną decyzję i przyjmiesz czasową funkcję mojego adwokata. To nie potrwa długo.

– A to będzie trochę bardziej skomplikowane niż pomoc w lokowaniu pieniędzy, prawda?

– Devereaux siedział odchylony na tapczanie.

– Myślę, że tylko trochę.

– A jeżeli odmówię, to sprawa z Brokemichaelem będzie pestką w porównaniu z wyniesieniem tajnych akt z G-2. Prawo o przedawnieniu nie obejmuje tego małego psikusa.

– Nawet się nie łudź.

– Co chcesz, żebym zrobił?

– Opracował kilka kontraktów. Bardzo proste. Zakładam spółkę. Korporację, jak ty byś to nazwał.

Sam wciągnął głęboko powietrze.

– Byłoby zabawne, gdyby nie tak smutne. Pomijając cel i zamiar, jest jeszcze dość ważny punkt, który nazywa się kapitał. Znam twoje finanse. Nie chcę cię rozczarować, ale nie masz aktywów na korporację.

– Brak wiary to już twój kłopot. Myślę, że powinieneś się nad tym zastanowić.

– A cóż ta tajemnicza uwaga ma oznaczać?

– To oznacza, że mam aktywa wyliczone co do dolara.

Hawkins zastygł z palcami na odbitkach, jak gdyby znalazł nagle zgubiony akord.

– Jakie aktywa?

– Czterdzieści milionów dolarów.

– Co?

Sam zaskoczony poderwał się z tapczanu. Przytwierdzony do ręki łańcuch natychmiast powtórzył jego ruch i ostatnie ogniwo z wielką siłą uderzyło go w oko. W lewe oko. Pokój zawirował mu przed oczami.

Rozdział VIII

Devereaux zamknął drzwi pokoju hotelowego i rozerwał kopertę. Wyciągnął z niej prostokątny pasek papieru i wpatrzył się w niego bezmyślnie. Był to czek na sumę dziesięciu tysięcy dolarów wypisany na jego nazwisko. Czysty absurd. Wszystko było absurdalne, nie miało za grosz sensu. Od tygodnia był cywilem. Żadne przeszkody nie stanęły na drodze do zwolnienia, nie pojawił się żaden Brokemichael, nie wypłynęły też żadne problemy, bowiem zjawił się w biurze dopiero na godzinę przed formalnym zwolnieniem z wojska. Przyszedł nie tylko z opatrunkiem nad lewym okiem, ale również z grubym bandażem wokół prawego nadgarstka. Skutek oparzeń. Wyprowadził się ze swojego mieszkania, wysłał rzeczy do Bostonu i nie pojechał w ślad za nimi, ponieważ przebiegły sukinsyn nazwiskiem MacKenzie Hawkins oświadczył, że potrzebuje „swojego adwokata” w Nowym Jorku. W ten sposób Sam znalazł się w dwupokojowym apartamencie w „Drake Hotel” przy Park Avenue, który dla niego zarezerwowano i opłacono za miesiąc z góry. Hawkins uznał, że tyle czasu im wystarczy.

Na co? MacKenzie nie był jeszcze gotowy, by to wyjaśnić. Ale Sam nie musi się tym martwić; wszystko jest wliczone w koszty. W czyje koszty? Korporacji. Jakiej korporacji? Tej, którą Sam będzie wkrótce tworzył. Absurd! Jakies brednie o czterdziestu milionach dolarów zakrawające na leukotomię. A teraz ten czek na dziesięć tysięcy dolarów. Czysty i nie wymagający potwierdzenia. To śmieszne! Hawkins nie mógł go dostarczyć. Poza tym posunął się za daleko. Nie wysłał się dziesięciu tysięcy dolarów bez żadnego wyjaśnienia (szczególnie adwokatom). To nie jest normalne.

Sam podszedł do biurka, sprawdził w spisie numerów umieszczonym pod telefonem i wykręcił numer MacKenzie’ego.

– Do cholery, chłopie, nie ma o co się awanturować. Mógłbyś przynajmniej powiedzieć dziękuję.

– Za co to, do diabła? Dodatek do kradzieży? Skąd wzięłeś dziesięć tysięcy dolarów?

– Prosto z banku.

– Z twoich oszczędności?

– Tak. Nikomu nie ukradzione, moje własne.

– Ale za co?

Krótką pauza.

– Wspominałeś już o tym. Ty byś to nazwał honorarium.

Tym razem nastąpiła pauza z drugiej strony.

– Powiedziałem, że jestem jedynym adwokatem, jakiego znam, który otrzymuje honorarium oparte na szantażu, i że może mnie to zaprowadzić przed pluton egzekucyjny.

– Tak właśnie powiedziałeś. A ja chciałem skorygować twoją opinię. Chcę, żebyś wiedział, że doceniam twoje usługi. Naprawdę nie chciałbym, żebyś myślał, że cię nie doceniam.

– Przestań! Nie możesz sobie na to pozwolić, a ja niczego nie zrobiłem.

– No cóż, chłopcze, wydaje mi się, że sam wiem naj lepiej, na co mogę sobie pozwolić. I zrobiłeś coś. Wydostałeś mnie z Chin na jakieś cztery tysiące lat wcześniej nim opłacono moje zwolnienie warunkowe.

– To co innego. Chodzi mi...

– A jutro zaczynasz pracę – przerwał mu Hawk. – Niewiele będzie do zrobienia, ale to dopiero początek.

Nastąpiła długa chwila ciszy w słuchawce.

– Zanim cokolwiek powiesz, powinieneś wiedzieć, że jako członek palestry podpisuję się pod pewnymi zasadami etycznymi. Nie zrobię niczego, co naraziłoby moją reputację adwokata.

Hawkins odpowiedział głośno bez chwili wahania:

– Jestem pewny, że do tego nie dojdzie. Do diabła, chłopcze, nie potrzebuję adwokacyny krętacza w mojej korporacji. Nie wyglądałoby to dobrze na papierze...

– Mac! – ryknął Devereaux wściekle. – Nie wydrukowałeś chyba dokumentów!

– Nie, tak tylko powiedziałem. Ale to niezły pomysł.

Sam ze wszystkich sił usiłował nad sobą panować.

– Mac, proszę cię. Jest w Bostonie pewna spółka adwokacka i bardzo miły człowiek, który pewnego dnia znajdzie się w Sądzie Najwyższym, i który spodziewa się, że wrócę za kilka tygodni. Nie byłby zadowolony z tego, że podjąłem jakąś pracę w czasie mojego urlopu. A sam powiedziałeś, że moja robota dla ciebie skończy się za jakieś trzy, cztery tygodnie. Więc proszę, żadnych papierów.

– Dobrze – odpowiedział Hawkins ze smutkiem w głosie.

– Teraz co z jutrzejszym dniem? Policzę sobie za jeden dzień i potracę z tych dziesięciu tysięcy, a resztę zwrócę pod koniec miesiąca z Bostonu.

– Och, nie martw się o to.

– Właśnie, że się martwię. Powinieneś cię także uprzedzić, że nie mam pozwolenia na praktykę w Nowym Jorku. Będę musiał wnieść opłatę za pracę nie na swoim terenie w zależności od tego, co chcesz, żebyśmy zrobili. Domyślam się, że chodzi o zarejestrowanie tej

twojej korporacji.

Devereaux zapalił papierosa. Z zadowoleniem stwierdził, że ręce mu się nie trzęsą.

– Jeszcze nie. Dojdziemy do tego za parę dni. Jutro chcę, żebyś sprawdził pewnego faceta nazwiskiem Dellacroce. Angelo Dellacroce. Mieszka w Scarsdale. Jest właścicielem kilku towarzystw w Nowym Jorku.

– Co rozumiesz przez słowo „sprawdzić”?

– Wiem, że miał jakieś kłopoty w interesach. Chcę wiedzieć jak poważne są lub były te kłopoty. I jak mu się obecnie powodzi.

– Powodzi?

– Taak. Chodzi mi o to, czy nie siedział w więzieniu lub coś w tym rodzaju.

Devereaux milczał przez chwilę, a potem zaczął tłumaczyć łagodnie jak dziecku:

– Jestem adwokatem, nie prywatnym detektywem. To, o czym mówisz, adwokaci robią tylko w filmach.

I znów MacKenzie odpowiedział natychmiast:

– Nie wierzę w to. Jeżeli ktoś chce należeć do korporacji, jej adwokat powinien sprawdzić, czy facet jest uczciwy. Mam rację?

– Przypuszczam, że to zależy od wysokości udziału.

– Słuszna uwaga.

– To znaczy, że ten Angelo Dellacroce okazał zainteresowanie?

– W pewnym sensie tak. Ale nie chcę, żeby pomyślał, że jestem niegrzeczny, bo zbieram informacje, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Devereaux zauważył, że ręka zaczyna mu lekko drżeć. To był zły znak; lepszy niż ból żołądka, ale mimo wszystko zły.

– Mam dziwne uczucie, że nie mówisz mi o sprawach, o których powinienes.

– Wszystko w swoim czasie. Czy możesz zrobić to, o co cię proszę?

– No cóż, jest tu taka firma, z usług której korzysta moje biuro, a w każdym razie kiedyś korzystało. I pewnie nadal korzysta. Może mogliby pomóc.

– Dobrze. Skontaktuj się z nimi. Ale nie zapominaj, Sam, że zawarliśmy układ adwokat – klient. To jak lekarz lub ksiądz, lub dobra dziwka. Moje nazwisko nie może być wymienione.

– Zgadza się, ale bez tego ostatniego porównania – powiedział Devereaux. Cholera, żołądek znów się odezwał. Odłożył słuchawkę.

– Angelo Dellacroce! – Jesse Barton, starszy wspólnik, syn założyciela firmy „Barton, Barton i Whistlewhite”, wybuchnął śmiechem. – Zbyt długo byłeś nieobecny, Sam.

– To źle?

– Ujmijmy to w ten sposób. Gdyby nasz wspólny bostoński przyjaciel, a twój dawny pracodawca – zakładam, że jest nim nadal – Aaron Pinkus dowiedział się, że zajmujesz się

Dellacroce na czyjeś zlecenie, zatelefonowałby do twojej matki.

– To źle?

– Ja nie żartuję. Aaron zakwestionowałby twój rozsądek i osobiście wykreśliłby twoje nazwisko z wizytówki na drzwiach biura. – Barton pochylił się w przód. – Dellacroce to szef tutejszej mafii. Jest tak mocno zaangażowany w działalność charytatywną, że sam kardynał zaprasza go co roku na obiad. I oczywiście jest nietykalny. Wyrzuca z siodeł prokuratorów okręgowych i oskarżycieli. Nie mogą go dostać, ale nie dlatego, że nie próbują.

– Aaron wcale nie musi się dowiedzieć o moim niewinnym śledztwie – odpowiedział Sam mrugając porozumiewawczo.

– Masz to jak w banku. A tak nawiasem mówiąc, czy ten twój gość rzeczywiście jest taki naiwny?

Żołądek Sama znów dał o sobie znać. Zaczął szybko mówić, by zagłuszyć burczenie:

– Według mnie tak. Spłacam dług, Jesse. Mój klient ocalił mi tyłek w Indochinach.

– Rozumiem.

– To dla mnie bardzo ważne – ciągnął Sam. – A według ciebie z tym Dellacroce naprawdę jest taki naiwny?

– Zaraz się przekonasz – powiedział Barton sięgając po słuchawkę. – Panno Dempsey, proszę mnie połączyć z Philem Jensenem. – Jesse odłożył słuchawkę. – Jensen jest drugi po Bogu w biurze prokuratora. Okręg federalny, nie miejski. Odkąd Phil tam nastał, to znaczy od prawie trzech lat, próbują dorwać tego Dellacroce. Jensen poświęcił ładne sześćdziesiąt kawałków na ściganie tych diabelskich facetów.

– Chwalebne.

– Gówno prawda. On chce zostać senatorem lub czymś więcej. Oto gdzie są prawdziwe pieniądze. – Zadzwoił telefon. Barton podniósł słuchawkę. – Dziękuję... Cześć, Phil! Tu Jesse, mam tu starego przyjaciela. Nie było go kilka lat. Interesuje się Angelo Dellacroce...

Burza, jaka rozpętała się na drugim końcu, zatrzęsła całym biurem. Jesse skrzywił się.

– Nie, na miłość boską, on nie jest z nim związany. Czy myślisz, że oszalałem?... Mówiłem ci, że nie było go kilka lat w kraju, jeśli chodzi o ścisłość. – Jesse słuchał przez chwilę, a potem spojrzał na Sama. – Czy byłeś na północy Włoch?... Gdzie, Phil? W Mediolanie?

Devereaux potrząsnął głową. Barton dalej zadawał pytania Samowi:

– Lub w Marsylii?... Lub w Ankarze?... A może w Rashidzie?

Devereaux kręcił przecząco głową.

– Algier?... Czy byłeś w Algierze?... Nie, Phil, zupełnie nie o to chodzi. Nie dzwoniłbym do ciebie, gdyby chodziło o coś jeszcze, nie? Potrzebne mi jedynie informacje dotyczące lokaty kapitału, wszystko zgodne z prawem... Tak wiem, Phil... Phil mówi, że te dranie pewnie zabiorą się teraz za Disneyland... Daj spokój, Phil, przecież to nie jest zabronione. Będzie po prostu trzymał się od niego z dala. Chciałem jedynie upewnić się co do

Dellacroce... Okay. W porządku, Dzięki.

Barton odłożył słuchawkę i odchylił się w tył.

– No więc masz.

– Dotknąłem czulego miejsca?

– Najczulszego. Nie dość, że Dellacroce hasa na wolności pomimo niepodważalnego oskarżenia, to jeszcze oskarżyciel musiał publicznie go przeprosić, bo nie było pełnego składu sądu przysięgłych. Jak się w to wplątałeś?

– Cieszę się, że nie jestem na miejscu Jensena.

– A Jensen się tym nie przejmuje. Dadzą spokój Dellacroce na kilka miesięcy, a potem znowu go przycisną. To nic im nie da. Dellacroce wywija się jak piskorz. Wślizguje się i wyślizguje z sal sądowych.

– Ale mój klient powinien trzymać się od niego z dala.

– Co najmniej na kilka kontynentów – odpowiedział Barton. – Szata nie czyni człowieka, za to jego mocodawcy tak. Zapytaj kogokolwiek od Biscayne po San Clemente.

– To cholernie ciekawe. Nie mógłbyś powiedzieć czegoś więcej?

– Trzymaj się z dala od niego – powiedział Devereaux, odsuwając telefon, by sięgnąć po szklaneczkę bourbona stojącą na drugim końcu biurka. – On ma złe notowania i ty nie chcesz mieć z nim nic wspólnego.

– Rozumiem, co masz na myśli...

– Wolałbym, żebyś powiedział: „Tak, Sam, będę się trzymał z dala od Angela Dellacroce”. To chciałbym od ciebie usłyszeć.

– Rozumiem, co masz na myśli.

– Nie słuchasz mnie. Kiedy się płaci adwokatowi honorarium, trzeba go słuchać. Teraz powtarzaj za mną: Nie zbliżę się do...

– Wiem, że miałeś ciężki dzień, ale mógłbyś zacząć myśleć o następnej sprawie.

– Ja ciągle myślę o Dellacroce.

– Ta sprawa jest zakończona...

– Miło mi to słyszeć.

– Chwilowo. Teraz chcę, żebyś zabrał się za opracowanie czegoś w rodzaju standardowej umowy korporacyjnej. Legalnego dokumentu, który będzie miał puste miejsca dla ludzi, którzy przekażą pieniądze.

– Takich jak Dellacroce? – Devereaux próbował dowiedzieć się czegoś więcej.

– Cholera, zapomnij o tym włoskim draniu!

– Z tego, co o nim wiem, to powinieneś odnosić się do niego jak do Rzymianina królewskiej krwi. Ale chciałbym, żebyś raczej w ogóle się do niego nie odnosił. Jaka to ma być korporacja? Jeśli chcesz ją zarejestrować w Nowym Jorku, będę musiał poszukać innego

adwokata. Mówiłem ci już o tym.

– Nie, chłopcze! – Hawkins skandował każde słowo. – Nie chcę w to wciągać nikogo innego! Tylko ciebie!

– Postawiłem sprawę jasno: Nie mam licencji na praktykę tutaj. Nie mogę zarejestrować jej w stanie Nowy Jork.

– A kto tu mówi o rejestracji? Potrzebne mi są jedynie papiery.

Sam zdrętwiał. Nie miał pojęcia, co powinien teraz powiedzieć, co mógłby powiedzieć.

– Czy mam przez to rozumieć, że zatrudniłeś mnie za dziesięć tysięcy dolarów, bym przygotował dokumenty, których nie masz zamiaru zarejestrować?

– Nie powiedziałem, że tego kiedyś nie zrobię. Po prostu nie mam zamiaru martwić się tym teraz.

– Więc po co ci adwokat, skoro go teraz nie potrzebujesz? I po jaką cholere tkwię w Nowym Jorku?

– Bo nie chcę cię w Waszyngtonie. Dla twego własnego dobra. A jeżeli człowiek wpłaca pieniądze na rzecz korporacji, powinien otrzymać legalnie wyglądające dokumenty. Odwróciłem kolejność twoich pytań.

– Cieszę się, że mi to mówisz. Nie będę się przy tym upierał. Jaka to ma być spółka?

– Zupełnie zwykła.

– Coś takiego nie istnieje. Każda spółka jest inna.

– Taka, w której dzieli się zyski. Pomiędzy akcjonariuszy.

– Jeśli o to chodzi, to wszędzie jest podobnie. Lub powinno być.

– I takiej właśnie chcę. Żadnych małych interesów.

– Poczekaj chwilę. – Devereaux odłożył słuchawkę i podszedł do krzesła, na którym leżała teczka. Wyjął z niej żółty blok papieru, dwa ołówki i wrócił do biurka. – Będę potrzebował parę szczegółów. Mam zamiar zadać ci kilka pytań, by móc naszkicować ten nie do zalegalizowania, nieformalny dokument.

– Zaczynaj, chłopcze.

– Jaki jest tytuł, nazwa spółki?

– Myślałem o tym. Co sądzisz o Spółce Shepherd?

– Absolutnie nic. Nie mam pojęcia, co to znaczy. Zresztą co za różnica. Nazwij ją, jak chcesz.

– Podoba mi się Spółka Shepherd.

– W porządku. – Sam napisał nazwę. – Jaki adres?

– Narody Zjednoczone.

Devereaux popatrzył z niedowierzaniem na słuchawkę.

– Co?

– To jest adres. W każdym miejscu, w którym znajduje się siedziba Narodów Zjednoczonych.

- Dlaczego?
- On jest... symboliczny.
- Nie możesz podać symbolicznego adresu.
- Dlaczego nie?
- Zapomniałem. Przecież nie rejestrujesz. Dobrze. Depozytariusz?
- Kto?
- Bank, w którym będą zdeponowane fundusze spółki.
- Zostaw miejsce, kilka linijek. Będzie kilka banków.

Ołówek w ręku Sama zawisł w powietrzu. Zmusił go do pracy.

- Jaki jest cel spółki?

Na linii z Waszyngtonu nastąpiła cisza.

- Podaj mi kilka prawniczych terminów.

Teraz z kolei cisza zapanowała na linii z Nowego Jorku i ołówek Devereaux naprawdę zaprotestował.

- Zaczniemy od słowa „zamiar”.
- Jasne, że robienie pieniędzy.
- W jaki sposób?
- Przez posiadanie czegoś, za co ludzie będą płacić.
- Produkcja? Wytwarzanie towarów na sprzedaż?
- Nie, niezupełnie.
- Marketing?
- To już prędeż. Dalej.
- Co dalej?
- Podaj jeszcze kilka terminów – poprosił Hawkins.

– Nie jestem specjalistą od spółek, ale o ile pamiętam z podręczników, celem spółki – czymś, co przynosi zyski – jest w takiej czy innej formie produkcja, marketing, akwizycja, usługi...

- Stop! To jest właśnie to.
- Usługi?
- To też dobre, ale chodzi mi o poprzednie.
- Akwizycja? – westchnął Sam.
- Właśnie. Akwizycja.
- Nabywanie po jednej cenie, sprzedawanie po innej, wyższej. Chodzi ci o pośrednictwo?
- To mi się podoba, Sam. To jest właściwe wykorzystanie starego cymbała.

Devereaux pchnął ołówek wbrew woli i zapisał na papierze.

– Jeśli jesteś pośrednikiem, powinien być produkt. Usługi lub nieruchomości, lub towary...

- Głęboko religijnej natury – przerwał MacKenzie głosem niskim i namaszczoneym.

– Co?

– Ten produkt.

Sam wciągnął powietrze wolno i głęboko. Potem wypuścił je głośno.

– Chcesz przez to powiedzieć, że zakładasz spółkę, która będzie pośredniczyć w nabywaniu religijnych towarów?

– To właśnie będzie robić – odpowiedział po prostu Hawkins.

– Wytworów religijnej działalności?

– To nawet lepiej brzmi.

– Cóż to jest, na Boga?

– Pośrednictwo w nabywaniu wytworów religijnej działalności. Cholera, chłopcze, to jest genialne!

Devereaux pożyczył od Bartona standardowe formularze na spółki z ograniczoną odpowiedzialnością obowiązujące w stanie Nowy Jork. Wystarczyło przepisać notatki na formularze i zlecić przepisanie ich na maszynie, tak jak gdyby je podyktowano. Wszystko dobrze poszło, myślał Sam, kiedy przeglądał gotowe dokumenty z pustymi miejscami dla akcjonariuszy, banków, kwot; i jeszcze to nic nie mówiące określenie: „pośrednictwo w nabywaniu wytworów religijnej działalności”. Ale wyglądało na zgodne z prawem, jak rozdział z Blackstone’a. Tak, rozmyślał Sam, bawiąc się kopertą zawierającą pseudourzędowe papiery, które miał wysłać MacKenzie’emu Hawkinsowi, wszystko układa się pomyślnie. Za kilka dni wróci do Bostonu, do Aarona Pinkusa. Ta „prawnicza” robota dla Hawka dobiegła końca. Wszystko razem zajęło mu dziewięć dni, trzy tygodnie krócej niż planował Mac. Zgodził się zostać w hotelu dzień lub dwa dłużej, by dać Macowi okazję do pochwalenia jego wysiłków. Nie było wątpliwości, że pochwała nastąpi i tak się stało.

– Słowo daję, Sam, dokument robi imponujące wrażenie – powiedział Hawk przez telefon. – Jestem zaskoczony, że napisałeś go w tak krótkim czasie.

– Są pewne wskazówki, według których się to robi; nic trudnego.

– Jesteś zbyt skromny chłopcze.

– Po prostu spieszy mi się. Chcę wrócić do Bostonu do...

– Doskonale to rozumiem – przerwał Hawkins bez zbytniego zapału, który mógłby uciszyć nagły skurcz żołądka Sama.

– Posłuchaj Mac...

Widzę, że zrobiłeś mnie prezesem spółki. Nie powiedziałaś mi o tym.

– Nie było żadnych innych nazwisk. Pytałem cię o członków zarządu, a ty odpowiedziałaś, żeby zostawić puste miejsce.

– Co znaczą te tytuły: sekretarz i skarbnik? Czy one są ważne?

– Nie, jeśli nie masz zamiaru rejestrować spółki.

– A gdybym któregoś dnia się zdecydował?

– Zwykłą procedurą jest łączenie tych dwóch funkcji. W większości stanów, w wypadku spółki z ograniczoną odpowiedzialnością, trzeba mieć dwóch głównych wspólników.

– Ale mógłbym mieć więcej, gdybym zechciał, tak?

– Oczywiście.

– Chciałem po prostu wiedzieć, jak powinno być, Sam. Ona nigdy nie będzie zarejestrowana. Nie ma już na to czasu.

Sam wyczuł jakąś nutę melancholii w głosie Hawkinsa. Czyżby Mac przebudził się z marzeń? – pomyślał. – Czyżby zrozumiał, że jego irracjonalny pomysł ze spółką był zwykłą rekompensatą za odebranie mu dowództwa?

Zaczął swobodniej oddychać. Zrobiło mu się żal tego starego wojownika. „Nie ma już czasu” to eufemizm wyrażenia „jestem skończony”.

– Zapewniam, że jest, generale.

– Od tygodni mnie tak nie tytułowałeś, Sam.

– Przepraszam, to moje niedopatrzenie.

– Skontaktuję się z tobą jutro, chłopcze. Ciężko się napracowałeś. Zabaw się dziś wieczorem. Pamiętaj, że to na koszt firmy.

– Dodatek do tych dziesięciu tysięcy? Jesteś bardzo hojny, ale dziękuję, nie. Potrączę sobie tylko za maszynistkę, przesyłkę, a resztę zwrócę. Słuchaj, Mac, znam w Waszyngtonie specjalistę od lokaty kapitału...

Przerwał, bo usłyszał po tamtej stronie stuk kończący rozmowę. Właściwie to dlaczego nie miałyby się gdzieś zabawić? Spędził w Nowym Jorku dość weekendów, by poznać miasto, a zwłaszcza bary dla samotnych na Third Avenue. Miał wyjątkowe szczęście. Złowił młode, ale w odpowiednim już wieku stworzenie, które przyjechało z Omahy, w stanie Nebraska – powiatowego miasta, z którego pochodzili Henry Fonda i Marlon Brando – by wspiąć się na szczyty Broadwayu. Zaimponował jej adwokat, który pracował dla Metro-Goldwyn-Warner-Brothers, kiedy nie załatwiał kontaktów na Dirty Sally i Masterpiece Theatre.

Sam był również pod jej wrażeniem przez całą noc, cały następny dzień, aż do wieczora (z krótką przerwą na posiłek i rozmowę). O 21.27 zadzwonił telefon, a o 21.29 młode stworzenie powiedziało sennie:

– Sam, telefon jest z mojej strony.

– Jesteś bardzo spostrzegawcza.

– Czy mam go odebrać?

– Skoro jest po twojej stronie, mówię „tak”.

– Jesteś pewien?

Sam otworzył oczy. Dziewczyna usiadła i przeciągnęła się. Koc zsunął się z ramion.

– Załatw to szybko – powiedział Devereaux.

– Jeśli chcesz.

– Nie mam żony, moja matka nie wie, gdzie jestem, a Aaron Pinkus nie byłby na tyle szalony. Odbierz telefon, załatw to szybko i odłóż słuchawkę.

Dziewczyna sięgnęła po słuchawkę, a Sam sięgnął po dziewczynę.

– Jakiś człowiek o zachrypniętym głosie chce z tobą mówić. Twierdzi, że nazywa się Angelo Dellacroce. – Oddała Samowi słuchawkę.

– Hej, ty! – słowa jak pociski strzelały z telefonu. – Czy jesteś Samuelem Devereaux, sekretarzem-skarbnikiem tej Spółki Shepherd?

Rozdział IX

Dawny generał-porucznik MacKenzie Hawkins, dwa razy uhonorowany najwyższym państwowym odznaczeniem za niezwykle bohaterstwo w walce z wrogiem, przykucnął jak wystraszony chłopiec na widok dawnego majora Sama Devereaux, wojskowej pomyłki.

Hawkins zobaczył Sama wysiadającego z taksówki przed wejściem do North Hampton Golf Club. Mosiężne latarnie na kamiennych słupkach, oskrzydłające dojazd, stanowiły jedyne źródło światła. Była zimna, pochmurna, bezksiężycowa noc. Mimo to latarnie dawały dość światła, by ukazać zdenerwowanie malujące się na twarzy Devereaux.

Sam był wściekły. MacKenzie wiedział o tym. Tak naprawdę to wcale nie minął się z prawdą, rzekł do siebie w duchu. Przecież nigdy nie obiecywał Devereaux, że nie zbliży się do Angelo Dellacroce. Powiedział jedynie, że nie ma powodu, by to robić, kiedy Sam go przyciskał. W tym momencie, nie później. Tytuł sekretarza-skarbnika był czymś więcej. Prezentował się znakomicie w umowie o spółce: wielmożny pan Samuel Devereaux, doradca prawny, apartament 4-F „Drake Hotel”, Nowy Jork, tuż nad miejscem przeznaczonym dla drugiego ważnego stanowiska w Spółce Shepherd. To tylko dla jego własnego dobra. Wkrótce to zrozumie. Lecz teraz wielmożny pan Samuel Devereaux był rozjuszony, jak zamknięty w klatce byk, odgradzony od jałówek w czasie rui.

Hawk zgodził się na spotkanie z Dellacroce, ponieważ tak mu pasowało. Włoch bał się o obstawę i dlatego nalegał na spotkanie z Makiem gdzieś na połowie szlaku golfowego, przy szóstym dołku w North Hampton Golf Club między dwunastą a pierwszą w nocy. Ale gdyby Hawkins sprzeciwił się i zmienił miejsce spotkania na Bell Telephone Company, Dellacroce musiałby na to przystać, ponieważ nie miał wyboru. Mac dysponował dokumentem gwarantującym wyrok skazujący dla mafiosa, godny trybunału w ludowej republice. Jednak spotkanie w nocy, w terenie otoczonym przez gęsty las, strumienie i małe jeziora, odpowiadało Hawkinsowi. Czuł się tu jak ryba w wodzie. To nie była Kambodża czy Laos, ale mógł sobie, wyobrazić, że tak jest.

Przyleciał z Waszyngtonu po południu, wynajął na fałszywe nazwisko samochód i pojechał do North Hampton Club. Kiedy się ściemniło, objechał dookoła teren klubu i zaparkował po zachodniej stronie. Dellacroce powiedział mu, że klub jest na noc zamykany, a

strażnika zastąpi jeden z jego ludzi. Co oznaczało, że Dellacroce podwoi patrole na całym terenie, a w szczególności wokół szóstego dołka. Kieszenie miał wypchane zwojami cienkiej linki i trzycalowym plastrem: zastosuje starą metodę Ho Chi-minha, która zdała egzamin już w przeszłości. Rozpoczął tę operację od najdalej wysuniętego punktu, kierując się do centrum.

Dellacroce zaczął ustawiać swoich ludzi od punktu 2300. Było ich dziewięciu (nieco więcej niż przewidywał Mac), ukrytych w trawie, na linii lasu, po obu stronach szóstego dołka, w kierunku budynku klubowego i drogi dojazdowej.

Jednego po drugim Mac unieszkodliwił ośmiu ludzi. Zabrał broń, związał ich, zalepił twarze – nie tylko usta – i pozbawił przytomności, uderzając w nasadę czaszki ciosem kai-sai. Następnie podkraść się do dziewiątego człowieka, stojącego przy wejściu. Zastosował w jego wypadku niezawodny sposób, którym posłużył się przeciwko Pathet Lao. Ten człowiek musiał być zdolny do wydobycia z siebie głosu. Chętnie przystał na współpracę, zwłaszcza, kiedy Mac rozciął mu spodnie od krocza aż do mankietu.

Dziesięć minut przed północą wielka czarna limuzyna Dellacroce minęła szybko bramę i zajechała przed szeroki ganek z kolumnkami. Z ciemności doszedł głos dziewiątego strażnika, przygwożdżonego do kolumny:

– Wszystko w porządku, panie Dellacroce. Wszyscy chłopcy są rozstawieni tak jak pan rozkazał.

Głos mężczyzny był trochę za wysoki i nienaturalny, ale Hawkins słusznie przewidział, że Dellacroce nie zwróci na to uwagi.

– Okay – zabrzmiała chrapliwa odpowiedź i Dellacroce wysiadł z samochodu z dwoma gorylami ciężkiej wagi. – Rocco, zostaniesz tu z Augie. Ty Palczasty pójdiesz ze mną. Mięso, zabierz stąd ten pieprzony samochód, żeby go nie było widać.

Zanim Dellacroce i Palczasty zniknęli za rogiem budynku, dziewiąty strażnik był już unieruchomiony. Po chwili Rocco i Augie zapadli w stan błogiej nieświadomości.

Facet o przezwisku Mięso był następny w kolejności. Hawkinsowi zabrało to prawie pięć minut, bo Mięso był doświadczonym wojownikiem. Nie zaparkował limuzyny na tyłach klubu, lecz stanął pośrodku. Niezłe miejsce, pomyślał Mac. Dzięki temu miał wgląd na wszystkie strony i nie przeszkadzały mu złudne cienie czy układ terenu. Mięso był dobry, lecz nie dość dobry.

MacKenzie przeciął parking po przekątnej do pierwszego miejsca startowego i skierował się przez dziką część boiska z wysoką trawą do dołka numer sześć. Kiedy Dellacroce zapewniał go, że będzie sam, Hawkins domyślił się, że Palczasty skryje się w ciemnościach, na linii lasu, a jeśli ma głowę na karku, w poprzek szlaku po wschodniej stronie, ze względu na korzystniejszą linię strzału. Lecz Palczasty nie grzeszył rozsądkiem. Zaszył się po stronie zachodniej, w niskich krzakach, w pozycji na brzuchu, uniemożliwiając sobie tym samym obserwację tego, co się dzieje z tyłu.

Cholera, pomyślał MacKenzie, to niezbyt zabawne unieszkodliwić takiego dupka żołądznego jak Palczasty. Jednak unieszkodliwił, bezszmerowo, w jedenaście sekund.

Na scenie pozostał Angelo Dellacroce z żarzącym się koniuszkiem cygara w grubych ustach, siedzący w kucki, z zaplecionymi z tyłu grubymi rękami, jakby czekał na porcję *linguini* w trattorii ze ślamazarną obsługą.

Trzy minuty później taksówka z Devereaux zatrzymała się na pustej drodze prowadzącej do klubu. MacKenzie czekał na niego za filarem.

Kiedy Sam szedł niepewnie po podjeździe, Hawkins postanowił nie mówić mu o tych dziewięciu załatwionych z obstawy. To by tylko zdenerwowało eks-majora. Lepiej, żeby myślał, iż Dellacroce dotrzymał słowa i czeka sam przy szóstym dołku.

– Witaj Sam!

Devereaux rzucił się na ziemię, wtulając w żwir, a potem spojrział w górę. MacKenzie wyjął z kieszeni małą, ale silną latarkę w kształcie ołówka i zaświecił ją.

Eks-major musiał być z pewnością zły. Twarz miał ściśniętą i nabrzmiałą, jakby za chwilę miała eksplodować.

– Ty niegodziwy sukinsynu! – wydyszał Sam, jednocześnie wściekły i wystraszony. – Ty marna kreaturo! Ty najbardziej przewrotna, najpodlejsza, najniższa z form, jaka kiedykolwiek żyła na tej ziemi! Coś ty, u diabła zrobił, draniu?

– Teraz nie czas na dyskusje. No dalej, wstawaj, wyglądasz głupio taki rozplaszczony.

MacKenzie wyciągnął do Devereaux rękę.

– Nie dotykaj mnie, ty obmierzła glisto! Pieprzona mongolska owca jest sto razy lepsza od ciebie! Powinienem pozwolić, aby Lin Szu wyrwał ci paznokcie, jeden po drugim, przez cztery tysiące pieprzonych lat!... Nie dotykaj mnie! – Sam chwiejnie stanął na nogach.

– Słuchaj, majorze...

– Nie nazywaj mnie tak! Nie mam seryjnego numeru i nie życzę sobie, by kiedykolwiek zwracano się do mnie w sposób choć przez мгновение przypominający wojsko. Jestem adwokatem, ale nie twoim cholernym adwokatem! Gdzież, u diabła jesteśmy? Ilu gangsterów wzięło nas na cel?

– Nie ma nikogo, chłopcze – MacKenzie wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Tylko Dellacroce sterczący na szlaku jak dobry wujaszek na włoskim przyjęciu.

– Nie wierzę ci! Czy wiesz, co mi powiedział ten goryl przez telefon, kiedy powiedziałem, że nie przyjdę? Ten przeklęty zbir stwierdził, że moje zdrowie może się nagle pogorszyć! Oto, co mi powiedział!

– Nie zwracaj sobie głowy takimi rzeczami. Te grube patałachy zawsze tak mówią.

– Gówno prawda! – Devereaux badał wzrokiem ciemność. – Ten maniak powiedział mi, że gdybym się spóźnił, przyśle koszyk z owocami jutro do szpitala! A gdybym próbował wyjechać z miasta, jakiś cymbał zwany Mięso znajdzie mnie jeszcze przed upływem tygodnia.

Hawk pokręcił głową:

– Mięso jest całkiem niezły, ale myślę, że mógłbyś go pokonać. Postawiłbym na ciebie, chłopcze.

– Nie mam zamiaru nikogo pokonywać! I nie będziesz na mnie niczego stawiał! Nigdy więcej mnie już nie zobaczysz! Tylko to załatwię. Spotkam się z Dellacroce i powiem mu, że cała ta sprawa to jedno wielkie nieporozumienie! Napisałem dla ciebie parę rzeczy i to wszystko!

– Teraz posłuchaj mnie, synu. Jesteś przewrażliwiony. Nie ma się czym przejmować. – Hawkins ruszył przez trawnik. Devereaux bezwiednie poszedł za nim. Głowa chodziła mu jak na sprężynie przy najdrobniejszym szmerze.

– Pan Dellacroce będzie niezwykle chętny do współpracy. I nie będzie żadnej twardej mowy, zobaczysz.

– Co to było? – Dało się słyszeć plaśnięcie.

– Uspokój się. Pewnie wdepnąłeś w psie gówno. Zrób mi tę łaskę i nie zaczynaj wyjaśniać czegokolwiek, dopóki nie porozmawiam z Dellacroce, dobrze? Nie zabierze mi to więcej niż trzy-cztery minuty.

– Nie! Stanowczo nie! Nie mam ochoty, żeby obiecująca prawnicza kariera zakończyła się w jakimś mafijnym klubie golfowym. Ci ludzie nie umieją się bawić. Oni stosują kule, łańcuchy i twardy cement. I rzeki. Co to było?

Wśród ciemnych drzew zatrzepotały skrzydła.

– Obudziliśmy ptaka. Postawmy sprawę w ten sposób. Jeśli tylko będziesz trzymał gębę na kłódkę, dopóki nie skończę, zapłacę ci następane dziesięć tysięcy. Wolne od podatku i czyste. Co ty na to?

– Jesteś szalony. Jeszcze raz nie. Ponieważ nie chcę ich wydawać gryząc korzenie na bostońskim cmentarzu! Równie dobrze mógłbyś mi zaproponować dziesięć milionów, a odpowiedź nadal brzmiałaby: nie!

– Można by się nad tym zastanowić.

– Na miłość boską, zdecyduj się, zanim zrobi to ktoś inny!

– Wobec tego zmuszasz mnie do postawienia sprawy w ten sposób: Albo będziesz trzymał gębę na kłódkę, albo jutro rano dzwonię do FBI, że pewien eks-major sprzedaje tajne dokumenty wywiadu, które nielegalnie wyniósł z archiwum G-2.

– Nie zrobisz tego, ponieważ powiem całą prawdę. Opowiem im, jak mnie szantażowałeś, potem oszukałeś, a potem znowu szantażowałeś. Dostałbyś łagodniejszy wyrok w Pekinie!

– Nie jestem pewien, czy byłoby to takie proste. Mam na myśli ponowne rozpatrzenie sprawy Brokemichaela. Jak by to wyglądało? Facet łamie zasady wywiadu, bo nie ma ochoty poświęcić trochę czasu w służbie ojczyzny, wykonując czystą, wygodną robotę bez żadnego ryzyka. Strasznie nędzny to szantaż.

– Ty pozbawiony zasad...

– Wiem, wiem – przerwał Hawk ze znużeniem w głosie. – Powtarzasz się. Powinieneś zrozumieć, że to w niczym nie zmieni mojej sytuacji. Jak już powiedziałeś, zostałem załatwiony. Ile razy mogą mnie jeszcze załatwić?

Hawkins poszedł dalej. Devereaux ruszył za nim niechętnie, rozglądając się na wszystkie strony, mając nerwy napięte do ostatnich granic. Seria cichych pisków wydarła mu się z gardła, zanim zdołał coś wykrztusić.

– Czy nie ma pan choć cienia przyzwoitości? Żadnej litości? Odrobiny miłosierdzia dla swojego człowieka?

– Z pewnością mam – odpowiedział Hawk. Przecięli trzecie miejsce startowe na szóstym szlaku. – Teraz trzymaj ten wymowny język na wodzy. Jeśli uznasz, że sprawy przybierają zły obrót, powiesz swoje. Czyż mogę postąpić bardziej fair?

Zasnute chmurami niebo pojaśniało. Od czasu do czasu przeświecał przez nie księżyc. W odległości stu jardów przed nimi ujrzeli przykucniętą sylwetkę Angela Dellacroce, z rękami założonymi do tyłu i żarzącym się niedopałkiem cygara w ustach.

– Musi mieć cały przód obsypany popiołem – powiedział cicho Hawkins, a głośniejszym głosem dodał: – Pan Dellacroce?

Rozległo się chrząknięcie. MacKenzie zapalił swoją latareczkę i przytrzymał ją nad głową, rzucając snop światła na swoje długie, o stalowoszarej barwie, włosy i starannie przyciętą brodę.

– Robisz z nas cel! – szepnął Sam.

– A kto będzie strzelał?

Podeszli do Włocha. Mac wyciągnął rękę. Dellacroce ani drgnął.

– Nawet kiedy przyjmowałem poddających się żółtków, otrzymywałem uścisk dłoni. To coś, czym różnimy się od zwierząt – powiedział cicho Hawkins.

Dellacroce niechętnie wyciągnął rękę z za siebie i podał ją Hawkinsowi.

– Nie ma tu żadnego żółtka i nikt się nie poddaje – rzekł chrapliwie.

– Oczywiście, że nie – odparł pogodnie MacKenzie.

– To początek owocnej współpracy. Aha. To jest mój adwokat i dobry przyjaciel, Sam Devereaux...

– Mac!

– Zamknij się i podaj mu rękę – powiedział Hawkins *sotto voce*. – Do cholery, chłopcy, powiedziałem, podajcie sobie rękę!

Z jeszcze większą niechęcią obie ręce zbliżyły się do siebie, dotknęły na krótki moment i odsunęły od siebie, jak gdyby ich właściciele bali się zarazić.

– Tak już lepiej – powiedział Hawkins z entuzjazmem. – Teraz możemy pogadać.

Zaczął od wymienienia nielegalnych interesów Angela Dellacroce – zarówno tych zagranicą, jak i w Stanach. Zajęło mu to dwie minuty.

– Panie Dellacroce, władze nie mogą pana złapać, bo nie mają doświadczenia do pewnego

małego banku, który wiąże w sposób wyraźny wszystkie te najróżniejsze przedsięwzięcia. Może to zabrzmieć dziwnie, ale sądzę, że ja mam taki dostęp. Jest pewien bank w Genewie, w Szwajcarii. Pierwsze trzy szczęśliwe cyfry konta to siódemka, jedynka, piątka. Na tym koncie jest coś ponad sześćdziesiąt dwa miliony dolarów...

– *Basta, basta!*

– ...i wpłaty pochodzą dokładnie z tych miejsc, o których mówiłem. Domyślam się, że zna pan nowe prawo szwajcarskie dotyczące takich właśnie kont. Ono jest bardzo sprytne, bo oszustwo w jednym kraju nie musi być wcale oszustwem w Genewie. Ale, do licha, czy uwierzyłby pan, że w ten sposób otwiera się droga dla Interpolu do postawienia przed sądem rejestrów takich kont? Do międzynarodowej policji będzie należało jedynie przedstawienie kopii wpłat na takie specjalne konto, których dokonał podejrzany o handel narkotykami człowiek. Cudownym zrzędzeniem losu jestem w posiadaniu kopii takich wpłat...

– *Basta! Zamknij się!* – ryknął Dellacroce. – *Palczasty! Manny! Carlo! Dino! Wychodźcie! Natychmiast!*

Odpowiedziała mu jedynie cisza.

– Tu nie ma nikogo. W każdym razie kogoś, kto mógłby pana usłyszeć – powiedział Hawk cicho.

– Co takiego? *Palczasty! Figlio delia prostituta!* Do mnie!

Cisza.

– A teraz pan i ja, panie Dellacroce, odejdziemy na bok, pozostawiając mojego przyjaciela i adwokata, na chwilę prawdziwie męskiej rozmowy. – MacKenzie dotknął ramienia Włocha, który ciągle wykrzykiwał:

– *Mięso, Augie! Rocco! Słyszycie mnie, chłopcy? Do mnie!*

– Oni też śpią, sir – poinformował Hawkins uprzejmie. – Nie obudzą się przez najbliższych kilka godzin.

Dellacroce rzucił się w kierunku Maca.

– *Ściągnąłeś tu gliny? Ilu ich jest?* – padły niemal jednoczesne pytania.

– *Nikogo tu nie ma, tylko ja i mój dobry przyjaciel, i adwokat...*

– *Ilu? Nie mógłbyś być sam!*

– *Jestem i mógłbym* – odparł Hawk.

– *Moi najlepsi chłopcy!*

– *Nie zniósłbym oglądania pańskich opiekuńczych oddziałów* – zachichotał MacKenzie.

– Teraz czas na naszą pogawędkę.

Hawk odprowadził Dellacroce na bok. Mówił cicho dokładnie przez cztery minuty i trzydzieści sekund, w tym momencie bowiem nocną ciszę przerwał chrapliwy, rozdzierający krzyk:

– *Mannnaaaggiii!*

I Angelo Dellacroce osunął się na trawę. MacKenzie pochylił się nad nim i delikatnie

klepiąc w policzki przywrócił go do przytomności. Zaczęli ponownie rozmawiać, a Hawk podtrzymał Włocha za tłustą szyję, jakby był sanitariuszem. Krzyk się powtórzył.

– *Mannnaaaggiii!*

I Dellacroce znów zasnął. Hawk ponownie go ocucił. Rozmawiali przez dalsze dwie minuty.

– *Mannnaaaggiii!*

Tym razem MacKenzie złożył głowę Włocha na trawie i wstał. Księżyc wyjrzał zza chmur, oświetlając oniemiałego Sama wpatrującego się w leżącego Dellacroce. Teraz, pomyślał Hawk, idąc wolno w kierunku Devereaux. Nie było sensu dłużej zwlekać. Musi powiedzieć Samowi. Nie ma innego wyjścia.

– No cóż, Sam – zaczął Mac ze spokojną pewnością siebie – to całkiem niezły początek. Pan Dellacroce zgodził się przekazać pełną sumę zarezerwowaną dla niego. Spółka Shepherd otrzymała swoje pierwsze dziesięć milionów dolarów.

Pod Devereaux ugięły się kolana. Hawk rzucił się i podtrzymał go, zanim Sam dotknął ziemi. Nic by mu się nie stało, ale MacKenzie chciał, żeby Sam zobaczył, jak się o niego troszczy. Zawsze przynosiło to niezłe rezultaty, kiedy adiutant wiedział, że dowódca się nim opiekuje.

– Do diabła, synu, musisz przestać robić takie rzeczy. Zachowujesz się nie lepiej od pana Dellacroce! Przynosisz wstyd mundurowi!

Oczy Sama błyszczały nienaturalnie w świetle księżyca. Słowa, które wyszły z drżących ust, były, oględnie mówiąc, bez związku, ale kilka zdań powtarzał na tyle często, że można je było zrozumieć.

– Sekretarz-skarbnik! O, mój Boże, jestem sekretarzem-skarbnikiem! Dziesięć milionów dolarów warte cementu! Jestem w dziesięciomilionowym gównie! Utopią mnie w betonowej piźniamie! Jestem trup!

– Przestań wreszcie lamentować. Jesteś wspaniałym adwokatem, chłopie. Nie powinieneś się tak zachowywać.

– Nie powinienem cię nigdy spotkać, ty zwariowany draniu! To jedyna rzecz, której nie powinienem w moim życiu! O, mój Boże! Ten morderca zemdłał!

– Tak jak ty. Prawie. Zdążyłem cię złapać...

– Ciii! Wynośmy się stąd. Wyślę mu list – wezmę papier listowy z Bellevue – i zaświadczę, że jesteś pieprzonym obłąkańcem. I że to był wszawy żart!

– Och, pan Dellacroce wie o tym najlepiej, chłopcze! – Hawkins klepał Devereaux po policzku prawą ręką, podczas gdy lewą trzymał go w żelaznym uścisku, uniemożliwiając jakikolwiek ruch powyżej talii. – Dellacroce jest bardzo religijny, tak jak większość Włochów. On wie, że mówiłem prawdę.

– O czym ty, u diabła, mówisz? Cóż ma religia z tym wspólnego? Odpieprz się od mojej szyi!

– Religia pomaga człowiekowi rozpoznawać prawdę. Może mu się to nie podobać, jego religii może się to nie podobać, ale człowiek jest istotą myślącą, zawsze ponieważ oddzieli prawdę od fałszu. Nadażasz za mną?

– Ani przez cholerną sekundę! Au, moja szyja!

– Przepraszam, puszcę cię, ale musimy porozmawiać. MacKenzie zwolnił uścisk. Devereaux wystrzelił jak z procy, ale Hawk dogonił go i przygwoździł z powrotem do ziemi.

– Powiedziałem, że musimy porozmawiać, chłopcze. Jesteś przecież rozsądny, zobaczysz, że jest w tym logika.

– Problem w tym – wydyszał Sam, przyciśnięty do ziemi – że ty nie jesteś ani rozsądny, ani logiczny. Czy wiesz, co zrobiłeś? Faceci tacy jak ten... – wskazał głową, bo jakoś nie mógł ruszać rękami – oni zamrażają ludzi za niepłacenie w terminie należności. Nic ich nie obchodzi największy pogrzeb w mieście – wieśniaka, który zalegał z mlekiem! Ja to znam, bo jestem z Bostonu.

– Znowu przesadzasz. Pan Dellacroce nie zrobi czegoś takiego. Wie, na czym stoi – na niezłej mieszance wybuchowej – jeśli nie zrobi tego, co trzeba. To konto w Genewie załatwił sobie kosztem swoich ludzi.

Devereaux podejrzliwie i z niechęcią patrzył na Maca.

– Jesteś tego pewny?

– To wszystko było w aktach G-2. Kłopot w tym, że nikt ich nie skojarzył. Nie sądzę, żeby w ogóle chcieli. Dellacroce ma przyjaciół w Pentagonie, co z rządowymi kontraktami i różnymi powiązaniem... Czy teraz będziesz mnie słuchał?

Z niechęcią, za którą krył się strach, zmuszony okolicznościami, Sam kiwnął głową. Hawk pomógł mu wstać i poszli obaj w kierunku zarośniętej trawą i chwastami części. Rósł tam wielki dąb. Światło księżycy przeświecało przez jego gałęzie. Sam usiadł na trawie opierając się o pień drzewa, Mac ukląkł na jedno kolano przed nim, jak oficer liniowy objaśniający sytuację przed atakiem.

– Pamiętasz, jak kilka tygodni temu mówiłem ci, że zacząłem się zastanawiać nad sprawami, o których przedtem niewiele myślałem? Bóg, Kościół i takie tam rzeczy.

– Pamiętam, że powiedziałem, że nie będę się śmiał. – Odpowiedź Devereaux była ostrożna.

– To było bardzo głębokie, chłopcze. No cóż, przemyślałem wszystko, ale niezupełnie tak, jak mógłbyś przypuszczać. Ty i ja wiemy, że dziewięćdziesiąt dziewięć procent całej komunistycznej propagandy to gówno; wszyscy o tym wiedzą. Nasza to jakieś pięćdziesiąt do sześćdziesięciu procent. Przodujemy więc pod tym względem. Ale zastanowił mnie tamten jeden procent i to, co napisali o katolikach. Nie chodzi mi o wiarę, to indywidualna sprawa każdego człowieka, ale jak działa ta organizacja. Tym facetom z Watykanu tak dobrze idzie, że powinni rozszerzyć nieco interes. Mam na myśli inwestycje, synu. Kiedy akcje na giełdzie pójdą o kilka punktów w górę, zarobią miliony na całym świecie.

– A jeśli w dół, tracą miliony.

– Nie bardzo. Maklerzy wydostaną je na czas albo pomogą im Kawalerowie Maltańscy. To część układu. Poza tym nie mogą nosić fotografii z papieżem.

– To jakieś bzdury.

– Jeśli tak, to dlaczego wszyscy katoliccy maklerzy z Wall Street mają inicjały przy nazwiskach? Znasz jakieś stopnie naukowe zaczynające się od litery „k”? Malta, Columbus, Lourdes. I ci święci! Jezu! Kawalerowie z Asyżu, Kawalerowie św. Piotra, Mateusza – to ciągnie się kilometrami i jest czymś w rodzaju porządku społecznego. Im więcej facet na giełdzie robi dla Watykanu tym lepsza jest litera „k” przy jego nazwisku. Wall Street to tylko jeden przykład. To samo dzieje się wszędzie.

– Naczytałeś się dziwacznych książek. Pewnie *Ku Klux Klanner*, wydanie tysiąc dziewięćset dwudzieste.

– Nie, do diabła. Nie trawię tego gówna. Człowiek ma prawo wierzyć w to, w co mu się podoba. Mówię tylko o części finansowej. Potem idą nieruchomości. Czy wiesz, jakie nieruchomości mają watykańscy chłopcy? Przysięgam, że zgarniają czynsz od Ginzy po Gazę i z tego, co leży pomiędzy. Są właścicielami najlepszych nieruchomości w Nowym Jorku, Chicago, Hartford, Detroit – większości tych miejsc, do których migrowali Irlandczycy, Makaroniarze, Polaczki i wszyscy im podobni. Zawsze postępują tak samo. Pojawiają się wcześniej, zanim wszystkie te nacje się osiedlą, kupują ziemię i budują wielki kościół. Oczywiście wszyscy ci przybysze czują się niepewnie w nowym, obcym miejscu, dlatego budują swoje domy przy kościele. Ich dzieci zostają prawnikami, dentystami i właścicielami salonów samochodowych. Co robią? Przenoszą się na przedmieścia i idą do pracy tam, gdzie niegdyś mieszkali ich przodkowie. Jest to teraz centrum miasta, dzielnica biznesu. A własność Kościoła pędzi zawrotnie w górę. To regularny wzór, chłopcze!

– Próbuję znaleźć w tym coś złego i nie mogę – powiedział Sam, przyglądając się podekscytowanemu Hawkinsowi. – Cóż jest złego w tym wzorze?

– Nie powiedziałem, że jest zły. Powiedziałem, że prowadzi do jednego scentralizowanego portfela.

– Scentralizowanego portfela? Posługujesz się nowym słownictwem.

– Jak sam powiedziałeś, wiele czytałem. Ale nie te dziwaczne książki, o których myślisz. Widzisz, Sam, produkt, który ci watykańscy chłopcy wytwarzają – nie chcę tu być niedelikatny, chodzi mi jedynie o sens ekonomiczny – nie zmienia się. Czasami trzeba coś zmienić, zrobić fałdkę tutaj lub odrobinkę dalej, ale towar pozostaje ten sam. To obniża podstawę kosztów i pozwala na stały zysk ujemnego wpisu.

– Ujemnego wpisu?

– To termin z rachunkowości.

– Wiem, że to termin z rachunkowości. Nie mów mi, skąd to wiesz. Twoje lektury.

– Szufłady Maggie, synu.

– Co takiego?

– Nieważne. Jesteś celem, to wszystko. Teraz weź taką sytuację ekonomiczną, w której giełdy i rynki nieruchomości trzymają się mocno, a to oznacza, że masz w ręku banki, bo kontrolujesz zarówno pieniądze, jak i tereny, czyli główne środki ekonomiczne. I dodajesz do tego produkt, który wymaga minimum zmian przy maksimum dochodów. Do diabła, chłopcze, toż to światowa kopalnia złota.

– Naczytałeś się. Ale jeśli tak, to dlaczego jest tyle kłótni o szkoły parafialne i ich wydatki?

– To są usługi, Sam. To nie ten portfel. Mówię o głównych portfelach, nie o rocznych wydatkach. One wahają się w zależności od sytuacji ekonomicznej. To w większości wypadków szantaż.

– Związłe powiedziane. Nie polubiliby cię w Bostonie.

Hawk usadowił się wygodniej i zaczął mówić ciszej, ale z taką samą emfazą:

– Pytałeś mnie, czy jest w tym coś złego. Nie lubię o tym mówić, bo ten termin odnosi się jedynie do nadętych kutasów obwieszonych żelastwem, a nie do prawdziwych żołnierzy, ale jest coś, co zgrzyta.

– Czyżbyś odkrył w tym stronę moralną?

– Moralność i ekonomia powinny mocniej się ze sobą łączyć niż dotychczas. Weź choćby taką sprawę polityczną: Nikt nie handlował bronią z Czerwonymi lepiej ode mnie. I jakoś nikt mnie z tego powodu nie potępiał! Ale uderza mnie, że ci katolicyści chłopcy z Watykanu – a co za tym idzie wszystkie potężne diecezje – posługują się bolszewicką wymówką trochę zbyt swobodnie; tylko po to, by zanegować wszystko, co mogłoby ułatwić życie tym wiejskim patałachom drapiącym pazurami twardą ziemię.

Devereaux przyjrzał się sceptycznie Hawkinsowi.

– Twoja opinia jest nieco przestarzała. Wiele się zmieniło w Kościele. Ten nowy papież otwiera mnóstwo drzwi. Podobnie jak Jan XXIII.

– Zbyt wolno, Sam. To, czego potrzebuje góra watykańska, to wyrwanie z apatii. Czegoś, co obudzi ich z letargu.

– Nie możesz zmienić dwutysiącletniego układu w ciągu jednej nocy...

– Wiem o tym – przerwał Hawk. – I cieszę się, że poruszyłeś temat nowego papieża. Tego Francesca. To bardzo popularny gość. Nawet ci, którym nie podoba się jego odwaga – w tym, co robi – zdają sobie sprawę, że jest on najcenniejszą zdobyczą, jaką kiedykolwiek mieli w tym całym cholernym Kościele – oczywiście nie w sensie religijnym. Nie interesuje mnie ta strona medalu.

– Jaka strona? W jakim znaczeniu?

– Ten Francesco – ciągnął Mac ignorując pytania Devereaux – jest więcej niż tylko papieżem, a to już wystarczy, żeby się tym zająć. On jest uwielbianą indywidualnością, wiesz, do czego zmierzam?

– Mam nadzieję, że mi to powiesz.

– On jest taką osobą, dla której każdy katolik by się poświęcił. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Nie podoba mi się to zdanie.

Hawk przeniósł ciężar ciała z jednego kolana na drugie. Trzeba zmieniać pozycję tak często, jak to możliwe, kiedy człowiek się nie rusza.

– Czy znasz przybliżoną liczbę członków Kościoła katolickiego?

– Czego?

– Ilu katolików jest na świecie? Nieważne, powiem ci. Czteryście milionów. Teraz weź jednego amerykańskiego dolara i kurs wymiany w danym dniu. Jedni dadzą więcej, większość mniej – daję ci to czteryście milionów dolarów.

– Czego czteryście milionów?

– Przybliżonego zysku.

– Jakiego zysku?

– Za usługi Spółki Shepherd. Za to „pośrednictwo w nabywaniu wytworów religijnej działalności”. W stosunku dziesięć do jednego w warunkach kapitalizacji, ale oczywiście na ten stosunek w przeciwieństwie do sumy zysku będą miały wpływ konieczne wydatki na wyposażenie i personel pomocniczy.

– O czym ty, u diabła, bredzisz?

– Porwiemy papieża, Sam.

– Cooo?!

– Mam kufry pełne książek, chłopcze. Przystudiowałem dokładnie problemy taktyczne i myślę, że je pokonałem. Słuchaj, jest takie miejsce o nazwie Chiesa di San Tommaso di Villanova w Gandolfo – przepraszam za mój marny włoski – a droga z Watykanu wiedzie takim wiejskim traktem Via Appia Antica. Tędy się jedzie do Gandolfo. Oni nazywają go Castel Gandolfo. Ci Włosi nigdy nie użyją jednego słowa, kiedy mogą użyć dwóch.

– Cooo?!

– Przestań wrzeszczeć! Obudzisz Dellacroce.

– Cooo?!

– Ale najpierw musimy zgromadzić resztę pieniędzy. Dostaniemy jeszcze trzydzieści milionów. Myślę, że mam już w garści trzech inwestorów, ale muszę jeszcze pewne sprawy dopracować. – Hawk przykrył ręką otwarte usta Devereaux. – Nie zaczynaj znowu. Powtarzasz się.

Oczy Devereaux patrzyły z przerażeniem na MacKenzie'ego, ale reszta ciała pozostała jakby zamrożona. Coś w rodzaju szoku śpiączkowego, pomyślał Hawkins. Miał do czynienia z wieloma takimi przypadkami, kiedy surowi jeszcze rekruci po raz pierwszy smakowali prawdziwej walki. Dobrze, że Sam nie wrzeszczy, ani się nie szamocze. Zastygł jak kawał lodu. Postanowił mówić dalej. Zostało tylko kilka słów do powiedzenia. Na dokładniejszą

analizę przyjdzie jeszcze czas. Poniekąd cieszył się, że szok Devereaux był tak silny. W zapale przekazał Samowi kilka taktycznych informacji, co do których nie był pewny, czy chciał je przekazać.

– Długo się zastanawiałem, zanim wybrałem ciebie. Wytypowanie adiutanta nie jest prostą sprawą dla dowódcy. Takie stanowisko to jakby przedłużenie jego samego. Dostałeś je dzięki swoim zaletom, chłopcze. Nie twierdzę, że jesteś idealny, masz pewne braki, ale, do diabła, twoje aktywa przewyższają pasywa. Mówię to jako prawdziwy przyjaciel i jako zwierzchnik.

Zostaną wydane pewne rozkazy, o których wypełnienie zostaniesz poproszony, nie zawsze wiedząc dokładnie, dlaczego są konieczne. Musisz je po prostu przyjąć. Rozkaz to jednostkowa odpowiedzialność; nie zawsze jest czas na rozstrząsanie przyczyn jakiejś decyzji. Zapytaj któregoś z oficerów liniowego, wysyłającego batalion do ataku. Ale ty wykonasz je wspaniale. Jestem tego pewien. A jeżeli przypadkiem najdzie cię chęć, by zmienić rozkazy twojego szefa lub poczujesz, że sumienie nie pozwala ci ich wykonać, to pamiętaj, że nasz inwestor, Angelo Dellacroce, sądzi, że to ty, jako adwokat i sekretarzska skarbnik Spółki Shepherd'a sporządziłeś listę jego nielegalnych interesów i dostarczyłeś ją mnie. Pewnie dlatego nie chciał ci podać ręki. Jeśli dodać do tego naruszenie tajemnic G-2, powiedziałbym, że twoja pozycja jest gorzej niż fatalna. Gdybym był na twoim miejscu, to wolałbym borykać się z oskarżeniami o zdradę, niż walczyć z naszym inwestorem, panem Dellacroce. Myślę, że ten drań odrąbałby ci jaja, rozgniółby je w mikserze i podał jako fantazyjny pasztet na twoim pogrzebie. Jak już wcześniej wspomniałeś, byłby to prawdopodobnie drogi pogrzeb.

Nie było sensu trzymać dłużej ręki na ustach swojego adiutanta. Sam wydał z siebie serię nieartykułowanych dźwięków i zemdłał. Światło księżyca przenikające przez gałęzie rozłożystego dębu, rosnącego na zaniedbanej części terenu wokół dołka numer sześć, zarośniętego trawą i chwastami, kładło się żółtymi i białymi promieniami na spokojne i silne rysy Sama.

Niech to diabli, pomyślał MacKenzie, ale chłopak dojdzie do siebie. Potrzebuje tylko trochę czasu, by oswoić się z faktami. Gdyby ktoś go w tej chwili zobaczył, pomyślałby, że sukinsyn nie żyje.

Rozdział X

Sam opadł w przygnębieniu na fotel w pokoju hotelowym i zapragnął umrzeć. No, niezupełnie, ale rozwiązałyby to z pewnością wiele problemów. Oczywiście śmierć mogłaby przyjść bez względu na to, czy chciał jej, czy nie. Przypomniało mu to idiotyczną, nie zarejestrowaną, ale w części wypełnioną umowę pomiędzy Spółką Shepherdą z MacKenzie Hawkinsem jako prezesem i North Hampton Corporation z panem Angelo Dellacroje – jej prezesem. Depozytariuszem był Great Bank w Genewie. Trzymał ten dokument w ręku i zastanawiał się, gdzie się podziały jego paznokcie.

Na pierwszej stronie, dokładnie pod prezesem i nad miejscem zarezerwowanym dla sekretarza-skarbnika, widniało jego nazwisko. *Samuel Devereaux, doradca prawny, apartament 4-7, „Drake Hotel”, Nowy Jork.*

Zastanawiał się przez chwilę, czy mógłby zmienić rejestr gości hotelowych i natychmiast porzucił tę myśl. Jaki to miało sens? Z jednej strony był rząd Stanów Zjednoczonych i wyraźnie określone zasady wywiadu, a z drugiej Angelo Dellacroje i jego obrońcy z białymi krawatami na białych koszulach, ciemnymi garniturami i bardzo nieokreślonymi metodami traktowania takich kapusiów jak S. Devereaux, doradca prawny. Sam zastanawiał się przez chwilę, co Aaron Pinkus zrobiłby w takiej sytuacji i zaraz uprzytomnił sobie co, i tę myśl także porzucił. Pinkus usiadłby przed nim jako Sziwa.

Wstał z fotela i zaczął spacerować bez celu po pokoju. Co on ma, u diabła, robić? Cóż mógł zrobić? Jego wzrok padł na nie podpisaną notatkę.

Kopie tej umowy zostały przekazane przez posłańca panu MacKenzie’emu Hawkinsowi, prezesowi Spółki Shepherd, c/o „Watergate Hotel” w Waszyngtonie. Instrukcje przesłane do: Great Bank w Genewie. Transfer funduszy czeka na przyjazd sekretarza-skarbnika spółki, Samuela Devereaux, do Genewy.

Jego nazwisko zostało przekazane za granicę. W jakimś marmurowym bankowym hallu w Szwajcarii specjalista od międzynarodowych finansów na pewno umieścił już go jako osobę nadzorującą transfer dziesięciu milionów dolarów na konto nie zarejestrowanej, ale niewątpliwie istniejącej, spółki o nazwie Spółka Shepherd. Oto, co musi zrobić, czy chce, czy nie chce. Genewa albo tłuczenie kamieni do końca życia w Leavenworth, albo zemsta

Dellacroce i pomnik na cmentarzu.

Porwanie papieża!

Mój Boże! O tym właśnie mówił ten szaleniec. Zamierza porwać papieża! Wszystkie inne szaleństwa Maca gasły przy tym! Trzecia wojna światowa byłaby bardziej do przyjęcia. Nawet jakaś lokalna. Określone granice, ukryte jak należy cele, elastyczne ideologie. Wojna, to kacza zupa w porównaniu z czterystoma milionami rozhisteryzowanych katolików. Głowy państwa jęczące i stękające banały, obwiniające każdą wrogą frakcję, każdego ekstremistę lub nie (cieszące się po cichu, że pozbędą się wreszcie tej zawady w Watykanie) i... Boże! Trzecia wojna światowa mogłaby być logiczną konsekwencją tego, co Hawkins chciał zrobić! Po dojściu do takiej konkluzji Sam już wiedział, co powinien zrobić. Musi powstrzymać MacKenzie'ego. Ale nie powstrzyma go, jeśli będzie siedział w dobrze strzeżonej celi w Leavenworth. Któż by mu uwierzył? Nie powstrzyma go siedząc na dnie rzeki Hudson, prawdopodobnie w jej górnym biegu, za łaskawym zezwoleniem Angelo Dellacroce. Nikt by go tam nie usłyszał. Jedynym sposobem na usunięcie szaleńczego pomysłu Hawka poza sferę realności, było dowiedzieć się, jak, u diabła, MacKenzie zamierza tego dokonać. Najgłupiej byłoby założyć, że on tego nie robi. Hawk wcale nie żartował. Wystarczyło przyjrzeć się kilku dokonaniom Maca, jak cztery nadzwyczajne eks-małżonki, które go uwielbiały i drobna sprawa wstępnego kapitału, jakim było dziesięć milionów dolarów, nie mówiąc już o militarnych wyczynach w ciągu trzydziestu lat i takiej samej liczbie stoczonych bitew. Hawk wnosił do tego zbrodniczego pomysłu wszystkie taktyczne środki: ostrą dyscyplinę i doświadczenie w kierowaniu ludźmi. MacKenzie zaczynał od góry, żadnego stopniowania. On jako szef, ale jednocześnie zaprawiony w bojach dowódca, który pobił mafijnego bossa na jego własnym podwórku.

Ten sukinsyn miał talent. Chryste! Miał siłę King Konga rozwalającego Empire State Building.

Porwanie papieża! Któż w to, u diabła, uwierzy?

Samuel Devereaux w to uwierzył. Nic innego nie pozostało Samuelowi Devereaux, doradcy prawnemu, tylko wymyślić, jak temu zapobiec. A jednocześnie ocalić swoją skórę. Niewyraźny pomysł zaczął mu kiełkować w głowie, jednak nie tak, by móc go zrozumieć. Mimo wszystko było to coś.

– Nie bądź zbyt pewny siebie – rzekł Sam do siebie. – Masz do czynienia z żywym, prawdziwym, puszczone w ruch zapaleniem opon mózgowych!

A jednak to było możliwe. Mógł udać, że przystaje na propozycję MacKenzie'ego (oczywiście z wielką niechęcią, inaczej byłoby to oznaką braku charakteru), zebrać te chore pieniądze i w ostatnim momencie zwołać wszystkich inwestorów i wysadzić całą operację w powietrze. Na ocalenie własnej skóry znalazłoby się wiele pomysłów. Na przykład: „W wypadku mojej nagłej śmierci podać do publicznej wiadomości, że...”

A ten ustęp o działalności Spółki Shepherd: „pośrednictwo w nabywaniu wytworów

religijnej działalności”. Kto w to uwierzy?

– Przestań! – Sam złapał się za przegub, wystraszony brzmieniem własnego głosu.

Podskoczył na dźwięk telefonu. Pędził do niego, jak człowiek czekający na egzekucję, któremu pilno usłyszeć, co gubernator ma do powiedzenia.

– Cholera! To musi być adwokat i sekretarz, i skarbnik Spółki Shepherd! Z kapitałem ponad dziesięciu milionów dolarów! Jak ci się to podoba?

– To podstawowe pytanie. Nie jestem zainteresowany.

– Wiesz co, chłopcze? Niezły z ciebie numer.

– Czy jesteś pewny, że chcesz o tym rozmawiać przez telefon? – zapytał Devereaux. – Dostalibyśmy niezły wycisk od Federalnej Komisji Telekomunikacyjnej.

– Nie ma obawy, przecież nie będziemy mówić o tym, o czym nie powinniśmy. Przynajmniej ja. Mam nadzieję, do diabła, że ty wiesz o tym najlepiej. Chciałem cię tylko zawiadomić, że dodatkowe kopie umów czekają na ciebie na dole. Przesłałem je wieczorem przez starego sierżanta, którego kiedyś znałem...

– Dobry Boże! Zrobiłeś kopie? Ty cholerny głupcze! Przecież te punkty kserograficzne zatrzymują sobie kopie. Jeżeli są fotostaty, będą i negatywy!

– Nie tam, gdzie ją robiłem, W hallu „Watergate” stoi wielka maszyna. Wrzucasz ćwierć dolara za każdą stronę... Jezu! Powinieneś zobaczyć te tłumy. Oni są trochę nerwowi, ale nikt nie zwraca uwagi. To dziwacznie wygląda. Każdy się gapi i nikt niczego nie widzi. Z wyjątkiem dwóch facetów z „Washington Post”, którzy wpadli tu z ulicy...

– No dobrze, dobrze – przerwał Devereaux. – Kopie są na dole. Cóż, u diabła, mam z nimi zrobić?

– Włóż je do tej fantazyjnej teczki, którą ci dałem i zabierz ze sobą do Genewy. Nie będą ci potrzebne w Szwajcarii, ale mogą być ze dwa przystanki w drodze powrotnej. Na przykład Londyn. To już postanowione. Zatrzymasz się w „Savoyu” na dzień lub dwa. Bilety lotnicze i cała reszta będą na ciebie czekać w hotelu w Genewie. Kiedy będziesz w Londynie, dżentelmen nazwiskiem Danforth zatelefonuje do ciebie. Będziesz wiedział, co robić.

– To mętny interes. Nie będę wiedział, co robić. Już w tej chwili nie wiem, co robię. Nie możesz tak po prostu pakować mnie w tę szaloną sprawę, niczego nie tłumacząc. Przecież wiozę dokumenty! Moje nazwisko jest na nich! Jestem wplątany w transfer dziesięciu milionów dolarów!

– Uspokój się – powiedział Hawk z łagodną stanowczością. – Pamiętaj, co ci powiedziałem: Nadejdzie czas, kiedy jako mój adiutant zostaniesz poproszony o wykonanie rozkazów...

– Brednie! – wrzasnął Sam. – Co mam mówić ludziom?

– No cóż, to, co jest bredniami dla jednego, może być lukrowanym cukierkiem dla drugiego. Kiedy ktoś będzie cię naciskał, to po prostu pomagasz staremu żołnierzowi, który zbiera dolary na religijny cel.

- To absurd – powiedział Devereaux.
- To cel Spółki Shepherda – odparł Hawk.

MacKenzie wybrał pięć stron z pliku kopii akt z G-2, rozrzuconych po hotelowym łóżku, i położył je na biurku. Usiadł, wziął czerwony flamaster i ponumerował każdą kopię od jeden do pięciu w lewym górnym rogu.

Cholera! Tego właśnie szukał, wzoru, który, był pewny, że istnieje, bo człowiek nie może powstrzymać się, by nie powtórzyć pomysłu na zabicie fortuny, jeśli są po temu dogodne warunki. Również dlatego, że czas zaciera dawne kłopoty i zmusza człowieka, by czuł się jak dziesięć lat temu, zwłaszcza gdy nadal ciągnie z tego korzyści.

Trzy ata temu wywiad w Hanoi był kłopotliwy, lecz autentyczny. Autentyczny, ale na szarym końcu, reszta była do wyrzucenia. Donosił, że pewien Anglik morduje dostarczając broń i amunicję Wietnamowi Północnemu. Żadna sprawa.

Londyn nie patrzył krzywym okiem na handel z blokiem komunistycznym, chociaż były określone przepisy odnośnie broni. Ale nastał taki okres w czasie tego szaleńczego, bzdurnego konfliktu, kiedy chłopcy w Hanoi, Moskwie i Pekinie zwolnili tempo na liniach produkcyjnych. Ten, kto potrafił wówczas dostarczyć broń do północnowietnamskich portów, zarobiłby krocie.

Jako jedyny dokonał tego lord Sidney Danforth.

Kupując w Stanach Zjednoczonych, Niemczech i Francji, pływał pod chilijską banderą rzekomo do portów młodych afrykańskich krajów. Nigdy jednak tam nie docierał. Zmieniał kurs na międzynarodowych wodach Pacyfiku, pędził na północ, tankował na rosyjskich wyspach i kierował się na południe do Hajfongu w absolutnie zgodnych z prawem celach handlowych.

G-2 nigdy nie udowodnił Danforthowi, że był wmieszany w handel bronią, ponieważ komuniści płacili bezpośrednio spółkom chilijskim i Danforth był nieosiągalny. A Waszyngton nie miał ochoty sprowokować awantury; Danforth był potężnym przemysłowcem, posiadającym wielkie wpływy w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

MacKenzie'ego intrygowały dwa klucze: chilijska bandera i afrykańskie porty. Były to przykrywki, które już kiedyś stosowano. Trzydzieści lat temu. Podczas drugiej wojny światowej.

Powszechnie wiedziano w kręgach wywiadowczych, że pewne południowoamerykańskie spółki finansowe zaopatrywały w broń państwa Osi i ciągnęły z tego ogromne zyski we wczesnych latach czterdziestych. W tych gorących wojennych dniach docelowymi portami dla statków był Kapsztad i Port Elizabeth, ponieważ rejestry manifestów w tych portach były w najlepszym razie chaotyczne, a zwykle w ogóle nie istniały. Mnóstwo statków, które miały dokować w Południowej Afryce, zmieniały kursy na wodach południowego Atlantyku i

kierowały się na Morze Śródziemne, głównie do Włoch.

Czy to było możliwe, by lord Sidney Danforth powtórzył swoje operacje sprzed trzydziestu lat?

Był jeden sposób, żeby wyciągnąć w latach siedemdziesiątych kilka milionów dolarów z Azji Południowo-Wschodniej. Sposób, który znowu przyniósłby fortunę zbitą kosztem życia innych, będący zarazem próbą odwagi dla brytyjskiego lwa. Za to można było zostać skreślonym z listy gości pałacu Buckingham. Dla Hawka nadszedł teraz czas na rozmowę przez Atlantyk z lordem Sidneyem Danforthem, siedemdziesięciodwuletnim utytułowanym wzorem doskonałości brytyjskiego przemysłu. I najbogatszym człowiekiem w Anglii.

Do diabła! Spółka Shepherda będzie miała kilku bardzo interesujących inwestorów.

Rodział XI

Strand roił się od ludzi. Było już po piątej. Tłumy urzędników wracały do domu. Sam przyleciał na lotnisko Heathrow za dwadzieścia czwarta i pojechał prosto do „Savoyu”, gdzie czekał na niego komfortowy apartament. Potrzebował wypoczynku. Genewa była koszmarem.

Swoją niewiedzę co do celów Spółki Shepherd musiał ukryć za głębokim szacunkiem dla zwierzchników bez nazwiska, zamieszanych w tę sprawę, a przede wszystkim do prezesa, którym kierowały głęboko religijne pobudki.

Genewscy bankierzy byli najpierw pod wrażeniem jego pokory. Mój Boże, dziesięć milionów dolarów amerykańskich i adwokat wiecznie się uśmiechający i mówiący wesole banały, odmawiający jakichkolwiek informacji o osobach i plotący w uduchowaniu o religijnym braterstwie, kiedy oszałamiająca kwota została przekazana. Zaproсили go więc na lunch, gdzie było dużo znaczących mrugnięć i drinków, i propozycji łózkowej gimnastyki w różnych odmianach. Ostatecznie to była Szwajcaria; forsa to forsa i tej ciężkiej próby nie wolno było mieszać z jodłowaniem, szarotką i Heidi w fartuszkach. Kiedy lunche rozwinęły się w obiady, genewscy bankierzy doszli do wniosku, że jest on albo najbardziej małomównym adwokatem, jaki kiedykolwiek praktykował w Ameryce, albo najbardziej tajemniczym i trudnym do rozgryzienia pośrednikiem, jaki przekroczył ich granice. Podtrzymywał tę zagadkę przez trzy dni i noce, pozostawiając za sobą pół tuzina skonfundowanych szwajcarskich burmistrzów, boleśnie zawiedzionych z powodu nie odwzajemnionego zaufania i straszliwie chorych na żołądek po zbyt dużej dawce słodyczy. A napięcie, w jakim żył Sam, było trudne do zniesienia. Osiągnął punkt, w którym mógł się koncentrować jedynie na tym, by nie dać się sprowokować, na twarzy mieć zdawkowy uśmiech i trzymać na wodzy swoje obawy. Tak był pochłonięty sobą, że kiedy wiceprezes Great Bank w Genewie odwiózł go na lotnisko, Devereaux tylko się uśmiechnął i powiedział „Dziękuję”, kiedy bankier rzucił mu płaszcz od deszczu. Pragnąc jak najszybciej opuścić Genewę, zapomniał zabrać przybory do golenia i dlatego teraz przemierzał Strand w poszukiwaniu drogerii. Poszedł w kierunku południowym, minął rząd domów naprzeciwko hipodromu i dotarł do części, gdzie mieściły się apteki. Zrobił zakupy i ruszył w drogę powrotną do hotelu ciesząc się na myśl o długiej, gorącej kąpieli, goleniu i dobrym obiedzie w hotelowej restauracji.

– Major Devereaux!

Głos był pełen entuzjazmu, z amerykańskim akcentem, o kobiecym brzmieniu. Dochodził z taksówki, która zatrzymała się przed hotelem. Była to czwarta pani MacKenzie Hawkins – ciężkie lecz wymowne – urocza dama imieniem Anne. Rzuciła się na Sama, oplatając go ramionami i przyciskając policzek i inne części. Jednak natychmiast się odsunęła i raczej

niezgrabnie doprowadziła do porządku.

– Strasznie pana przepraszam. Do licha, to była bezczelność z mojej strony. Proszę mi wybaczyć. Ale tak strasznie się ucieszyłam na widok znajomej twarzy.

– Nie ma za co przepraszać – powiedział Sam, przypominając sobie, że ciężkie lecz wymowne uznał za najbardziej naiwną i najmłodszą z czterech żon. Strasznie dużo ochała i achiała. – Czy zatrzymała się pani w „Savoyu”?

– Tak, przyleciałam tej nocy. Nigdy nie byłam w Anglii, więc spędziłam cały dzień, zwiedzając miasto. O rany, stopy wprost mnie pała.

Odchyliła bardzo drogi zamszowy płaszcz i popatrzyła krytycznie na wspaniałe nogi widoczne spod krótkiej spódnicy.

– Więc niech się pani od nich prędko uwolni, to znaczy chciałem powiedzieć, chodźmy do baru.

– Nawet pan nie wie, jak się cieszyć! To cudowne zobaczyć kogoś, kogo się zna!

– Czy pani jest tu sama? – zapytał Devereaux.

– Och, tak. Don, to mój mąż, jest teraz tak strasznie zajęty przy swoich przystaniach, restauracjach i tych wszystkich innych rzeczach, że powiedział do mnie w zeszłym tygodniu w Los Angeles: „Annie, kochanie, czemu nie zabierzesz stąd swojego ślicznego tyłeczka? Znosi się na ciężki miesiąc”. Pomyślałam więc o Meksyku i Palm Springs i wszystkich tych tradycyjnych miejscach, a potem powiedziałam sobie: do diabła, Annie, nigdy nie byłaś w Londynie. Więc przyleciałam.

Skinęła z promiennym uśmiechem odźwiernemu i ciągnęła dalej, kiedy Sam wskazał gestem drzwi prowadzące do hallu.

– Don myślał, że oszalałam, bo kogóż znam w Anglii? Ale właśnie o to chodziło. Chciałam pojechać gdzieś, gdzie nie byłoby tych wszystkich znajomych twarzy. Gdzieś, gdzie byłoby zupełnie inaczej.

– Mam nadzieję, że tego nie popsułem.

– Dlaczego?

– Powiedziała pani przecież, że jestem znajomą twarzą...

– Och Boże, nie! Powiedziałałam znajomą, ale nie myślałam znajomą. Chodzi mi o to, że jedno krótkie popołudnie u Ginny nie jest tym rodzajem znajomości.

– Rozumiem, co pani ma na myśli. Do baru idzie się tymi schodami.

Sam wskazał na schody po lewej stronie, prowadzące do hotelowego baru w stylu amerykańskim. Ale Anne zatrzymała się, ciągle z ręką na jego ramieniu.

– Majorze – powiedziała z wahaniem – moje stopy wołają o pomoc, szyja mnie boli od patrzenia w górę, a ramię od tego cholernego paska od torebki. Chciałabym bardzo poświęcić trochę czasu na doprowadzenie siebie do porządku.

– Och, oczywiście – odparł Devereaux. – Jestem bezmyślny i głupi. Prawdę powiedziawszy to sam miałem zamiar doprowadzić się do porządku. Zostawiłem moje

przybory do golenia w Szwajcarii. – Podniósł w górę torbę z drogerii.

– To się wspaniale składa!

– Zadzwońię do pani za jakąś godzinę...

– Po co? Czy pan widział, jakie oni mają tu łazienki? Och! One są większe od damskich toalet u Dona. To znaczy w jego restauracjach. Tam jest mnóstwo miejsca. I te wielkie, cudowne ręczniki. Przysięgam, że to są wspaniałe, grube prześcieradła kąpielowe!

Ścisnęła go za ramię i uśmiechnęła się niewinnie.

– No cóż, to rzeczywiście rozwiązanie...

– Jedyne. Chodźmy, zamówimy sobie kilka drinków i zrelaksujemy się wspaniale.

Ruszyli do windy.

– To bardzo miło z pani strony...

– Piekielnie miło! Ginny powiedziała nam, że pan telefonował. Ona zbyt stanowczo narzuca nam swoją wolę. Teraz moja kolej. Był pan w Genewie?

Sam zatrzymał się:

– Powiedziałem Szwajcaria...

– Czy to nie Genewa?

Apartament Anne znajdował się również od strony Tamizy, również na szóstym piętrze i niecałe pięćdziesiąt stóp od jego.

„Szwajcaria. Czy to nie Genewa?” Kilka myśli przemknęło mu przez głowę, ale był zbyt zmęczony, by się nad nimi zastanowić. I po raz pierwszy od kilku dni odprężony. Nie pozwoli, aby jakiś problem zaprzętał mu głowę. Pokoje były prawie identyczne jak jego. Wysokie sufity z autentycznymi gzymsami; cudowne, stare meble – wypolerowane, funkcjonalne – biurka, stoły, obrazy, krzesła i sofa, która przyniosłaby zaszczyt Parke-Bernetowi. Stare zegary i lampy, których nie przybito gwoździami, ani nie przyczepiono do nich plastikowych tabliczek z informacją o właścicielu. Wysokie, kwaterowe okna z królewskimi draperiami po bokach, z których roztaczał się widok na rzekę; pobłyskiwały na niej światła małych łodzi, a dalej budynków i mostu Waterloo.

Siedział w salonie na sofie, z poduszkami pod głowę, bez butów, z wysoką szklanką w ręku. Program pierwszy BBC nadawał koncert Vivaldiego w wykonaniu Orkiestry Filharmonii Londyńskiej, a ciepło płynące z kaloryfera ogrzewało pokój i wypełniało go atmosferą wypoczynku. Dobre rzeczy przychodzą do tego, kto na nie zasłużył, pomyślał Sam.

Anne wyszła z łazienki i stanęła w drzwiach. Szklanka Devereaux zatrzymała się nagle w drodze do ust. Ubrana była – jeśli to dobre słowo – w prześwitujący szlafroczek, który niewiele pozostawiał wyobraźni, za to ją prowokował. Jej ciężkie, ale wymowne piersi, zakończone różowymi sutkami, nabrzmiały pod cienką warstwą materiału. Długie blond włosy opadały niedbale i zmysłowo na ramiona, dodając uroku twarzy. Wspaniale

ukształtowane nogi rysowały się pod peniuarem.

Bez słowa podniosła rękę i skinęła na niego. Wstał z sofy i poszedł za nią.

W wielkiej, wykładanej kafelkami łazience ogromna wanna pełna była pieniającej się wody; tysiące bąbelków wydzielalo zapach róż i wilgotnej wiosny. Anne wyciągnęła rękę i zdjęła mu krawat, a potem koszulę, odpięła klamerkę u paska, rozsunęła zamek spodni i ściągnęła je w dół. Uwolnił się od nich jednym kopnięciem. Położyła mu ręce na talii i ściągnęła szorty, jednocześnie klękając.

Usiadł na brzegu ciepłej wanny, kiedy ściągała mu skarpetki. Podtrzymała go za ramię, kiedy zanurzył się w wodzie; jego ciało zniknęło pod pieniającymi się, białymi bąbelkami. Wstała, zdjęła z szyi żółtą obrożę, a potem szlafrok, który opadł miękko na gruby biały dywanik. Była wspaniała. I weszła do wanny za Samem.

– Czy chcesz zejść na dół na obiad? – zapytała dziewczyna spod prześcieradła.

– Jasne – odpowiedział Devereaux spod tego samego przykrycia.

– Czy wiesz, że spaliśmy ponad trzy godziny? Jest prawie dziewięta trzydzieści.

Przeciagnęła się. Sam napawał się jej widokiem.

– Po obiedzie moglibyśmy pójść do jednego z pubów.

– Jeśli masz ochotę – powiedział Devereaux nie spuszczać z niej oczu.

Usiadła, a prześcieradło zsunęło się z ramion. Ciężkie lecz wymowne rzucały wyzwanie każdemu, kto się im przyglądał.

– Do licha – powiedziała Anne cicho, trącając go lekko, kiedy się odwracała w stronę Sama, który ledwie dostrzegał jej twarz. – Znowu byłam beczelna.

– Przyjazna jest lepszym słowem. Ja też jestem przyjazny.

– Wiesz, co mam na myśli. – Pochyliła się nad nim i ucałowała w oczy. – Mogłeś mieć inne plany, sprawy do załatwienia lub coś w tym rodzaju.

– Sprawy nie uciekną – wtrącił Sam ciepło. – Wszystko można dopasować, jeśli się na pierwszym miejscu postawi kaprys i przyjemność.

– To brzmi piekielnie seksy.

– Bo czuję się piekielnie seksy.

– Dziękuję.

– To ja ci dziękuję.

Sam wyciągnął rękę i przykrył ich prześcieradłem.

Dziesięć minut później (czy to było dziesięć minut, czy kilka godzin, pomyślał Devereaux) podjęli decyzję. Muszą coś zjeść, a przedtem wypić szybkie whisky z lodem zaprawione dymem, które stały w salonie na miękkiej sofie, przykryte dwoma miękkimi, ogromnymi ręcznikami kąpielowymi.

– Myślę, że dobrym słowem jest „sybarycki”.

Sam umocował ręcznik w pasie. BBC 1 nadawało teraz mieszankę utworów Noela Cowarda, a dym z ich papierosów dryfował w kierunku ciepłego, pomarańczowego światła z kominka. Tylko dwie lampy oświetlały pokój, który drzemał w baśniowej atmosferze.

– Sybarycki ma znaczenie samolubny – powiedziała dziewczyna. – A my się tym dzielimy. To nie jest samolubne.

Sam popatrzył na nią. Czwarta żona Hawkinsa nie była idiotką. Jak, do diabła, on tego dokonał? Czy rzeczywiście dokonał?

– Sposób, w jaki się tym dzielimy, jest sybarycki, wierz mi.

– Jeśli tak uważasz – odparła uśmiechając się i odstawiła szklaneczkę na stolik do kawy.

– Nieważne. Dlaczego nie ubierzemy się i nie pójdziemy coś zjeść?

– Dobrze, będę gotowa za kilka sekund. – Zauważyła jego zdziwione spojrzenie. – Naprawdę. Nie grzebię się godzinami. Mac raz powiedział... – Urwała zakłopotana.

– W porządku – rzekł łagodnie. – Chętnie tego posłucham.

– No więc powiedział kiedyś, że jeżeli starasz się zbyt mocno zmieniać warunki zewnętrzne, nie pomagasz, a jedynie komplikujesz wnętrze. Nie powinno się tego robić, jeśli nie ma się ku temu cholernie ważnego powodu. Albo jeżeli naprawdę nie lubisz siebie. – Wstała z sofy przytrzymując ręcznik wokół ciała. – Po pierwsze nie widzę żadnego powodu, a po drugie, to właściwie lubię siebie. Tego też mnie Mac nauczył. Lubię nas.

– Ja też – powiedział Devereaux. – Kiedy będziesz gotowa, pójdziemy do mojego pokoju.

– Dobrze. Pozapinam ci koszulę i zawiążę krawat.

Uśmiechnęła się i pobiegła do sypialni. Devereaux wstał, zarzucił ręcznik na ramiona i podszedł do barku, gdzie na srebrnej tacy stały butelki. Nalał sobie trochę szkockiej i pomyślał o łazienkowej filozofii Maca Hawkinsa.

Jeżeli starasz się zbyt mocno zmieniać warunki zewnętrzne – komplikujesz wnętrze. Nie było to złe, gdyby się nad tym zastanović.

Biała żarówka świeciła się przy drzwiach Devereaux. Sam i dziewczyna zauważyli ją równocześnie, idąc korytarzem do jego apartamentu. Oznaczało to, że w recepcji czeka wiadomość. Devereaux zaklął cicho.

Niech to diabli! Nie odetchnął jeszcze po Genewie. Hawkins mógłby przynajmniej pozwolić mu się wyspać.

– Takie światło zapaliło się dziś u mnie po południu – powiedziała Anne. – Wróciłam, żeby zmienić buty i zobaczyłam je. To znaczy, że jest do ciebie telefon.

– Albo wiadomość.

– U mnie to był telefon. Od Dona, z Santa Monica. W końcu mu się odpłaciłam. Wiesz, w Kalifornii była dopiero ósma rano.

– To miło z jego strony, że wstał tak wcześnie i zatelefonował.

– Nie za bardzo. Mój mąż ma dwie rzeczy w Santa Monica: restaurację i dziewczynę. Restauracji nie otwierają o ósmej rano. Wybacz moją szczerłość. Myślę, że Don chciał się po

prostu upewnić, że rzeczywiście znajduję się o siedem tysięcy mil stąd.

Anne uśmiechnęła się rozbijającą. Nie bardzo wiedział, co w takiej sytuacji ma odpowiedzieć.

– Jest sporo kłopotów z takim... no... sprawdzaniem.

Sam zapalił światło w korytarzu. Lampy w saloniku świeciły się, tak jak je zostawił pięć godzin temu.

– Mój mąż cierpi na chorobę umysłową właściwą tym, którzy schodzą z drogi cnoty. Jestem pewna, że jako adwokat spotkałeś się z tym. Cholernie się boi, że zostanie przyłapany. Nie w sensie moralnym, rozumiesz. Jeśli jest naładowany, pyszni się tym. Tylko w sensie finansowym; trzęsie się, że jakiś sąd każe mu słono zapłacić, jeśli postanowię odejść.

Weszli do saloniku. Chciał coś powiedzieć, ale znowu nie bardzo wiedział co. Wybrał najbezpieczniejsze wyjście.

– Myślę, że ten człowiek oszalał.

– Jesteś słodki, ale nie musiałeś tego mówić. Z drugiej strony, przypuszczam, że to była najbezpieczniejsza rzecz, jaką mogłeś powiedzieć...

– Mówmy o czymś innym – powiedział szybko, wskazując kanapę i stolik do kawy z leżącymi na nim gazetami. – Usiądź, za minutę będę gotowy. Nie zapomniałem: zapinasz mi koszulę i zawiązujesz krawat.

Ruszył w stronę sypialni.

– Nie zadzwonisz do recepcji?

– To może poczekać! – odwrzucił z sypialni. – Nie mam zamiaru, by coś zakłóciło nam obiad. Albo tę drugą sprawę, pokazania ci jakiegoś pubu, jeżeli będą otwarte.

– Jednak chyba powinienes się dowiedzieć, kto próbował cię złapać. To może być ważne.

– Ty jesteś ważna! – odwrzucił Sam, wyjmując brązowy, wełniany garnitur z topornej walizy.

– To może być sprawa najwyższej wagi! – odwrzuciła mu dziewczyna z saloniku.

– Ty jesteś sprawą najwyższej wagi – odpowiedział wybierając koszulę w czerwone paski z następnej warstwy ubrań.

– Nie mogłabym nie odebrać telefonu lub nie sprawdzić, kto dzwonił, nawet gdyby nazwisko nic mi nie mówiło. To zbyt lekceważące.

– Nie jesteś adwokatem. Spróbuj takiego złapać następnego dnia po tym, jak go wynajęłaś. Jego sekretarka skłamała, jak Aimee Semple McPherson.

– Dlaczego? – Anne stała teraz w drzwiach sypialni.

– No cóż, dostał twoje pieniądze i przymawia się o następne. Przecież twoja sprawa wymaga prawdopodobnie wymiany listów z adwokatem strony przeciwnej i różnych innych wyjaśnień. Nie chce po prostu komplikacji.

Anne podeszła do niego, kiedy wkładał koszulę w czerwone paski. Zaczęła ją zapinać z nonszalancją.

– Jesteś bardzo pewny siebie. To obcy kraj...

– Nie tak bardzo obcy – uśmiechnął się. – Byłem tu już przedtem. Nie pamiętasz, że jestem twoim przewodnikiem?

– Chodzi mi o to, że właśnie przybyłeś z Genewy, gdzie czuleś się fatalnie...

– Nie tak znowu bardzo. Jakoś przeżyłem.

– ... a teraz ktoś desperacko próbuje cię odnaleźć.

– Kto jest zdesperowany? Nie znam nikogo zdesperowanego.

– Na litość boską! – dziewczyna szarpnęła kołnierzyk zapinając go. – Takie rzeczy mnie denerwują!

– Dlaczego?

– Bo czuję się odpowiedzialna.

– Nie powinnaś.

Devereaux był zafascynowany. Anne zachowywała się bardzo serio. Zastanawiał się czy...

W tym momencie zadzwonił telefon.

– Halo?

– Pan Samuel Devereaux? – zapytał zdecydowany męski głos o brytyjskim akcencie.

– Tak, tu Sam Devereaux.

– Czekałem na pański telefon...

– Właśnie wszedłem – przerwał Sam. – Nie zdążyłem jeszcze sprawdzić wiadomości. Kto mówi?

– W tej chwili po prostu numer telefonu.

Devereaux czuł, że ogarnia go irytacja.

– Wobec tego czekałby pan całą noc. Nie rozmawiam z numerami telefonicznymi.

– Proszę pana – głos był zdenerwowany nie oczekuje pan telefonu od żadnej innej osoby.

– To zakrawa na zarozumialstwo, myślę...

– Niech pan myśli, co się panu podoba. Bardzo się spieszę i wystarczająco mnie pan już zirytował. Więc gdzie pan chciałby się spotkać?

– Nic mi o tym nie wiadomo, że chciałbym. Odpieprz się, Bazyli, czy jak tam się nazywasz.

Tym razem z drugiej strony telefonu zaległa cisza. Sam usłyszał ciężki oddech. Po kilku sekundach „numer telefoniczny” się odezwał.

– Na miłość boską, niech się pan zlituje nad starym człowiekiem. Nie zrobiłem panu nic złego.

Sama nagle coś tknęło. Ten człowiek był zdesperowany. Przypomniawszy sobie ostatnią rozmowę z Hawkinsem.

– Czy pan jest...

– Bez nazwisk, proszę!

– Dobrze. Żadnych nazwisk. Czy pana mogą rozpoznać?

– Natychmiast. Myślałem, że pan o tym wie.

– Nie wiedziałem. Wobec tego spotkajmy się gdzieś na uboczu.

– To oczywiste. Myślałem, że to też pan wie.

– Niech pan przestanie się powtarzać! – Devereaux zaczynała ogarniać pasja, jakby rozmawiał z Hawkinsem. – I lepiej wybierze to miejsce, jeśli pan nie chce przyjść do „Savoyu”.

– To byłoby niemożliwe. Mam kilka domów na Belgravii. Jeden to Hampton Arms, czy pan wie, gdzie to jest?

– Mogę się dowiedzieć.

– Dobrze. Będę tam na pana czekał. Apartament czterdzieści siedem. Dojazd do Londynu zajmie mi około godziny.

– Nie ma pośpiechu. Nie chcę spotkać się za godzinę.

– Tak? Wobec tego o której?

– O której zamykają puby?

– O północy, za godzinę.

– Cholera!

– Słucham?

– Spotkajmy się o pierwszej.

– Doskonale. Ochrona Hampton będzie zawiadomiona. Proszę pamiętać, bez nazwisk. Tylko apartament czterdzieści siedem.

– Czterdzieści siedem.

– I, Devereaux, proszę przynieść papiery.

– Jakie papiery?

Przerwa była teraz dłuższa, Anglik oddychał ciężiej.

– Tę przekłętą umowę, ty ośle!

Dziewczyna nie tylko zgodziła się, by ich obiad trwał krócej, bo będzie musiał wyjść z hotelu, ale wydawała się bardzo tym podniecona.

Sama coraz mniej to dziwiło. „Dlaczego” uciekło mu, ale „co” stało się jaśniejsze. Przystał na wspólnego nocnego drinka po powrocie. „Godzina jest nieważna”, powiedziała Anne. Dała mu swój klucz.

Taksówka zatrzymała się przed Hampton Arms. Na wzmiankę o apartamencie numer 47 portier poprowadził go szybko i dyskretnie przez służbówkę, potem krótkimi tylnymi schodami i windą towarową prosto pod drzwi apartamentu.

Złowieszczo wyglądający mężczyzna z północnym akcentem zapytał go o nazwisko, a następnie poprowadził Sama przez spiżarnię, ogromny living room, hall do słabo oświetlonej biblioteki, gdzie przy oknie w cieniu siedział brzydki stary człowiek. Drzwi się zamknęły. Devereaux stał przyzwyczajając wzrok do nikłego światła i do nieładnego starca w fotelu.

– Pan Devereaux, jak się domyślam – odezwał się pomarszczony staruszek.

– A pan musi być Danforthem, o którym mówił Hawkins.

– Lordem Sidneyem Danforthem. – Brzydki, mały człowieczek wypluwał brzydkie słowa i nagle jego głos stał się słodki jak ulepek.

– Nie wiem, jak pański pracodawca doszedł do tego, ale do niczego się nie przyznaję. To wszystko jest takie bezsensowne. I tak odległe. Mniejsza z tym, jestem dobrym i miłosiernym człowiekiem. Zupełnie wyjątkowym człowiekiem. Daj mi te przeklęte papiery!

– Co?

– Umowę, ty nieznośny kretynie!

Oszołomiony, sięgnął do wewnętrznej kieszeni po złożoną kopię umowy Shepherd'a. Podszedł do brzydkiego małego człowieczka i podał mu ją. Danforth wysunął gdzieś z boku fotela blat i wcisnął przycisk lampy umocowanej do pulpitu. Chwycił papiery i zaczął je uważnie studiować.

– Doskonale! – powiedział sapiąc i strzelając palcami. – One nie mówią absolutnie nic!

Następnie sięgnął po pióro i zaczął wypełniać puste miejsca. Kiedy skończył, złożył papiery i wręczył je ze wstrętem Devereaux.

– A teraz wynoś się! Jestem cudownym człowiekiem, wspaniałomyślnym ofiarodawcą, skromnym multimilionerem, którego wszyscy podziwiają. W pełni zasługuję na nadzwyczajne honory, którymi zostałem obsypany. Wszyscy o tym wiedzą. I nikt, powtarzam nikt, nie może łączyć mnie z takim szaleństwem! Ja tylko głoszę braterstwo, rozumiesz mnie? Braterstwo!

– Niczego nie rozumiem – odpowiedział Sam.

– Ani ja – odparł Danforth. – Transfer zostanie dokonany na Kajmanach. Bank jest powiadomiony i dziesięć milionów zostanie przelane w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Wówczas skończę z wami!

– Kajmany?

– To na Karaibach, ośle.

Rozdział XII

Zobaczył maleńkie białe światełko błyszczące w korytarzu. Nie musiał podchodzić bliżej, by się domyślić, że to przy jego drzwiach. Wystarczyła sekunda, by je ominąć i zamiast tego pójść do apartamentu Anne.

- Jeśli to nie ty, będę miała problem! – zawołała z sypialni.
- To ja. Wszystkie twoje problemy, to szczęśliwe problemy.
- Lubię takie.

Devereaux wszedł do dużej sypialni z oknami wychodzącymi na rzekę. Anne siedziała przy lampie z kolorową książką w ręku.

- Co to? – zapytał. – Wygląda zachęcająco.
- Cudowna opowieść o żonach Henryka VIII. Zdobyłam ją dziś rano w Tower. Ten człowiek był potworem!
- Nie bardzo. Większość jego kłopotów była natury geopolitycznej.
- Raczej były one w jego kroczu.
- To brzmi bardziej historycznie niż mogłabyś sądzić. Co z tym drinkiem?
- Najpierw musisz zatelefonować. Obiecałam, że będzie to pierwsza rzecz, jaką zrobisz po powrocie.

Dziewczyna spokojnie przewróciła stronę. Sam był nie tylko zdziwiony, lecz i zaintrygowany.

- Co powiedziałaś?
- Dzwonił MacKenzie. Z Waszyngtonu. – Odwróciła następną stronę.
- MacKenzie? – Devereaux nie mógł się opanować i ryknął: – Tak po prostu oznajmiasz, że dzwonił MacKenzie! Siedzisz tutaj, jakbyś słyszała, co się dzieje w centrali. Skąd wiesz, że dzwonił? Czyżby dzwonił do ciebie?
- Doprawdy, Sam, przestań być taki zawzięty. – Z obrażoną miną odwróciła następną przekłętą stronę. – Nie mogę się zachowywać tak, jakbym go nie znała. W końcu...
- Bardzo cię proszę, oszczędź mi tych obmierzłych porównań. Chciałbym się jedynie dowiedzieć o tym nadzwyczajnym zbiegu okoliczności, kiedy ty, siedem tysięcy mil od domu, odbierasz telefon od eks-męża, który telefonuje do mnie – trzy tysiące mil od Nowego

Jorku.

– Jeśli się uspokoisz, to ci powiem. Jeśli nie, wracam do lektury.

Devereaux pomyślał, że chętnie by się czegoś napił, ale stłumił gniew i powiedział spokojnie:

– Jestem spokojny i bardzo chciałbym, żebyś mi powiedziała. Proszę.

Anne odłożyła książkę i popatrzyła na niego.

– Po pierwsze Mac był równie wściekły jak ty, kiedy z nim rozmawiałam.

– Jak mogłaś z nim rozmawiać?

– Ponieważ się niepokoiłam.

– To jest odpowiedź na pytanie dlaczego, a nie jak.

– Jeśli odwołasz się do pamięci, a myślę, że ci się uda, jeśli tylko się bardzo postarasz, to przypomnisz sobie, że zostawiłeś mnie na dole. Było późno, więc nalegałam na to. Powiedziałam ci, że wypiszę czek i pójdę na górę. Czy do tej pory wszystko w porządku?

– Jestem ci winien obiad. Mów dalej.

– Miły młody człowiek w białym krawacie i we fraku podszedł do mnie i powiedział, że jest pilny telefon z Atlantyku do ciebie. Czy oni zawsze tak się ubierają?

– Taki jest zwyczaj w „Savoyu”. Co mu powiedziałaś?

– Że wrócisz bardzo późno. Nie byłam pewna kiedy. Wydawał się zdenerwowany, więc zapytałam, czy mogłabym mu pomóc. Powiedział, że telefonuje generał Hawkins z Waszyngtonu. Myślę, że ranga i miasto tak go zdenerwowały. Mac zawsze tak robi; w ten sposób lepiej go obsługują. Powiedziałam mu, żeby się tym nie martwił. Porozmawiam ze starym pierdołą. Bardzo go to ucieszyło. – Anne wróciła do książki.

– Teraz idź i zadzwoń do niego. Numer jest na biurku w drugim pokoju. Jest również na biurku w twoim pokoju i na dole. Bardzo mi schlebia, że najpierw tu przyszedłeś.

To brzmi prawdopodobnie, pomyślał Sam. Tkwi w tym szczypta prawdopodobieństwa, tak jak w możliwości istnienia innych cywilizacji w przestrzeni galaktycznej.

– Co Hawkins powiedział? Czemu był wściekły?

– Och, pewnie dlatego, że posłyszał mój głos – odparła dziewczyna, niechętnie podnosząc oczy znad książki. – Zaczął przeklinać, krzyczeć i wydawać rozkazy. Powiedziałam mu: „Mac, idź i wyszoruj sobie usta mydłem do prania!” Kiedyś często mu to powtarzałam. To oznacza, że używa języka, od którego staraliśmy się trzymać z dala od czasów Belle Isle. W każdym razie to poskutkowało i wybuchnął śmiechem. – Anne zamyśliła się. Wraca wspomnieniami do przeszłości, pomyślał Sam, a te wspomnienia wcale nie należą do przykrych. – Zapytał, czy pozbyłam się już tego luksusowego gogusia – tak nazywa Dona – a jeżeli nie, to dlaczego. I jakim ty jesteś miłym facetem. Wiesz, Mac dużo o tobie myśli. W każdym razie to ważne, byś do niego oddzwonił. Powiedziałam, że będzie strasznie późno, może nawet trzecia nad ranem, lecz on powiedział, że nic nie szkodzi. W Waszyngtonie będzie dopiero dziesiąta.

– Czy to nie może zaczekać do rana?

– Nie. Mac był bardzo stanowczy. Powiedział, że gdybyś pomyślał o odłożeniu jej, mam ci przypomnieć pewnego włoskiego dżentelmena, który pytał o ciebie.

– Czy dodał, że prowadzi zakład pogrzebowy?

– Nie, ale myślę, że powinieneś do niego zatelefonować. Jeśli chcesz być sam, możesz skorzystać z telefonu w drugim pokoju.

– Cholera, chłopcze, świat jest naprawdę mały! Zmieniasz półkulę i na kogo się natykasz? Na maleńką, starą Anne. Nie dlatego, żeby była stara, rozumiesz?

– Rozumiem – wszedł mu w słowo Sam – że masz pozdrowienia dla mnie od Dellacroe. Co tym razem powiedział ci twój głęboko religijny przyjaciel? Że ukrzyżowałem Jezusa?

– Do diabła, nie! To był tylko mały wybieg, na wypadek gdybyś nie chciał zadzwonić. Nawet nie rozmawiałem z Dellacroe. Nie sądzę, by miał ochotę na dalsze kontakty. Czy dzięki temu czujesz się lepiej?

Devereaux zapalił papierosa. To pozwoliło mu uśmierzyć lekki ból w żołądku.

– Powiem ci prawdę, Mac. Denerwuje mnie to, że w ogóle dzwonisz. Mam uczucie, że za chwilę powiesz coś, co nie przybliży mnie ani na milimetr do Bostonu, mojej matki i mojego prawdziwego pracodawcy Aarona Pinkusa. Oto jakie uczucia wywołuje we mnie twój wybieg.

Nastąpiła długa seria cmoknięć na linii Waszyngton-Londyn.

– Jesteś bardzo podejrzliwą osobą. Odzywa się w tobie adwokat. Jak ci poszło z Danforthem?

– To szaleniec. Wydziela gorąco i zimno jak psychopata. Poza tym podpisał papiery. Wchodzi z dziesięcioma milionami z powodów, których nawet nie potrafię wytłumaczyć. Bank jest na Kajmanach, co jest przyczyną, jak przypuszczam, twego telefonu.

– Czy myślisz, że chciałem cię poprosić, byś pojechał na Kajmany?

– Przemknęło mi to przez myśl.

– Nie zrobiłbym tego. Kajmany nie są wcale zabawne. Małe, parne miejscowości z mnóstwem banków i nadętymi bankierami. Próbują tam stworzyć nową Szwajcarię... Nie, sam tam polecę i zajmę się wszystkim. A ty masz kolejne dziesięć tysięcy na twoim koncie. Pomyślałem, że chciałbyś o tym wiedzieć.

– Mac! – Devereaux poczuł ostry, palący ból w żołądku. – Nie możesz tego zrobić!

– To nic trudnego, chłopcze. Wypełniasz tylko odpowiedni czek depozytowy.

– Nie to miałem na myśli! Nie masz prawa wkładać pieniędzy na moje konto!

– Bank nie ma nic przeciwko temu...

– Bank nie będzie miał nic przeciwko temu! To ja jestem temu przeciwny! To ja się sprzeciwiam! Chryste, czy ty nie rozumiesz? To znaczy, że mnie oplądasz!

– Dziesiąta część jednego procenta? Do diabła, chłopcze, to czysty wyzysk!

– Nie chcę być opłacany! Nie chcę żadnych pieniędzy od ciebie! To czyni mnie współwinnym!

– Nic mi o tym nie wiadomo, ale to nie w porządku wykorzystywać czas i talent drugiej osoby i nie płacić jej za to.

Głos Hawkinsa miał łagodne brzmienie Apostoła pokoju.

– Och, zamknij się, ty sukinsynu! – powiedział Devereaux, czując zbliżającą się klęskę. – Pomijając Danfortha, po co telefonowałaś?

– Kiedy już o tym wspomniałaś, to jest pewien gość w Berlinie Zachodnim. Chciałbym, żebyś z nim porozmawiała.

– Poczekaj, nie mów – przerwał mu Sam ze znużeniem w głosie. – Bilet na samolot i hotelowa rezerwacja będą czekać na dole w „Savoyu”, zanim zdążę powiedzieć „stół z powyłamywanymi nogami”.

– W każdym razie najpóźniej jutro rano.

– Okay, Mac, wiem, że wpadłem.

Wchodził w to coraz głębiej. W jakiś sposób, pewnego dnia, będę musiał się wydostać, pomyślał.

MacKenzie zanotował: \$ 20.000.000, a potem zapisał słowami: *Dwadzieścia milionów dolarów*.

Dziwne, ale to nie zrobiło na nim żadnego wrażenia. To są jedynie środki, nie cel sam w sobie. Przyszło mu do głowy, że mógłby to po prostu nazwać dniem wypłaty, zwinąć interes i wycofać się na południe Francji. Z pewnością ani Dellacroce, ani Danforth nie wnieśliby skargi. Ale nie o to chodziło. Pieniądze były jednocześnie środkiem do celu i produktem ubocznym, na swój sposób usankcjonowaną formą kary. Te dwa ptaszki zasługiwały na to, co ich spotkało. Ale czasu było niewiele i nie mógł sobie pozwolić na żadne uboczne myśli. Do lata pozostało zaledwie parę miesięcy, a było jeszcze mnóstwo do zrobienia. Dobór i szkolenie personelu pomocniczego zajmie sporo czasu. Zakup i wyposażenie bazy wypadowej następczą sporo trudności, szczególnie zakup ekwipunku. Same próby potrwią kilka tygodni. Słowem, jest mnóstwo do zrobienia w krótkim czasie. Dlatego kusilo, by zmienić taktykę i zaczynać z niepełnym kapitałem, ale to nie byłoby wskazane. Ustalił cyfrę czterdziestu milionów nie tylko dla liczebnej symetrii w stosunku do czterystu milionów (choć nieźle to wyglądało w umowie, którą wypełnił), ale dlatego, że czterdzieści milionów załatwiało wszystko, włączając w to najbardziej skrajne, nieprzewidziane wydatki, skądinąd rozumiane jako szybka ewakuacja bazy operacyjnej. Musiało być czterdzieści milionów. Był już gotowy ze swoim trzecim inwestorem, Heinrichem Koenigiem z Berlina.

Herr Koenig był łatwym przeciwnikiem. Podczas gdy Sidney Danforth nadużył swego

modus operandi w Chile, a Angelo Dellacroce był po prostu niedbały, jeśli chodzi o swoje śródziemnomorskie wpłaty i zbyt ostentacyjny w sposobie życia, Heinrich Koenig nie popełnił żadnych widocznych błędów i wiódł spokojne życie właściciela ziemskiego w cichym, sielskim miasteczku dwadzieścia kilka mil od Berlina. Ale dwadzieścia dwa lata temu Koenig prowadził wyjątkowo niebezpieczną grę. Grę, która nie tylko przyniosła mu fortunę, lecz również umożliwiła przeprowadzenie z sukcesem wielu przedsięwzięć.

W czasie największego nasilenia zimnej wojny Koenig pełnił podwójną rolę: agenta i szantażysty. Zaczął od przekazywania tajnych informacji obu stronom, potem wyłudzał pieniądze – opłacany przez zwalczające się komórki wywiadu – od tych, którzy szukali ochrony przed zdemaskowaniem. Wkrótce uzyskał wszelkie możliwe udogodnienia, łącznie ze zwolnieniem od opłat celnych dla swoich nowych spółek, od wielu krajów zależnych od dobrej woli obu mocarstwowych przeciwników. W końcu, z wdziękiem Mefistofelesa, zmusił Waszyngton, Londyn, Berlin, Bonn i Moskwę do zwolnienia jego spółek z obowiązujących przepisów, rządzących w przemyśle. Osiągnął to wyjaśniając, że w przeciwnym razie poinformuje innych o ich dawnej działalności. A potem, ku wielkiej uldze wielu rządów, wycofał się. Zbudował swoje imperium na ciałach – zmarłych i przerażonych – połowy zbiurokratyzowanej i przemysłowej populacji Europy i Ameryki. Pozostał nietknięty z powodu bardzo oczywistego strachu przed reakcją łańcuchowo-odwetową. Któryż biurokrata, podsekretarz, minister lub mąż stanu (a któraż głowa państwa) pozwoliłaby na otwarcie puszkii Pandory? Toteż po wycofaniu się pozostał równie bezpieczny jak w okresie dni ciszy i spokoju swojej wściekłej działalności.

Strach stanowił broń Koeniga. Lecz ten sam strach zniknął, jeżeli człowiek gwizdał sobie z reakcji lub odwetów kół rządowych, przemysłowych czy międzynarodowych.

I w tym właśnie tkwiła broń Hawkinsa.

Ta ogromna międzynarodowa armia ofiar ruszyłaby jak burza, gdyby wiedziała, że może się zemścić bez konsekwencji, wiedząc o tym, że jeszcze ktoś zna ich dawne grzechy. Ujawnienie tej tajemnicy było groźbą Maca.

Koenig z pewnością zrozumie logikę takiego podejścia do sprawy. To właśnie brak tej logiki zapewnił mu fortunę. Łatwo mógł sobie wyobrazić skutki kilkuset telegramów wysłanych jednocześnie do kilkuset mieszkańców białych domów na całym świecie. O tak, przekonałby się o tym, z chwilą gdy ogień zaporowy z nazwisk, dat i działalności ruszyłby na niego.

MacKenzie wziął kopie akt z łóżka, trzymając je w odpowiedniej kolejności i przeniósł je na stolik do kawy stojący przy kanapie. Usiadł i czerwonym flamastrem zakreślił dwa lub trzy punkty na każdej stronie.

Sprawy układały się wspaniale. Problem sprowadzał się jedynie do realnej oceny czyichś możliwości i dostępnej logistyki do ich skompletowania. Wziął kopie, podszedł do biurka i rozłożył papiery przed telefonem. Był gotowy do chłodnego, beznamiętnego wyliczenia spisu

międzynarodowych oszustw, który wywołałby rumieniec na twarzy Dzyn-gis-chana.

Heinrich Koenig wyłoży dziesięć milionów dolarów.

Devereaux miał ciemne obwódki wokół oczu ze zmęczenia, kiedy przechodził przez urząd celny na lotnisku Tempelhof w Berlinie, przygotowany na to, że oficjalnie czekający neonazista, sprawdzający mu papiery i bagaż, ostempluje mu czoło. Chryste, pomyślał, dać Niemcowi pieczętkę, a zacznie szaleć.

W pewnej chwili otworzył szeroko oczy ze zdumienia widząc wnętrze własnej walizki. Wszystko było ułożone schludnie i porządnie, jakby pakował je Bergdorf Goodman. On nigdy tak nie pakował swoich walizek. Potem, jak przez mgłę, przypomniał sobie, że Anne się wszystkim zajęła. Nie tylko go spakowała, ale zeszła razem z nim do recepcji i pomogła mu uregulować rachunek.

Zrobiła to wszystko, pomyślał, bo sam nie był w stanie wiele zrobić. Szaleństwo kłopotów przywiodło go do walki z butelką szkockiej. Przegrał. Jediną rzeczą, o której pamiętał, było wysłanie pocztą lotniczą tej cholernej umowy do Hawkinsa.

„Kempinsky Hotel” w Berlinie był niemiecką wersją starego „Sherry-Netherland” w Nowym Jorku z nieco bardziej surowym wnętrzem. Ogromne fotele w hallu wydawały się zrobione raczej z cementu niż ze skóry. Pomimo krzyczącego bogactwa, polerowanego ciemnego drewna i straszliwie przyzwoitych urzędników Sam czuł, że jego słabe, zorientowane na demokrację wnętrza, nie są w stanie tego strawić!

Recepcja załatwiła go sprawnie i szybko. Został odprowadzony przez nieprzyjemnego, starzejącego się SS Oberführera, który potraktował jego walizkę tak, jak gdyby zawierała bajgielki i wędzone łososie. W apartamencie (był ogromny – Mac Hawkins rzeczywiście załatwił mu pierwszą klasę) Oberführer rozjaśniał ciemności w pokojach z godnością człowieka przyzwyczajonego do wydawania rozkazów oddziałowi wojskowemu. Devereaux bojąc się o swoje życie, dał mu napiwek i grubiańsko odprawił za drzwi rzucając łaskawe „auf Wiedersehen”.

Otworzył walizkę. Anne przewidująco zawinęła mu butelkę whisky w ręcznik kąpielowy. Jeśli kiedykolwiek był czas na to, by przepłukać niestrawność, to teraz. Niewielką ilością, potrzebną na uruchomienie silnika. Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Sam tak się przestraszył, że wypluł całą whisky na łóżko. Zakorkował butelkę i gorączkowo zaczął szukać miejsca, by ją ukryć. Pod poduszką! Pod kapą na łóżko! Nagle oprzytomniał. Co on wyprawia? Co się z nim dzieje, do diabła? Niech cię cholera, MacKenzie Hawkinsie!

Odetchnął głęboko i spokojnie postawił butelkę na komodzie.

Jeszcze raz odetchnął głęboko, otworzył drzwi i natychmiast, mimo woli, wypuścił całe powietrze z płuc.

W drzwiach stała blond Afrodyta z Palo Alto w Kalifornii, zarejestrowana w jego pamięci

jako małe i spiczaste. Trzecia pani MacKenzie Hawkins. Lillian.

– Wiedziałam, że to ty! Powiedziałam do tego człowieka w recepcji, że to musisz być ty!

Sam nie był pewny, dlaczego sklasyfikował Lillian jako „małe i spiczaste”. „Małe” wyrządzały tej damie niesprawiedliwość. Być może był to przymiotnik pomocniczy, punki wyjścia do porównania z pozostałymi trzema biustami.

Devereaux snuł te absurdalne myśli i – był tego świadom – gapił się jak dwudziestolatek, oglądający po raz pierwszy magazyn „Artists and Models”, na Lillian siedzącą w drugim kącie pokoju i tłumaczącą, że przyleciała do Berlina trzy dni temu na dwutygodniowy kurs smacznej kuchni.

Wszystko to było niewiarygodne. Jako zręczny adwokat wiele razy analizował zapisy przestępczych umysłowości, wychytując kłamstwa u doświadczonych oszustów na wszystkich poziomach społecznej dżungli. Pomimo zmęczenia fizycznego i psychicznego nie należał do ludzi, którzy dają się łatwo kierować i postara się, aby trzecia pani MacKenzie Hawkins się o tym dowiedziała! Popatrzył na nią groźnie, a potem wrzucił w myślach ramionami. Pal to diabli!

– Tak więc jesteś tu, Sam. Mogę nazywać cię Sam, prawda? To zdumiewające, do czego może zaprowadzić zainteresowanie dobrą kuchnią.

– Tak ci się tylko wydaje, Lillian! Oto jak zbiegi okoliczności stają się naprawdę... przypadkowe!

Śmiech Sama zabrzmiał niemal histerycznie. Robił, co mógł, by panować nad oczami. Był jednak zbyt zmęczony. Po prostu poddał się i pozwolił swoim oczom na swobodę.

– Nie mogłabym sobie wymarzyć lepszego sposobu zwiedzania Berlina. Jeżeli będziemy mieć szczęście, znajdziemy i kort tenisowy! Słyszałam, że w hotelu jest basen, może i sala gimnastyczna... – Lillian umilkła, a Devereaux poczuł, że czegoś mu brakuje. W takim stanie ducha najlepszym lekarstwem był cichy, monotony, słodki potok słów. – Może jestem zbyt obcesowa? Czy podróżujesz sam?

Wiedział, że nie powinien. Nie powinien.

– Bardziej sam, niż kiedykolwiek w życiu.

– No cóż, nam z pewnością to nie grozi. Nie obraż się, ale wyglądasz na śmiertelnie zmęczonego. Myślę, że zapracowałeś się prawie na śmierć. Potrzebujesz kogoś, kto by się tobą zaopiekował.

– Jestem tylko własnym gorącym cieniem...

– Moje biedne jagniątko. Choć tutaj i pozwól, że rozmasuję ci ramiona. To czyni cuda.

– Jestem nędznym szczątkiem. Czuję się jak w próżni, jak w ciekłym ołowiu...

– Jesteś wyczerpany, moje jagniątko. Dobry chłopiec. Wyciągnij się i połóż głowę na kolanach Lilly. Ojej, masz takie gorące skronie. A mięśnie szyi zbyt napięte. O tak, tak już lepiej. Czy nie czujesz się lepiej?

Tak było. Czuł, jak jej zwinne palce rozpinają koszulę, a delikatne ręce przesuwają się po

piersi pieszcząc mu ciało anielskim dotykiem. Co za piekło. Otworzył oczy i tuż nad twarzą zobaczył dwie wspaniałe piersi. Ten widok był nie do zniesienia.

– Czy lubisz gorące wanny z mnóstwem bąbelków, które pachną jak róże i jak wiosna? – zapytał szeptem.

– Nie w tej chwili – odszepnęła. – Lubię gorące prysznice na stojąco.

Sam się uśmiechnął.

Rozdział XIII

Zapach wypełniał powietrze wokół niego. Nie potrzebował otwierać oczu, aby domyślić się, skąd pochodzi.

Jeśli był w stanie odtworzyć poprzedni wieczór z jakąś dokładnością – a spokój poniżej pasa przekonał go, że mógł – to spędzili większą część nocy pod prysznicem.

Sam otworzył oczy. Lillian siedziała obok, oparta o poduszki, z okularami w rogowej oprawie na uroczym zadartym nosku. Miała przed sobą wielki arkusz kartonu. Białe prześcieradło przykrywało biust, lecz nie na tyle, by nie mógł dostrzec jej wspaniałych kształtów.

– Cześć – powiedział cicho.

– Dzień dobry! – Spojrzała na niego i uśmiechnęła się. – Wiesz, która godzina?

Ta blond istota to okaz zdrowia, pomyślał. Z pewnością to rezultat jazdy na desce w Kalifornii albo MacKenzie Hawkins nauczył ją tych ćwiczeń gimnastycznych.

– Mój zegarek jest pod prześcieradłem na moim ręku. Nie mam pojęcia, która godzina.

– Dwadzieścia po dziesiątej. Spałeś jedenaście godzin. Jak się czujesz?

– Chcesz mi powiedzieć, że poszliśmy spać, to znaczy zasnąłem o wpół do dwunastej wieczorem?

– Pewnie słyhać ciebie było aż przy Bramie Brandenburskiej. Ciągle cię trącałam, byś przestał chrapać. Byłeś wyjątkowo operowy. Jak twoja głowa?

– Zupełnie spokojna. Zastanawiam się, dlaczego.

– To ta para. I gimnastyka. Nie jesteś w stanie dużo wypić. Myślę, że twój krwiobieg się zbuntował.

Lillian wzięła ołówek z szafki przy łóżku i poprawiła coś na kartonie.

– Wspaniale pachniesz – powiedział przyglądając się jej i przypominając sobie to, co widział z głową na jej kolanach i anielskie dotknięcia na piersi.

– Ty także, jagniątko – odparła uśmiechając się i patrząc na niego. – Czy wiesz, że masz wspaniałe ciało?

– Ma swoje zalety.

– Chodzi mi o to, że masz wspaniale zbudowane ciało, proporcjonalne i harmonijne. To

wielka szkoda, że pozwalasz mu się rozpadać.

Postukała okularami w podbródek, jak lekarz badający stan chorego po operacji.

– Nie posunąłbym się aż tak daleko. Grałem kiedyś w lacrosse’a. I byłem całkiem niezły.

– Jestem pewna, że grubo ponad dziesięć lat temu. Teraz spójrz tu. – Lilly odłożyła okulary i odrzuciła koc z piersi Devereaux. – Popatrz tutaj. I tu, i tu, i tu. Żadnych mięśni. Tkanka mięśniowa nie ćwiczona od lat. I tu też.

– Au!

– Twoje *latissimi dorsi* nie istnieją. Kiedy ostatni raz się gimnastykowałeś?

– Ostatniej nocy, pod prysznicem.

– Ten aspekt twojej formy absolutnie nie wchodzi w grę. To jest drugorzędna sprawa całej istoty...

– Dla mnie nie jest.

– ... zależna od układu mięśniowego. Twoje ciało jest świątynią. Nie pozwól mu się rozpaść i zmarnieć przez lekceważenie i niewłaściwe traktowanie. Staraj się je udoskonalić! Daj mu szansę wyciągnięcia się, oddychania i bycia użytecznym. Oto do czego ono jest przeznaczone. Popatrz na MacKenzie’ego...

– Wnoszę sprzeciw! Nie chcę patrzeć na MacKenzie’ego!

– Mówię w sensie klinicznym.

– Wiem – zamruczał Devereaux pokonany. – Nie mogę się od niego uwolnić. Opętał mnie.

– Czy zdajesz sobie sprawę, że Mac ma dobrze po pięćdziesiątce? I spójrz na jego ciało, w jakim jest doskonałym stanie. To mocna sprężyna, wspaniale uformowana...

Oczy Lilly zapatrzyły się w dal. Tak jak to zrobiła Anne w „Savoyu”. Wspominała, jak Anne – a te wspomnienia nie były przykre.

– Na litość boską – powiedział Sam – Hawkins spędził całe życie w wojsku. Biegając, skacząc, zabijając, torturując. Musiał być w formie po to, żeby przeżyć. Nie miał wyboru.

– Mylisz się. Mac rozumie, jak ważna jest forma, praktyka, wykorzystanie pełnego potencjału. Kiedyś powiedział... ach, nieważne.

Dziewczyna zdjęła rękę z piersi Devereaux i sięgnęła po okulary.

– Ależ proszę, mów. – Sypialnia w hotelu „Kempinsky” mogła spokojnie być sypialnią w „Savoyu”. Za to żony nie były wymienne. Każda z nich to indywidualność. – Chętnie posłucham, co Mac powiedział.

Lilly trzymała okulary w obu rękach bębniąc w nie palcami.

– Powiedział: „Twoje ciało powinno być realnym przedłużeniem twego umysłu, rozwijanym w jego granicach, lecz nie nadużywanym”.

– Mnie bardziej podoba się: Jeśli zmieniasz warunki zewnętrzne, komplikujesz wewnątrz.

– Co takiego?

– Powiedział coś jeszcze. Może źle zrozumiałem. Biegun intelektualny i fizyczny to dwa

różne bieguny. Mogę wyobrazić sobie, że umiem sfrunąć z wieży Eiffla, ale lepiej tego nie próbować.

– Bo to nie miałyby sensu. Ale mógłbyś trenować schodzenie z niej w rekordowym tempie. To byłoby prawdziwym, realnym przedłużeniem twojej wyobraźni. Ważne, by próbować to osiągnąć.

– Co, schodzenie z wieży Eiffla?

– Jeżeli sfruwanie uważasz za realne.

– Nie uważam. Jeśli nadążam za tym pseudoscholastycznym rozumowaniem, to według ciebie, jeśli myślisz o zrobieniu czegoś, powinnaś zaraz przełożyć to na język czynu.

– Tak, najważniejsze, by nie pozostawać biernym.

Lilly machnęła ręką z emfazą, prześcieradło opadło w dół. Nie do zniesienia urocze, pomyślał Devereaux. Ale w tej chwili niedostępne. Dziewczyna była w ferworze dyskusji.

– To jest albo daleko bardziej skomplikowane, albo o wiele prostsze, niż się na pozór wydaje – powiedział.

– To jest o wiele bardziej skomplikowane, wierz mi – odparła. – Subtelność tkwi w oczywistości.

– Wierzysz w to, prawda? – zapytał Sam. – To znaczy, że czerpiesz satysfakcję z możliwości podjęcia wyzwania, tak?

– Sądzę, że tak. Dla własnego dobra. Próbować osiągnąć to, co sobie wymarzysz, sprawdzić swój potencjał.

– I ty w to wierzysz.

Było to raczej stwierdzenie niż pytanie.

– Tak, dlaczego?

– Ponieważ w tej chwili moja wyobraźnia nie jest w stanie pracować. Czuję konieczność fizycznego wyrazu, by wypróbować mój potencjał. W rozsądnych granicach, oczywiście.

Podniósł się i usiadł twarzą do niej. Ich oczy się spotkały. Wyciągnął rękę, odebrał jej okulary i odłożył na boczną szafkę. Następnie sięgnął po menu. Oczy Lillian były jasne, usta rozsunęły się w półuśmiechu.

– Zastanawiałam się, kiedy o to zapytasz.

I wtedy zadzwonił telefon.

Głos w słuchawce należał do tego typu głosów, które niegdyś podwyższały oglądalność wszystkich wojennych filmów wytwórni Warner Brothers. Z każdej zgłoski kapąło zło.

– My nie bendzem, nie możemy rozmawiać przez telefon.

– Niech pan przejdzie na drugą stronę ulicy i otworzy okno, to sobie pokrzyjemy – odpowiedział poirytowany Devereaux.

– Czas to istota wszystkiego. Pan zejździe do hallu i pójdździe do najdalszego fotela

naprzeciw okna, na prawo od wejścia. Pod renka tachimacz złożony „Der Spiegel”. Und pan kszyszowacz nogi co dwadzeszcza sekunde.

– Mam usiąść?

– Pan bendze wygladacz głupio kszyszujondz nogi na stojonco, mein Herr.

– A gdyby ktoś siedział w tym fotelu?

Cisza oznaczała zarówno gniew jak i zakłopotanie. Potem nastąpił krótki, dziwny dźwięk, przypominający małą świnkę kwiczącą z niezadowolenia.

– To go wyrzucisz! – usłyszał.

– To głupota.

– Pan crobicz, co ja mówię. Nie ma czasu na dyskusje. Spotkamy sze za pietnaszcze minuten.

– Hej, zaraz! Dopiero co wstałem. Nie zjadłem jeszcze śniadania, muszę się ogolić...

– Czternaszczecze minuten, mein Herr.

– Jestem głodny!

Głośny stuk w słuchawce oznaczał koniec rozmowy.

– Do diabła z nim – powiedział Devereaux zwracając się z nadzieją w stronę nadzwyczajnej Lillian.

Lecz Lillian już tam nie było. Stała teraz przy łóżku ubrana w płaszcz kąpielowy Sama.

– Ocalił nas telefon, mój drogi. Ty masz sprawy do załatwienia, a ja muszę się przygotować do lekcji.

– Do lekcji?

– Die erstklassige Strudelschule – wyjaśniła. – Mniej specjalistyczna, lecz prawdopodobnie bardziej zabawna niż Cordon Bleu w Paryżu. Zaczyna się w południe. Nasz hotel jest na Leipziger Strasse. A to jest na Unter den Linden. Naprawdę powinnam się pośpieszyć.

– A co z nami? Ze śniadaniem i... czy nie bierzesz rano prysznic?

Lillian roześmiała się: to był miły, szczerzy śmiech.

– Szkoła kończy się o wpół do czwartej. Spotkamy się tutaj.

– Jaki jest numer twojego pokoju?

– 511.

– A mój 509.

– Wiem. Czy to nie cudowne?

– Albo...

Zamieszanie, jakie nastąpiło w hallu, graniczyło z absurdem. Najdalszy fotel naprzeciw okna był zajęty przez starszego, krótko ostrzyżonego pana z podwójnym podbródkiem, któremu głowa opadała na piersi, bo drzemał. Na kolanach trzymał niestety złożony

egzemplarz „Der Spiegla”.

Starszy pan najpierw się zirytował, a potem wściekł na dwóch mężczyzn siedzących obok niego i dających mu niedwuznacznie do zrozumienia, żeby wstał i poszedł z nimi. Dwa razy Sam próbował się wtrącić i wyjaśnić, najlepiej jak mógł, że on też ma złożony egzemplarz „Der Spiegla”. Nie dało to żadnego rezultatu. Dwóch osiłków interesowało się jedynie dżentelmenem siedzącym w fotelu. W końcu Devereaux stanął na wprost nich i zaczął krzyżować i rozkrzyżowywać nogi. W pewnym momencie szef obsługi hotelowej podszedł do Sama i najczystszy angielskim poinformował go, gdzie jest męska toaleta.

Potem potężnie zbudowana kobieta, uderzająco podobna do Dicka Butkusa, podeszła do trójki siedzącej w fotelach i zaczęła okładać dwóch gestapowców pudłem na kapelusze i ogromnych rozmiarów czarną skórzaną torbą.

Jest tylko jedno wyjście z tej sytuacji, pomyślał Devereaux. Chwycił jednego z facetów za szyję i wyciągnął z zagrożonej strefy.

– Ty szalony sukinsynu! To ja jestem tym człowiekiem! Jesteś od Koeniga, tak?

Trzydzieści sekund później Devereaux został wyciągnięty z hotelu do pobliskiej alejki. Parę metrów dalej, tarasując prawie całą przestrzeń między budynkami, stała ogromna ciężarówka z brezentowym pokryciem, rozciągniętym na metalowych słupkach. Wypełniona była od podłogi aż po sufit setkami klatek, ustawionych jedna na drugiej, z tysiącami (wydawało się, że są ich tysiące) piszczących kurczaków. Między klatkami biegł wąski korytarzyk, prowadzący do wąskiego okna szoferki. Przy oknie stały dwa małe stołeczki.

– Ej, dajcie spokój, to śmieszne! To niehigieniczne!

Eskorta kiwnęła tylko głowami po niemiecku, uśmiechnęła się po niemiecku i również po niemiecku włączyła Sama do ciasnego korytarzyka i popchnęła przejściem o szerokości osiemnastu cali w stronę stołeczków. Natychmiast otoczyły go ostre dziobki szczypiące mu ciało. Popołudniowe słońce zniknęło pod ciężkim brezentem. Smród kurzego łajna przyprawiał go o mdłości.

Jechali około godziny zatrzymując się co pewien czas na kontrolę przez chętnych do współpracy wschodniemieckich żołnierzy, którzy machnięciem kazali jechać dalej chowając do kieszeni zachodnie marki.

Wjechali na teren dużej farmy. Przez wąski korytarzyk między klatkami i fruującymi piórami mógł dostrzec pasące się bydło, silosy i stajnie. Wreszcie stanęli. Eskorta numer jeden wyszczerzyła zęby w uśmiechu i wyciągnęła Sama na słońce.

Zaprowadzono go do wielkiej stajni, śmierdzącej bydlęcą uryną i świeżym gnojem. Został poprowadzony, po niemiecku, krzyżującą się serią zakrętów, przez cuchnący budynek do pustej przegrody. Rząd niebieskich kokard świadczył o tym, że gospodarstwo prowadzone jest wzorowo. W środku, na stołku do dojenia krów, otoczony górami gnoju, siedział wielki mężczyzna, w którym Sam domyślił się Heinricha Koeniga.

Nie wstał na jego widok, tylko wpatrywał się milcząco w Devereaux. Malutkie oczka,

otoczone fałdami plamistej skóry, ciskały błyskawice.

– Więc... – Koenig wyduł pogardliwie wargi i ruchem ręki odprawił eskortę.

– Więc? – powtórzył Sam. Jego głos załamał się lekko, bo poczuł wilgotne, kurze plamy na plecach.

– Jesteś wysłannikiem tego potwora, generała Hawkinsa? – Koenig wymówił słowo „generał” z twardym niemieckim „g”.

– Chciałbym to wyjaśnić, jeśli można – powiedział Devereaux ze sztucznym uśmiechem.

– Tak naprawdę, to jestem tylko jego znajomym i ledwie znam tego człowieka. Jestem tylko skromnym adwokatem z Bostonu, a obecnie niczym więcej niż zwykłym kancelistą. Pracuję dla małego żydowskiego człowieczka nazwiskiem Pinkus. Nie polubiłby go pan. Moja matka mieszka w Quincy i przedziwnym zbiegiem okoliczności...

– Dość! – Niezwykle głośne pierdnięcie rozległo się w okolicy stołka. – Jest pan pośrednikiem tego piekielnego diabła!

– Jeśli o to chodzi, to musiałbym się spierać co do legalności tego związku. Rzeczony związek łączy się z moim poprzednim wyjaśnieniem stopnia zażyłości. Nie sądzę...

– Szakale, hieny! Ale takie psy zawsze głośno szczekają, kiedy poczują mięso. Powiedz mi, czy ten Hawkins działa na polecenie Gehlena?

– Kogo?

– Gehlena?

Devereaux przypomniał sobie, że Gehlen był głównym szpiegiem Trzeciej Rzeszy, który po wojnie działał na dwa fronty. Nie pozwoli, aby Koenig myślał, że istnieją jakieś powiązania między Hawkinsem a Gehlenem. To by oznaczało współudział pewnego Sama Devereaux, który był spoza branży.

– Och, jestem pewny, że nie. Nie sądzę, aby generał Hawkins kiedykolwiek słyszał o tym jak-mu-tam. W każdym razie ja na pewno nie.

Gównu kurze rozchodziło się pod koszulą Sama po całych rozpalonych plecach.

Koenig wstał wolno ze stołka i drugie pierdnięcie ogłosiło swoją obecność. Oznajmił ze spokojną wrogością:

– Generał ma mój niechętny szacunek. Przysłał mi paplającego idiotę. Daj mi te papiery, głupcze!

– Papiery...

Sam sięgnął do kieszeni marynarki po kolejną kopię umowy ze Spółką Shepherd.

Niemiec przesuwiał w palcach papiery ściskając każdy, jakby miał go zaraz wyrzucić. Tym razem Sam usłyszał cichszą nieco mieszaninę pierdnięć i chrząknięć.

– To oburzające! To wielka niesprawiedliwość! Wrogowie polityczni są wszędzie! Myślą tylko o jednym, jak mnie zniszczyć!

Krople śliny zebrały mu się w kącikach ust.

– Całkowicie się z panem zgadzam – powiedział Devereaux kiwając głową. –

Odrzuciłbym to, gdybym był na pańskim miejscu.

– Chciałbyś tego i wy wszyscy! Wszyscy chcecie mnie dostać! Mój wielki udział w walce o pokój na świecie, ci wrogowie, których miałem w ręku, te gorące linie i czerwone linie, i niebieskie między wielkimi mocarstwami – to już zostało zapomniane. Teraz spiskujecie za moimi plecami. Mówicie kłamstwa o nie istniejących kontaktach bankowych nawet o moich skromnych domach. Nie chcecie przyznać, że każdą markę, którą posiadam, zarobiłem. Kiedy się wycofałem, nie mogliście mi tego darować, bo nie mogliście już kopać pode mną dołków. A teraz to! niesprawiedliwość!

– Och, rozumiem.

– Niczego nie rozumiesz! Daj mi coś do pisania, idioto!

Pierdnął i podpisał.

Rozdział XIV

Dzwony na Anioł Pański biły dostojnie, wibrująco, z namaszczeniem. Odbijały się echem na placu św. Piotra płynęły ponad marmurowymi strażnikami Berniniego, nad otoczoną atmosferą skupienia bazyliką i dalej do Ogrodów Watykańskich. Na kamiennej ławce, przyglądając się pomarańczowym promieniom zachodzącego słońca, siedział korpulentny mężczyzna z twarzą, o której można powiedzieć, że przeżyła siedemdziesiąt lat w życzliwości, choć nie zawsze w spokoju. Twarz była pełna. Ale wiejski typ budowy ciała nie pozwalał nazwać tej twarzy zniewieściałą. Oczy mężczyzny były szeroko otwarte, duże, brązowe i łagodne. Ich spojrzenie miało w sobie siłę, spostrzegawczość, rezygnację i wesołość. Jego ubiór stanowiła dostojna biała szata, należna stanowisku najwyższego zwierzchnika świętego, apostołskiego, katolickiego Kościoła, następcy świętego Piotra, biskupa Rzymu, duchowego przywódcy czterystu milionów dusz rozsianych po całej kuli ziemskiej.

Papież Francesco I, Namiestnik Chrystusowy.

Urodził się jako Giovanni Bombalini, w małej wiosce na północ od Padwy, w pierwszych latach obecnego stulecia. Narodziny te odnotowano tylko w skrótowej formie, bowiem rodzina Bombalinich nie należała do zamożnych. Giovanniego odebrała akuszerka, która przeważnie zapominała informować o owocach swej pracy (i pracy swej pacjentki) wiejskiego urzędnika, pewna, że kościół się tym zajmie. Chrzty przynosiły pieniądze. Pojawienie się Bombaliniego na tym świecie mogło nigdy nie zostać legalnie zarejestrowane, gdyby nie jego ojciec, który założył się ze swoim kuzynem Frescobaldim, mieszkającym trzy wioski dalej na północ, że jego drugie dziecko będzie chłopcem. Bombalini – senior, by jego kuzyn nie mógł się już wycofać z zakładu, poszedł do urzędu zarejestrować męskiego potomka. I wygrałby, gdyby żona Frescobaldiego, która miała rodzić w tym samym miesiącu, wydała na świat dziewczynkę. Ale tak się nie stało i zakład unieważniono. To dziecko – Guido Frescobaldi – przyszło na świat, według szczątkowych informacji, w dwa dni po swoim kuzynie Giovannim.

Już we wczesnym dzieciństwie Giovanni wyróżniał się wśród innych dzieci w wiosce. Po pierwsze nie miał ochoty przyswajać sobie katechizmu, ucząc się go na pamięć. Niepokoiło to

wiejskiego księdza, ponieważ znamionowało przedwczesny rozwój i podważało jego autorytet, ale prośbie dziecka nie można było przecież odmówić.

Koleje życia Giovanniego Bombaliniego były naprawdę niezwykle. W dzień pracował w polu, a w nocy czytał wszystko, co tylko mu wpadło w ręce. W wieku dwunastu lat odkrył bibliotekę w Padwie, będącą zaledwie namiastką biblioteki w Mediolanie, w Wenecji i oczywiście w Rzymie, ale ci, którzy znali Giovanniego, twierdzili, że przeczytał wszystkie książki najpierw w Padwie, potem w Mediolanie, a następnie w Wenecji. W tym czasie jego ksiądz polecił go wilebnym ojcom w Rzymie.

Kościół był spełnieniem jego prośb. Dopóki się dużo modlił – co było łatwiejsze, choć wymagało tyle samo czasu co praca w polu – pozwalano mu czytać tyle, ile chciał, a nawet więcej.

W wieku dwudziestu dwóch lat Giovanni Bombalini został wyświęcony na księdza. Niektórzy powiadali, że był to najbardziej czytany ksiądz w Rzymie, *erudito fantastico*. Lecz Giovanni nie miał surowego oblicza prawdziwego watykańskiego erudyty, ani też nie przybierał wyniosłych póz pewnego siebie zatwardziałego konserwatysty. Zawsze wynajdywał jakieś wyjątki i próby naginania się stosownie do okoliczności w historii Kościoła, zwracając uwagę (niektórzy twierdzili, że złośliwie) na to, że pisma Kościoła znajdowały swoją siłę w prawdziwych sprzecznościach.

Mając dwadzieścia sześć lat Giovanni Bombalini został uznany za wrzód na ciele Watykanu. Później zaczął działać wszystkim na nerwy jego czerstwy wygląd, który stał w sprzeczności z tak upragnionym przez rzymskich *eruditi* wychudzonym wizerunkiem. Co najwyżej był karykaturą wiejskiego chłopca z północnych rejonów. Niskiego wzrostu, krępy, szeroki w barach, wyglądał raczej na parobka w zagrodzie dla kóz niż na bywalca marmurowych sal watykańskich kolegiów. Ani teologiczna wiedza, ani zalety charakteru, ani nawet głęboka wiara nie były w stanie zmienić jego umysłu i wyglądu. Ileż nieprawdopodobnych miejsc wynajdywano dla niego: Złote Wybrzeże, Sierra Leone, Malta i, przez pomyłkę, Monte Carlo. Zapracowany urzędnik w biurze ekspedycyjnym błędnie odczytał nazwę i wpisał Monte Carlo, zapewne dlatego, że nigdy nie słyszał o brazylijskiej miejscowości Montes Claros. W ten sposób koleje losu Giovanniego Bombaliniego zmieniły swój bieg.

Takim to zrzędzeniem opatrności zabłąkał się do kotła wysokich stawek i wielkich emocji ksiądz o czerstwym wyglądzie, roztargnionym wzroku, łagodnym poczuciu humoru, z głową nabitą wiedzą większą od dwunastu międzynarodowych finansistów razem wziętych. Ponieważ nie miał zbyt wiele do roboty na Złotym Wybrzeżu, w Sierra Leone i na Malcie, kiedy się nie modlił i nie oświecał tubylców, czytał mnóstwo czasopism, powiększając swój i tak już wyjątkowy bank wiedzy.

Ludzie żyjący w nieustannym napięciu, stale ryzykujący i nie wylewający za kołnierz, potrzebują od czasu do czasu duchowej pociechy. Wobec tego wilebny Bombalini zaczął

podnosić na duchu zbłąkane owieczki. Ku zdziwieniu tych zatwardziałych grzeszników znaleźli w nim nie tylko księdza zadającego pokutę, lecz przede wszystkim wesołego kompana, z którym można podyskutować na każdy temat: o sytuacji ekonomicznej na światowych rynkach, o historycznych precedensach dla spodziewanych geopolitycznych wydarzeń, a szczególnie o jedzeniu. (Jego ulubionymi potrawami były proste sosy, przyrządzane bez żadnych sztuczek typowych dla *haute cuisine*.)

Nie upłynęło wiele miesięcy, a wielbny Bombalini stał się częstym bywalcem najlepszych restauracji i największych domów na Lazurowym Wybrzeżu. Ten raczej dziwnie wyglądający tęgawy prałat był cudownym gawędziarzem, toteż każdy pragnął go mieć przy sobie, znajdując w jego słowach rozgrzeszenie, by móc dalej grzeszyć z żoną sąsiada.

W końcu na ręce wielbego Giovanniego zaczęło spływać mnóstwo datków dla Kościoła. Rzym nie mógł dłużej ignorować Bombaliniego. Rosnące zasoby pieniężne skarbcza watykańskiego na to nie pozwalały.

Wojna sprawiła, że monsignore Bombalini przenosił się ze stolicy do stolicy sprzymierzonych państw i towarzyszył coraz to innej armii. Stało się tak z dwóch powodów. Pierwszym było jego zdecydowane oświadczenie skierowane do zwierzchników, że nie może pozostać neutralny wobec hitlerowskich zamiarów. Swoją decyzję poparł szesnastostronicowym elaboratem, w którym przedstawił przykłady historycznych, teologicznych i religijnych precedensów. Nikt oprócz jezuitów tego nie zrozumiał, toteż Rzym przymknął na to oczy i nie tracił nadziei. Drugim powodem wojennych podróży była jego ogromna popularność wśród międzynarodowych wyższych sfer w Monte Carlo, których przedstawiciele zmienili teraz fraki na mundury pułkowników, generałów i dyplomatów, domagając się obecności monsignore Bombaliniego.

Tyle prośb napłynęło od sprzymierzonych o jego usługi, że J. Edgar Hoover w Waszyngtonie napisał w jego aktach: Wysoce podejrzany. Prawdopodobnie wróż.

Lata powojenne to dla kardynała Bombaliniego okres szybkiego pięcia się w górę w hierarchii watykańskiej. Swe sukcesy zawdzięczał głównie bliskiej przyjaźni z Angelo Roncallim, z którym łączyły go nieortodoksyjne poglądy i zamiłowanie do przyzwoitego, ale niekoniecznie wytwornego, wina i partyjki kart po wieczornych modlitwach.

Siedząc na kamiennej ławie w Ogrodach Watykańskich Giovanni Bombalini – papież Francesco – doszedł do wniosku, że brakuje mu Roncallego. Wiele dobrego razem dokonali. I obu podobnie wywyższono na tron Piotrowy. Nigdy go to nie przestało bawić. Roncalli, John, byłby równie ubawiony. I niewątpliwie był.

Obaj stanowili kompromis zaproponowany przez surową, ortodoksyjną Kurię, by ugasić ogień niezadowolenia wybuchające na całym świecie. Żaden kompromis nie trwa długo. Lecz Roncalli miał ułatwione zadanie. Musiał walczyć jedynie z teologicznymi argumentami i nedorozwiniętymi społecznie reformatorami. Nie miał na głowie tych zwariowanych,

młodych księży, którzy chcieli się żenić i mieć dzieci, i poza innymi pomysłami prowadzić parafie dla homoseksualistów! Nie dlatego, żeby któryś z tych problemów niepokoił Giovanniego. Nic w prawie teologicznym ani w dogmatach nie zabraniało małżeństwa i potomstwa. Co do innych spraw, to jeśli miłość do bliźniego nie rozwiązywała tajemnic zawartych w Biblii, to czegoż oni mieli się uczyć? Ale, Matko Boska, jakież to wywoływało zamieszanie!

Tyle było do zrobienia – a doktorzy orzekli, że jego dni są policzone. Nie potrafili znaleźć żadnej określonej choroby, żadnej szczególnej dolegliwości, ale tego byli pewni. Twierdzili, że jego siły życiowe w alarmującym tempie zwalniają bieg. Wymagał od nich szczerości. Nie, nie czuł żadnego strachu przed śmiercią. Z zadowoleniem oczekiwał wiecznego spoczynku. Wspólnie z Roncallim mogliby uprawiać niebiańskie winnice i grać w bakarata. Po ostatniej partii Roncalli był mu winien coś ponad sześćset milionów lirów.

Powiedział lekarzom, że zbyt długo wpatrują się w mikroskopy, a zbyt mało w to, co oczywiste. Po prostu zużyła się maszyna. Kiwali dostojnie głowami i wzdychali smutno: „Trzy miesiące, najwyżej cztery, Ojczy Świąty!”

Doktorzy. Basta! To zwykli weterynarze! A jakie rachunki przedstawiali! Pasterze kóz z Padwy więcej wiedzieli o medycynie!

Francesco usłyszał kroki za sobą i odwrócił się. Ogrodową ścieżką podążał młody papieski sekretarz, którego imię wyleciało mu z pamięci.

Młodziutki ksiądz niósł w ręku notatnik. Na spodzie notatnika był namalowany krzyż; wyglądało to głupio.

– Wasza Świątobliwość prosił o załatwienie kilku spraw przed nieszporami.

– A jakże, słucham.

Sekretarz wyrecytował serię mało ważnych spraw natury ceremonialnej. Giovanni, by schlebić młodemu prałatowi, poprosił o opinię na ich temat.

– Następnie jest prośba od amerykańskiego czasopisma „Viva Gourmet”. Nie wspomniałbym o tym Waszej Świątobliwości, gdyby prośba nie była poparta mocną rekomendacją Wojskowego Biura Informacji Armii Stanów Zjednoczonych.

– To bardzo niezwykła kombinacja, prawda?

– Tak, Wasza Świątobliwość. Zupełnie niezrozumiała.

– Jaka to prośba?

– Ośmielają się prosić Waszą Świątobliwość o udzielenie wywiadu pewnej dziennikarce na temat ulubionych dań Waszej Świątobliwości.

– Dlaczego uważasz to za śmiałość?

Młody prałat się zawahał. Wydawał się zakłopotany. Potem powiedział ścisząc głos:

– Tak twierdzi kardynał Quartze.

– Czy uczony kardynał podał swoje powody? Czy, jak zwykle, omówił wszystko z Bogiem i po prostu przedstawił boski edykt?

Francesco starał się nie posuwać za daleko w okazywaniu niechęci Ignatio Quartze. Kardynał był okropny pod każdym względem. Należał do rzędu *erudito aristocratico*, pochodził z wpływowej włosko-szwajcarskiej rodziny i okazywał współczucie zdenerwowanej kobry. I wygląda jak ona, pomyślał Giovanni.

– Podał, Ojczyce Święty – odpowiedział sekretarz i zaczął jąkać zakłopotany: – On... on...

– Czy mogę zasugerować, synu? – przerwał papież łaskawie. – Nasz wspaniale odziany kardynał wydał opinię, iż ulubione potrawy papieża są mniej niż frapujące?

– Ja... ja...

– Widzę, że tak. No cóż, prawda, że wolę prostszą kuchnię od tej, którą preferuje nasz kardynał z wiecznie mokrym nosem, lecz nie wypływa to z niewiedzy, a po prostu z braku ostentacji. Nie znaczy to, by nasz kardynał z okiem wiecznie uciekającym w bok, był ostentacyjny. Nie wierzę, aby to kiedykolwiek przyszło mu na myśl.

– Oczywiście, że nie, Ojczyce Święty.

– Ale myślę, że w czasach wysokich cen i rosnącego bezrobocia, warto byłoby naszkicować kilka niedrogich, choć zapewniam cię, wybornych dań. Kim jest ten dziennikarz? Kobieta mówisz? Nie mów nikomu, że to powiedziałem, ale one nie są najlepszymi kucharzami.

– Na pewno nie, Wasza Świątobliwość. Zakonnice w Rzymie bardzo się starają...

– Ze wszystkich sił, synu, ze wszystkich sił. Kim jest ta dziennikarka z magazynu dla smakoszy?

– Nazywa się Lillian von Schnabe. Jest Amerykanką z Kalifornii, która wyszła za mąż za starszego od siebie niemieckiego emigranta, który uciekł przed Hitlerem. Zbiegiem okoliczności jest obecnie w Berlinie.

– Ja pytałem jedynie, kim ona jest, ojczyce, a nie o jej życiorys. Skąd wiesz to wszystko?

– To było w liście polecającym z Biura Informacyjnego Armii Stanów Zjednoczonych. Wojskowi widocznie cenią ją sobie wysoko.

– Więcej niż widocznie. Zatem jej mąż uciekł przed Hitlerem? Nikt nie odwraca się od tak miłosiernych kobiet. Trzeba będzie podać kilka niedrogich dań papieskich w związku z podwyżką cen żywności. Zorganizuj spotkanie, synu. Możesz przekazać naszemu opromienionemu blaskiem kardynałowi, który straszliwie sapie, że mamy szczerą nadzieję, iż nasza decyzja nie będzie dla niego afrontem. „Viva Gourmet”. Bóg jest dla mnie łaskawy. Dał mi dowód uznania. Zastanawiam się, dlaczego ta dziennikarka jest w Berlinie. Znam pewnego monsignora w Bonn, który przyrządza wspaniałe sauerbraten.

– Założę się, że masz pióra w zębach! – powiedziała Lillian, kiedy Sam wszedł do pokoju.

– Lepiej, że nie kurze gówna.

– Co takiego?

– Mój klient wpadł na dziwny pomysł przetransportowania mnie.

– O czym ty mówisz?

– Chcę wziąć prysznic.

– Nie ze mną kochanie!

– Nigdy w życiu nie byłem tak głodny. Oni nie zatrzymaliby się nawet na... co to jest, u diabła? Strudel? Wszystko było *ein, zwei, drei! Mach schnell!* Chryste, zjadłbym konia z kopytami. Oni naprawdę sądzili, że wygrają wojnę!

Lillian odsunęła się od niego.

– Jesteś najbrudniejszym, najwstrętniej śmierdzącym mężczyzną, jakiego znam. Dziwię się, że wpuścili cię do hallu.

– Szliśmy krokiem defiladowym. – Sam zauważył dużą, białą kopertę na biurku. – Co to jest?

– Przynieśli to z recepcji. Nie byli pewni, czy zgłosisz się do nich, a to podobno pilne.

– Mogę tylko wnioskować, że twój były, ten szaleniec, musiał ciężko pracować.

Devereaux wziął do ręki kopertę. Wewnątrz był bilet lotniczy i krótki list. Właściwie nie musiał czytać tego listu, bilet lotniczy powiedział wszystko.

Algier.

Przeczytał list.

– Nie! Do cholery, nie! To za niecałą godzinę!

– Co takiego? – spytała Lillian. – Samolot?

– Jaki samolot? Skąd, u diabła, wiesz, że samolot?

– Bo MacKenzie telefonował z Waszyngtonu. Możesz sobie wyobrazić jego zaskoczenie, kiedy odebrałam...

– Oszczędź mi, proszę, pomysłówych szczegółów! – ryknął Devereaux rzucając się do telefonu. – Mam kilka rzeczy do powiedzenia temu wyrachowanemu sukinsynowi! Nawet skazańcy mają dzień wytchnienia! Przynajmniej czas na posiłek i prysznic!

– Nie złapiesz go teraz – powiedziała szybko Lillian. – Właśnie dlatego dzwonił. Nie będzie go w hotelu przez resztę dnia.

Sam odwrócił się z błyskawicami w oczach i zamarł. Ta dziewczyna z pewnością rozłupałaby go na pół.

– Przypuszczam, że podał jakiś powód, dla którego powinienem być w tym samolocie. Kiedy otrząsnął się z szoku po usłyszeniu twojego cudownego głosu, oczywiście.

Lillian wyglądała na zakłopotaną. Przemknęło mu przez głowę, że to zakłopotanie nie wyszło jej nadzwyczajnie.

– Mac wspomniał coś o Niemcu nazwiskiem Koenig, który jest na tyle niebezpieczny dla ciebie, byś natychmiast opuścił Berlin.

– Dlatego najlepiej będzie, jeżeli wsiądę do samolotu Air France'u lecącego do Paryża i

dalej do Algieru?

– Tak, właśnie tak powiedział. Choć nie dokładnie tymi słowami. On strasznie ciebie lubi, Sam. Mówi o tobie jak o synu, którego nigdy nie miał.

– Jeżeli jest Jakub, to ja jestem Ezawem. Poza tym jestem pieprzony jak Absalom.

– Wulgarność nie należy...

– To jedyna rzecz, którą należy! Cóż, u diabła, jest w Algierze?

– Szejka nazwiskiem Azaz-Warak – odpowiedziała Lillian Hawkins von Schnabe.

Hawkins opuścił hotel „Watergate” w pośpiechu. Nie miał ochoty rozmawiać z Samem. Całkowicie ufał Lillian i pozostałym dziewczętom. Wykonały swoją robotę po mistrzowsku. Poza tym musiał się spotkać z pewnym izraelskim majorem, który pomoże mu dokończyć łamigłówkę. Łamigłówkę, której na imię było szejka Azaz-Warak. Zanim Devereaux dotrze do Algieru, musi jeszcze zatelefonować. Nie mógł tego zrobić bez tej ostatniej rozmowy, która zapewni mu resztę pieniędzy dla Spółki Shepherd. Że Azaz-Warak był złodziejem na międzynarodową skalę, nie było niczym nowym. Podczas drugiej wojny światowej dostarczał ropę naftową Aliantom i Osi po horrendalnych cenach, uznając tylko tych, którzy płacili gotówką. Nie przysporzyło mu to wrogów, lecz zaskarbiło szacunek, od Detroit po Essen.

Ale wojna należała już do przeszłości. Tamta wojna. Hawkinsa interesował udział Azaz-Waraka w czymś bardziej współczesnym, w kryzysie środkowowschodnim.

Dobrze się maskował.

Kiedy obrzucano się przekleństwami na całym Bliskim Wschodzie, a świat obserwował, jak armie zderzają się z armiami, i jedna konferencja goni następną, najbardziej chciwy z nich wszystkich szejka oświadczył, że jest chory i pojechał na Wyspy Dziewicze.

Cholera! To nie miało żadnego sensu! MacKenzie wrócił więc do akt Azaza-Waraka i zaczął je pilnie studiować. Ułożył mu się pewien wzór dotyczący okresu między rokiem 1946 i 1948. Szejka spędzał wówczas sporo czasu w Tel-Awii. Zgodnie z raportami jego pierwsze podróże odbywały się zupełnie jawnie. Przypuszczano, że szuka żydowskich kobiet do swojego haremu. Potem jednak nadal latał do Tel-Awii, ale już nie tak otwarcie, lądując nocą, w odosobnionych miejscach, które mogły pomieścić jego kosztowne, prywatne samoloty.

Po następne kobiety? Hawkins przejrzał akta dokładnie, ale nie dopatrzył się żadnego nazwiska żydowskiej kobiety, która wyjechałaby do szejkanatu Waraka.

Co wobec tego robił w Izraelu i czemu latał tam tak często?

Wreszcie znalazł coś dzięki informacji dostarczonej przez wywiad marynarki wojennej na Wyspie Św. Tomasza, na którą Warak uciekł w czasie kryzysu na Środkowym Wschodzie. Próbował tam kupić więcej, niż ktokolwiek chciał sprzedać. Odtrącony wpadł we wściekłość.

Wyspiarze mieli dość kłopotów. Nie potrzebowali Arabów z haremami i niewolnikami.

Jezu! Niewolnicy! Już sam pomysł przyprawił urząd do spraw turystyki o atak apopleksji. Wizje tych wszystkich zbuntowanych pomocy kuchennych na szczęście przyprawiły rząd o mdłości. Warakowi wkrótce zabroniono kupienia nawet dwóch kubelków piasku. Próbował jeszcze negocjować poprzez drugorzędne i trzeciorzędne partie, proponując umowy, od których Palm Beach zzieleniałaby z zazdrości, a ACLU zsiniałoby z wściekłości. Decyzja jednak była nieodwołalna: żaden cholerny Arab nie może niczego posiadać, dzierżawić, podnajmować i w ogóle przyjeżdżać na wyspę.

Wobec tego zawiedziony w nadziejach szejek nierozważnie przedłożył sprawę amerykańskiemu towarzystwu akcyjnemu Buffalo Corporation i tą drogą spróbował pertraktacji. Istniały prawa, a Wyspa Św. Tomasza była posiadłością Stanów Zjednoczonych. Hawkins nie musiał długo szukać, żeby odkryć, iż Buffalo Corporation z adresem: Albany Street, Buffalo, Nowy Jork, telefonu brak, była subsydiowana przez spółkę o nazwie „Pan-Friendship” z siedzibą w Bejrucie, telefonu brak.

Parę telefonów za ocean do kilku izraelskich towarzystw ubezpieczeniowych wyjaśniło aż nazbyt dokładnie, co Azaz-Warak robił w czasie tych wszystkich wizyt w żydowskim kraju. Stał się właścicielem połowy nieruchomości w Tel-Awiwie, większości w biedniejszych dzielnicach miasta. Szejek był faktycznym panem Tel-Awiwu.

Buffalo Corporation zaś zbierała czynsze w całym mieście. Jeżeli ten izraelski major z działu zaopatrzenia potwierdzi raport otrzymany przez Hawka od starego kumpla z CIA, to Buffalo Corporation miała jeszcze coś na sumieniu. Coś, co pociągało za sobą wyjątkowo niefortunne skutki dla właściciela rzeczony korporacji, o ile był on tym właśnie Arabem, który bał się jak ognia urzędników z Wyspy Św. Tomasza.

Raport był prosty. Wszystko, czego potrzebował MacKenzie, to potwierdzenia. Chłopcy z CIA dowiedzieli się bowiem, że głównym dostawcą ropy dla armii izraelskiej w czasie wojny na Środkowym Wschodzie, była mało znana spółka amerykańska Buffalo Corporation.

Szejek Azaz-Warak był nie tylko właścicielem połowy nieruchomości w Tel-Awiwie, ale w czasie konfliktu pomagał Izraelowi, by ci maniacy z Kairu nie uszkodzili przypadkiem ulokowanych tam pieniędzy.

Tego rodzaju informacja, pomyślał MacKenzie Hawkins, wymaga rozmowy telefonicznej z szejkanatem Azaz-Waraka.

Devereaux doceniał sympatię, jaką darzyła go stewardesa z Air France’u, lecz doceniłby też więcej jedzenia. Kuchnia powietrzna świeciła pustkami. Jej stan można było poprawić dopiero w Paryżu. O ile zrozumiał, to ciężarówki dostawcze Boche’a obsługujące Air France, ugrzęzły w korku spowodowanym przez Rosjan na szosie, a to, co zostało, rozkradła czeskosłowacka obsługa naziemna w Pradze. A poza tym w Paryżu było lepsze jedzenie.

Wobec tego Sam ćmił papierosy, żuł tytoń i próbował się skupić na poczynaniach

MacKenzie'ego Hawkinsa. Jego sąsiad był wyznawcą jakiejś wschodniej religii, zapewne Sikiem, o oliwkowej cerze z odcieniem szarości, z malutką czarną bródką, w szkarłatnym turbanie, o przenikliwym wzroku, tak nieprzeniknionym, jaki tylko może mieć szczur. Dzięki temu mógł spokojnie myśleć o MacKenzie'm, bo nic nie wskazywało na to, że spędzi czas na rozmowie z sąsiadem.

Hawkins zdobył następne dziesięć milionów. A teraz arabski szejik miał dostarczyć ostatnie dziesięć milionów. Cokolwiek MacKenzie wyciągnął z tych akt, był to efekt potwornego szantażu. Chryste, czterdzieści milionów!

Co on miał zamiar zrobić z taką kupą pieniędzy? Jaki sprzęt i jacy ludzie mieli aż tyle kosztować? Wiadomo, że nie można porwać papieża z dolarem w kieszeni, ale czy trzeba aż pokrywać włoski dług, by tego dokonać?

Jedno jest pewne. Plan Hawkinsa zakładał przekazanie fantastycznych sum pieniężnych, które służyły jako środki pomocnicze do najbardziej niegodziwego porwania w historii! Powinien się zastanowić nad jedną, bardzo ważną sprawą: jak zdobyć nazwiska przynajmniej kilku dostawców Maca. Mógłby ich wówczas przepędzić ze sceny. Hawk oczywiście nie powie do kogoś: „Kupuję ten pociąg, bo mam zamiar porwać tego gościa, papieża”. Tak nie postępuje doświadczony generał, który wyprowadził w pole połowę handlarzy narkotyków z Azji Południowo-Wschodniej. Ale gdyby on, Sam, dotarł do tego kogoś i powiedział: „Czy wiesz, że pociąg, który sprzedajesz temu brodatemu idiotcie, będzie użyty do porwania papieża? Życzę miłych snów” – no, to byłoby coś innego. Pociąg nie zostałby sprzedany. A gdyby zapobiegł sprzedaniu pociągu, to może mógłby zapobiec dostarczeniu i innych rzeczy. MacKenzie był wojskowym i dostawy należały do najważniejszych operacji. Bez nich cały plan nie miał sensu. To było takie wojskowe Pismo święte.

To całkiem niezła myśl, doszedł do wniosku Sam, oglądając niemiecki zmierzch z okna pozbawionego jedzenia francuskiego samolotu. Po pierwszym pomysle, który miał wykryć, jak Hawk zamierza przeprowadzić porwanie i drugim – jaki to szantaż zarezerwował MacKenzie dla swoich inwestorów, był to trzeci w ramach akcji zapobiegawczej.

Sam zamknął oczy, wywołując z pamięci dawne wspomnienia. Znajdował się w suterenie swojego domu w Quincy, w Massachusetts. Na wielkim stole, pośrodku pokoju, pędziła mała kolejka Lionela, wjeżdżając i wyjeżdżając z miniaturowego lasu, pokonując miniaturowe mosty i tunele. Ale było coś dziwnego w tym obrazie: poza lokomotywą i wagonem brekowym wszystkie wagoniki miały ten sam napis: *Wagon chłodnia. Żywność.*

Na lotnisku Orly pasażerów lecących do Algieru poproszono o pozostanie w samolocie. Dla Devereaux nic nie miało znaczenia, odkąd ujrzał podjeżdżającą do samolotu białą ciężarówkę i mężczyzn w białych fartuchach przenoszących stalowe pojemniki do powietrznej kuchni. Nawet uśmiechnął się do Szczurzych Oczu obok niego. Dostrzegł wówczas, że szkarłatny turban sąsiada zsunął mu się na czoło. Miał zamiar coś powiedzieć – przekonał się już dawno, że nawet obcy to doceniają, kiedy im zwracasz uwagę, że mają

odpięty rozporek – ale odkąd kilkanaście innych turbanów wsiadło do samolotu na Orly i nie odezwało się słowem, Devereaux poczuł, że nie byłoby to wskazane. Poza tym inne turbany wyglądały podobnie. Może taki był zwyczaj tej religijnej sekty.

W dodatku Sam mógł myśleć jedynie o metalowych tackach, bezpiecznych teraz w powietrznej kuchni, z której dochodziły szalenie zachęcające zapachy escalope de veau, tournedos, sauce Bearnaise i, jeśli się nie mylił, steku au poivre. Bóg był w niebie i samolot też. Dobry Boże! Devereaux obliczył, że nie jadł prawie od trzydziestu sześciu godzin.

Jakieś niezrozumiałe słowa dobiegły z głośnika. Samolot kołował na pas startowy. Dwie minuty później byli już w powietrzu, a stewardesy zaczęły roznosić najbogatszą w treść literaturę – menu.

Zamówienie zajęło mu więcej czasu niż innym pasażerom, między innymi dlatego, że miał pełne usta śliny i bez przerwy musiał przełykać. Teraz nastąpiła agonialna godzina oczekiwania. Normalnie popijałby koktajle, lecz przy pustym żołądku nie mógł tego robić.

W końcu pojawił się obiad. Stewardesy zaczęły roznosić miniaturowe obrusy i serwetki ze srebrnymi sztuciami upewniając się co do wyboru win. Sam nie mógł się opanować: zaczął wyciągać szyję, wypatrując niecierpliwie posiłku. Zapachy z kuchni doprowadzały go do szaleństwa. Była to uczta dla jego nosa powodująca nadmierne wydzielanie soków żołądkowych.

I niestety przyszło najgorsze. Dziwacznie wyglądający Sikh siedzący obok niego zerwał się nagle z siedzenia i rozwinął szkarłatny turban. Z turbanu wypadł wielki, śmiercionośny rewolwer i uderzył o podłogę samolotu. Szczurze Oczy natychmiast go pochwycił i wrzasnął:

– *Aiyee! Aiyee! Aiyee! Al Fatah! Al Fatah! Aiyee!*

To był sygnał. Skrzecząca symfonia „Aiyee!” i „Al Fatah!” dobiegła z tyłu i popłynęła wzdłuż całego samolotu. Gdzieś z wnętrza swoich spodni Szczurze Oczy wyciągnął niezwykle długi, morderczo wyglądający bułat.

Sam patrzył kompletnie oszołomiony i pokonany. Więc ten mężczyzna nie był Sikhiem. Był Arabem, cholernym, pieprzonym palestyńskim Arabem.

Stewardesa stała teraz przed morderczym ostrzem, a lufa ogromnego rewolweru wycelowana była w jej pierś.

– Do radia! Do radia! Do twojego kapitana! – zaskrzeczał Palestyńczyk. – Ten samolot poleci do Algierii. Taka jest wola Al Fatah! Do Algieru! Prosto do Algieru! Albo wszyscy zginiecie! Zginiecie! Zginiecie!

– *Mais oui, monsieur!* – krzyknęła stewardesa. – Ten samolot leci prosto do Algieru! Taki jest cel podróży, monsieur!

Araba zatkało. Jego dzikie, mroczne oczy stały się chwilowo sadzawkami mętnego bagna, w którym zawód mieszał się z chaosem. Po chwili powróciły jednak do oślepiającej, okrutnej, gwałtownej głębi. Palestyńczyk przeciął powietrze ogromnym bułatem i zamachał jak szalony rewolwerem. Jego demoniczne wrzaski mogłyby rozbić szkło.

– Aiye! Aiye! Arafat! Słuchajcie rozkazu Arafata! Żydowskie psy i chrześcijańskie
świnie! Nie będzie ani jedzenia, ani wody aż do chwili lądowania. Taki jest rozkaz Arafata!

Gdzieś z głębin podświadomości Sama cichutki głosik szepnął: niech cię cholera, stary...

Rozdział XV

Reżyser się skrzywił. Dwoje skrzypiec i trzy rogi zabrzmiały fałszywie w czasie crescendo w *Walcu Musetty*. Końcowy akt legł w gruzach.

Zrobił notatkę dla dyrygenta, który właśnie błogo się uśmiechał nieświadomy zgrzytliwego dysonansu. Niestety jego słuch nie był już tak dobry, jak dawniej.

Kiedy reżyser wyrzwał ze swego stanowiska, zobaczył, że operator światła znowu śpi albo wyszedł do toalety. Snop światła był skierowany w dół, oświetlając zmieszaną flecistkę zamiast Mimi. Ponownie zapisał coś w swoim notatniku.

A na scenie był kolejny kłopot. Nawet dwa. Ruchoma furtka przy wejściu do kawiarni wisiała do góry nogami, ostre końcówki sterczały nad podłogą odsłaniając kulisy, gdzie liczne boscie stopy ocierały się o siebie, a inne skrobały się z nudów.

Drugi kłopot był ze stopniem na lewym rusztowaniu. Wypadł on z zawiasów i noga Rodolfa osunęła się w dół nie napotykając na opór, co spowodowało, że pękły mu trykoty.

Reżyser westchnął i zrobił dwie następne notatki.

Cyganeria Pucciniego szła swoim zwykłym torem. *Mannaggia!*

Kiedy stawiał trzeci wykrzyk przy dwudziestej szóstej już uwadze tego wieczoru, kierownik kas teatralnych przekazał mu karteczkę. Była przeznaczona dla Guida Frescobaldiego, a ponieważ nic nie mogło zakłócić końcówki aktu, reżyser rozwinął ją i przeczytał. Zaparło mu dech w piersiach. Stary Frescobaldi dostanie ataku – jeśli to możliwe, by Guido dostał ataku. Na widowni znajdował się dziennikarz, który chciał się spotkać z Frescobaldim po przedstawieniu.

Reżyser pokręcił smutno głową przypominając sobie łzy i protesty Guida, kiedy ostatni (i jedyny) dziennikarz robił z nim wywiad. Właściwie było ich dwóch: mężczyzna z Rzymu i cichy Chińczyk. Obaj komuniści. To nie wywiad tak rozdrażnił Frescobaldiego, to artykuł, który potem z tego wyszedł.

Ubogi artysta operowy walczy o kulturę ludu, podczas gdy jego kuzyn papież żyje w leniwym luksusie z dala od uczciwego potu ciemniejących robotników!

To był tylko nagłówek. Komunistyczny dziennik „Il Popolo” podał tę historię na pierwszej stronie. Artykuł opisywał, jak to dziennikarze z „Il Popolo” – zawsze czujni na

niesprawiedliwości kapitalistycznego przymierza z bezduszną religią – odkryli karygodną niesprawiedliwość, jakiej doświadczał krewny tak bardzo podobny do przywódcy najsilniejszej i najbardziej despotycznej religii na świecie. Jak to Guido Frescobaldi poświęcał się dla sztuki, podczas gdy jego kuzyn, papież Francesco, okradał każdego ślepego. Jak to Guido poświęcał swój wielki talent dla dobra mas, nigdy nie szukając materialnej rekompensaty, ciesząc się tylko tym, że jego zasługi dodają ducha ludowi. Tak inny od swego kuzyna papieża, który nie wnosi niczego, prócz nowych metod na wyłudzenie pieniędzy od zastraszonej biedaków. Guido Frescobaldi to święty na ziemi, jego kuzyn zaś to nikczemnik, otoczony skarbami, wyprawiający orgie w katakumbach.

Reżyser niewiele wiedział o kuzynie Guida, a tym bardziej, co robił w katakumbach, lecz znał Frescobaldiego. Reporter z „Il Popolo” odmalował portret, który jakoś nie pasował do Guida, jakiego wszyscy znali. „Il Popolo” ogłaszał we wstępnym artykule, że ta szokująca historia zostanie przedrukowana we wszystkich socjalistycznych pismach na całym świecie łącznie z Chinami.

Och, jak wtedy Frescobaldi krzyczał! Jego krzyki były protestem człowieka w najwyższym stopniu zakłopotanego. Reżyser miał nadzieję, że złapie Guida w czasie zmiany dekoracji, ale nie zawsze było to łatwe. Pozostawienie wiadomości w garderobie miało się z celem, bo Guido nawet by jej tam nie zauważył. Rola Alcindora była dla niego chwilą triumfu operowego, małym zwycięstwem w życiu, które poświęcił ukochanej muzyce, dowodem, że wytrwałość góruje czasem nad talentem.

Guido był zazwyczaj w równym stopniu przejęty swoim własnym występem jak i tym, co się dzieje na scenie. Dopóki zamieszanie w czasie przerwy się nie skończyło, chodził jak w transie za kulisami ze stale wilgotnymi oczyma i dumnie wzniesioną głową, przekonany, że publiczności La Scali Minuscoli dał z siebie wszystko. Była to drugorzędna scena operowa, teren ćwiczeń i muzyczny cmentarz. Pozwalała niedoświadczonemu artyście rozwijać skrzydła, a tym, którzy osiągnęli swój punkt szczytowy, znaleźć zajęcie, dopóki Wielki Dyrygent nie wezwie ich do siebie na wielki niebiański festiwal.

Reżyser ponownie przeczytał wiadomość dla Guida. Tego wieczoru na widowni była młoda dziennikarka, Signora Greenberg, która chciała porozmawiać z Frescobaldim. Polecało ją znakomite źródło, bo Informazine Servizio Armii Stanów Zjednoczonych. Reżyser domyślił się, dlaczego Signora Greenberg zaznaczyła to w swojej notatce. Odkąd komuniści napisali ten straszny artykuł, Guido odmawiał jakichkolwiek wywiadów. Zapuścił nawet sumiaste wąsy i brodę, by zmniejszyć swoje podobieństwo do papieża.

Komuniści byli głupcami. „Il Popolo”, który zawsze prowadził wojnę z Watykanem, dowiedział się wkrótce o tym, o czym każdy dawno wiedział, że papież Francesco nie należał do ludzi, których można oczerniać. Był na to zbyt sympatycznym gościem.

Guido Frescobaldi również był miłym gościem, pomyślał reżyser. Wiele nocy przesiedzieli wspólnie nad butelką wina: sygnalista w średnim wieku dający znak do

rozpoczęcia śpiewu i podstarzały aktor, który poświęcił swe życie muzyce.

Cóż za dramat kryła w sobie prawdziwa historia życia Frescobaldiego! Godny samego Pucciniego. Żył tylko swoją ukochaną operą. Cała reszta nie miała znaczenia, służyła tylko utrzymaniu ciała i muzycznej duszy. Kiedyś był żonaty. Ale po sześciu latach małżeństwa żona opuściła go zabierając szóstkę dzieci i wracając do rodzinnej wioski pod Padwą, na skromną farmę jej ojca, chociaż stan majątkowy Frescobaldiego, który zgodnie z tradycją oznaczał stan majątkowy rodziny, nie był zły. Choć jego dochód był obecnie mniej niż wystarczający, sam wybrał taki los. Rodzina Frescobaldich należała do dobrze sytuowanych, a ich kuzynów Bombalinich stać było na wykreowanie swego trzeciego syna Giovanniego na księdza nie przeznaczając na to wielkiego majątku.

Lecz Guido odwrócił się tyłem do wszystkiego co kościelne, związane z handlem i uprawą ziemi. Chciał tylko swojej muzyki i opery. Zadręczał ojca i matkę, by posłali go do akademii w Rzymie, gdzie się wkrótce okazało, że pasja Guida nie idzie w parze z talentem. Frescobaldi miał romański zapał i duszę, ale marne ucho do muzyki. Wówczas papa Frescobaldi się zdenerwował. Tak wiele osób, z którymi Guido się stykał, było *non stabili* i nosiło śmieszne ubrania.

Kiedy Guido miał dwadzieścia dwa lata, papa kazał mu wracać do domu, do wioski na północ od Padwy. Uczył się w Rzymie przez osiem lat, jednak nie zrobił żadnych widocznych postępów. Nikt nie zaproponował mu żadnej pracy, żadna muzyczna przyszłość nie jawiła się przed nim obiecująco.

Jednak Guido wcale się tym nie przejmował. Liczyło się jedynie całkowite oddanie muzyce. Papa nie potrafił tego zrozumieć, ale przestałby łożyć na utrzymanie, gdyby Guido nie wrócił do domu.

Stary Frescobaldi kazał synowi ożenić się z miłą kuzynką, Rosą Bombalini, która miała kłopoty ze znalezieniem sobie męża; dostanie za to *fonografo* w ślubnym prezencie. Będzie mógł sobie słuchać, jakiej chce muzyki. Dodał przy tym, że jeśli nie ożeni się z kuzynką Rosą, to spierze mu tyłek.

Tak więc przez sześć lat, które jego kuzyn i szwagier, ksiądz Giovanni Bombalini, spędził na studiach w Watykanie i jeździł do różnych dziwnych miejsc, Guido Frescobaldi znosił wymuszone siłą małżeństwo z trzystufuntowym tobołem o niepohamowanej histerii, imieniem Rosa.

Rankiem, w siódmą rocznicę ich ślubu, nie wytrzymał. Obudził się z krzykiem, zaczął tłuc szyby, rozbijać meble, rzucać garnkami o ścianę i powiedział Rosie, że ona i jej sześcioro dzieci są najohydniejszymi ludzkimi istotami, jakie spotkał na swej drodze.

Basta!

Jak dość to dość.

Rosa zabrała dzieci i uciekła na farmę. A Guido poszedł do miasta, do sklepu swojego ojca, wziął miskę z sosem pomidorowym, cisnął ją ojcu w twarz i opuścił Padwę na zawsze.

Dla Mediolanu. Jeśli świat nie pozwoli mu stać się wielkim tenorem operowym, będzie przynajmniej blisko wielkich śpiewaków i wielkiej muzyki. Będzie mył toalety, zamiatał scenę, zszywał kostiumy, nosił włócznie. Cokolwiek. Urządzi sobie życie w La Scali.

Tak to trwało przez ponad czterdzieści lat. Awansował wolno, od toalet do miotły, od zszywania kostiumów do włóczni. W końcu nagrodzono go paru słowami na scenie: „Nie tak wiele do śpiewania, Guido! Raczej do mówienia, rozumiesz?”, a czysta szczerość jego uczucia uczyniła go ulubieńcem mniej wymagających bywalców La Scali Minuscoli, w której poziom nie był zbyt wysoki.

Frescobaldi stał się ulubionym członkiem zespołu, jak i pełnym zaangażowania uczestnikiem. Zawsze chętnie służył pomocą w czasie prób, dawał sygnał do rozpoczęcia, zastępował przy deklamacji, a jego wiedza w tej materii była nadzwyczajna.

Tylko raz w ciągu tych lat Guido stał się przyczyną kłopotów, lecz nie z jego winy. Chodziło o ten artykuł w „Il Popolo”, który miał sprawić kłopot jego kuzynowi papieżowi. Na szczęście dziennikarz komunistyczny nie odkrył małżeństwa Guida z siostrą papieża. Miałyby z tym kłopoty, bo Rosa Bombalini umarła z przejedzenia trzydzieści lat wcześniej.

Reżyser pospiesznie skierował się do garderoby Frescobaldiego. Za późno. Kobieta rozmawiająca z Guidem była z pewnością Signorą Greenberg, bardzo amerykańską i bardzo utalentowaną. Choć jej włoski trochę dziwił. Przeciągała słowa jakby ziewała, choć wcale nie wyglądała na śpiącą.

– Signor Frescobaldi, naszym celem jest przeciwstawienie się tym brudom, które powypisywali komuniści.

– O tak, proszę! – krzyknął Frescobaldi błagalnie. – Oni byli nikczemni! Nie ma na świecie miłszego człowieka od mojego drogiego kuzyna papieża. Płakałem ze wstydu, którego stałem się powodem!

– Jestem pewna, że on tak nie myśli. Bardzo dobrze mówi o panu.

– Tak, tak, on był zawsze taki – odparł Frescobaldi z wilgocią przesłaniającą mu oczy. – Jako dzieci biegaliśmy razem po polach, kiedy nasze rodziny się odwiedzały. Giovanni – proszę mi wybaczyć – papież Francesco był najlepszym z wszystkich braci i kuzynów. Już jako chłopiec był dobry i mądry.

– Będzie szczęśliwy, widząc pana ponownie – powiedziała Signora. – Nie ustaliliśmy jeszcze dokładnego terminu, ale ma nadzieję zobaczyć się z panem przy okazji fotografii.

Guido Frescobaldi nie mógł się opanować i rozplakał się cicho nie tracąc nic ze swojej godności.

– On jest takim dobrym człowiekiem. Czy pani wie, że kiedy ukazał się ten straszny artykuł, przysłał mi liścik: „Guido, mój kuzynie i drogi przyjacielu. Dlaczego się ukrywałeś przez te wszystkie lata? Kiedy będziesz w Rzymie, proszę, zadzwoń do mnie. Zagramy w bocce. Ustawię wszystko w ogrodzie. Z błogosławieństwem. Giovanni”. – Frescobaldi otarł oczy brzegiem rękawika. – Nawet cienia gniewu czy niezadowolenia. Ale oczywiście ja nigdy

bym nie zakłócił spokoju tak wielkiej osobistości. Kimże jestem?

– On wiedział, że to nie pańska wina. Pan rozumie, że pański kuzyn raczej nie powinien wiedzieć, że planujemy tę antykomunistyczną historię. Sposób, w jaki oni postępują...

– Nie powiem ani słowa – przerwał jej Guido. – Będę milczał jak grób. Poczekam na wiadomość od pani i przyjadę do Rzymu. Gdybym miał w planie występ, pozwolę dublerowi zagrać za mnie. Publiczność może rzucać pomidorami, lecz dla Francesca zrobię wszystko!

– Będzie wzruszony.

– Czy pani wie – rzekł Frescobaldi pochylając się w przód i ścisząc głos – że ten zarost kryje twarz bardzo podobną do mojego dostojnego kuzyna?

– To znaczy, że pan rzeczywiście wygląda jak on?

– To było widoczne już od dzieciństwa.

– Nigdy by mi to nie przyszło do głowy. Ale teraz, kiedy zwrócił pan na to uwagę, rzeczywiście dostrzegam podobieństwo.

Reżyser cicho zamknął drzwi. Nie zauważyli go i nie było sensu przeszkadzać. Guido mógł poczuć się zakłopotany, garderoba była mała. Frescobaldi ma więc zamiar zobaczyć swojego kuzyna papieża. *Buonissimo!* Może mógłby wyblagać u niego wyasygnowanie pewnych funduszy na La Scalę Minuscolę.

Śpiew, który się rozległ, był naprawdę straszny.

– Aiyee! Al Fatah! Arafat!

Wrzeszczący rewolucjoniści palestyńscy rzucili się do drzwi i zbiegli po stopniach na płytę lotniska Dar el Beida. Ściskali się i całowali, i cięli nocne powietrze swoimi szablami. Jeden nawet odciął sobie palec z tej radości, ale nie wywołało to większego zainteresowania. Pod przewodnictwem Szczurzych Oczu grupa rzuciła się do płotu otaczającego lotnisko.

Nikt ich nie próbował zatrzymać. Co więcej, skierowano w ich kierunku reflektory, by ułatwić przechodzenie przez płot. Władze zrozumiały, że pragnieniem tych idiotów jest opuszczenie lotniska tą drogą. Gdyby przeszli przez dworzec, wiele osób straciłoby twarz. Poza tym im szybciej się wyniosą, tym lepiej. Nie wpływali bynajmniej na rozwój turystyki.

W momencie gdy ostatni Palestyńczyk wypadł z samolotu, Sam, słaniając się, poszedł do kuchni pokładowej. Na próżno. W samym środku kryzysu, Air France nie straciła głowy i bystrości umysłu. Błyszczące metalowe tacki stały na swoich miejscach oczekując na następną grupę pasażerów.

– Zapłaciłem za to cholerne żarcie! – ryknął Sam.

– Przykro mi – odpowiedziała stewardesa z bladym uśmiechem. – Przepisy zabraniają podawania jedzenia po wylądowaniu.

– Na litość boską, przecież zostaliśmy napadnięci!

– Na bilecie ma pan napisane Algier. Jesteśmy w Algierze. Na ziemi. Po wylądowaniu.

Nie może być żadnego jedzenia.

– To nieludzkie!

– To Air France, *monsieur*.

Devereaux przeszedł na niepewnych nogach przez urząd celny. Trzymał w ręku cztery amerykańskie pięciodolarówki rozsunięte jak karty do gry. Każdy z czterech algierskich kontrolerów brał jedną, uśmiechał się i przepuszczał do następnego. Nie otwarto mu żadnego bagażu. Sam zabrał walizkę z transportera i jak szalony zaczął rozglądać się za restauracją. Była zamknięta. Święto religijne.

Taksówka wioząca go z lotniska do „Aletti Hotel” na rue de l’Enur El Khettabi nie uspokoiła jego nerwów i nie uciszyła straszliwie pustego żołądka. Samochód był stary, kierowca jeszcze bardziej, a droga prowadząca do miasta kręta, pełna ostrych zakrętów.

– Niezmiernie nam przykro, *monsieur Devereaux* – powiedział ciemnoskóry recepcjonista zbyt poprawną angielszczyzną. – Teraz jest post aż do rana, do wschodu słońca. Taka jest wola Mahometa.

Sam przechylił się przez marmurowy kontuar i zniżył głos do szeptu:

– Proszę posłuchać, szanuję prawo każdego do oddawania czci na jego własny sposób, ale nic nie jadłem i mam trochę pieniędzy...

– *Monsieur!* – Oczy urzędnika rozszerzyły się w algierskim szoku, kiedy mu przerwał i wyprostował okazałą sylwetkę. – Taka jest wola Mahometa i Allacha.

– Dobry Boże! Nie wierzę własnym oczom!

Okrzyk niósł się przez całą długość hallu. Światło było przyćmione, sufit wysoki. Postać rysowała się niewyraźnie w cieniu. Jedyłą rzeczą, której Sam był pewny, to to, że głos jest głęboki i należy do kobiety. Chyba już gdzieś go słyszał, ale nie miał pewności. Jak mógł być czegokolwiek pewny w takiej chwili, w tak nieprawdopodobnym miejscu jak hall algierskiego hotelu, w czasie algierskiego święta religijnego, w ostatnim stadium głodu. Wszystko tylko nie pewność.

Wtedy postać przeszła przez plamy świetlne, prowadzona przez dwie wielkie piersi, które przecięły światło w majestatycznym splendorze. Pełne i krągłe. Oczywiście, nawet nie powinien tracić czasu na zdziwienie. Dziesięć milionów, trzydzieści milionów, czterdzieści milionów dolarów – nic go już nie szokowało. Dlaczego więc miałby go zdziwić widok pani MacKenzie Hawkins numer dwa?

Położyła mu na czole zimny, wilgotny ręcznik. Leżał na wznak na łóżku. Sześć godzin temu zdjęła mu buty, skarpetki i koszulę i powiedziała, by się położył i przestał trząść. Tak po prawdzie to kazała mu przestać się trząść i paplać bez związku o takich kretyńskich rzeczach, jak naziści, kurze gówna i Arabowie o dzikich oczach, którzy chcieli wysadzić samolot, ponieważ lecieli tam, gdzie chcieli lecieć. Cóż to za gadanina?!

To było sześć godzin temu. A tymczasem odciągnęła jego myśli od jedzenia, MacKenzie'ego i jakiegoś szejka imieniem Azaz-Warak i – och, mój Boże! – od porwania papieża! Zmniejszyła rozmiary tego całego szaleństwa do zwykłego przerażającego sennego koszmaru.

Miała na imię Madge, przypomniał sobie. Siedziała obok niego na pufie, w salonie Reginy Greenberg i za każdym razem, kiedy chciała podkreślić jakieś zdanie, wyciągała rękę, żeby go dotknąć. Pamiętał to dobrze, bo kiedy pochylała się w jego kierunku, pełne i krągłe wydawały się rozsadzać jej bluzkę, tak jak teraz wydawały się rozsadzać jedwabną koszulę, którą miała na sobie.

– Wytrzymaj jeszcze trochę – powiedziała swoim głębokim jakby zdyszczanym głosem. – Recepcjonista obiecał, że dostaniesz pierwszą tacę z kuchni. A teraz się odpręż.

– Opowiedz mi jeszcze.

– O jedzeniu?

– Nie. Jak się znalazłaś w Algierze? To odciągnie moje myśli od jedzenia.

– Wtedy znowu zaczniesz swoją paplaninę. Po prostu nie chcesz mi wierzyć.

– Może coś pominąłem...

– Denerwujesz mnie – powiedziała Madge pochylając się niebezpiecznie i poprawiając mu rękaw. – Dobrze. Krótko i węzłowato. Mój ostatni mąż był czołowym importerem sztuki afrykańskiej na Zachodnie Wybrzeże. Miał największą galerię w Kalifornii. Umierając zostawił ponad sto tysięcy dolarów zamrożonych w siedemnastowiecznych rzeźbach Musso-Grossai. Cóż, u diabła, miałabym robić z pięciuset statuetkami nagich Pigmejów? Mówię poważnie. Zrobiłbyś to samo. Spróbowałbyś wstrzymać załadunek statku i wyciągnąć pieniądze! W Algierze znajduje się bank rozrachunkowy dla Musso-Grossai... Do diabła, znowu zaczynasz!

Devereaux nie mógł się pohamować. Łzy śmiechu spływały mu po policzkach.

– Przepraszam. To dlatego, że twoja wymówka jest bardziej pomysłowa od nagłego urlopu w Londynie albo od szkoły gotowania w Berlinie. Mój Boże, to cudowne! Pięciuset nagich Pigmejów! Ty to wymyśliłaś, czy Mac?

– Jesteś zbyt podejrzliwy. – Madge uśmiechnęła się łagodnie, a zarazem chytrze i zdjęła mu rękaw z czoła. – Daleko z tym nie zajedziesz. Zmoczę go w zimnej wodzie. Śniadanie powinno się pojawić za piętnaście, dwadzieścia minut.

Wstała z łóżka i popatrzyła na okno w zamyśleniu. Pomarańczowe promienie budzącego się dnia zaglądały do pokoju.

– Słońce wschodzi.

Devereaux przyglądał się jej. Słońce oświetlało wspaniałe kształty, podkreślało przepych jej kasztanowych włosów i przydawało miękkości i blasku twarzy. Nie była to młoda twarz, ale miała coś lepszego niż młodość: otwartość, która z pogodą przyjmowała wiek i potrafiła wdzięcznie się z niego śmiać. Ta szczerość bardzo Sama ujęła.

– Wyglądasz wspaniale – powiedział.

– Ty też – szepnęła. – Masz coś, co mój stary przyjaciel zwykł nazywać twarzą, którą chciałbyś poznać. Twój wzrok. Mój przyjaciel mówił: „Obserwuj oczy, szczególnie w tłumie; zobacz, czy one słuchają”. A potem to samo powiedział Mac. Kiedyś, dawno temu. Myślę, że to brzmi głupio, oczy, które słuchają.

– To wcale nie brzmi głupio. Oczy rzeczywiście słuchają. Miałem przyjaciela, który jeździł do Waszyngtonu na przyjęcia koktajlowe i bez przerwy powtarzał słowo „hamburger”, tylko to jedno, nic więcej. Przysięgał, że dziewięćdziesiąt procent czasu ludzie spędzali na powtarzaniu tego typu zdań: „To bardzo interesujące. Sprawdź, co mówią na ten temat statystyki” albo „Czy wspomniałeś o tym ministrowi?” I zawsze wiedział, kto to powie, bowiem ich oczy biegały bardzo szybko. Rozumiesz, on nie należał do ważnych osobistości.

Madge roześmiała się cicho. Oczy miała zamknięte, a na twarzy błąkał się uśmiech.

– Powiedziałaś bardzo mądrą rzecz.

– Jesteś miłą osobką.

– Próbuję nią być.

Ponownie spojrzała w okno.

– MacKenzie powiedział kiedyś, że wielu ludzi ucieka od swoich naturalnych skłonności do interesowania się innymi. Jak gdyby to zainteresowanie było oznaką słabości. Powiedział mi: „Cholera, Midgey, ja troszczyć się o innych i żaden sukinsyn nie nazywa mnie słabym. I nikt nigdy mnie tak nie nazwał”.

– Myślę, że dbać o innych to jeszcze jeden sposób na bycie dobrym – dodał Devereaux rozmyślając nad ostatnim kazaniem.

– Nie ma lepszego sposobu – powiedziała Madge niosąc ręcznik do łazienki. – Za chwilę wracam.

Zamknęła za sobą drzwi. Sam powtórzył w myślach słowa Maca: Wielu ludzi ucieka od swoich naturalnych skłonności do interesowania się innymi. MacKenzie był o wiele bardziej skomplikowanym człowiekiem, niż Devereaux przypuszczał. Nie miał jednak ochoty się nad tym zastanawiać, dopóki nie zje śniadania.

Drzwi do łazienki się otworzyły. Stała w nich Madge uśmiechając się znacząco, z wyrazem cudownej radości w oczach, doskonale świadoma swojej piękności. Nie miała już na sobie spódnicy. Jej piersi okrywał biustonosz w kolorze kości słoniowej z delikatnej koronki. Krótka haleczka podkreślała zagłębienia bioder i odkrywała nieskazitelną biel gładkiego ciała, które aż prosiło się, by je pieścić.

Podeszła do łóżka i wzięła go za rękę. Usiadła z wdziękiem i pochyliła się nad nim. Jej wspaniałe ciało dotknęło go, powodując wzbierające w nim fale elektryczności i krótki oddech. Pocałowała go w usta, a potem odsunęła się i odpięła mu pasek i szybkimi pełnymi wdzięku ruchami tancerki ściągnęła spodnie.

– Co miałaś na myśli, majorze, mówiąc, że jestem miła...

W tym momencie zadzwonił telefon.

Galaktyka się rozpadła. Rozsądek zniknął w nagłym przypiływie hysterii. Słodki motyw, koronkowy biustonosz i gładkie ciało przestały istnieć. Zamiast tego pojawiły się wrzaski po arabsku i rozkazy, którym groźnej, trudnej do uwierzenia mocy, powinien się sprzeciwić.

– Jeśli przestaniesz wrzeszczeć o świniach, psach i sępach, to spróbuję się domyślić, co usiłujesz mi powiedzieć – rzekł Sam do słuchawki, którą trzymał w pewnej odległości od ucha. – Powiedziałem jedynie, że nie mogę zaraz zejść.

– Jestem posłańcem od szejka Azaz-Waraka!

– A cóż to, u diabła, jest?

– Ty psie!

– To pies? Chodzi o takiego psiego szczeniaka?

– Milczeć! Azaz-Warak to bóg wszystkich chanów! To władca pustynnych wiatrów, sokolich oczu, z odwagą wszystkich lwów Judei, księżę grzmotów!

– A więc do czego on jest mu potrzebny? – zaryzykował Sam z wahaniem, niechętnie rozpoznając nazwisko czwartego inwestora Hawka.

Ostatnie dziesięć milionów. Jezu! Obeszło go to tyle, co dziesięć pudełek prażonej kukurydzy.

– Cicho, psie! Albo twoje uszy zostaną odcięte i zawieszane z gorącymi ciężarkami na twoich niewymownych.

– Do diabła, to nie brzmi po przyjacielsku! Albo będziesz bardziej uprzejmy, albo odwieszam słuchawkę. Tutaj jest kobieta.

– Proszę panie Dewru – głos nagle stał się grzeczny z odcieniem skomlenia. – W imię Allacha, w imię miłości do Allacha, proszę nie utrudniać. To moje uszy zawisną w niewymownych miejscach, jeśli pan będzie robił trudności. Musimy pojechać natychmiast do Tizi Ouzou.

– Tizi co?

– Ouzou, panie Dewru.

– Ouzou? Powiedział pan Ouzou?

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia stało się coś nieoczekiwanego. Madge wyrwała mu słuchawkę z ręki.

– Daj mi to! – rozkazała. – Znam Tizi Ouzou. Byliśmy tam z moim mężem. To okropne miejsce... Słuchaj ty, kimkolwiek jesteś, postaraj się lepiej o cholernie dobry powód, jeżeli chcesz, żeby mój przyjaciel pojechał do Tizi Ouzou. To opuszczony przez Boga i ludzi kraniec. Bez przyzwoitego hotelu czy restauracji, nie mówiąc już o sanitariatach!

Dziewczyna trzymała słuchawkę przy uchu kiwając głową co trzy, cztery sekundy. Skomlenie po drugiej stronie stało się dosłyszalne.

– Doprawdy Madge, potrafię załatwić...

– Bądź cicho. Ten sukinsyn nie jest nawet Algierczykiem... Tak. Tak... Dobrze. Wobec

tego oboje schodzimy!... Przyjmujesz to albo nie, ty pustynny komarze, tylko tak możemy to załatwić... To są twoje uszy, słodziutki... I jeszcze jedno. Zanim się tam dostaniemy, chcę, aby czekał na mojego przyjaciela potężny posiłek, rozumiesz?... I żadnych placków z wielbłądziego gówna! Dobrze. Za pięć minut.

Odłożyła słuchawkę i uśmiechnęła się do Devereaux, który był prawie nagi i blady jak ściana.

– To wielkodusznie z twojej strony, ale nie jest konieczne...

– Nie bądź głupi. Nie znasz tych ludzi, a ja tak. Musisz być twardy. Oni są zupełnie nieszkodliwi, pomimo tych przeklętych noży. Poza tym jak ja mogę spuścić cię z oka choć na minutę, kiedy się przekonałam, jakie myśli chodzą ci po głowie? I w twoim stanie. – Pochyliła się i pocałowała go znowu. – To naprawdę ekscytujące.

Devereaux uświadomił sobie, że w swoim nadwątlonym stanie może podlegać halucynacjom. Lecz nie był przygotowany na dwóch Arabów w szatach, czekających w hallu hotelowym.

Peter Lorre i Borys Karloff. Trochę młodszy niż na fotografiach, które Sam pamiętał, mimo to łatwi do rozpoznania.

Następne dwadzieścia minut było zamazane. Jednak musiał mieć jasny umysł. Azaz-Warak (kimkolwiek i gdziekolwiek był) to ostatni podpisujący inwestor, musiał więc powoli przygotować się na kontruderzenia.

Peter Lorre siedział z przodu obok Borysa, który prowadził. Samochód pędził przez ulice Algieru przechylając się niebezpiecznie na zakrętach. Właśnie wjeżdżali na strome wzgórze, kiedy Devereaux zdał sobie sprawę, że jadą na lotnisko Dar el Beida.

– Polecimy samolotem? – zapytał niezwykle spostrzegawczo.

Madge siedząca obok niego opowiedziała:

– Pewnie, złotko. Tizi Ouzou jest jakieś dwieście mil na wschód. Nie dałbyś rady dojechać tam samochodem. Pamiętaj, że byłam tam.

Devereaux popatrzył na nią i szepnął:

– Pamiętam. Ale nie mogę zrozumieć, dlaczego tu jesteś. Czy wiesz, w co się wplątujesz? Czy wiesz, co robisz?

– Próbuję być pomocna.

– Tak jak Rose Mary Woods.

Wnętrze helikoptera było tylko trochę mniejsze od stacji Pensylwania. Wszędzie leżały poduszki, a przy każdym siedzeniu zainstalowano skomplikowany przewód wodny umocowany do ściany z czymś w rodzaju bunsenowskiego palnika pod spodem. Na tyle helikoptera mieściła się kuchnia.

Po trzech minutach w powietrzu Sam dostał pierwszy posiłek: małą filiżankę cierpkiego,

czarnego płynu, który słabo pachniał kawą, a bardziej gorzką lukrecją zmieszaną z nieświeżymi sardynkami. Wypił to jednym haustem, skrzywił się i popatrzył na drobniutką postać owiniętą w zwoje materiału, która podała mu filiżankę. Drobniutka postać pokręciła kilkoma kurkami przy przewodzie w ścianie i przytknęła zapalną do palnika pod siedzeniem. Nie wiadomo skąd pojawiła się długa gumowa rurka z ustnikiem.

Wziął ją i zawahał się. To pewnie nic dobrego, ale z drugiej strony to coś, co można włożyć do ust, a nic nie mogło być w tej chwili gorszego niż agonía, której doświadczał. Umieścił ustnik między zębami i pociągnął.

To, co wciągnął, nie przypominało dymu, lecz raczej opary, słodkie i cierpkie jednocześnie. Bardzo przyjemne. A nawet zachwycające. A w sposobie oddziaływania raczej odwracające uwagę. Pociągnął mocniej i szybciej. Popatrzył na Madge siedzącą naprzeciw niego na stosach poduszek.

– Czy zechciałabyś, moja droga – posłyszał swój szept – zdjąć z siebie wszystko?

– Chętnie bym to zrobiła – odpowiedziała dziewczyna najbardziej prowokującym, zapierającym dech w piersiach szeptem.

– Najpierw bluzka, jeśli pozwolisz. – Znow nie był pewny, czy to, co słyszy, to są jego słowa. – Potem może, gdy będziesz zdejmować spódnice, wykonasz mały, falujący taniec.

– Odłóż tę cholerną rurkę.

– Gdzie?

Czuł zapach jej perfum. Ból żołądka zniknął. Zamiast tego poczuł przyływ wielkiej mocy pulsującej w całym ciele. Był teraz zdolny do gigantycznych czynów. Był teraz – jak to było? – władcą pustynnych wiatrów, księciem piorunów, miotaczem błyskawic, z odwagą wszystkich lwów Judei.

– Nie pociągasz lucky strike'ów. To czysty haszysz.

– Kto?

Informacja dotarła do tej części mózgu, która jeszcze funkcjonowała. Co on robi, u diabła? Wypluł ustnik i spróbował doprowadzić do porządku samolot. To przez ten helikopter, bo nagle wszystko zaczęło wirować. Lwy Judei uciekły, a ich miejsce zajął parszywy kiciuś. Nagle usłyszał skamlący głos Petera Lorre'a, który wyszedł z kabiny pilota:

– Kierujemy się na południowy wschód od Tizi Ouzou.

– Jak to? – Madge była zdenerwowana i nie próbowała tego ukryć. – Powiedziałeś Tizi, nie jakieś inne miejsce. Mam przyjaciół na rue Joucif, ty gnido! Mój ostatni mąż wiele zrobił dla rządu algierskiego!

– Stokrotnie przepraszam, pani Dewru, ale moim rządem jest Azaz-Warak. To szejki wszystkich szejków, bóg wszystkich chanów, sokolich oczu, z odwagą...

– *Kiedy dzwonisz do mnieee, dzwonisz do mnieee, dzwonisz do mnieee!*

Samowi nagle zachciało się śpiewać. W każdym razie wydawało mu się, że śpiewa.

– Zamknij się majorze! – krzyknęła Madge.

– *Sam... Saaam w tę noc, która znaczyła dla...*

– Będziesz ty cicho? – wrzasnęła dziewczyna.

– Wydajesz się odpowiednia – wymamrotał Sam.

– Dokąd lecimy? – zapytała Madge skamlącego Araba, który patrzył na Devereaux, jak gdyby chciał powiedzieć, że tego Amerykanina powinno się lepiej pilnować.

– Siedemdziesiąt mil na południowy wschód od Tizi Ouzou znajduje się miejsce, które znają tylko plemiona Beduinów. Doskonale nadaje się na poufne spotkania. Rozstawiono tam orli namiot dla szejka wszystkich szejków, boga wszystkich chanów. Azaz-Warak, najwspanialszy, przyleci z najświętszego z królestw, by spotkać się z niewymownym psem nazwiskiem Dewru.

– *Kiedy dzwonię tuuu... Dewruuu... zawsze tuuu...*

– Zamkniesz się wreszcie?!

Rozdział XVI

Pokój hotelowy zavalony był porozrzucanymi wszędzie mapami: pokrywały łóżko, piętrzyły się na stoliku do kawy, zaścielały podłogę, kleiły się do lustra i drapowały szafę. Były tam mapy dróg ze stacjami benzynowymi, linii kolejowych, mapy wzniesień, mapy geograficzne i roślinności, zdjęcia terenu wykonane z wysokości kolejno 500, 1500, 5000 i wreszcie 20 000 stóp. Dochodziły do tego 363 fotografie każdego kawałka interesującego go terenu.

Niczego nie wolno było pozostawić przypadkowi.

Pięć minut temu podjął decyzję. Pośrednik nieruchomości z tajnej firmy o międzynarodowych kontaktach pod nazwą: „Les Châteaux Suisses des Grands Siècles” miał wkrótce tu być. Oczywiście z zachowaniem dyskrecji, bowiem pierwszą zasadą firmy była absolutna dyskrecja.

Mac wybrał zamek w kantonie Valais, na południe od Zermatt, w wiejskiej okolicy niedaleko Champoluc. Otaczające go dwieście akrów ziemi znajdowało się w cieniu Matterhornu i stanowiło obszar nie do przebycia.

Dwie sprawy zaprzętały mu teraz umysł. Pierwszą był teren. Należało znaleźć miejsce najbardziej zbliżone do terenu Akcji Zero, bo Hawkins taką nadał jej nazwę. Każdy łuk, każdy zakręt, każde wzniesienie drogi, każdy stok i wzgórze, które mogły zaważyć na powodzeniu przedsięwzięcia lub ewakuacji, musiały być skopiowane tak dokładnie, jak to tylko możliwe. Manewry nie miałyby sensu, gdyby teren treningowy nie odzwierciedlał strefy bojowej.

Drugą sprawą była niedostępność. Baza operacyjna, jak Mac po namyśle zdecydował, musi być całkowicie niewidoczna zarówno z ziemi, jak i z powietrza. Teren powinien być tak ukształtowany, aby elementy wyposażenia dało się ukryć w ciągu kilku sekund i aby mógł tam mieszkać i trenować przez minimum osiem tygodni zespół składający się z co najmniej dwunastu ludzi.

Zamek, który wybrał Hawkins, posiadał wszystkie wymagane cechy. I nie był zanadto oddalony od Zurychu. Fundusze Spółki Shepherd'a miały zostać przetransferowane do Zurychu. Devereaux się tym zajmie, jak również sprawą dzierżawy zamku z przyległościami.

Rozległo się dyskretne pukanie do drzwi. Stąpając ostrożnie między rozłożonymi na podłodze mapami i fotografiami, podszedł do drzwi i zapytał:

– *Monsieur d’Artagnan?*

Firma „Les Châteaux Suisses” używała zawsze pseudonimów.

– *Oui, mon général* – dobiegła cicha odpowiedź z korytarza.

Hawkins otworzył drzwi i do pokoju wszedł mężczyzna w średnim wieku, o nieokreślonym wyglądzie.

Nawet te napomadowane wąsy mają nieokreślony wygląd, pomyślał Hawkins. Trudno byłoby go rozpoznać w tłumie. Niczym się nie wyróżniał.

– Widzę, że zapoznał się pan z informacjami, które przesłaliśmy – rzekł *monsieur d’Artagnan* z akcentem znamionującym wschodnią Alzację-Lotaryngię. Należał do ludzi, którzy nie tracą czasu na uprzejmości i Hawk był mu za to wdzięczny.

– Tak i podjąłem już decyzję.

– Która posiadłość?

– Château Machenfeld.

– Ach, le Machenfeld! *Magnifique, extraordinaire!* Cóż za historia rozgrywała się na tych falistych polach. Jakie bitwy wygrywano i przegrywano pod tymi wysokimi granitowymi murami. A wnętrza zachowały funkcjonalną nowoczesność. Znakomity wybór. Gratuluję panu. Pan i pańska grupa religijnych braci będziecie bardzo zadowoleni.

D’Artagnan wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki najgrubszą kopertę, jaką Hawkins kiedykolwiek widział. Ściśle zakonspirowana firma nie nosiła walizeczek, przypomniał sobie Mac. Zgromadzenie zbyt wielu poufnych informacji przy sobie było niebezpieczne. Pośrednicy przychodzili jedynie z papierami dotyczącymi bieżącej sprawy.

– Czy to umowy dzierżawne?

– *Oui, mon général.* Wszystko zostało przygotowane zgodnie z pańskim wyborem i życzeniem. I oczywiście kaucja za sześć miesięcy.

– Zanim do tego przejdziemy, chciałbym jeszcze przejrzeć warunki.

– Czy są jakieś nowe, *monsieur?*

– Nie, chcę się tylko upewnić, czy właściwie zrozumiał pan stare.

– Ależ generale, wszystko jest jasne – powiedział d’Artagnan z uśmiechem. – Pan podyktował warunki, ja je własnoręcznie przepisałem, zgodnie z naszymi zasadami i pan to potem zatwierdził. Proszę sprawdzić. – Podał Hawkinsowi papiery. – Myślę, że wie pan o tym, iż nigdy nie zmienilibyśmy życzeń naszych klientów. Wypełniamy jedynie formularz dotyczący zamku i sprawdzamy, czy żądania nie kolidują z warunkami dzierżawy postawionymi przez właściciela. Postępujemy tak ze wszystkimi posiadłościami. I nie mieliśmy dotąd żadnych problemów.

MacKenzie wziął papiery i utorował sobie drogę przez mapy i fotografie do sofy. Jedną ręką odsunął dwie ogromne mapy wzniesień i usiadł.

– Chcę się upewnić, że to, co przeczytam, będzie tym, co słyszałem.

– Proszę pytać, o cokolwiek pan zechce. Zgodnie z polityką naszej firmy każdy pośrednik zna wszystkie warunki. A kiedy transakcja zostanie sfinalizowana, papiery są mikrofilmowane i składane w skarbcu firmy w Genewie. Proponujemy, żeby pan to samo zrobił ze swymi kopiami. Nie do odnalezienia.

Hawkins zaczął czytać na głos:

– Zważywszy że strona podana w ustępie pierwszym, odtąd zwana dzierżawcą, bierze w posiadanie in nomen incognitum... – Oczy Maca prześliznęły się niżej. – Pod nieobecność... communicantum directorum między stroną... i stroną... Cholera! Macie, chłopcy, wprawę w tajnych operacjach.

D'Artagnan się uśmiechnął. Napomadowane wąsy rozciągnęły się lekko.

– Proszę pytać, *monsieur*.

I zaczęło się.

„Les Châteaux Suisses des Grands Siècles” nie istnieje w języku umowy dzierżawnej i od tego momentu nie ujrzy światła dziennego.

Wszystkie osoby będą otaczane najwyższą czcią i nigdy nie zostaną ujawnione ani pojedynczej osobie, ani organizacji, ani sądowi, ani rządowi. Żadne prawa, miejscowe lub międzynarodowe, nie mogą zmienić warunków umowy. Ona jest jedynym prawem. Płatności będą dokonywane na rzecz firmy w gotówce lub w czekach bankowych. W przypadku Spółki Shepherd'a z banku na Kajmanach.

Ilekcio konieczne będzie podanie źródła, zostanie ono wysłane, gdzie potrzeba, z zachowaniem specjalnych środków ostrożności. W przypadku Spółki Shepherd'a tym źródłem jest luźny związek międzynarodowych filantropów zainteresowanych badaniami i propagowaniem religijności.

Wszystkie dostawy, wyposażenie, transport i usługi zapewni „Les Châteaux Suisses des Grands Siècles” i prześle do swoich terenowych ośrodków w Zermatt, Interlaken, Chamonix lub Grenoble. Dostawy będą dokonywane między północą a czwartą rano. Kierowcy, technicy i robotnicy, jeśli to możliwe, zostaną wybrani przez Spółkę Shepherd'a i będą kursować między Machenfeld a terenowymi ośrodkami. Pod nieobecność rzeczonych tylko pracownicy „Le Châteaux Suisses”, którzy przepracowali nie mniej niż dziesięć lat dla firmy, mogą w zastępstwie dostarczać wyposażenie.

Wszystkie płatności będą dokonywane z góry na podstawie cen detalicznych z czterdziestoprocentową dopłatą za poufne usługi.

– To duży procent – rzekł MacKenzie.

– To bardzo szeroka aleja – odpowiedział d'Artagnan. – Nie pomagamy tym, którzy jeżdżą wąskimi ulicami. Uważamy, że honorarium za poradę jest tego najlepszym dowodem.

Faktycznie, pomyślał Hawk. Honorarium – bez względu na to czy transakcja dojdzie do skutku, czy nie – opiewało na 500 000 dolarów.

– Wykonaliście dobrą robotę – powiedział Hawkins biorąc do ręki wieczne pióro.
– Jest pan w dobrych rękach. Za kilka dni zniknie pan z powierzchni ziemi.
– Bez obawy. Wszyscy, których znam – dosłownie wszyscy – będą niezmiernie wdzięczni, jeśli już więcej o mnie nie usłyszą. Zdaje się, że jestem przyczyną wielu kłopotów.
Hawk zaśmiał się cicho i podpisał: George Washington Rappaport.

D'Artagnan wyszedł z czekiem wystawionym na Kajmański Bank Admiralicji: Suma opiewała na 1 495 000 dolarów.

Hawk podniósł plik fotografii i wrócił na sofę. Wiedział, że nie może dłużej rozmyślać o dostojności zamku Machenfeld. Pilniejsze sprawy wymagały rozważenia. Machenfeld byłby bezużyteczny, gdyby nie służył do przeszkolenia personelu. Ale dawny generał-porucznik MacKenzie Hawkins, podwójny zdobywca Honorowego Orderu Kongresu, wiedział, dokąd zmierza i jak tam dojść. Do Akcji Zero pozostało jeszcze kilka miesięcy. Ale podróż już się rozpoczęła.

Przyszło mu na myśl, jak też sobie radzą Sam i Midgey. Cholera, ten chłopak zwiedzi pół świata!

Helikopter zniżył lot, wzbijając w górę coraz to większe i dziksze tumany piasku. Była to tak gruba zasłona, że raczej wyczuł niż zobaczył, iż wylądowali.

Spędzili w powietrzu nieco więcej czasu niż zamierzali. Mieli niewielki problem nawigacyjny, zapewne z winy pilota, bowiem trudno było uwierzyć, że orli namiot Azaz-Waraka znajduje się gdzieś indziej. Ale w końcu dostrzegli grupę namiotów.

Piasek opadał i Peter Lorre otworzył drzwi. Pustynne słońce natychmiast ich oślepiło. Wsiadając z helikoptera, Sam przytrzymał się ramienia Madge.

Jeśli słońce oślepiało, to piasek parzył.

– Gdzie jesteśmy, u diabła?

– Aiyee! Aiyee! Aiyee! Aiyee!

Wrzaski otoczyły ich ze wszystkich stron i jednocześnie z różnych namiotów wybiegło w ich kierunku mnóstwo Arabów w turbanach, z szatami powiewającymi na wietrze, jak setki białych żagli. Peter Lorre i Borys Karloff natychmiast stanęli przy Samie chwytając go za ramiona, jakby demonstrowali ubite zwierzę. Madge ustawiła się z przodu, jakby chciała go obronić, pomyślał Devereaux z niepokojem, a jednocześnie wydać instrukcje rzeźnikowi. Pędzący batalion szat i turbanów sformował się w dwa rzędy, tworząc korytarz prowadzący do największego z namiotów, stojącego w odległości około pięćdziesięciu jardów.

Gardłowy wrzask Petera Lorre'a wypełnił powietrze:

– Aiyee! Sokole oczy! Miotający błyskawice! Panie wszystkich chanów i szejku wszystkich szejków!

Odwrócił się do Sama i krzyknął jeszcze głośniejsze:

– Na kolana, niegodna biała hieno!

– Co?

Devereaux nie protestował, pomyślał jedynie, że piasek zaraz stopi mu spodnie.

– Lepiej uklęknąć – powiedział niskim, gardłowym głosem Borys Karloff – niż potem stać na kikutach.

Piasek rzeczywiście nieprzyjemnie parzył, a Sam w przypływie nagłej troski pomyślał, co zrobi w takiej sytuacji Madge. Miała na sobie bardzo krótką spódniczkę i buty z cholewkami. Zmrużył oczy i spojrzał na nią.

Niepotrzebnie się martwiłem, pomyślał. Madge wcale nie uklękła. Zamiast tego przesunęła się lekko w bok i stanęła wyprostowana. Wyglądała wspaniale.

– Suka – szepnął.

– Nie trać głowy – odszepnęła. – To znaczy w przenośni... Tak sędzę.

– Aiyee! Oto księżę grzmotów i błyskawic! – wrzasnął Peter Lorre.

Przy namiocie zrobił się ruch. Dwaj słudzy odsunęli przednią klapę i padli plackiem na ziemię, twarzami do piasku. Z ocienionego wnętrza wyszedł mężczyzna, który okazał się wielkim rozczarowaniem, przykrym zawodem, w porównaniu z dramatycznymi przygotowaniami na wejście.

Księżę grzmotów i błyskawic okazał się chudym, małym Arabem. Wyzierająca spod zwojów materiału twarz była najszkaradniejszą, jaką Devereaux kiedykolwiek widział. Pod wielkich rozmiarów wąskim, haczykowatym nosem tkwiły wywinięte – naprawdę wywinięte – usta tak, że gęste czarne wąsy wydawały się zrosnięte z nozdrzami. Błada skóra (co można było dostrzec) miała kolor rozcieńczonego beżu, który podkreślał ciemne, głębokie obwódki pod oczami o ciężkich powiekach.

Azaz-Warak podszedł do nich z zaciśniętymi wargami, wężącymi nozdrzami i trzęsącą się głową. Patrzył tylko na Madge. Kiedy przemówił, w jego skamlącym głosie słychać było pewną powagę.

– Żony w legowisku lwa, królewski harem – to wielka odpowiedzialność dla mojej szczodroblivej osoby. Czy chciałabyś wielbłąda, pani?

Madge potrząsnęła głową z pewnym dostojeństwem właściwym jej osobie. Azaz-Warak nie odrywał od niej wzroku.

– Dwa wielbłądy? Samolot?

– Jestem w żałobie – powiedziała Madge z szacunkiem, ale stanowczo. – Mój bogaty szejek zszedł ze świata, kiedy półksiężyc świecił na niebie. Znasz chyba zasady?

Oczy o ciężkich powiekach wypełniło rozczarowanie. Jego wywinięte wargi cmoknęły dwa razy, nim się odezwał:

– Ach, to straszliwe brzemień naszej wiary. Trzeba przetrwać dwie kwadry. Niech twój szejek spoczywa z Allachem. Może odwiedzisz moje pałace, kiedy twój czas minie?

– Zobaczymy. A teraz moja eskorta jest głodna. Allach życzy sobie, żeby ten człowiek

mnie chronił. Nie może tego robić, kiedy jest słaby.

Azaz-Warak popatrzył na Sama, jak gdyby ten był przeznaczonym do zarżnięcia zwierzęciem.

– Więc pełni dwie funkcje: jedną godną, drugą niktzemną. Chodź, psie, do namiotu orła.

– To tam, gdzie jest jedzenie, tak? – Devereaux uśmiechnął się najbardziej przymilnym ze swoich uśmiechów, gramoląc się z klęczek.

– Usiądziesz przy moim stole, kiedy załatwimy interes. Módl się do Allacha, byśmy go zakończyli przed nadejściem północnych śniegów. Czy przyniosłeś umowę?

Devereaux kiwnął głową.

– Czy przyniosłeś puszkę gorącej wołowiny?

– Cisza! – wrzasnął Peter Lorre.

– Pani – zwrócił się Azaz-Warak do Madge – moi słudzy są na każde twoje skinienie. Moje pałace są cudowne, polubiłabyś je.

– To kusząca propozycja. Zobaczymy, gdzie będę za miesiąc.

Mrugnęła do niego. Jego usta wykonały serię wilgotnych mlaśnień, po czym Arab strzelił palcami i skierował się do namiotu.

Minuty wydłużały się do kwadransów, kwadransy do godziny, a godzina do dwóch i więcej. Devereaux pomyślał, że to już koniec. Obiecująca kariera prawnicza rozwiewa się zagłodziła w samym środku zapomnianej przez Boga i ludzi pustyni, siedemdziesiąt mil na południe od śmiesznie brzmiącego miejsca zwanego Tizi Ouzou w Afryce Północnej.

To, co ten koniec czyniło śmiesznym, to widok Azaz-Waraka sylabizującego każde zdanie umowy wspólnie z ośmioma-dziesięcioma skrzeczącymi Arabami, zagładającymi mu przez ramię i kłócącymi się namiętnie ze sobą. Każdą stronę traktowano, jakby to była jedyna strona; każdy zawył i niepotrzebny zwrot roztrząsano szczegółowo, jakby to on stanowił sedno sprawy. Sam dostrzegł w tym straszliwą ironię: ezoteryczny, prawniczy bełkot, który trzymał przy życiu każdego prawnika, teraz obracał się przeciw niemu.

Szalona myśl przyszła mu do obolałej głowy: gdyby wszystkie prawnicze dokumenty były pisane tak, by móc je zrozumieć między posiłkami, a wszystkie posiłki odkładane do chwili, gdy wszystko zostanie wyjaśnione, to sprawiedliwość stałaby na dużo wyższym poziomie, a większość jego znajomych prawników straciłaby pracę.

Co jakiś czas jeden z ministrów szejka podchodził do niego z którąś ze stron i wskazując na paragraf pytał doskonałą angielszczyzną, co to znaczy. Devereaux odpowiadał niezmiennie, że to jest standardowa formułka i że to nie ma znaczenia.

Jeżeli nie ma znaczenia, to dlaczego język jest tak zawyły? Tylko ważne punkty powinno się wyrażać w sposób zawyły, w innym przypadku nie ma potrzeby komplikować.

A poza tym dobre rzeczy zostały wyrażone jasno, niegodne zaś często przedstawiano niejasno. Czy standardowa formułka oznacza niegodną formułkę?

I tak to szło, dopóki Sam w pewnym momencie nie krzyknął. Po prostu krzyknął.

Azaz-Warak i stado ministrów popatrzyli na niego. Pokiwali głowami, jakby mówili: „Wybrałeś dobry moment”. I powrócili do krzyczenia jeden na drugiego.

Kiedy ciemność zaczęła przesłaniać mu widok, i Sam pomyślał, że to ostatnie spojrzenie na żyjący świat, usłyszał słowa wyjęzyczne przez szejka nad szejkami:

– Północne śniegi dotarły na pustynię, niewymowny. Te plugawe papiery są jak ślad wielbłądów w czasie burzy piaskowej. Nie mają żadnego znaczenia. Znaczenia, które wzbudziłoby gniew Allacha lub pewnych międzynarodowych autorytetów. Moja wielkoduszna, wszystkowiedząca osoba podpisała je. Nie żebym podpisywał się pod tą nikczemną propozycją, uczynioną moim uszom, lecz by pomóc zjednoczyć świat w miłości, ty wstrętny psie.

Azaz-Warak podniósł się ze stosu poduszek i w eskorcie podejrzliwych ministrów zniknął za kotarą.

Peter Lorre podszedł do Sama z umową w ręku. Wręczając ją szepnął:

– Włóż to do kieszeni. Lepiej, żeby oko sokoła nie padło na nią ponownie.

– Czy sokół jest jadalny?

Mały Arab spojrział zaskoczony na Sama.

– Twoje gałki oczne pływają w oczodołach, Abdul Dewru. Zaufaj Koranowi, rozdział pierwszy, księga czwarta.

– Co to ma być, u diabła? – Sam ledwo mówił.

– „Uczty przygotowano niewierzącym niewiernym i przestali być niewierzący”.

– Czy to znaczy, że będziemy jeść?

– Tak. Bóg wszystkich chanów nakazał przygotować swoje ulubione danie: gotowane jądro wielbłąda uduszone z żołądkiem pustynnego szczura.

– Aiyeeeeeee!

Devereaux zbladł i skoczył jak oparzony. Sprężyna pękła. Nie pozostało nic innego tylko samounicestwienie. Zbliżał się koniec. Siły zniszczenia z dziką gwałtownością domagały się jego śmierci.

Więc niech się stanie. Nastąpi to niebawem. Na pewno. Z osłepiającą gwałtownością. Ominął poduszki i wypadł na zewnątrz. Słońce właśnie zachodziło. Koniec nastąpi, kiedy pomarańczowe słońce zniknie za pustynnym horyzontem.

Gotowane jądra! Żołądek szczura!

– Madge! Madge!

Gdyby tylko mógł ją odnaleźć. Mogłaby przekazać wiadomość o jego śmierci matce i Aaronowi Pinkusowi. Niech wiedzą, że umarł jak bohater.

– Madge! Gdzie jesteś?

Po tych słowach poczuł zamęt w głowie, który wcale nie pasował do ostatnich myśli o zejściu ze świata.

– Hej, koteczku! Zobacz, co ja tu mam.

Sam odwrócił się. Stopy zapadły się po kostki w piasku. Spieczona usta drżały. W odległości pięćdziesięciu jardów grupa Arabów tłoczyła się przy helikopterze, zaglądając do kabiny pilota.

Z zamętem w głowie poszedł chwiejnie w stronę tego oszałamiającego widoku. Arabowie piszczeli i szemrali, lecz pozwolili mu przejść. Chwycił za krawędź okna i zajrzał do środka. To nie było trudne, bo helikopter ugrzązł w piachu. Zaskoczyło go raczej to, co usłyszał, niż to, co zobaczył.

Z tablicy rozdzielczej z małą siateczką dochodziły jednostajne, ogłuszające trzaski. Przypominały odgłosy młota pneumatycznego pracującego w tunelu. Madge siedziała na miejscu drugiego pilota, a dekol w jej bluzce powiększył się o kolejne kilka guzików.

Potem usłyszał słowa przebijające się przez zakłócenia i zamarł. Uczucie głodu i wyczerpania zmieniło się w coś w rodzaju hipnotycznego strachu.

– Midgey! Midgey, dziewczyno! Ciągłe tam jesteście?

– Tak, Mac, ciągle. Jest już Sam. Skończył z tym jak-mu-tam.

– A niech to! Jak on się czuje?

– Głodny. Jest bardzo głodnym chłopcem – powiedziała Madge, po mistrzowsku manipulując pokrętłami przy radiu pokładowym.

– Później będzie mnóstwo czasu na jedzenie. Wiem, że wojsko maszeruje mu w brzuchu, ale najpierw musi się ewakuować ze strefy ogniowej, zanim da sobie odstrzelić tyłek. Czy ma papiery?

– Sterczą mu z kieszeni...

– Ten chłopak to świetny młody adwokat! Daleko zajdzie! A teraz zabierajcie się stamtąd, Midgey. Zabierz go do Dar el Beida na ten samolot do Zermatt. Potwierdź i odbiór!

– Roger, potwierdzam, Mac.

Midge manipulowała kilkoma tuzinami przełączników, jak gdyby była programistką. Odwróciła twarz do Sama i rozpromieniła się.

– Czeka cię miły odpoczynek, Sam. Mac mówi, że zasłużyłeś na urlop.

– Kto? Gdzie?...

– W Zermatt, złotko, w Szwajcarii.

Część trzecia

Sprawne funkcjonowanie korporacji zależy w dużym stopniu od jej personelu, którego pochodzenie i oddanie sprawie muszą być zgodne z jej celami i którego tożsamość powinna odpowiadać obrazowi korporacji.

Prawa ekonomii Shepherda
Tom CXIV, rozdz. 92

Rozdział XVII

Kardynał Ignatio Quartze, którego chude arystokratyczne rysy były dowodem wyznawanej przez pokolenia zasady noblesse oblige, jak burza przebiegł swój gabinet do dużego balkonowego okna, wychodzącego na plac św. Piotra. Mówił z wściekłością, z ustami zaciśniętymi w gniewie, a nosowy głos smagał jak bicz.

– Wieśniak Bombalini posuwa się za daleko! Przynosi wstyd kolegium, które, niech Bóg ma nas wszystkich w opiece, go wyniosło!

Słuchaczem kardynała był pulchny ksiądz o chłopcym wyglądzie, siedzący w pozie omdlewającej o tyle, o ile pozwalała mu tusza, na wysłanym szkarłatnym aksamitem krześle. Różowe policzki i zaciśnięte grube wargi były oznaką mniej arystokratycznego pochodzenia niż jego zwierzchnika, ale nie mniejszego umiłowania luksusu. Jego mowa przypominała mruczenie.

– On był i pozostanie tylko kompromisem, eminencjo. Proszę być pewnym, że jego zdrowie nie pozwoli na długie panowanie.

– Każdy dzień to przeciąganie ponad ludzką wytrzymałość!

– Ma w sobie pewną... pokorę bardzo nam pomocną. Uspokoił większość wrogo usposobionej prasy. Ludzie spoglądają na niego ciepło. Nasze datki są prawie tak samo wysokie jak przy Roncallim.

– Proszę, tylko nie on! Cóż po takim bogactwie, które powiększa się i kureczy jak tysiąc harmonii, bo Stolica Apostolska subsydiuje wszystko, na czym on położy tę swoją tłustą chłopską łapę. I nie potrzebujemy przyjaznej prasy. Podział jest daleko lepszym sposobem na nasze zespolenie! Niestety, nikt tego nie rozumie.

– Ale ja tak, eminencjo, rozumiem doskonale...

– Czy widziałeś, co dzisiaj zrobił? – zapytał kardynał, pomijając słowa księdza. – Otwarcie mnie upokorzył! Przy wszystkich! Zakwestionował mój podział funduszy afrykańskich.

– Oryginalny sposób na to, by uciszyć tego straszego czarnego człowieka. On wiecznie narzeka.

– A do tego opowiada kawały – kawały, zważ sobie! – członkom gwardii watykańskiej!

Wchodzi w tłum zwiedzający muzea i je lody – wyobrażasz sobie?! – ofiarowane przez jakąś czeredę sycylijskich bachorów! Któregoś dnia upuści lira w męskiej toalecie i wszystkie ustępy zostaną okradzione! Takie zniewagi! Co on robi z kośćmi świętego Piotra! Obróć się w proch!

– To nie potrwa długo, wasza eminencjo.

– Wystarczająco długo. On wyczerpie skarb i zapełni kurię radykałami o dzikich oczach!

– Jesteś jego następcą, eminencjo. Przeciwny mu średni szczebel udzieli ci poparcia. Na razie siedzą cicho, ale urazy pozostają.

Kardynał zamyślił się. Jego usta wygięły się pogardliwie, kiedy spoglądał na plac, a szczęka wysunęła do przodu.

– Wierzę, że mamy popleczników. Ronaldo, podaj mi plany willi w San Vincente. Uspokoi to moje nerwy.

– Oczywiście – powiedział ksiądz wstając z krzesła.

– Wasza miłość musi być spokojny. A kiedy nadejdzie lato, pozbędziesz się wieśniaka Bombaliniego. Pozostanie w Castel Gandolfo przez co najmniej sześć tygodni.

– Plany, Ronaldo! Jestem bardzo zdenerwowany. A jednak w samym środku tego chaosu jestem najbardziej opanowanym człowiekiem w Watykanie... Plany, ty transwestyto! – ryknął kardynał.

Gdy sekretarz papieski z nieodstępnym notatnikiem w ręku opuścił pokój, papież Francesco I wstał z wysokiego, białego aksamitnego fotela (miejsca, które przeraziłoby nawet świętego Sebastiana) i usiadł na kanapie obok damy z „Viva Gourmet”. Od pierwszej chwili oczarował go piękny tembr głosu tej kobiety: był ciepły, radosny i uroczy. Pasował do tak zdrowo wyglądającej damy.

Sekretarz sugerował, by wywiad ograniczył się do dwudziestu minut. Papież zaś uznał, że powinien się skończyć, kiedy przyjdzie na to pora. Dziennikarka zaczerwieniła się lekko z zakłopotania, więc Giovanni przeszedł na angielski i zapytał, czy sądzi, że jest zbyt na notatniki z krzyżami wymalowanymi na odwrocie. Zaśmiała się, a sekretarz, który nie znał angielskiego, stał bez słowa przy drzwiach ze swoim notatnikiem przyciśniętym do piersi jak plastikowym stygmatem.

Trzeba będzie zmienić sekretarza, pomyślał papież. Ten był kolejnym młodym księdzem, skuszonym przez ambicje Ignatia Quartze. Postępowanie kardynała było aż nazbyt oczywiste: wprowadzał swoją władzę do papieskich apartamentów, zanim jeszcze odbył się jego pogrzeb. Francesco podjął już decyzję: nie odda Kościoła w ręce Ignatia Quartze. Trzymały one kielich w czasie mszy, jakby miały ukłócić szyję kurczęciu.

Wywiad z Lillian von Schnabe z „Viva Gourmet” był pożyteczny i miły. Giovanni mógł rozmawiać o dwóch najbardziej ulubionych tematach: o tym, że dobre, treściwe posiłki

można przygotować z niedrogich produktów i przyprawić je prostymi, pikantnymi sosami, i o tym, że w tych trudnych czasach wysokich cen wyróżnieniem jest – nie mówiąc o chrześcijańskim braterstwie – dzielić stół z sąsiadem.

Pani von Schnabe zrozumiała natychmiast, co chciał przez to powiedzieć.

– Czy to odmiana bochenków i ryb, Wasza Świątobliwość?

– Trzeba powiedzieć, że On nie głosił kazań w bogatych dzielnicach Nazaretu. Jego liczne cuda opierały się na głębokich, psychologicznych podstawach, moja droga. Ja otwieram mój koszyk z owocami, ty otwierasz swój koszyk z makaronem. Wspólnie mamy owoce i makaron. To proste dodawanie daje różnorodność. Różnorodność słusznie łączymy raczej z większą ilością niż z mniejszą.

– I posiłek zyskuje na wartości – kiwnęła aprobująco głową Lillian.

– *Perfetto*. Rozumie pani? Dwie principii: ograniczyć koszty i dzielić zapasy.

– To brzmi trochę jak socjalizm.

– Kiedy żołądki są puste, a ceny wysokie, przyklejanie etykietek jest głupotą. W Borsa Valori – nazywacie to giełdą – nie są skłonni do otwierania koszyków, oni je sprzedają. Taką mają pracę. Ale ja nie zwracam się do takich ludzi. Jadają w „Grand Hotelu” na koszt każdego z nich. Wierzę, że to także jest pochodną zasady bochenków i ryb.

Rozmawiali o przepisach opartych na wiejskich potrawach, które papież znał w młodości. Giovanni spostrzegł, że ta miła pani z uroczym głosem jest nimi zachwycona. Dobrze odrobił domową pracę z zasad odżywiania. Węglowodany, proteiny, skrobia, kalorie, żelazo i wszystkie rodzaje witamin znalazły się w jego przepisach.

Lillian zapełniła pół notatnika, pisząc tak szybko, jak mówił papież, przerywając mu od czasu do czasu dla wyjaśnienia jakiegoś słowa czy zdania. Po jakiejś godzinie zatrzymała się i zadała pytanie, którego Giovanni nie zrozumiał.

– A co z osobistymi potrzebami Waszej Świątobliwości? Czy posiłki Waszej Świątobliwości wymagają jakichś ograniczeń albo specjalnych potraw?

– *Che cosa?* Co pani ma na myśli?

– Charakter człowieka poznamy po tym, co lubi jeść.

– Mam szczerą nadzieję, że nie. Jestem już po siedemdziesiątce, moja droga. Nadmiar cebuli, oliwy, ziela angielskiego... Ale takie informacje nie są potrzebne w twoim artykule. Ludzie w moim wieku zupełnie normalnie grawitują i regulują swoje osobiste potrzeby. Lillian odłożyła długopis.

– Nie chciałam być wścibska, ale Wasza Świątobliwość jest tak fascynującym człowiekiem i, jestem przekonana, jednym z najlepszych ekspertów od żywienia w Ameryce. Chciałam tylko pochwalić sposób, w jaki kuchnia Waszej Świątobliwości obchodzi się z Waszą Świątobliwością.

Ach, pomyślał Giovanni Bombalini, od jak dawna już żadna urocza istota płci przeciwnej nie interesowała się nim! Nie mógł sobie przypomnieć, to było tak dawno. Ściągnięte twarze

zakonnice i oficjalne pielęgniarek, tak. Ale atrakcyjna dama z tak uroczym głosem...

– Cóż, moja droga, ci niegodziwi lekarze, mocno naciskają na pewne potrawy...

Lillian wzięła do ręki długopis.

I rozmawiali przez następne piętnaście minut.

Mniej więcej po upływie tego czasu rozległo się pukanie do drzwi. Francesco wstał z kanapy i wrócił na wysokie krzesło z białego aksamitu, które wystąpiło w jednym z tych biblijnych włoskich spektakli.

W drzwiach stanął poruszony kardynał Ignatio Quartze z chusteczką przy orlim nosie i dźwiękami dobywającymi się z jego gardła.

– Przepraszam, że przeszkadzam, Ojczy Świąty – odezwał się po włosku głosem, w którym słyhać było gniew, nadając wyrazowi „święty” raczej świecki, ale niezwykle uprzejmy odcień. – Poinformowano mnie właśnie, że Wasza Świątobliwość uważał za właściwe nie zgodzić się z moimi instrukcjami odnośnie do zgromadzenia Bankierów Chrystusowych.

– „Nie zgodzić się” jest zbyt mocnym określeniem. Ja zaledwie zasugerowałem to komisji zgromadzenia rozpatrującej wnioski. Zajmować Kaplicę Sykstyńską przez dwa dni w okresie szczytu turystycznego wydaje się bezpodstawne.

– Jeśli wybaczysz mi moją odmienną opinię, Wasza Świątobliwość, to Kaplica Sykstyńska jest najbardziej ulubionym i uczęszczanym miejscem, jakie mamy. Wszystkie ważne zgromadzenia odbywają w niej swoje spotkania.

– To każdego roku pozbawia tysiące ludzi możliwości oglądania jej piękna. Nie jestem pewien, czy to ma sens.

– Nie jesteśmy parkiem rozrywki, Ojczy Świąty.

Dziwne odgłosy dobywały się z kardynalskiego gardła. Wydmuchał nos z arystokratyczną siłą.

– Zastanawiam się nad pewną sprawą – odezwał się papież. – Sprzedajemy tyle różnych błahostek. Czy wiesz, że jest stragan, na którym są różańce z kryształu górskiego?

– Wasza Świątobliwość, Bankierzy Chrystusowi spodziewają się, że odbędą spotkanie w Kaplicy. Załatwiamy sprawy niezwyklej wagi.

– Wiem, mój drogi kardynale, otrzymałem memorandum. „Dochody Jezusa” są nieco przesadzone, ale przypuszczam, że daje to pewne korzyści podatkowe.

Giovanni przypomniał sobie nagle o Lillian. Zamknęła notatnik grzecznie lecz stanowczo. Chciała wyjść. Ach, to było takie miłe interludium! Nie pozwoli, by Quartze to zepsuł; może poczekać. Zwrócił się do atrakcyjnej damy z uroczym głosem, po angielsku oczywiście. Język ten Quartze znał bardzo słabo.

– Jacy jesteście nieuprzejmi. Proszę nam wybaczyć. Wzburzony kardynał ze śmigłami w korytarzach nosowych ponownie znalazł braki w moich osądach.

– Wobec tego musiałabym powiedzieć, że jego osąd pozostawia wiele do życzenia –

powiedziała Lillian, wkładając notatnik do torebki. Popatrzyła Giovanniemu w oczy i powiedziała cicho z uczuciem: – Przypuszczam, że nie będzie to właściwe, ale skoro nie jestem katoliczką, powiem. Jest Wasza Świątobliwość jednym z najatrakcyjniejszych mężczyzn, jakich kiedykolwiek spotkałam. Mam nadzieję, że nie uraziłam Waszej Świątobliwości.

Giovanniego Bombaliniego, papieża Francesca, Namiestnika Chrystusowego nawiedziły wspomnienia sprzed pięćdziesięciu lat. Były one miłe. W głęboko religijnym sensie, za co był wdzięczny.

– A ty, moja droga, masz w sobie uczciwość – choć mylna jest twoja opinia – która kroczy w gorącej świątłości Boga.

– Jeśli tak jest, to dlatego, że uczył mnie ktoś bardzo do Waszej Świątobliwości podobny. Choć niewielu zauważyłoby podobieństwo.

– Pochlebiam sobie. Proszę przekazać temu komuś błogosławieństwo prostego księdza.

Lillian odpowiedziała uśmiechem. Skierowała się do drzwi, w których chusteczka kardynała Quartze wygrywała capstrzyk przed jego wzburzoną twarzą, a odgłosy wydmuchiwania śluzu nadal dochodziły z jego orlego nosa i bardzo wąskich ust. Kardynał usunął się na bok, by pozwolić jej przejść, robiąc wszystko, by ją zignorować. Wobec tego Lillian zatrzymała się na moment, zmuszając go do spojrzenia na nią, a gdy to uczynił, zrobiła do niego oko.

Kiedy zamknęła drzwi, z ust papieża Francesca popłynęły słowa wyraźne i twarde. Arcykapłan odezwał się gniewnie po angielsku:

– Nie o Kaplicy Sykstyńskiej mów mi Ignatio! Porozmawiajmy raczej o planach twojego domu na wybrzeżu San Vincente! Co to za „umowy gwarancyjne”? Czy włączają również łaźnię parową?

Hawkins zarezerwował dwa sąsiednie miejsca w pierwszej klasie Boeinga 747 Lufthansy. Skoro potrzebował wolnej przestrzeni, nie było powodu narażać sąsiada na niewygodę. Dzięki temu mógł umieścić notatki na siedzeniu obok.

Celowo wybrał nocny lot do Zurychu. Podróżni w większości będą dyplomatami, bankierami, właścicielami spółek, przyzwyczajonymi do lotów przez Atlantyk. Wykorzystają podróż na sen, a nie na rozmowę. Nikt nie będzie mu przeszkadzał.

Musiał dokonać wyboru i rozesłać oferty natychmiast po przylocie do Zurychu.

Teczka MacKenzie’ego zawierała specjalnie dobrany zestaw osób, z którego miał wybrać potrzebny mu personel. To były te ostatnie akta, które skopiował w archiwach G-2. Ci, których uda się wybrać, będą jego brygadą, jego osobistą gwardią, która dostąpi zaszczytu uczestniczenia w najbardziej niezwykłym przedsięwzięciu nowoczesnej wojskowości. Każdy żołnierz tego oddziału wróci po zakończonym zadaniu jako jeden z najbogatszych ludzi w

swojej części świata, ponieważ, jeśli to tylko będzie możliwe, zbierze ich z różnych stron świata. Zgodnie z zasadą doboru żaden z nich nie powinien dowiedzieć się o istnieniu innych, zanim cała obsada nie zostanie skompletowana. Lepiej więc będzie, gdy przybędą z różnych miejsc.

W teczce Hawka były dossier najbardziej utalentowanych podwójnych i potrójnych agentów, które wyciągnął z banku danych armii Stanów Zjednoczonych. Wszystkie te raporty łączył wspólny mianownik: każdy z tych ludzi był na przymusowym odpoczynku.

Status podwójnego i potrójnego agenta dogorywał. Eksperci opisani w tych aktach nie mieli co robić przez dłuższy czas, a dla takich specjalistów bezczynność była klątwą. To oznaczało nie tylko utratę prestiżu w społeczności międzynarodowych przestępców, ale również obniżenie poziomu życia.

Perspektywy otrzymania 500 000 dolarów na głowę nie odrzuca się lekką ręką. A każdy potencjalny rekrut wart był takiej sumy, każdy był ekspertem w swojej dziedzinie. To wszystko sprawa logistyki. Przemysł i dokładnie zaplanuj każde zadanie dla eksperta, każdy ruch do ułamka sekundy. Do tego potrzebny będzie dowódca, który zażąda doskonałej precyzji od swych ludzi, który ich przeszkoli, by mogli osiągnąć najwyższy poziom, który nie pożałuje na wyposażenie i akcje pozorowane, który skopiuje o tyle, o ile to będzie możliwe, prawdziwe warunki planowanego ataku. Oficer najwyższy rangą. On sam. Cholera!

Kiedy wybierze i zmontuje brygadę, będzie musiał naszkicować zasadniczą strategię. Potem pozwoli swoim oficerom na propozycje i udoskonalenia. Dobry dowódca zawsze wysłuchuje swoich zdyscyplinowanych oficerów, ale, oczywiście, końcowy osąd rezerwuje dla siebie.

Tygodnie treningu wykażą mocne i słabe strony. Główny cel to wyeliminowanie słabości. Im mniej ludzi, tym lepiej, lecz nie na tyle, by zmniejszyć skuteczność misji. Oto dlaczego zapłata jest dla wszystkich jednakowa: 500 000 dolarów. Nie będzie żadnej zapłaty, jeśli zostaną schwytani. Przynajmniej nie tego rodzaju, jaką otrzymaliby po wykonaniu zadania. Będą pewne rodzinne przydziały w wypadku niepowodzenia misji. Tę sprawę wszystkie armie nauczyły się przyjmować za rzecz naturalną. Ludzie pracują lepiej, jeśli nie mają myśli zaprzątniętych rodziną. To dobra rzecz i jeszcze jeden dowód na różnice między gatunkami.

Spółka Shepherdza zgromadzi fundusze dla służb pomocniczych przed Akcją Zero, by oddzielić je od innych wydatków na operację.

Niech to diabli! Był nie tylko zawodowcem, był cholernie dobrym zawodowcem! Gdyby ci idioci w Pentagonie powierzyli mu całą armię Stanów Zjednoczonych, nie mieliby tych wszystkich kłopotów z werbowaniem ochotników. Te nadęte kutasy z Pentagonu nie rozumiały tak naprawdę istoty werbunku. Jeśli żołnierz traktował go normalnie i nie próbował naginać politycznie lub szukać ukrytych w nim dwuznaczności, wtedy był to cholernie dobry werbunek. Z wadami, ale nadający się do obróbki.

Nie miał czasu myśleć o tych nadętych kutasach. Musiał się zastanowić, jak udoskonalic

swoją brygadę. Interesowało go siedem sfer działalności: kamuflaż, rozbiórka, środki uspokajające, orientacja w terenie, technika samolotowa, ewakuacja i elektronika.

Siedmiu ekspertów. Zmniejszył dossier do dwunastu. Zanim dotarł do Zurychu, wiedział, że będzie miał siedmiu. To była tylko kwestia parokrotnego przeczytania akt. Wyśle swoje oferty z Zurychu, nie z Château Machenfeld. Żaden ślad nie może prowadzić do Machenfeldu.

Nawet w Zurychu musi być ostrożny. Jednak nie w sprawie śladów. Ten problem mógł załatwić. Ale musiał mieć pewność, że nie wpadnie na Sama Devereaux. Sam miał przylecieć w tym samym czasie co on. Nie był przygotowany na panikę, jaką tamten spowoduje. Lepiej się do tego nadawał zamek Machenfeld.

A potem, pomyślał Hawk, nie będzie się musiał niczym martwić. Devereaux to problem dziewcząt i zajęły się nim – każda z osobna i wszystkie razem – z prawdziwym mistrzostwem.

Niech to diabli! Były wspaniałe! Mężczyzna powinien uważać się za prawdziwego szczęśliwca mając przy sobie taki kwartet kobiecy. „Przy każdym wielkim człowieku...”, powiedziały. Przy nim nie stała jedna ładna dziewczyna, było ich cztery.

Najwspanialsza, najsilniejsza grupa dziewcząt! Sam był szczęściarzem i nawet nie wiedział o tym. Hawkins zanotował sobie w pamięci, że musi mu to powiedzieć, kiedy go zobaczy w Machenfeld.

Jutro, jeżeli lista się utrzyma.

Devereaux szedł wzdłuż peronu szukając właściwego numeru wagonu. Zadanie było trudne, bo nie mógł powstrzymać się od czkawki. Całą drogę z Tizi jak-mu-tam przez Algier, Rzym do Zurychu jadł. Madge odprowadziła go na lotnisko Dar el Beida nie pozwalając mu na nic więcej niż oficjalne „do widzenia”, odkąd powiedziała mu „cześć” w pokoju hotelu „Aletti”.

Ale Sam postanowił nie myśleć więcej o dziewczętach. Cokolwiek powodowało nimi, by robić to, co zrobiły dla Hawkinsa, należało zostawić Krafftowi-Ebingowi. Musi się skupić na innych sprawach.

Zadanie zebrania czterdziestu milionów dolarów zostało wykonane. Hawkins miał swoje fundusze (nie, on nie miał swoich funduszy, ale to była inna sprawa) i mógł rozpocząć grę. Załatwi ostatnie przygotowania, sprawunki, zwerbuj – jak to było? – personel pomocniczy. Chryste! Personel pomocniczy do porwania papieża!

O, mój Boże! Cały świat był jednym wielkim szaleństwem!

Teraz tylko jedno zaprzętało mu myśli, jedna sprawa, nad którą trzeba się zastanowić: jak powstrzymać MacKenzie’ego Hawkinsa. Miał przed sobą dwa cele: uniknąć więzienia i uciec przed morderczym uściskiem mafii, lordów, nazistów, a przede wszystkim Arabów, którzy

chcieli wepchnąć jego niewymowne w niewyparzone.

Przedział w pociągu był z rodzaju tych, które rozslawili Rex Harrison i Margaret Lockwood. Cienie i czarne aksamitne kryzy, nieustanny stukot metalowych kół o metalowe szyny, oznaczający nieuchronne zbliżanie się panicznego strachu. I wielkie szyby w zasuwanych drzwiach z zasłonami, które nagle odsłonięte objawiają diabelskie twarze.

„Nocny pociąg”, „Orient Express” – powolnie rozplływające się ręce sięgające fałd ciemnego płaszcza, zawsze tak wolno odsuwające czarny spust morderczego pistoletu. Pociąg ruszył.

– Nie do wiaaary! Powiedyiaaałam soobie, że wprost truuudno uwieeerzyć! Toż to maaajor! Właśnie tu w l’il ole Zürich!

Nic go już nie mogło zdziwić. W końcu tytaniczne też były na liście.

Regina Sommerville Hawkins Clark Madison Greenberg stała w drzwiach przedziału, rozsiewając wspomnienia o kwitnących magnoliach. Sam siedział spokojnie przy oknie, dziwiąc się własnej obojętności.

– Twoja obecność nie ma w sobie nic błyskotliwego. Pociąg się toczy i ty też. Gdybym, spróbował wysiąść w Lucernie, jestem przekonany, że zaczęłabyś krzyczeć „ratunku, gwałcą”.

– Dlaczego? Cóż za dziwne rzeczy opowiadasz? Mam nadzieję, że nie zapomniałeś hotelu „Beverly Hills”. Ja nigdy tego nie zapomnę.

– Moje wspomnienia nie mają ani początków, ani środków, ani końców. Świat cudzołoży w tysiącach rozbitych luster. Niszczymy siebie odzwierciedlając obraz Sodomy i Gomory... A teraz powiedz mi, dlaczego znalazłaś się w Zurychu, na tym dworcu, w tym właśnie pociągu i w tym wagonie?

– Och, to proste. Manny kręci film w Genewie. Dla United Artists. Sądzę, że tak świński, że musieli go zrobić poza Stanami.

– Tamto jest w Genewie, a to jest Zurych. Mogłabyś wymyślić coś lepszego. Ze względu na harem Hawkinsa. Trochę wyobraźni, proszę.

– Coś takiego! Jesteś niesprawiedliwy. – Regina rozsunała piękną marynarkę z lamy i buntowniczo oparła ręce na udach. Dwa wspaniałe działa miał teraz Devereaux tuż przed sobą. – Nie sądzą, byś miał się na co uskarżać. Rezygnujemy z komfortowych warunków, włączymy się po całym świecie, narażamy się na każdy rodzaj niewygód, pędzimy na złamanie karku, sprawdzamy wszystko, dbamy o ciebie, o twoje ciało i duszę, pilnujemy, żeby nikt cię nie skrzywdził, żeby ci niczego nie brakowało... O, Boże, co więcej mogliśmy zrobić?! I co nas za to spotyka? Obelgi! Okropne, wstrętne obelgi!

Regina porzuciła swoją wyzywającą pozę i wybuchnęła płaczem. Otworzyła torebkę, wyjęła chusteczkę i usiadła naprzeciwko Sama, przykładając ją do oczu.

– Zagubiona, skrzywdzona, mała dziewczynka.

– Daj spokój, to nie fair.

Jak większość mężczyzn Sam był bezradny wobec kobiecych łez. Regina szlochała, jej pierś drżała. Devereaux wstał z miejsca i ukląkł przed nią.

– Już dobrze. Nie płacz, proszę.

Łapiąc spazmatycznie powietrze, Regina popatrzyła na niego z wdzięcznością.

– Więc nie nienawidzisz mnie? Powiedz, że mnie nie nienawidzisz.

– Jak mógłbym cię nienawidzić? Jesteś urocza i słodka, i przestań już płakać, na Boga.

Przytuliła twarz do jego twarzy i powiedziała z ustami tuż przy jego uchu:

– Przepraszam. To dlatego, że jestem wykończona. Napięcie było po prostu zbyt duże. Siedziałam przy telefonie noc i dzień, niepokojąc się i oczywiście myśląc. Naprawdę stęskniłam się za tobą.

Marynarka Ginny była jak ciepły, przyjemny koc między nimi. Miękkie klapy pochylły się w jego kierunku otaczając mu ramiona. Chwyliła obie jego ręce i poprowadziła po fałdach grubego materiału, zatrzymując na bardziej miękkich, cieplejszych, przyjemniejszych, powabniejszych wzniesieniach, kryjących się pod jedwabną bluzką.

– Tak już lepiej. A teraz przestań płakać.

To wszystko, co mógł powiedzieć i zrobił to cicho. Szeptala mu do ucha, wywołując całą serię reakcji jego organizmu.

– Czy pamiętasz te cudowne angielskie filmy, które dzieją się w takich jak ten pociągach?

– Jasne. Rex Harrison, który ratuje Margaret Lockwood z rąk diabelskiego Conrada Veidta...

– Myślę, że możesz zasunąć i zamknąć drzwi. Zasłony również.

Devereaux wstał z podłogi. Zamknął drzwi, zasłonił zasłony i wrócił do Reginy. Zdjęła marynarkę z lamy i rozłożyła ją kusząco na miękkim siedzeniu.

Czuł stukot metalowych kół o szyny znaczący nieuchronność podróży – uderzenia na swój sposób zmysłowe. Za oknem przemykał skąpany w zmroku piękny krajobraz Szwajcarii.

– Ile czasu mamy do przybycia do Zermatt? – zapytał.

– Wystarczająco – odpowiedziała z uśmiechem. Zaczęła rozpinąć bluzkę. – Będziemy wiedzieli. To ostatnia stacja.

Rozdział XVIII

Hawkins zameldował się w hotelu „D’Accord” w Zurychu z fałszywym paszportem. Otrzymał go w Waszyngtonie od agenta CIA, który zdał sobie sprawę, że nie pozwoli mu napisać książki, kiedy już się wycofa. Proponował również peruki i ukryte kamery, ale MacKenzie się nie zgodził. Natychmiast po zainstalowaniu się w pokoju zszedł na dół porozmawiać z szefową centrali telefonicznej i zaproponować jej współpracę za pewną sumę pieniędzy. Kiedy suma doszła do stu dolarów, zgodziła się, by wszystkie telefony i kablogramy przechodziły przez jej stanowisko.

Wrócił do pokoju i rozłożył siedem dossier (ostateczny wybór) na stoliku do kawy. Był bardzo zadowolony. Ci ludzie to najbardziej przebiegli, najbardziej doświadczeni specjaliści w swoich dziedzinach. Pozostało ich tylko zwerbować. A MacKenzie znał się na tym.

Z czterema mógł się połączyć telefonicznie, do trzech musiał zadepeszować. Prawdę powiedziawszy to telefoniczny kontakt niczego nie załatwiał, bo jeden telefon nie wystarczał, by odnaleźć eksperta. Ale on posłużył się szyframi. W jednym wypadku trzeba będzie zatelefonować do baskijskiej wioski rybackiej nad Zatoką Biskajską; w drugim – do małego miasteczka na wybrzeżu Krety; trzeci telefon będzie do Sztokholmu, do siostry asa wywiadu, który jest teraz pastorem skandynawskiego kościoła baptystów. Czwarta rozmowa będzie z Marsylią, gdzie poszukiwany człowiek pracuje jako pilot holownika.

Jakaż różnorodność geograficzna! Oprócz tych, których złapie telefonicznie (Zatoka Biskajska, Kreta, Sztokholm i Marsylia), będą jeszcze depesze: do Aten, Rzymu i Bejrutu. Cóż za rozpiętość! To było marzenie każdego szefa wywiadu!

MacKenzie zdjął marynarkę, rzucił ją na łóżko i wyciągnął cygaro z kieszeni koszuli. Zgryzł koniec do właściwej miękkości i zapalił. Minęła właśnie 9.15. Popołudniowy pociąg do Zermatt był o 16.15. Siedem godzin. To był dobry znak, jeżeli w ogóle taki istniał! Siedem godzin i siedmiu oficerów do zwerbowania.

Przeniósł trzy dossier na biurko i ułożył raporty przy telefonie. Najpierw trzeba wysłać depesze.

Dokładnie za dwadzieścia dwie czwarta Hawk odłożył słuchawkę i zrobił czerwony znak na aktach zatytułowanych „Marsylia”. Był to ostatni z kontaktów telefonicznych. Potrzebował

tylko dwóch odpowiedzi: na depesze z Aten i Bejrutu. Rzym odpowiedział dwie godziny temu. Rzym był bez pracy dłużej niż inni.

Rozmowy telefoniczne przebiegły gładko. W każdym przypadku były powściągliwe, uprzejme, ogólne, prawie abstrakcyjne. I za każdym razem użył ściśle określonych słów. Każdy z ekspertów, z którymi chciał się skontaktować, oddzwonił. Z żadnym nie było problemów. Jego propozycje zostały zredagowane w tym samym, powszechnie zrozumiałym języku: „żółta góra, trampolina”. Było to najwyższe honorarium, jakie agent mógł otrzymać. Określenie „żółta góra” oznaczało liczbę pięćset z podwyższonymi funduszami na nieprzewidziane wydatki; „zabezpieczenia” oznaczały niedostępne banki, które pilnowały, aby żadne agencje prawne nie miały do nich dostępu; „czynnik czasowy” oznaczał okres od sześciu do ośmiu tygodni w zależności od technicznych możliwości niezbędnych dla dobrze opracowanego procesu. I wreszcie informacje o nim, jako o szefie z wielkimi zasługami dla większości rządów Azji Południowo-Wschodniej, czego dowodem było kilka kont w Genewie.

Dokonał świetnego wyboru. Był kimś, kogo oni wszyscy potrzebowali, by dobrać się do „żółtej góry”.

Hawkins wstał zza biurka i przeciągnął się. To był długi dzień i jeszcze się nie skończył. Za dwadzieścia minut musi jechać na dworzec. Tymczasem czekała go jeszcze rozmowa z telefonistką i przekazanie instrukcji, dotyczących tych, którzy mogą próbować się z nim skontaktować. Instrukcje będą proste: zarezerwował pokój na tydzień, wróci do Zurychu za trzy dni. Wtedy niech dzwonią lub zostawią numery telefonów, pod którymi można ich zastać. MacKenzie nie chciał wracać do Zurychu, ale Ateny i Bejrut byli wyjątkowymi ludźmi.

Zadzwoił telefon. Ateny.

Sześć minut później Ateny przyjęły propozycję.

Pozostał mu tylko jeden do załatwienia.

Hawk przeniósł bagaż pod drzwi. Przepakował swoją walizeczkę, pozostawiając akta Bejrutu w osobnym, łatwo dostępnym miejscu. Popatrzył na zegarek: za trzy minuty czwarta. Nie było sensu dłużej zwlekać. Musi jechać na dworzec. Wrócił do biurka i wykręcił numer centrali, by przekazać kilka prostych instrukcji...

Telefonistka przerwała mu grzecznie:

– Oczywiście, mein Herr. Ale czy może pan to zrobić później? Właśnie miałam telefonować do pana. Jest telefon z Bejrutu.

A niech to diabli!

Sam otworzył oczy. Promienie słoneczne wpadały przez ogromne balkonowe okna. Lekki wietrzyk poruszał fałdami niebieskiego jedwabiu. Rozejrzył się po pokoju. Sufit był na

wysokości co najmniej dwudziestu stóp, rowkowane kolumny w rogach i misternie rzeźbione listwy z ciemnego drewna nasuwały na myśl słowo „zamek”. Natychmiast oprzytomniał. Był w miejscu zwanym Château Machenfeld, gdzieś na południe od Zermatt. Za grubymi drewnianymi drzwiami pokoju był szeroki korytarz wyłożony perskimi dywanami przykrywającymi lśniąca czarną podłogę i kinkietami na ścianach. Prowadził do ogromnej, krętej klatki schodowej i do wielkiego hallu przypominającego rozmiarami salę balową, z mnóstwem kryształowych świeczników. Tam, wśród bezcennych antyków i renesansowych portretów, znajdowało się wejście – gigantyczne, podwójne, dębowe drzwi otwierające się na rząd marmurowych schodów prowadzących do okrągłego podjazdu wystarczająco dużego, by pokierować pogrzebem prezesa General Motors.

Cóż ten Hawkins zrobił? Jak tego dokonał? Mój Boże, po co? Do czego mu było potrzebne takie miejsce?

Devereaux popatrzył na śpiącą Reginę: jej ciemnoblonde włosy rozsypały się po poduszce, a opalona kalifornijskim słońcem twarz do połowy przykryta była puchową kołdrą. Nawet gdyby znała odpowiedzi na jego pytania, nic by z niej nie wydobył. Ze wszystkich dziewcząt ona najbardziej potrafiła wziąć człowieka w obroty. Rozporządzała nim aż do momentu pójścia spać. Tylko częściowo, na szczęście tylko częściowo, ponieważ oprócz tego fascynowała go. Pod miękkim, przypominającym magnolię wyglądem kryła się stalowa wola. Była urodzonym przywódcą i jak wszyscy urodzeni przywódcy znajdowała przyjemność w przewodzeniu. Używała swoich talentów duchowych i fizycznych z fantazją i odwagą, i miała dozę humoru. Mogła być twardą agitatorką w jednym momencie i zagubioną małą dziewczynką w samym środku płonącej Atlanty w innym. Raz była śmiejącą się, prowokującą syreną na księżycowej plantacji, by nagle zmienić się, jak za naciśnięciem guzika, w spiskującą, tajemniczą Matę Hari, wydającą rozkazy podejrzanemu wyglądającemu szoferowi na mrocznej stacji kolejowej w Zermatt.

– Osioł Macka Feldmanna jest w gorzkiej wodzie sodowej!

O ile pamięć Sama nie myliła, te właśnie słowa wypowiedziała szeptem do dziwnego mężczyzny w czarnym berecie, ze złotymi przednimi zębami, który utkwiał kocie oczy w wypukłościach jej bluzki.

– Mac jest w wołoku! – zabrzmiała cicha odpowiedź. – Obserwuje wielki samochód z kwiatami.

Po tej niewyraźnej odpowiedzi Ginny kiwnęła głową, chwyciła Sama za rękę i popchnęła w kierunku ulicy.

– Trzymaj walizkę w lewej ręce i gwizdź coś. On skręci w zaułek; zaczekamy na niego na rogu.

– Po co ten cały nonsens? Lewa ręka, gwizdanie...

– By przekonać się, czy nikt nas nie śledzi.

Syndrom Orient Expressu w jakiś sposób przekroczył granice, pomyślał Sam, niemniej

chwycił walizkę w lewą rękę i zaczął gwizdać.

– Nie to, fujaro!

– O co chodzi? To jest coś w rodzaju hymnu...

– Tutaj to się nazywa *Deutschland Über Alles!* Zaczął gwizdać *Rock of Ages*, kiedy mężczyzna w płaszczu Conrada Veidta z aksamitnymi wyłogami, podszedł do Reginy i powiedział cicho:

– Pani kwiaty są w wozie.

– Mack Feldmann ma z pewnością forszę – odpowiedziała cicho i szybko.

I w ciągu kilku sekund długi, czarny samochód wyjechał z ciemnego zaułka i zatrzymał się przed nimi.

Tak oto rozpoczęła się mordercza dwugodzinna podróż. Mile krętych, stromych dróg, poprzecinanych górami i lasami, z rzadka tylko oświetlone niesamowitym księżycowym światłem. W końcu stanęli przed czymś w rodzaju solidnej bramy, która wcale nie była bramą, lecz prawdziwą spuszczaną kratą. Za nią znajdowała się prawdziwa fosa z ciężkim zwodzonym mostem i pluszczącą w dole wodą. Potem następna kręta, prowadząca pod górę droga, zakończona okrągłym podjazdem przed największą wiejską rezydencją, jaką Sam widział od czasu wizyty w Fontainebleau ze skautami. Ale nawet Fontainebleau nie miało parapetów. A ten dom miał, strzeliste i kamienne, z rzeźbionymi ornamentami, kojarzącymi się z *Ivanhoe*. Prawdziwa rezydencja, Château Machenfeld. Widział go tylko nocą. Nie był pewny, czy chciałby zobaczyć w świetle dnia. Było coś przerażającego nawet w myśli o tak potężnej budowli, kiedy łączyła się z kimś takim, jak MacKenzie Hawkins.

Ale do czego był ten pałac potrzebny? Jeśli miało to być miejsce dowodzenia sukinsyna, dlaczego nie wynajął po prostu Fenway Parku? To miejsce wymagało armii służby. Służby, która plotkuje. „Zapytaj kogokolwiek z Nuremberg czy Sirica”. Ale Regina nie będzie mówić (ona nie jest służącą; to słowo absolutnie do niej nie pasowało). Mimo to spróbuje. Całą drogę z Zurychu – no, może nie całą – i pół nocy w Machenfeld – no może trochę mniej niż pół – robił co mógł, żeby nakłonić ją do mówienia. Przeprowadzili słowne pojedynki, gadając jedno przez drugie, ale żadne nie wystąpiło z jakimiś kategorycznymi deklaracjami, które mogły doprowadzić do jakichś konkretnych wniosków. Przyznała – bo nie miała wyboru – że wszystkie dziewczęta zgodziły się pojawiać we właściwych miejscach, o określonym czasie po to, żeby on, Sam, miał towarzystwo i nie był poddawany pokusom, które mogły go doprowadzić do utraty sił w czasie tak długiej podróży. Dzięki temu ktoś godny zaufania odbierał informacje dla niego. I strzegł go. Cóż, do ciężkiego diabła, było w tym złego? Gdzieżby znalazł tak opiekuńczą grupę pań, które miały na sercu jedynie jego powodzenie w interesach? I które pilnowały planu gry?

Czy ona wiedziała, w jakim celu odbywał te podróże w interesach?

Dobry Boże, nie! Nigdy o to nie pytała. Żadna z dziewcząt również nie. Dlaczego nie?

Na Boga, kochanie! Hawk powiedział im, żeby nie pytały.

Czy żadna z nich nie wyciągnęła... pewnych wniosków? Przecież jego plan podróży nie był taki jak sprzedawcy butów z Nowej Anglii.

Kotku! Kiedy były żonami Hawka – każda z osobna, oczywiście – on ciągle miał do czynienia ze ściśle tajnymi operacjami, o których wiedziały, że nie powinny ich interesować.

Ale on nie jest już w wojsku!

Żyj i umrzyj w Dixielandzie! To już błąd armii!

I tak dalej, i tak dalej.

Wówczas rozjaśniło mu się w głowie. Regina nie była żadnym kozłem ofiarnym. Żadna z dziewcząt również. Nie miały w swoim słownictwie takiego terminu jak przegrany facet. Gdyby Ginny albo Lillian, albo Madge, albo Anne wiedziały coś konkretnego i tak by nie powiedziały. Gdyby spostrzegły brak całkowitej zgodności, każda włożyłaby ciemne okulary i swoje zadanie uznałaby za nie mające nic wspólnego z jakąś akcją. Na pewno żadna by z nim o tym nie rozmawiała.

Była jeszcze jedna sprawa w tym szaleństwie Hawkinsa. Sam autentycznie lubił dziewczęta. Bez względu na to, jakie wściekłe furie zmusiły je do spełniania rozkazów MacKenzie'ego, każda miała osobowość, każda była indywidualnością, każda – Boże dopomóż! – miała w sobie uczciwość, w której znajdował pokrzepienie. Gdyby więc powiedział, co wie, w tej samej chwili one stałyby się uczestniczkami spisku. Nie trzeba adwokata, aby na to wpaść. O czym on mówi, przecież on jest adwokatem!

Co do tego... miejsca w określonym czasie... każda z dziewcząt była czysta. Może nie jak zęby psa gończego, może nawet nie jak trzeźwy pijak, ale pewnie trudno było zaprzeczyć twierdzeniu, że działały w próżni. W tych warunkach nie można mówić o spisku.

Dziękuję, panie obrońco. Sąd proponuje, żeby pan zażądał zwrotu czesnego od szkoły prawniczej.

Sam wstał po cichu ze śmiesznie wielkiego łóżka z baldachimem. Zobaczył swoje szorty w połowie drogi do okna, do którego zresztą zmierzał i zastanowiło go przez moment, dlaczego znalazły się tak daleko od łóżka. Potem coś sobie przypomniał i uśmiechnął się.

Ale był już ranek, nowy dzień i wszystko wyglądało inaczej. Ginny przekazała mu jeden szczegół, który mógł coś znaczyć. Hawkins przybędzie późnym popołudniem lub wczesnym wieczorem. Powinien wykorzystać ten czas na zebranie informacji o Château Machenfeld lub dokładniej, co Hawk planuje zrobić z tym zamkiem w związku z papieżem Francesco, Namiestnikiem Chrystusowym.

Nadszedł czas na przygotowanie własnej kontrakcji. Hawkins był perfekcjonistą, to na pewno. Lecz on, Sam Devereaux, ze wschodniego oddziału osi Quincy-Boston, też nie był fajtłapą. Pewność siebie! Mac ją miał; i on również.

Kiedy wkładał szorty, doznał olśnienia. To nie było nawet olśnienie, to była feeria barw, rozdzwoniły się dzwony. Takie fantastyczne miejsce (dwór, posiadłość, domostwo) jak Machenfeld wymaga nie kończących się dostaw. A dostawcy są jak służba, mogą widzieć i

słyszeć, i dać świadectwo. Skłonność Hawka do wielkości mogła być najslabszym punktem w jego planach. Sam uznał przerwanie linii dostaw Maca za jedno z wyjść z wojskowego punktu widzenia, ale nie miał pojęcia, na ile to będzie logiczne. Może to wystarczy?

Zacznie rozsiewać pogłoski, niezwykle niebezpieczne, potwornie skandaliczne, jak sam widok Machenfeldu. Zacznie od służących, potem pójdą dostawcy, a dalej każdy, kto znajdzie się w obrębie zamku, aż wszyscy się wyniosą, a wtedy zmierzy się z opuszczonym Hawkinsem i... cóż to za hałas, do diabła?

Przez drzwi balkonowe wyszedł na mały taras. Znajdował się na tyłach Château Machenfeld. Przypuszczał, że tak jest, bo nie widział okrągłego podjazdu. Zamiast tego zobaczył obsypane wiosennym kwieciami ogrody, ze zwirowanymi alejkami, altanami i małymi stawami rybnymi, wykutymi w skale. Za ogrodami rozciągały się zielone pola przechodzące w ciemniejszą partię lasów, w oddali zaś majaczyły majestatyczne Alpy.

Hałas trwał, przeszkadzając w kontemplowaniu widoków. Początkowo nie mógł się zorientować, skąd on pochodzi i nic nie widział z powodu światła słonecznego. Lecz wkrótce pożałował tego, co zobaczył.

Jeden, dwa, trzy... pięć, sześć... osiem, dziewięć! Dziewięć identycznych, obłądnie identycznych pojazdów wolno jechało drogą w stronę sąsiadujących z zamkiem pól, kierując się na południe w stronę lasów.

Były tam dwie długie, czarne limuzyny, ogromny buldożer do spychania ziemi, wielkich rozmiarów traktor z ostrymi widłami z przodu i pięć, do diabła tak, pięć motocykli! Nie potrzeba bujnej wyobraźni, by się domyślić. Hawk rozpoczynał manewry! Kupił sobie papieską kawalkadę samochodów! I urządzenia, które mogły usunąć ziemię według wzoru, jak sobie życzył: miała to być trasa przejazdu papieskiej kawalkady!

Ale on przecież jeszcze nie przyjechał do Machenfeldu! Jak on, u diabła, tego dokonał?

Devereaux chwycił gniewnie obramowanie balkonu, kręcąc głową w bezgranicznym oszołomieniu. Jeszcze coś przykuło jego wzrok. Pięćdziesiąt jardów dalej, przed czymś w rodzaju patio z otwartymi na oścież drzwiami, wyglądającymi jak wejście do ogromnej kuchni, stał tęgi mężczyzna w czapie szefa kuchni na głowie i sprawdzał coś w grubym pliku papierów trzymanym w ręku. Przed nim piętrzyła się góra klatek, kartonów i pudeł o wysokości chyba piętnastu stóp.

Dostawcy, niech to cholera!

Hawkins nic już nie musiał kupować. Tam na dole było dość jedzenia, by w połowie zredukować głód nad Gangesem!

Ten sukinsyn ściągnął przydziały, które wystarczyłyby dla całej armii, diabła tam, dla armii wyjeżdżającej na dwuletni biwak!

Limuzyny, motocykle, buldożery, traktory, żywność dla całego zaginionego batalionu! Kontrstrategiczny plan numer jeden rozsypał się w proch przez przejazd dziewięciu idiotycznie jednakowych samochodów i jakiegoś chwytającego powietrze ekscentryka w

czapce szefa kuchni.

Jeden stan izolacji leżał poza zasięgiem linii dostaw. One były absolutnie niepotrzebne.

Pozostała więc służba. Tuzin lub coś koło tego służących, którzy musieli być w pobliżu, by Machenfeld mógł funkcjonować. Kuchnie, ogrody, pola (co prawdopodobnie oznaczało stajnie i zwierzęta) i co najmniej trzydzieści do czterdziestu pokoi, wymagających sprzątnięcia, pastowania, polerowania i odkurzania. Chryste! Do tego potrzebny był dwudziestoosobowy personel!

Zacznie natychmiast. Może od kierowców tych dziesięciu pojazdów. Przekona ich, by pozbyli się tych przeklętych aut, póki nie jest za późno. Potem zabrałby się za kolejną grupę służących. Da im do zrozumienia, używając złowieszczych określeń, że jeśli wiedzą, co dla nich dobre, niech wyniosą się z Machenfeldu, zanim zjawi się tu cały Interpol.

Cała żywność Szwajcarii nie pomoże, jeśli nikogo nie będzie na miejscu. Przepędzi tę całą bandę. Kilka odpowiednio dobranych słów w rodzaju „międzynarodowe pogwałcenia”, „odpowiedzialność osobista” i „więzienie” z pewnością spowodują, że sznur motocykli, limuzyn i ciężarówek pogna przez fosę do bezpieczniejszego miejsca.

Sam był tak zajęty myślami o nowej strategii, że nie zauważył, iż jego szorty zsuwają się w dół, zmuszając go do stałego ich przytrzymywania. Niestety, musiał powrócić do rzeczywistości, bowiem kiedy chwycił się obiema rękami balustrady, szorty opadły mu do kostek. Szybko się z tym uporał, nie bez pewnego samozadowolenia. Zapewne potyczka z Ginny Greenberg musiała być cholernie podniecająca. Ale nie było czasu na przyjemne wspomnienia. Robota czekała.

Jego zegarek wskazywał prawie jedenastą. Nie zdawał sobie sprawy, że spał tak długo. Potyczka była nie tylko podniecająca, lecz i wyczerpująca. Miał zaledwie pięć do sześciu godzin, by wyrzucić stąd wszystkich. Tak wielki personel miał prawdopodobnie mnóstwo osobistych rzeczy. To oznaczało transport, może bardziej skomplikowany niż przypuszczał. Ale jedno należało wyraźnie zaznaczyć: kiedy służba opuści terytorium Machenfeldu, nie wolno jej będzie tu wrócić. Pod żadnym pozorem. Nic nie zmieni jego postanowienia: Machenfeld oznacza groźbę dla każdego, kto tu pozostanie.

Ewakuacja!

Zamek ma być pusty!

Co wówczas zrobi Hawkins?

Będzie się dusić w sosie własnego cygara, oto, co zrobi!

To tylko kwestia logicznego myślenia i wykonania.

Do licha! Logika i wykonanie! Zaczyna już myśleć jak Hawk! I ma pewność siebie Hawka. Bądź odważny! Bądź bezwzględny! Kieruj przeznaczeniem z jajami i...

Cholera! Zanim cokolwiek zrobi, musi się ubrać. Wpadł do pokoju. Ginny poruszyła się, jęknęła i zakopała głębiej w puchową kołdrę. Zdjął rozerwane szorty i podszedł cicho do walizki, która leżała na wysycielanym fotelu, stojącym przy obitej aksamitem ścianie.

Walizka była pusta.

Ani jednej cholernej rzeczy.

Rozejrzał się za szafką.

Były cztery.

Puste. Tylko ubrania Ginny.

Cholera!

Pobiegł tak cicho, jak tylko mógł do rzeźbionych drzwi i otworzył je. Po przeciwnej stronie szerokiego korytarza siedział czarny beret ze złotymi przednimi zębami i kocimi oczami, które tym razem były utkwione w dolnych partiach ciała Sama. Wyrażały zmieszanie, chyba zrozumiałe. Nie było w nich drwiny.

– Gdzie są moje ubrania? – zapytał szeptem Devereaux, przymykając drzwi i wychylając się przez nie.

– W pralni, mein Herr – odpowiedział czarny beret z akcentem z jakiegoś kantonu szwajcarskiego kierowanego przez Hermana Goeringa.

– Wszystkie?

– Uprzejmość Château Machenfeld. Wszystko było brudne.

– To śmieszne! – Sam próbował nie podnosić głosu. Nie chciał obudzić Ginny. – Nikt mnie nie pytał...

– Spał pan, mein Herr – przerwał czarny beret, uśmiechając się dwuznacznie i wystawiając na widok swoje złote uzębienie. – Był pan bardzo zmęczony.

– A teraz jestem bardzo zły! Chcę mieć z powrotem moje ubrania. Natychmiast!

– Nie mogę tego zrobić.

– Dlaczego nie?

– Dziś pralnia jest nieczynna.

– Co takiego?! Dlaczego więc je pan zabrał?

– Już powiedziałem, *mein Herr*. Były brudne.

Sam wpatrywał się w kocie oczy po drugiej stronie korytarza. Zwęziły się złowieszczo. Zniknęły również złote zęby, bo na twarzy pojawiła się zaciętość. Zamknął drzwi. Musi się zastanowić. I to szybko. Jak by Mac powiedział, musi zważyć swoje opcje. I musi się stąd wydostać. Nie uważał siebie za awanturnika, jednak nie był tchórzem. Był całkiem niezłym facetem i bez względu na to, co powiedziała w Berlinie Lillian, był w niezłej formie. Jednakże, biorąc wszystko pod uwagę, łatwo zgadnąć, że maniak w czarnym berecie załatwiłby go na cacy. Nawet nago nie mógł opuścić pokoju tą drogą.

Opcja pierwsza przemyślana i odrzucona.

Wobec tego przez okno, a ściślej przez mały balkon. Podniósł szorty z podłogi, włożył je, przytrzymał i wyszedł cicho na taras. Pokój mieścił się na trzecim piętrze, ale dokładnie pod jego balkonem był drugi balkon. Za pomocą prześcieradeł albo zasłon związanych razem, mógłby uczynić tę drogę bezpieczną.

Opcja druga – możliwa do przeprowadzenia.

Wrócił do środka i obejrzał zasłony. Jak by to jego matka w Quincy powiedziała, były to wiosenne zasłony. Niezbyt mocny jedwab. Opcja numer dwa rozwiąła się. Potem popatrzył na prześcieradła, ignorując ponętną postać Reginy, która leżała teraz raczej obok kołdry niż pod nią. Gdyby prześcieradła połączyć z zasłonami, to prawdopodobnie utrzymałyby go. Opcja numer dwa ponownie nabrała realnych wymiarów.

Mundur polowy.

W tym tkwił problem. Pozostały tylko sukienki.

Przyjmując, że opcja numer dwa się powiedzie, musi jeszcze wziąć pod uwagę opcję numer trzy i cztery. Na samą myśl poczuł mdłości w żołądku. Mógł pognać przez Machenfeld w bieliźnie, która ciągle opadała mu do kostek lub mógł włożyć którąś z sukienek Ginny, mając nadzieję, że zamek wytrzyma.

Człowieka biegającego i krzyczącego w podartej bieliźnie lub we francuskiej kreacji nie traktuje się serio. Tu mogłaby się pojawić jeszcze opcja piąta i szósta: zostałyby zamknięty lub zgwałcony.

Cholera!

Nie wolno tracić głowy. Musi znaleźć jakiś punkt wyjścia i dojść do jakichś wniosków. Powoli. Nie można pozwolić, by taka drobna rzecz jak ubranie stanęła na drodze do wydostania się stąd. Co by zrobił Hawk? Jakiego to cholernego terminu tak często używał?

Personel pomocniczy! To było to!

Sam ponownie wybiegł na balkon. Mężczyzna w czapce szefa kuchni ciągle sprawdzał pozycje na liście. To prawdopodobnie zajmie mu cały tydzień.

– Psst! Pssst! – Devereaux przechylił się przez balustradę, przypominając sobie w ostatniej chwili o szortach. – Hej, ty! – szepnął głośniej.

Mężczyzna spojrzął w górę, zagapił się, a potem uśmiechnął szeroko.

– *Aaa! Bonjour, monsieur! Ça va?! –* krzyknął.

– Szaaa – Sam przytknął palec do ust i kiwnął na szefa kuchni, by podszedł bliżej.

Ruszył w jego stronę, zapisując coś po drodze w papierach.

– *Oui, monsieur?*

– Trzymają mnie tu jak więźnia! – wyszeptał Sam z niecierpliwością i wielką powagą. – Zabrali mi ubranie. Proszę mi jakieś przynieść. A kiedy zejść na dół, chcę, żeby pan zebrał wszystkich, którzy tu pracują. Mam kilka bardzo ważnych spraw do przekazania. Jestem adwokatem. *Avocat.*

Mężczyzna w czapce zadarł głowę do góry.

– *Je ne comprends pas, monsieur. Désirez-vous le petit déjeuner?*

– Co? Nie. Chcę ubranie. Widzisz? To wszystko, co mam.

Sam rozciągnął podarte szorty tak, by były widoczne przez balustradę. Potem wskazał na nogi. – Potrzebne mi są portki, spodnie! Natychmiast. Proszę!

Wyraz twarzy człowieka na dole zmienił się ze zdezorientowanego w podejrzliwy. Może był to nawet niesmak zmieszany z wrogością.

– *Vos sous-vêtements sont très jolis* – powiedział, kręcąc głową i wrócił do patio i skrzynek z żywnością.

– Chwileczkę! Proszę poczekać!

– Szef kuchni jest Francuzem, mein Herr, lecz nie takim Francuzem. – Głos dochodził z dołu, z balkonu znajdującego się tuż pod jego. Należał do potężnie zbudowanego, łysego mężczyzny, którego bary były prawie tak szerokie jak balustrada balkonu. – On myśli, że zrobił mu pan szczególną propozycję. Zapewniam pana, że nie jest zainteresowany.

– Kim pan, u diabła, jest?

– Moje nazwisko nie ma znaczenia. Opuszczam zamek, kiedy przybędzie nowy właściciel Machenfeldu. Do tego czasu każde jego polecenie jest dla mnie rozkazem. Jego instrukcje nic nie mówią o pańskim ubraniu.

Devereaux miał przemożną chęć pozwolić opaść szortom i powtórzyć czyn Hawkinsa na dachu poselstwa w Pekinie, ale się opanował. Ten człowiek na balkonie poniżej był ogromny. I oczywiście mógłby nie zrozumieć żartu. Wychylił się więc i szepnął konspiracyjnie:

– Heil Hitler, ty kutasie!

Ramię mężczyzny wystrzeliło w przód. Obcasy stuknęły jak zamek rewolweru.

– *Jawohl! Sieg heil!*

– Niech cię cholera!

Sam odwrócił się i wszedł do pokoju. Wściekłym kopem zrzucił szorty z nóg. Potem bezmyślnie zaczął się na nie gapić. Może to był tylko kawałek materiału? Nagle wydały mu się dziwne.

Schylił się i podniósł je.

Chryste! Co to była za gra?

Elastyczny pasek został z premedytacją przecięty w trzech miejscach. Nacięcia były nacięciami, a nie rozerwaniem. Nie sterczały żadne nitki ani też kawałki materiału. Ktoś posłużył się ostrym narzędziem! Celowo. Unieruchamiając go w najprostszym ze sposobów.

– Matko! Co to za krzyki?

Regina Greenberg ziewnęła i przeciągnęła się, naciągając kołdrę na wielkie piersi.

– Ty suko! – powiedział z pasją Devereaux. – Ty diabelska suko!

– Co się stało, kociątko?

– Przestań mnie kociątkować, ty południowa spryciaro! Nie mogę stąd wyjść!

Ginny zamrugła oczami i znowu ziewnęła. Zaczęła mówić ze spokojną powagą:

– Wiesz, Mac raz powiedział mi coś, co było dla mnie pociechą przez wszystkie te lata. Powiedział, że kiedy moździerz strzelają wokół ciebie i rzeczy wyglądają strasznie – a wierz mi, że były czasy, gdy świat wokół mnie wyglądał okropnie – to trzeba pomyśleć o wszystkich dobrych rzeczach, które zrobiłeś, o dokonaniach, zasługach. Nie myśl o błędach

czy żalach, to tylko niepotrzebnie przygnębia. A przygnębiony umysł nie pomoże ci skorzystać z tej jedynej chwili, która może się zdarzyć i ocalić ci tyłek. To wszystko sprawa postawy moralnej.

– Co te bzdury mają wspólnego z faktem, że nie mam w co się ubrać?

– Myślę, że niewiele. Ale wyglądasz na bardzo przygnębionego. Nie ma sposobu, by przeciwstawić się Hawkowi.

Devereaux chciał odpowiedzieć bez zastanowienia, ze złością. Ale zawahał się, bo zobaczył szczerość w oczach Ginny, powiedział więc:

– Zaczekaj chwilę. Przeciwstawić się Hawkowi. Czy chcesz przez to powiedzieć, że mam z nim walczyć? Zatrzymać go?

– To twoja sprawa, Sam. Ja tylko chcę tego, co jest dla każdego najlepsze.

– Pomożesz mi?

Ginny zastanawiała się przez chwilę, potem powiedziała twardo:

– Nie, nie zrobię tego. Nie w sposób, w jaki myślisz. Zbyt wiele zawdzięczam MacKenzie'emu.

– Kobieto! – wybuchnął Devereaux. – Czy możesz mi powiedzieć, o co temu lunatykowi chodzi?

Pani Hawkins numer jeden spojrzała na niego z wyrazem oszukanej niewinności.

– Porucznik nie zadaje pytań generałowi, majorze. Nie oczekuje się po nim zrozumienia rozkazu...

– Więc o czym my, u diabła, mówimy?

– Jesteś sprytnym facetem. Hawk nie popierałby ciebie, gdybyś nie był. Chcę jedynie, aby miał najlepszego doradcę, jakiego można zdobyć. Niech więc robi, co by to nie było, w możliwie najlepszy sposób. – Ginny obróciła się pod kołdrą. – Jestem strasznie śpiąca.

Devereaux zobaczył je na bocznym stoliku przy jej łóżku. Nożyczki.

Rozdział XIX

– Przepraszam za te ubrania – powiedział Hawk w ogromnym salonie. Sam popatrzył na niego z nienawiścią i mocniej ścisnął w pasie szarfę, którą użył jako paska do podtrzymania okrywającej go zasłony. – Myślałeś pewnie, że pralnia ma więcej niż jeden klucz? Te ogromne ekstrawaganckie miejsca nie ufają nikomu. To rodzaj gościnności, do której są pewnie przyzwyczajeni.

– Och, zamknij się – mruknął Devereaux, który uznał za konieczne związać podwójnie szarfę, bo jedwab się wysuwał. – Przypuszczam, że praczka będzie tu rano.

– Jestem tego pewny. Należy ona do tych nielicznych, które wracają na noc do domu. Do wioski. Ale to się zmieni. Będzie mnóstwo zmian.

– Po prostu powiedz mi, że nastąpiła zmiana i wracam do Azaza-Waraka, by zjeść z nim obiad.

– Daj spokój, Sam, myślisz tylko o jednym. Trzeba pomyśleć o innych sprawach. Jesteś pewny, że nie chcesz koszuli i pary spodni? Zajmie mi to tylko minutę, by pójść na górę...

Hawkins zrobił gest w kierunku wielkiego hallu i tuzina lub coś koło tego okrytych pokrowcami foteli.

– Nie! Niczego od ciebie nie chcę!... Chociaż nie, chcę, żebyś odwołał tę szaloną imprezę i pozwolił mi wrócić do domu.

MacKenzie odgryzł zżuty koniec cygara, wypluwając go pod stopy stojącej nie opodal zbroi.

– Wrócisz do domu, obiecuję. Kiedy uporządkujesz finanse spółki i dokonasz kilku wpłat, które będą mogły być podejmowane pod pewnymi warunkami, osobiście odwiozę cię na lotnisko. Słowo generała.

– Rozumujesz, jakbyś miał mózg rozmoczony w oleju! Czy wiesz, o co mnie prosisz? Nie rozmawiamy o steku, tylko o czterdziestu milionach dolarów. Jestem napiętnowany na całe życie! Mają mnie w rejestrach wszystkich oddziałów Interpolu i policji na całym świecie! Nie możesz podpisać się pod czterdziestoma milionami dolarów, wymagających transferów, i oczekiwać, że wrócisz do normalnej praktyki adwokackiej.

– To nie jest tak i dobrze o tym wiesz. Cały ten szwajcarski personel w bankach to

niezwykle dyskretni ludzie.

Devereaux rozejrzał się, czy nikt ich nie podsłuchuje.

– Nawet gdyby tak było, to nie będzie, gdy dokonasz... próby porwania... pewnej osoby w Rzymie! I na tym się skończy! Na próbie! Znajdziesz się w pułapce i wszyscy, z którymi się kontaktowałeś od czasu Chin, będą oglądani pod mikroskopem i wówczas wypłynie moje nazwisko i czterdzieści milionów dolarów w Zurychu, i zaczniesz się zabawa!

– Cholera, daj spokój, chłopie, jesteśmy ponad to! Twoja robota skończyła się lub wkrótce się skończy, kiedy załatwisz sprawę pieniędzy. Dalej nie musisz się tym zajmować. I jesteś czysty, synu. Jesteś stuprocentowo czysty!

– Nie jestem. – Devereaux tracił oddech usiłując szeptać, przytrzymując jednocześnie kurczowo zasłonę. – Już ci powiedziałem: z chwilą, kiedy przygwożdżą cię, i ja jestem przygwożdżony.

– Niby dlaczego? Powiedzmy, że masz rację – o czym nawet przez chwilę nie pomyślałem – za co cię mogą przygwoździć? Za gromadzenie funduszy dla starego żołnierza, który zbiera pieniądze dla organizacji zajmującej się szerzeniem religijnego braterstwa? Pozwól, że zadam ci pytanie, panie adwokacie. Czy mógłbyś zeznać pod przysięgą, że popełniono jakieś przestępstwo?

– Jesteś szalony! – wybuchnął Sam potykając się lekko przy próbie zrobienia kroku. – Przecież mówiłeś, że masz zamiar porwać... – Devereaux umilkł i wykonał kilka tajemniczych gestów obrazujących przenoszenie ciała na plecach i znak krzyża.

– Do diabła, chłopcze, są przysięgi i przysięgi. Bądźże rozsądny. Poza tym to jest niedopuszczalna pogłoska.

Sam zamknął oczy. Zaczynał rozumieć, czym jest udręka. Odezwał się ostrym, lecz kontrolowanym szeptem:

– Przecież wyszedłem z archiwum z tą pieprzoną teczką przykutą do nadgarstka.

– Nieważne – mruknął Hawkins. – Tak czy owak to personel wojskowy, a żaden z nas nie potrzebuje już wojska. Coś jeszcze?

Devereaux zastanowił się chwilę.

– Przypuśćmy, że następuje wpadka. Nie było ani jednej uczciwej transakcji.

– To celowe – powiedział MacKenzie, kiwając głową na potwierdzenie swoich słów. – Nie było żadnej przemocy, żadnego kłamstwa, żadnej kradzieży, żadnej zmywy. Wszystko dobrowolne. A jeśli nawet niektóre metody wydają się niezwykle, to przywilej każdego inwestora, dopóki nie naruszy on praw innych. – Mac umilkł i popatrzył w oczy Samowi. – I jeszcze coś. Sam, powiedziałaś, że adwokat powinien odpowiadać przede wszystkim przed klientem, a nie wobec abstrakcyjnych dylematów moralnych.

– Tak powiedziałem?

– Jestem tego absolutnie pewny.

– To nie takie złe...

– To cholernie wymowne, ot co. Masz do tego dryg, młody człowieku.

Sam przyjrzał się uważnie Hawkowi, próbując rozszyfrować, co kryje się za tymi słowami. Ale nie było w nich żadnej dwuznaczności, on chyba naprawdę tak myślał. A ponieważ chwilowo doszła do głosu szczerść, Devereaux postanowił, że też będzie szczerzy.

– Posłuchaj – powiedział cicho. – Powiadasz, że wchodzisz w to... szaleństwo, tak to trzeba nazwać. Powiadasz, że naprawdę to zrobisz. Nawet za kilka dni. Czy wiesz, co się może stać? Co możesz wywołać?

– Oczywiście, że tak. Czteryście milionów zielonych ludzików wyskoczy z czterystu milionów wrzeszczących tuńczyków. Nie chciałem powiedzieć nic obraźliwego, to tylko żart.

– Nie, ty nawiedzony sukinsynu! To będzie gwałtowny zwrot w stosunkach międzynarodowych! I rekryminacja. A potem głównie oskarżenia! Rządy zaczną wytykać palcami inne rządy! Prezydenci i przewodniczący, i premierzy zrobią użytek z niebieskich linii, czerwonych linii, a potem bardzo gorących linii. I zanim się zorientujesz, jakiś kretyn wyrecytuje kod z małego czarnego pudełka, bo nie spodoba mu się, co inny kretyn powiedział. Chryste, Mac! Możesz rozpętać trzecią wojnę światową!

– A niech cię! Czy o tym właśnie myślałeś?

– O tym właśnie próbowałem nie myśleć!

Hawkins wrzucił cygareto do groty, która służyła za kominek i stanął, podpierając się pod boki, z nikłym ogniwem w oczach.

– Sam, chłopie, nie możesz być dalej od prawdy niż teraz. Wojna, synu, nie jest już tym, czym była kiedyś. Nie ma nawet cienia podobieństwa. Trąbki i bębny, i człowiek troszczący się o człowieka i nienawidzący wroga, bo może on zniszczyć to, co kochasz. Wszystko to zniknęło. Teraz są guziki i politycy o chytrych oczkach, wymachujący bez większego sensu rękami. Nienawidzę wojny. Nigdy nie myślałem, że to kiedyś powiem, ale mówię i przyznaję się do tego. Nigdy nie pozwolę, by wybuchła wojna.

Devereaux utkwiał świdrujący wzrok w twarzy Hawkinsa. Nie pozwoli odwrócić mu oczu.

– Dlaczego miałbym ci wierzyć? Wszystko, co do tej pory zrobiłeś, wskazuje na coś wprost przeciwnego. Absolutnie przeciwnego. Dlaczego wojna miałaby cię powstrzymać?

– Ponieważ, młody człowieku – odpowiedział Hawkins cicho, spokojnie wytrzymując wzrok Sama – powiedziałem ci prawdę.

– W porządku. Przypuśćmy jednak, że wywołasz wojnę niezamierzenie.

– Do cholery! Teraz to już posunąłeś się za daleko! – MacKenzie przeszedł wielkimi krokami od kominka do zbroi i od zbroi z powrotem do kominka. Krata była otwarta, więc zamknął ją z trzaskiem. – Poświęciłem czterdzieści cholernych lat i zostałem wypieprzony przez tych papierowych ludzi! Twoje własne słowa, chłopcze! Nie lituję się nad sobą, bo wiedziałem, co robię i odpowiadam za moje czyny. Ale, do diabła, nie prosz mnie, żebym się nad nimi litował lub był odpowiedzialny za ich głupotę!

To by było wszystko, jeśli o szczerść, pomyślał Devereaux. Jak z opcją numer jeden,

dwa, trzy i cztery tego ranka – wszystkie poszły do piekła. Tym razem w wybuchu obłudy. Nie należało się tym przejmować, lecz znaleźć inny sposób.

Na pewno jakiś się znajdzie, Sam był o tym przekonany. Hawkins wyjdzie stąd, zanim arcykapłan Kościoła katolickiego pobłogosławi szarotki w Machenfeld. Coś się wyjaśni. I opcja siódma – bo opcję piątą i szóstą można było na szczęście pominąć – zaczęła się krystalizować. Na razie musi uspokoić MacKenzie'ego i pod żadnym pozorem nie stracić jego zaufania. A poza tym Mac zwrócił uwagę na rzecz najważniejszą: stronę prawną zagadnienia. On, Sam, był czysty. W każdym innym wypadku błota było grubo na cal, ale jeśli chodzi o dowody, to prokurator nie miał się do czego przyczepić.

– Okay, Mac, nie mam zamiaru z tobą walczyć. Przycisnąłem cię, rzeczywiście i wierzę ci. Nienawidzisz wojny. Może to prawda. Nie dowiem się więcej. Jeśli o mnie chodzi, chcę wrócić do domu, do Quincy i jeśli przeczytam o tobie w gazetach, przypomnę sobie słowa pokrytego bliznami, lecz uczciwego wojownika, wypowiedziane w tym pokoju.

– Złote słowa, chłopcze. Jestem pełen podziwu dla ciebie.

– Dopóki nie są to ołowiane słowa, przyjmuję komplement. Czy masz te papiery dla banku w Zurychu?

– Nie chcesz usłyszeć, jaka suma przypadnie ci w udziale? Jak ci się podoba to „przypadnie”? Jestem przecież prezesem spółki. Nie będziemy się przecież cackać z drugorzędym słownictwem.

– Jestem pod wrażeniem. Jakaż to suma?

– Czego?

– Udziału. To rzeczownik odsłowny czasownika „przypadać w udziale”.

– Sprytny z ciebie oficerek. Co byś powiedział na pół miliona dolarów?

Sam nie był w stanie wykrztusić słowa. Po prostu go zamurowało. Widział, jak jego ręka unosi się na znak zdziwienia, a on patrzy na nią jak urzeczony, niepewny czy ten kawałek ciała należy do niego. Musiało tak być, bo kiedy pomyślał, żeby poruszyć palcami, poruszyły się.

Pół miliona dolarów!

Co tu było do myślenia? To równie szalone jak wszystko inne. Włączając fakt, że nie podlegał oskarżeniu.

To czas wielkich inwestycji. Kupimy sobie promenadę nadmorską i park.

Stop. Pójdiesz do więzienia.

Po co się martwić?

To nie przynosi niczego dobrego.

– To rozsądna... odprawa – powiedział na koniec.

– Tylko tyle masz mi do powiedzenia? Z tym, co włożyłem na twoje konto w Nowym Jorku, możesz wynająć tego żydowskiego gościa, a on będzie ci wdzięczny.

MacKenzie poczuł się urażony. Oczekiwał od Devereaux zastosowania tej jego

rozreklamowanej historycznej przesady.

– Powiedzmy, że wybuchnę entuzjazmem, kiedy obejrzę te cyfry w banku w Bostonie razem z moją matką siedzącą w pokoju, narzekającą na nowe kierownictwo na Copley Plaza. Okay?

– Wiesz co? – Hawkins popatrzył na niego z ukosa. – Jesteś kimś w rodzaju fatalisty.

– Jestem kimś w rodzaju...

Devereaux nie dokończył zdania. Nie było sensu.

Właśnie w tym momencie posłyszeli stuk wysokich obcasów. Regina Greenberg przeszła pod katedralnym łukiem salonu. Miała na sobie beżowe spodnium; raczej surowy zakiet krył wspaniałe tytany. Wygląda na... no... raczej na kompetentną, pomyślał Sam. Uśmiechnęła się lekko i zwróciła do Hawkinsa:

– Rozmawiałam z personelem. Pięć osób zostanie. Trzy – nie mogą. Muszą mieszkać w wiosce. Wyjaśniłam im, że to niemożliwe.

– Mam nadzieję, że nie zostali skrzywdzeni.

Ginny uśmiechnęła się z pewnością siebie.

– Chyba nie. Rozmawiałam z każdym z nich z osobna i dałam całej trójce trzymiesięczną odprawę.

– Reszta przyjęła warunki?

Mac sięgnął do kieszeni po nowe cygaro.

– I dodatki – powiedziała Ginny. – Minimum trzy miesiące. Rodzinom mają wytłumaczyć, że wynajęto ich jako stały personel w rezydencji we Francji na czas nieokreślony. Nie należy zadawać żadnych pytań.

– Niczym się to nie różni od służby zamorskiej – skomentował Hawk kiwając głową. – I pensja jest o wiele lepsza niż w wojsku, bez broni na widoku.

– Logistyka ma u ciebie względy – ciągnęła Ginny. – Tylko dwóch z pięciu jest żonaty. Niezbyt szczęśliwie, jak zrozumiałam. Nie będą tęsknili, ani też nikt nie zauważy ich nieobecności.

– Jednak trzeba będzie sprowadzić kobiety – zaproponował MacKenzie. – Dla R i R. Przeprowadzę rekonesans później; zastanowię się nad ustawieniem namiotu – oczywiście dość daleko od manewrów. A ten tu adwokat jedzie do Zurychu, żeby zająć się kilkoma sprawami finansowymi. Jak myślisz, Sam, ile czasu ci to zajmie?

Devereaux musiał się zmusić, by zrozumieć pytanie Hawka. Oszłomiła go władza, jaką Hawk miał nad Ginny. Zgodnie z informacjami rozwiodła się z MacKenziem przed dwudziestu laty. A tu zachowywała się jak uczennica, która podkochuje się w swoim nauczycielu.

– Co powiedziałaś?

Sam znał pytanie, ale potrzebował kilku sekund na zastanowienie.

– Ile czasu zejdzie ci w Zurychu?

– Dzień, a może półtora, jeśli nie będzie żadnych przeszkód. Wiele zależy od kliringu kont. Myślę, że transfery idą przez Genewę, ale mogę się mylić.

– Czy przeszkody można wyeliminować do minimum?

– Prawdopodobnie. Można by zastosować zrzeczenie się udziałów. Czas jest sprawą mało ważną, ale sumy nie. Depozytariusze zarobiliby kilka tysięcy – teoretycznie. To może być główną zachętą.

– Niech to diabli, synu, posłuchaj siebie. Czy wiesz, jaki jesteś dobry?

– Elementarna księgowość. Sądowe procesy z bankami są dla adwokata podstawowym pokarmem. Banki mają więcej sposobów na to, by okłamywać siebie nawzajem i każdego z osobna, niż ktokolwiek inny od czasu, kiedy człowiek zaczął prowadzić handel wymienny. Przyzwoity adwokat po prostu dobiera kłamstwo, o którym wie, że będzie dla niego najwygodniejsze.

– Słyszałaś to, Ginny? Czy ten chłopak nie jest wspaniały?

– Robisz wrażenie, Sam. Muszę to przyznać. I, Mac, skoro obecny tu major panuje nad wszystkim, czy mogłabym pojechać do Zurychu, by dotrzymać mu towarzystwa?

– To wspaniały pomysł! Nie wiem, dlaczego sam o tym nie pomyślałem.

– Trudno zrozumieć, jak to ci mogło umknąć – powiedział Devereaux cicho. – Jesteś przecież szefem.

Z różnych punktów na kuli ziemskiej przybywał personel pomocniczy Hawka. Oczekiwał ich na stacji benzynowej w Zermatt szofer imieniem Rudolf o kocich oczach, złotych zębach, w berecie na głowie. Nastaly teraz dla niego gorączkowe dni.

Pierwsza zjawila się Kreta – bez kłopotów. To znaczy przekroczyła bez problemu międzynarodowe granice, strzeżone przez profesjonalistów, posługując się fałszywym paszportem i dotarła do Zermatt. I właśnie tu zaczęły się kłopoty. Ponieważ Rudolf nie chciał uznać Krety za Kretę, pomimo prawidłowych znaków rozpoznawczych w ubiorze i z upartą konsekwencją odmawiał zaprowadzenia do swej włoskiej taksówki.

Z przyczyn, które uszły uwagi Hawkinsa, żadne dane o tym osobniku nie zawierały informacji, że jest czarny. A jednak tak było. Kreta był świetnym inżynierem aeronautą, sympatyzującym z Sowietami tak długo, jak mu płacili, szpiegowskim agentem ze stopniem doktora i bardzo ciemną skórą. Rudolf był tak zaskoczony, że MacKenzie musiał użyć bardzo ostrego języka w rozmowie z nim przez telefon, by ten maniak w berecie wpuścił czarnego na tylne siedzenie samochodu.

Następni w kolejności byli Marsylia i Sztokholm. Przylecieli razem z Paryża, poprzedniej nocy spotkali się bowiem w „Les Calvados” na Boulevard Georges Cinque i odnowili starą znajomość z czasów, kiedy obaj zbijali pieniądze na Aliantach i Osi. Ucieszyło ich odkrycie, że obaj udają się w tę samą podróż, na tę samą górę w Zermatt. Rudolf nie miał z nimi

żadnych kłopotów, bo rozpoznali go, zanim on ich rozpoznał, dając ostrą reprimendę za to, że nie umie się maskować.

Bejrut nie wsiadł w Zurychu do pociągu. Zamiast tego wynajął ambulans. Miał ku temu swoje powody. W przeszłości miał kilka starć z zuryską policją w związku z przemytem. Poleciał więc samolotem do Genewy, tam wynajął samochód na nazwisko znanego w towarzystwie transwestyty, zostawił go w Lozannie, zatelefonował do szpitala „Deux Enfants” w Montreux i zamówił ambulans dla nieuleczalnie chorego na serce, który chce spędzić swe ostatnie dni w Zermatt. Swoje przybycie zaplanował równoległe z przybyciem pociągu do Zermatt. Wszystko poszłoby gładko, gdyby nie Rudolf. Siadła mu opona na jednej z bocznych dróg prowadzących do Machenfeldu. W wielkim pośpiechu zajeżdżając na dworzec, zderzył się na pobliskim parkingu z ambulansem. Z trudem rozpoznał we wstrząśniętym pacjencie, chorym na serce, wyłażącym z karetki i wyzywającym od imbecyli, osobę, której znaki rozpoznawcze wskazywały na Bejrut.

Lecz Rudolf zaczynał coraz częściej wzruszać ramionami. Pan na Machenfeldzie, jak zaczynał podejrzewać, miał nie bardzo pod kopułą. Tak jak ci ludzie, po których wysyłano go do Zermatt.

W dodatku ta cudowna kobieta z jego nocnych snów, ta *fräulein* o wspaniałym biuście, wyjechała z zamku na kilka dni. Nie było już tak jak dawniej.

Współpraca Rzymu z Rudolfem ułożyła się wspaniale. Rzymowi zaginął bagaż. Próba załatwienia dwóch czynności jednocześnie, znalezienia trzech walizek i kontaktu z zamkiem, wydała się zbyt wielkim wysiłkiem dla Rzymu. Rudolf wyraził swoje współczucie i pozwolił mu usiąść na przednim siedzeniu taksówki.

Zatoka Biskajska okazał się wyjątkowo tajemniczy. Kiedy umówionym znakom identyfikacyjnym (para białych rękawiczek z przyszytymi na spodzie czarnymi różami) stało się zadość, gość przeprosił na chwilę, bo musi pójść do toalety, i zniknął. Po godzinie czekania zdenerwowanie Rudolfa zamieniło się w ciekawość, a potem z kolei w panikę, kiedy się zorientował, że toaleta jest pusta. Próbował nie zwracać na siebie uwagi, zaglądając we wszystkie kąty, zakamarki i skrzynie na bagaże. Biskajska obserwował go dyskretnie. Dopiero kiedy Rudolf zatelefonował w panice do Machenfeldu, Biskajska, podsłuchujący z sąsiedniej kabiny, uznał że kontakt jest prawdziwy.

Usiadł na tylnym siedzeniu, a Rudolf nie odezwał się słowem przez całą drogę do Machenfeldu.

Ostatnie przybyły Ateny. Jeżeli Biskajska był podejrzliwy, to Ateny był paranoikiem. Najpierw pociągnął za hamulec bezpieczeństwa tuż przed stacją. Konduktorzy i inżynierowie przebiegali wagony w poszukiwaniu niebezpieczeństwa, tymczasem Ateny wyskoczył z pociągu i pobiegł po szynach na peron, gdzie ukrył się za słupem. Z łatwością rozpoznał Rudolfa.

Pociąg w końcu dojechał do stacji. Rudolf obejrzał wszystkich wysiadających pasażerów.

Ateny widział niepokój malujący się na jego twarzy. Kiedy nikt już nie pozostał na peronie z wyjątkiem pracowników kolei, Ateny podszedł do Rudolfa od tyłu i klepnął go w ramię, po czym okazał znak identyfikacyjny (czerwoną chusteczkę) i gestem pokazał Rudolfowi, żeby szedł za nim.

W pewnym momencie rzucił się w stronę końca peronu, zeskoczył na szyny i zaczął biec w kierunku części rozładunkowej stacji. Wyprzedził Rudolfa i zaczął wykrzykiwać „Widzę cię”, wychylając się zza stojących na poboczu wagonów.

Pięć minut później uspokajał oszalałego Rudolfa, kiedy szli razem w kierunku samochodu.

Widząc nadjeżdżający samochód MacKenzie Hawkins jeszcze raz pogratulował sobie profesjonalizmu. Minęły siedemdziesiąt dwie godziny od momentu rozpoczęcia zadania w hotelu „D’Accord”, a wszyscy jego oficerowie byli na miejscu.

Niech to diabli!

Zakładając, że kradzież w banku ma długą drogę, podróż Sama do Zurychu, a ściślej do Staats Bank w celu zgromadzenia kapitału Spółki Shepherd, była tak udana, tak szybka, że zdążył jeszcze złapać powrotny pociąg do Zermatt odchodzący wczesnym popołudniem. Ponieważ Regina Greenberg robiła zakupy, zostawił dla niej wiadomość w hotelu: *Poszedłem grać w kręgle. Wrócę późno.*

Chciał mieć dla siebie te kilka godzin w pociągu, by móc się zastanowić. Opcja numer siedem nabrała wyraźnego kształtu. Głównie dzięki papierom bankowym dostarczonym mu przez spoconego urzędnika, który stał się znacznie bogatszy po spotkaniu z Samem.

Wśród czternastu dokumentów cztery były przelewami z Genewy, Kajmanów, Berlina i Algieru; jeden zawierał informacje o aktywach Spółki Shepherd, o poufnych umowach, kodach odblokowujących konta i numerze konta; jeden zapisany był na nazwisko rodziny Devereaux (Sam nie wyjaśnił urzędnikowi, a ten nie zadawał żadnych pytań, jakby dokument w ogóle nie istniał), a osiem pozostałych dotyczyło ośmiu depozytów.

Jeden z tych rachunków był większy niż pozostałe i zawierał cztery indywidualne zestawy liczb... oczywiście dla czterech osób. Devereaux nie musiał się długo zastanawiać, by je rozszyfrować: pani Hawkins numer jeden, dwa, trzy i cztery.

Pozostałe siedem dokumentów opiewało na identyczne sumy.

Siedem.

Personel pomocniczy Hawka.

MacKenzie zwerbował siedmiu ludzi do porwania papieża. (Sam nie wyobrażał sobie, że wśród nich mogły być kobiety.) Tych siedmiu było jego – jak on to nazwał? – podwładnymi oficerami. MacKenzie przyznał, że jego oficerowie przybędą do Machenfeld wkrótce.

– Co rozumiesz przez podległych oficerów? – zapytał go wówczas Devereaux.

- Oddział, synu, oddział – odpowiedział Hawk z ogniem zapalającym się w oczach.
- Co masz na myśli mówiąc wkrótce?
- Jesteśmy w pogotowiu, chłopcze. To znaczy, że wszystkie stanowiska są obsadzone i oczekujemy kontaktu począwszy od zaraz.
- To znaczy za kilka dni?
- Może nawet szybciej; to będzie zależało od tego, jak mocne będą wrogie blokady. Nasz oddział musi pokonać wrogie terytorium, by dotrzeć do bazy.
- O czym ty pleciesz, u diabła?
- O niczym, co by dotyczyło ciebie. Przywieź tylko z Zurychu papiery o pieniądzach. Zanim dokonam pierwszej odprawy, chcę, żeby moi podlegli oficerowie przekonali się, jak kierownictwo dba o ich interesy. To pozwoli im szybciej zewrzeć szeregi. Przykład płynie z góry. Zawsze tak było.

To był jeszcze jeden powód, dzięki któremu opcja numer siedem nabrała realnych kształtów. „Przywieź papiery o pieniądzach”... „zanim dokonam pierwszej odprawy”... „kierownictwo dba o ich interesy”.

Oddział Hawka został zwerbowany bez dokładnego podania, o jaką wojnę chodzi. Ze strony wojskowej nie było w tym nic niezwykłego, ale biorąc pod uwagę ogrom wyczynów – cały świat – kilka dobrze dobranych zdań w stylu: „Czy zdajesz sobie sprawę, co ten maniak zamierza zrobić? Porwać papieża!”, albo: „Masz do czynienia ze stwierdzonym przypadkiem psychiatrycznym!”, albo: „Twój dowódca jest szalony!”, albo: „Ten lunatyk odstrzelił jaja chińskiemu pomnikowi!” – takie zdania mogłyby sprawić, że personel pomocniczy zwróciłby energię w innym kierunku.

Była to kwestia czasu i psychologii. Jeżeli Sam dobrze go zrozumiał, to Hawkins miał zamiar porazić swoich oficerów podwójnym strzałem: fachowym i strategicznie wykonalnym opisem porwania oraz dokumentami ze Staats Bank du Zurich, które gwarantowały każdemu z nich fortunę bez względu na wynik! To będzie twardy orzech do zgryzienia, ale na tym właśnie polegałaby opcja numer siedem. Sam musi pierwszy dotrzeć do tych podległych oficerów. Zasjeje ziarno zwątpienia co do rozsądku Hawka. Nie ma nic bardziej przerażającego dla kryminalistów niż wiadomość, że ich szefowie są nie zrównoważeni. Brak równowagi oznacza brak rozsądku, nieważne jak dobrze ukrytego. A brak rozsądku oznaczał stratę 10 do 20 lat życia; w tym przypadku prawdopodobnie sznur i opaskę na oczy.

Jednocześnie ten kryminalny element musiał słyszeć o paranoicznym generale, którego wyrzucono z Chin. To nie było tak dawno temu. A kiedy skończy tę część ustnego podsumowania, wyłoży na stół swoją mocną kartę.

Mocną? Nie było mocniejszej od niej. Była wręcz fantastyczna.

W pociągu do Zermatt przejrzy dokumenty ze Staats Bank du Zurich, a przede wszystkim konta depozytowe i wypisze wszystkie numery i kody odblokowujące i umieści je na siedmiu kartkach papieru. Da każdemu z tych ludzi kartkę z informacją, że mają opuścić Machenfeld

zaraz po posiłku, pojechać do Zurychu i odebrać swoje pieniądze.

Każdy podległy oficer zarobi majątek! Za to, że nie zrobi absolutnie nic. Fantastyczne!

Giovanni Bombalini, Namiestnik Chrystusowy, poszedł do ogrodu, by być sam. Pokłócił się ze światem, swoim światem, a kiedy ktoś się pokłóci, najlepszym sposobem jest rozmyślanie.

Westchnął. Jeżeli chce być w zgodzie z sobą samym, musi przyznać, że pokłócił się również z Bogiem. To takie bezsensowne! Wzniósł oczy ku popołudniowemu niebu i z ust wyrwało mu się jedno żalosne słowo:

– Dlaczego?

Spuścił głowę i kontynuował swój spacer po ogrodzie. Lilie rozwijały swoje kwiaty, witając wiosnę i życie.

A on miał to wszystko opuścić.

Doktorzy właśnie przedstawili mu wspólną diagnozę. Siły witalne słabły w przyspieszonym tempie. Pozostało mu nie więcej jak sześć-siedem tygodni życia.

Śmierć nie była czymś trudnym. Wielkie nieba, przecież to ulga! Życie jest walką. Walką czy nie, a on jeszcze nie zebrał niezbędnych sił, by dokończyć dzieła jego i Roncallego. Potrzebował więcej czasu; potrzebował autorytetu, który zjednoczy zwalczające się frakcje. Dlaczego Bóg nie chce tego zrozumieć?

Ach, mój umiłowany Panie, dlaczego? Tylko trochę więcej czasu! Obiecuję, że nie będę się złościć. Ani nie obrażę tej trąby – pardon, Przenajświętszy Ojciec – tego kardynała albo jego bandy przedpotopowych złodziei. Sześć miesięcy by wystarczyło. Potem odpocząłby z wdzięcznością w ramionach Chrystusa. Może choć pięć miesięcy? Wiele można dokonać w ciągu pięciu miesięcy.

Giovanni czekał na niebiańską odpowiedź. Jeżeli nastąpiła, to jego siły witalne nie były w stanie jej odczuć.

Może, drogi Ojciec, gdybyś porozmawiał ze Świętą Dziewicą? Może ona znalazłaby bardziej wymowne słowa, by przedstawić moją prośbę. Mówi się, że kobiety są bardziej przekonujące.

Ciągle nic. Tylko lekki ból w kolanach oznaczający, że ciężar jest zbyt wielki dla jego starych kości i powinien na chwilę usiąść. Cóż ta urocza *giornalista* powiedziała? Są pewne ćwiczenia...

Basta! Wszystko, czego potrzebował, to przerwać tę przepychankę. Ignatio Quartze ukryłby swoje ciało pod łóżkiem i nie znaleźliby go przez tydzień. Tymczasem zebrałby Kurię.

Arcykapłan dotarł do ulubionej białej ławki i usiadł na zimnym marmurze. Od strony murów otaczających ogród nadleciał lekki wiaterek i poruszył liśćmi na drzewie rosnącym

przy ławce. Czy to był znak? Jeśli tak, to pokrzepiający. Potem wietrzyk ucichł. Powróciło nieruchome powietrze, a drzenie liści przeszło w kroki na ścieżce.

Nowy papieski sekretarz. Młody, czarny ksiądz z diecezji New York, błyskotliwy student, który zrobił wiele dobrego w Harlemie. Takiego właśnie zasłużonego młodego prałata szukał Francesco, wbrew sprzeciwowi. To tylko niewielka część wielkiego zamierzenia.

– Wasza Świątobliwość?

– Tak, mój synu. Wyglądasz na poruszonego. Co się stało?

– Chyba zrobiłem coś złego. Nie wiedziałem, co robić, a Waszej Świątobliwości nie było w pobliżu, a w pokojach nie było nic do zrobienia. Bardzo przepraszam.

– No cóż, nie poznamy rozmiarów tego nieszczęścia, dopóki go nie opiszesz. Nie znalazłeś chyba kardynała Quartze w mojej toalecie i nie zawołałeś strażników?

Czarny ksiądz się uśmiechnął. Ignatio wyraźnie okazywał swoją niechęć czarnemu sekretarzowi. Francesco korzystał z każdej sposobności, żeby złagodzić tę nieprzyjemność.

– Nie, Wasza Świątobliwość. Posłyszałem, że dzwoni prywatny telefon. Ten w szufladzie stolika stojącego przy łóżku. Po prostu ciągle dzwonił.

– Całkiem możliwe, mój synu – przerwał arcykapłan. – Nie jest połączony z centralą watykańską. Taka moja drobna słabostka. Więc odebrałeś go. Kto dzwonił? Tylko kilku starych przyjaciół i długoletni współpracownik lub dwóch zna ten numer. Nie było nic złego w tym, że go odebrałeś. Kto to był?

– Monsignor z Waszyngtonu, Ojciec Święty. Był bardzo zdenerwowany...

– Aaa, monsignor Patrick Dennis O’Gilligan! Tak, on często telefonuje. Gramy ze sobą w szachy na odległość.

– Był bardzo podniecony i wziął mnie za Waszą Świątobliwość. Nie dał mi szansy, żeby coś wyjaśnić. Trajkotał tak szybko, że nie mogłem go zatrzymać.

– Tak, to mi wygląda na Paddy’ego. Ma swoje problemy. Znowu Berriganie. Ci dwaj zajmują...

– Nie, Ojciec Święty. O wiele gorzej. Telefonował do niego prezydent. Chodzi o tajemnicę spowiedzi i czy to jest dopuszczalne. On chce się nawrócić, Ojciec Święty!

– *Che cosa? Madre di Dio!*

– To nie wszystko, Wasza Świątobliwość. Szesnastu sekretarzy z Białego Domu chce natychmiast przyjąć Jezusa. W warunkach watykańskiego immunitetu i czegoś, co się nazywa chrześcijańską nietykalnością.

Giovanni westchnął. Było tyle do zrobienia. Cztery miesiące, Panie.

Rozdział XX

Ci ludzie mają jedną wspólną cechę, pomyślał Sam. Niezwykle muskularne ciała. Jak gdyby każde z nich lubiło wolną przestrzeń, świeże powietrze, utrzymanie kondycji przez przerzucanie kamieni pod okiem więziennych strażników. Także oczy były podobne. Wszystkie wydawały się początkowo trochę senne, z półprzymkniętymi powiekami. Ale to było tylko złudzenie. Przy bliższej obserwacji te oczy nieustannie się obracały jak mechaniczne kręgle złapane między magnesy; niewiele uchodziło ich uwagi.

Był wśród nich wysoki blondyn, który wyglądał, jakby wyskoczył z telewizyjnej reklamy skandynawskich cygar; czarny, który często kiwał głową i posługiwał się angielskim, szlifowanym w salach uniwersyteckich; kolejny ciemnoskóry gość z ostrymi północnymi rysami, którego akcent przypominał tych wszystkich ludzi w uniformach z „Savoyu”; dwaj Francuzi, którzy mieli coś wspólnego z łodziami; długowłosa mężczyzna w bardzo wąskich spodniach, stąpający dumnie jak tancerz tańczący tango, świadomy swojego tyłka – niewątpliwie Włoch; i wreszcie Grek o dzikim spojrzeniu, który nosił czerwoną chustę i ciągle opowiadał dziwaczne kawały.

Cechowała ich łagodna uprzejmość, zdecydowanie obłudna, przykryta ogładą, którą daje dobre wychowanie i bogactwo, lecz nie dla uważnego obserwatora. Wszyscy zebrali się w ogromnym salonie, gdzie wezwał ich Hawk przed późnym obiadem, lecz nie przedstawił dla bezpieczeństwa. Nie padło żadne nazwisko.

Sam wrócił do zamku o siódmej. Byłby godzinę wcześniej, ale musiał przejść na piechotę trzy mile, bo żadna taksówka z Zermatt nie mogła przekraczać pewnych stref, a Rudolf po niego nie przyjechał. Kiedy Sam zatelefonował do informacji, by uzyskać numer telefonu zamku w Machenfeld, dowiedział się, że nie ma takiego miejsca. To wszystko mogło go załamać, gdyby nie opcja numer siedem. Wiedział, że ma w ręku atuty.

MacKenzie powitał go z mieszanymi uczuciami. Pochwalił za szybkie przywiezienie dokumentów, ale uznał, że z Reginą postąpił wysoce nie po dżentelmeńsku. Jest wspaniałą dziewczyną, a Sam nie będzie mógł się z nią pożegnać.

Dlaczego nie?

Ponieważ jej bagaż został odesłany na lotnisko. Ginny wraca do Kalifornii, zatrzymując

się po drodze w Rzymie, by zwiedzić muzea.

Tyle co do Ginny, pomyślał Sam. Było mu trochę smutno, ale musiał myśleć o opcji numer siedem. Zaczynał przypuszczać, że nadszedł na nią czas.

MacKenzie powiedział mu, że pierwszego wieczoru nie będzie żadnej rozmowy o interesach. Tylko pogawędki na tematy ogólne, spacery po ogrodach, koktajle, kolacja i brandy. Dlaczego? Ponieważ chciał dać ludziom okazję do wzajemnego poznania się, sprawdzenia, czy nie ma w pokojach pluskiew, naoliwienia broni i upewnienia się, że Machenfeld nie jest żadną pułapką Interpolu. Sam może posłyszeć hałasy w nocy; ci ludzie będą przeprowadzać własne śledztwo, i dobrze, bo pewno wpadną jeden na drugiego i przekonają się, że wszystko jest w najlepszym porządku.

Rano, kiedy wszyscy wypoczną, Hawk przeprowadzi pierwszą odprawę. Jednak zanim to zrobi, pożegna się z Samem. Będzie mu brakowało młodego przyjaciela, nie ulega dwóch zdań. Ale słowo generała to rzecz święta; to coś, co trzyma razem bataliony.

Robota Devereaux była zakończona. Rudolf odwiezie go do Zermatt. Stamtąd porannym pociągiem dotrze do Zurychu, skąd późnym popołudniem odleci do Nowego Jorku.

Jednak z jednej rzeczy Sam powinien zdawać sobie sprawę na wypadek, gdyby stał się niespokojny lub skoczyło mu ciśnienie. Przez następny miesiąc lub coś koło tego kilku współpracowników pierwszego inwestora Spółki Shepherd, pana Dellacroce, będzie z nim w bliskim kontakcie. Chodzi o Palczastego i Mięso. To tylko czasowa umowa bez żadnej zamierzonej przykrości.

Tak, Sam rozumie. Nie ma sensu siedzieć na głowie MacKenzie'emu.

Devereaux zakończył rozmowę, tłumacząc się potrzebą ogolenia się i wykąpania po trzymilowym spacerze. Wróci na koktajle.

W swoim pokoju, korzystając z nożyczek Ginny, przygotował siedem kartek o wymiarach pięć cali na jeden. Na każdej z nich napisał identyczny tekst.

Proszę przyjść koniecznie do mojego pokoju – czwarte piętro, ostatnie drzwi w północnym korytarzu na prawo. 2.00 po północy. Pańskie życie zależy od tego. Jestem przyjacielem. Proszę pamiętać, druga w nocy.

Złożył kartki tak, by zmieściły się w dłoni i schował do kieszeni marynarki. Potem wyjął z teczki siedem kartek, na których spisał numery kont i kody odblokowujące i włożył do kieszeni spodni. To były jego karty atutowe. Fantastyczne!

Zszedł do salonu i użył całego wdzięku doskonałego bostońskiego wychowania. Podał ręce wszystkim siedmiu panom i przekazał wiadomość.

O wpół do drugiej był gotowy. Pierwszy zjawił się Włoch w cienkich, dopasowanych, czarnych rękawiczkach, stopach obutych w miękkie pantofle na gumowej podeszwie. A potem jeden po drugim przyszli pozostali, ubrani podobnie. Przeważały czarne rękawiczki,

miękkie pantofle lub trampki, czarne swetry, wąskie spodnie z szerokimi paskami, do których przymocowane były jeszcze szersze noże i małe kabury z małymi pistoletami, i w kilku przypadkach zwinięty drut.

Wszyscy razem tworzą zawodową grupę psychopatów, pomyślał Sam, kiedy poprosił ich ze spokojną, ale nie całkiem szczerą pewnością siebie, aby się rozgościli i zapalili, jeśli chcą.

Kiedy się już rozgościli, większość z papierosami w ręku, nie był już tak pewny, czy to dobry początek. Ale najlepsze mowy powstają z cichych, nawet niezręcznych początków.

Zaczął ściszym głosem. Człowiek jako istota plemienna szuka w niebie sensu dla codziennej walki o przetrwanie i znajduje pociechę w czymś, czego nie może ogarnąć rozumem, bo wiara podnosi na duchu. Istnieje jakiś układ, organizacja w świecie natury, a to oznacza, że musi istnieć siła, rozum, pełna, wszechogarniająca inteligencja, która to wszystko pojmuje. Jednak nie można jej do końca objąć zwykłym umysłem.

W tym braku całkowitego zrozumienia tkwi jakieś piękno, ludzie bowiem podejmują wysiłki wykraczające ponad ich możliwości dla tej wszystkowiedzącej siły, która stworzyła ziemię, stworzyła ich samych, zna ich i kocha.

Bez tych wysiłków człowiek byłby zwierzęciem. A tak próbuje osiągnąć niedościgły cel i uczucie litości staje się częścią niego samego.

Sam wyjaśnił, że same symbole i tytuły nie mają znaczenia, bo między religiami istnieją korelacje. Istotne jest rozróżnienie dobra od zła. Ale symbole i tytuły mają w sobie mistyczne znaczenie i są pewnym ułatwieniem dla milionów na świecie. Biedny i ciemny modli się do nich, czci je i pokłada w nich nadzieję. Dla milionów te symbole są ogrzewającym światłem w ciągłych zmaganiach z ciemnością.

Devereaux umilkł. Teraz nadszedł czas na *crescendo*.

– Panowie, czeka was zbrodnia tak monstrualnych rozmiarów, tak potwornie zła, że absolutnie nie może się udać! Zamiast tego może jedynie doprowadzić każdego z was do śmierci lub do życia w cierpieniu, w okrutnej więziennej celi. Ponieważ w murach tego zamku jest człowiek, który okradnie was z waszych najcenniejszych wartości: Z wolności! Z prawdziwego życia! Tylko dlatego, że uznał niemożliwe za możliwe. Jego niezrównoważony – katastrofalnie niezrównoważony – umysł jest przekonany, że może pokonać tę gwałtowną i straszną reakcję, jaką jest zemsta całego świata! Spodziewa się, że poprowadzi was w rozwarte szczęki niepamięci. Zamierza porwać arcykapłana Kościoła katolickiego! Jednym słowem jest obłąkany.

Devereaux umilkł. Utkwił wzrok w twarzach mężczyzn. Papierosy zawisły w powietrzu, usta jakby zachłysnęły się zaskoczeniem, a szeroko otwarte oczy wpatrywały się w niego z wyrazem niedowierzania.

Miał ich! Miał w garści sąd przysięgłych! Zdania wyszły jak grzmot!

Nadszedł czas na karty atutowe. Te porywające liczby i hasła kodu, które uczynią każdego z tych mężczyzn bogaczami. Wielkimi bogaczami. Za to, że nie zrobią nic, jedynie

unikną ryzyka zapomnienia.

– Panowie, zdaję sobie sprawę z szoku, w jakim się znajdujecie i boli mnie ten widok. Przykro mi, że go wywołałem. Wielki Rzymianin, Marek Aureliusz, powiedział: Musimy wszyscy zrobić to, co jest nam nakazane, kiedy los zażąda tego od nas. A hinduski prorok, Baga Nishyad, tak powiedział: Kosze wypełnione łzami rozrzucić jak ziarno, a ryż wszędzie jak klejnoty. Nie mam klejnotów, panowie, ale mam bogactwo dla każdego z was. Zasłużone nagrody. Sumy pieniężne, które zmniejszą wasz ból i odeślą z powrotem do wybranych przez was miejsc, gdzie będziecie mogli żyć wolni od strachu, od zapomnienia i od niedostatków. Puszczę wśród was te karty. Każda jest paszportem do własnej nirwany. Pozwólcie, że wyjaśnię.

I Sam wyjaśnił.

Siedmiu podległych oficerów obejrzało karty i popatrzyło jeden na drugiego.

– Czy pan mówi po francusku? – zapytał jeden z Francuzów.

– Nie bardzo – zaśmiał się Devereaux trochę zbyt radośnie.

– Dziękuję – powiedział Francuz i zwrócił się do pozostałych: – *Vous parlez tous francais?*

Wszyscy skinęli głowami twierdząco.

I zaczęli mówić po francusku.

Cicho. Prędko. Póki siedem głów nie skinęło znów twierdząco. Sam był poruszony. Domyślał się, że usiłują znaleźć sposób, w jaki mu podziękują.

Oto dlaczego zaskoczyło go, kiedy dwóch z nich podeszło do niego, chwyciło, obróciło i zaczęło krępować ręce drutem.

– Co wy, u diabła, robicie?! – wrzasnął. – Co robicie z moimi rękami? Co to ma znaczyć, do diabła?

Wskazał głową czerwoną chustę Greka, którą ten zdjął z szyi i zaczął skręcać.

– A co to ma znaczyć?!

Tym razem chodziło o kilka metalicznych trzasków, które zabrzmiały jak odbezpieczanie broni.

– Mamy w sobie tę litość, o której pan mówił, monsieur – odezwał się Francuz. – Proponujemy zawiązanie oczu, zanim pana załatwimy.

– Co?!

– Proszę być dzielny, *signore* – rzekł Włoch. – Wszyscy znamy tę robotę. Akceptujemy warunki albo nie gramy.

– Tak – dodał wiking. – To gra. Ktoś wygrywa, ktoś przegrywa. Pan przegrał.

– Cooo?!

– Zabierzcie go na dół do patio – powiedział drugi Francuz. – Powiemy personelowi, że ćwiczymy strzelanie do celu.

– Mac! Maac! Maaac! – Poprowadzono go korytarzem w dół. Kilka par rąk zatkało mu

usta. Próbował je ugryźć. – Na miłość boską! Hawkins! Gdzie jesteś, do cholery!

Ponownie ręce zacisnęły mu się na ustach. Pochód kierował się w stronę kręconych schodów. Devereaux z wysiłkiem otworzył usta i zatopił zęby w ciele znajdującym się najbliżej nich. Ręce i ramiona natychmiast się cofnęły. Wściekle kopnął za siebie i na chwilę się uwolnił. Rzucił się do ucieczki i wkrótce spadał w dół po kręconych schodach, uderzając o każdy stopień.

– Hawkins! Wyłaż, ty sukinsynu! Ci maniacy chcą mnie zastrzelić!

Odbił się od stopni, wyrznął o ścianę i zleciał głową w dół na ostatniej prostej. Wydawał z siebie krzyki, których znaczenie trudno było zrozumieć.

– Zawiążą oczy... au! Pistolety! Cholera... ty... och... ooch... Hawkins! Ajaj! Jezu... moja głowa!

Zatrzymał się u stóp schodów. Hawk wybiegł z salonu z cygarem w zębach i kilkoma mapami w ręku. Popatrzył na Sama leżącego na podłodze, a potem w górę na grupę swoich oficerów.

– Cholera, chłopcze! To wszystko zmienia!

Po raz drugi zabrano mu ubranie. Tylko teraz nie było nawet sukienek w szafce. Posiłki przynosił mu Rudolf.

Hawk wyjaśnił, że musiał wydać rozkaz, by ocalić Samowi życie. Oddziałowi nie podobało się to ani trochę.

– Prawdę powiedziawszy to doszło prawie do buntu, zanim brygada nie ustaliła kolorów – powiedział Hawkins następnego ranka.

– Ustaliła co? Nieważne, nie musisz mi mówić.

– To właśnie mam na myśli, synu. Musiałem przedsięwziąć ostre kroki i dać im do zrozumienia, kto tu jest najwyższym autorytetem i nie bacząc na zgodność – przywołać do porządku. Niebezpieczeństwo było tuż tuż, przeżyłem najtrudniejszą chwilę w moim życiu. Te szczeniaki, chociaż niezłe, to żaden przeciwnik. Trzeba patrzeć w oczy, chłopcze, zawsze w oczy.

– Nie rozumiem – jęknął Devereaux szczerze. – Wyjaśniłem wszystko jak należy, rozwinąłem przed nimi okrutny obraz przyszłości. Podłoże, motyw. Chryste! Nawet pieniądze! Miałem ich w garści.

– Niczego nie miałeś – stwierdził zwięźle Hawk. – Popeliłeś dwa kardynalne błędy. Po pierwsze założyłeś, że taka grupa ludzi, taki wspaniały zespół oficerów, przyjmie pieniądze cichaczem, bez zarobienia ich...

– Dość tego! – ryknął Devereaux. – Nie sprzedasz mi tych bredni o honorze wśród złodziei, bo tego nie kupię!

– Myślę, że się mylisz, chłopcze, ale skoro tak to widzisz, to omówmy drugi twój błąd.

– Jaki błąd?

– Jedną z najstarszych pułapek Interpolu jest założenie konta bankowego i podanie numeru podejrzanemu. Dziwi mnie, że o tym nie wiedziałeś. A ty założyłeś siedem za jednym razem.

Sam wsunął się głębiej pod kołdrę. Niestety nie mógł zaprzeczyć słowom MacKenzie'ego.

– Wiesz, Sam, życie składa się z przegródek; część z nich łączy się ze sobą, część nie, ale zawsze te połączone przegródki, jak je nazywam, muszą, wiedzieć o istnieniu innych. Ocaliłeś mi życie w Pekinie. Wykorzystałeś swoje umiejętności i doświadczenie, by odsunąć mnie od tego zapomnienia, o którym, jak słyszałem, mówiłeś. A tej nocy, tu, w Szwajcarii, ja ocaliłem twoje. Wykorzystując wszystkie swoje umiejętności i doświadczenie. Nasze rachunki zostały wyrównane. Nasze przegródki przestały mieć wspólne punkty. Więc nie upieraj się, synu, bo następnym razem nie kiwnę palcem. Słowo generała.

Po dwóch tygodniach Sam był przekonany, że stracił cały swój rozsądek. Sama myśl o ubraniu przyprawiała go o szaleństwo. Przez całe dotychczasowe życie ubranie było czymś zupełnie naturalnym – czasami nawet przyjemnym dopełnieniem *ego* – ale nigdy tematem, na którym by się dłużej zatrzymywał.

To ładna marynarka; cena też jest w porządku. Biorę ją. Koszule? Jego matka powiedziała, że powinien mieć koszule. Cóż złego w koszulach Filene? Bo jestem adwokatem? Dobrze, J. Press. Koszule i szare spodnie z flaneli. Skarpetki? W szufladzie w biurku miał zawsze parę skarpetek. I krótkie spodenki i chusteczki do nosa. Garnitur był wielkim wydarzeniem; kupował go kilka razy w swoim dorosłym życiu. Nigdy natomiast go nie kusilo, by mieć jeden uszyty przez krawca. A w tym przeklętym wojsku cywilna marynarka i spodnie były pod ręką tylko dlatego, że stanowiły jakąś odmianę. Nie, ubranie nigdy nie było czymś ważnym w jego życiu.

Ale teraz się stało.

Potrzeba – której część przynajmniej nie straciła jeszcze całego rozsądku – to matka wynalazków. Nie ma od tych słów prawdziwszych. Więc Sam zaczął myśleć, a celem tego myślenia było wyjście z obecnej sytuacji.

Powinno to się odbywać stopniowo, dokonując odpowiednich wyborów. Skoro został tak całkowicie, tak głęboko, tak straszliwie uwikłany w działania Spółki Shepherd'a i wszystkie drogi, by się z niej wyrwać, zostały zablokowane, to jaki sens dłużej z tym walczyć? Życie zostało poszufladkowane, a on zamknięty w wielkiej krypcie, która się nazywała MacKenzie Hawkins – i trzymała w garści jakieś czterdzieści milionów dolarów.

Możliwe, lecz tylko możliwe, że to jego negatywne podejście doprowadziło do porażki. Być może, ale tylko być może, powinien skierować swoje wysiłki w stronę produktywnych

kanałów, znaleźć pole działania, gdzie mógłby wnieść swój wkład. Ostatecznie dno było jedno. Jeśli Spółka Shepherd wyłeci w powietrze, piekielnie dużo odłamków trafi do kryjówek drugiego i jedyne go współuczestnika umowy.

Były to domysły, które zaczął ubierać w słowa – z wahaniem, najpierw bez większego przekonania – w czasie codziennych wizyt MacKenzie’ego na początku trzeciego tygodnia. Ale doszedł do wniosku, że samo ich wypowiedzianie nie jest zbyt przekonujące. Hawk musi zobaczyć, że jego umysł pracuje, zauważyć zmianę.

W środę ułożył sobie taką rozmowę:

– Mac, czy rozważałeś prawne konsekwencje tego... no wiesz...

– Akcja Zero wystarczy. Jakie prawne konsekwencje? Wydaje mi się, że ty się tym znakomicie zająłeś.

– Nie jestem taki pewny. Byłem zaangażowany w sporą liczbę spraw sądowych. Od Bostonu po Pekin.

– O czym ty mówisz?

– O niczym. Ja właśnie... och, nieważne.

We wtorek z kolei zaczął tak:

– Mogą nastąpić pewne reperkusje po... tej Akcji Zero... o których nawet nie myślałeś. Rak może opanować zarząd Spółki Shepherd i w końcu unieruchomić instytucję.

– Wyjaśnij to chłopcze.

– Więc... nieważne. To tylko przypuszczenie. Co to był za hałas dziś po południu? Brzmiał ekscytująco.

Hawk popatrzył na niego podejrzliwie, zanim odpowiedział na pytanie.

– Był ekscytujący jak diabli – rzekł po chwili. – Nie ma to jak doskonalenie precyzji na manewrach! To rozgrzewa człowiekowi serce. O czym ty, u diabła, mówiłeś? Ten rak, czy coś tam.

– Och, zapomnij o tym. To majaczenia starego prawnika. Czy te manewry są rzeczywiście na... najwyższym poziomie?

– Taak. – Hawkins przesunął cygaro z jednego kącika ust w drugi.

– Myślę, że wszystko przebiega zgodnie z planem.

W piątek:

– Jak tam dzisiejsze ćwiczenia? Brzmiały wspaniale.

– Ćwiczenia? Do diabła, to nie ćwiczenia, to manewry.

– Przepraszam. Jak się dziś sprawowali?

– Nie bardzo. Mieliśmy małe trudności.

– Jeszcze raz przepraszam. Ale mam do ciebie zaufanie. Potrafisz wszystko załatwić.

– Taaa... – Hawkins spacerował u stóp łóżka z miazgą zamiast cygara w ustach. – Będę musiał wyeliminować kilka grup dywersyjnych. Dwie lub trzy, to wszystko. Nie skoncentrowałem się. I, do diabła, Sam, wszystko byłoby w porządku, gdyby nie kłopot,

który ty spowodowałaś!

– Powiedziałem ci, że żałuję tego, co się stało. To ja się nie skoncentrowałem.

MacKenzie przystanął.

– Naprawdę tak myślisz? – zapytał.

– Tak – odparł Sam z przekonaniem. – Pierwszą rzeczą, której uczy się adwokat, to zajmować się faktami, niepodważalnymi dowodami. Całością, nie jedynie fragmentami i odcinkami. A ja zająłem się tylko częścią. Naprawdę bardzo mi przykro.

– Nie będę próbował zrozumieć tych bzdur, ale jeśli myślisz tak, jak mówisz, to o czym, u diabła, wczoraj plotłeś? I niech mnie diabli, przedwczoraj. O tych konsekwencjach po Akcji Zero?

Bingo! jak by powiedzieli w Bostonie, pomyślał Sam. Ale nie dał po sobie niczego poznać. Zachowywał się jak zrównoważony, badający sprawę adwokat, któremu leży na sercu interes klienta.

– Dobra, wyjaśnię to. Znam te konta depozytowe, Mac. Wyłączając jedno główne konto, które, jak się domyślam, należy do ciebie, twoich siedmiu ludzi może podjąć (lub zlecić to swoim przedstawicielom) do trzystu tysięcy na podstawie pierwszego kodu realizacyjnego. Drugi kod realizacyjny znajduje się na jednym z dokumentów. Wymaga on twojego podpisu i przypuszczam, że wyślesz go do Zurychu tuż przed Akcją Zero. Czy dotąd wszystko jasne?

– Pojąłem ten depozytowy interes. Co w nim nie gra?

– Nic. Jak na razie. Przy drugim odblokowaniu każdy z nich ma w garści pełne 500 000, zgadza się? To ich honorarium, tak? Pół miliona za Akcję Zero. Każdy po tyle samo.

– Nieźle jak na sześć tygodni roboty.

– Są jeszcze inne sprawy do rozważenia. Sprawa ochrony interesu na dużą skalę może obejmować coś więcej niż nietykalność. Tak się dzieje nie tylko przy pisaniu książki, choć wiem, że mnóstwo gotówki przepływa dziś przez ręce wydawców.

– O czym ty mówisz? – Hawkins zgasił cygaro na jednym ze słupków podtrzymujących baldachim.

– Co przeszkodzi jednemu lub wszystkim twoim oficerom udać się prosto do władz – poprzez pośredników oczywiście – i dokonać własnych interesów, kiedy będzie po wszystkim? Mają twoje pieniądze, ominie ich oskarżenie, bo współpracują. Pamiętaj, mówimy o jednym z największych wydarzeń w historii. Mogliby zarobić kilka tysięcy na tym, co wiedzą.

Oczy MacKenzie'ego, patrzące dotąd podejrzliwie, uśmiechnęły się z ulgą. Był wyraźny triumf w tym uśmiechu.

– Czy to cię niepokoi, chłopcze?

– Tylko nie bagatelizuj tego...

– Ależ nie mam zamiaru, i nie miałem. Żaden z moich ludzi tego nie robi. Bo chcą umknąć jak zające z palącego się lasu. Nie wystawią nosa ze strachu przed innymi.

– Teraz ja nie rozumiem – powiedział Sam zdeprimowany.

Hawk usiadł na łóżku.

– Zabezpieczyłem się przed tym, synu. Tak jakbym przywiązał ciebie do naładowanej haubicy. Podsunąłeś mi pomysł. Zamierzam pożegnać się z każdym oficerem osobno. Wtedy wręcę mu czek na okaziciela na dalsze pół miliona. I dodam, że tylko on go dostał. Ponieważ jako dobry generał prowadziłem zapiski i po ich ponownym przejrzeniu doszedłem do wniosku, że tylko dzięki jego zasługom misja się powiodła. Załatwię ich na cacy. Nikt nie powiadomi o przestępstwie, które nie mogłoby się odbyć bez jego udziału – szczególnie gdy warte jest dodatkowe pół miliona – i pewne jak w banku, że nikt nie zechce, aby jego kumple dowiedzieli się, iż go wyróżniono.

– Mój Boże! – Sam nie mógł powstrzymać się od podziwu, brzmiącego mu w głosie.

– Clausewitz wyjaśnia, że co innego zatrudnić Berbera, a co innego walczyć z królem dragonów. To sprawa odpowiedniej taktyki.

Devereaux po raz kolejny był pod wrażeniem wielkiego zuchwalstwa Hawka. Powiedział cicho, prawie szeptem:

– O, Chryste, mówisz o trzech i pół milionach dolarów!

– Zgadza się, naprawdę szybko liczysz. Jeszcze po milionie dla dziewcząt, to cztery miliony. Plus wynagrodzenie dla oficerów – następne trzy i pół miliona. I dla twojej informacji, chociaż powinienem może to rozważyć, mam kolejną sumę zabezpieczającą. Milion na twój rachunek.

– Co takiego?

– Przypuszczałem, że nigdy nie zrozumiesz, co to jest czterdziestomilionowy kapitał. Ja nie goniłem jedynie za liczbą. Ta suma pojawiła się po bardzo starannym przemyśleniu. Dostałem broszurę od komisji obrotu gotówką i ubezpieczeń, która opisuje, jak ustawić finanse spółki. Widzisz, zanim spółka rozpocznie działalność, musi ponieść wydatki sięgające piętnastu milionów. Trzeba przeznaczyć pewne kwoty na podróże, opłaty za hotele, honoraria wynalazców – truję ci tym głowę, synu, ale wiem, że się na tym znasz – nieruchomości i wyposażenie...

Mimo woli uszy Sama zniekształcały płynące ku niemu fale dźwiękowe. Wyrwane zdania, takie jak: „nabyte samoloty ocenione na pięć milionów”, „krótkofalowe przekaźniki pochłonęły milion-dwa”, „odnowienie”, „dostawy”, „dodatkowe stanowiska” – wszystko to dochodziło do niego na tyle wyraźnie, by Sam zaczął się zastanawiać, gdzie on się właściwie znajduje. Kompletnie nagi pod kołdrą, gdzieś w Szwajcarii, czy w sali konferencyjnej, gdzieś w budynku Chryslera. Niestety, ze względu na stan jego żołądka wszystko zmieszało się ze sobą po krótkim podsumowaniu Hawka.

– Ta broszurka była świetna, jeśli chodzi o środki obrotowe w przypadku rezerwy kapitałowej. Polecała rozpiętość wydatków do dwudziestu-trzydziestu procent. Wtedy sprawdziłem praktyki handlowe umów w spółkach z ograniczoną odpowiedzialnością i

odkryłem, że te oszacowania opiewały przeważnie na dziesięć do piętnastu procent, co uznałem za nieodpowiednie. Pogłównowałem więc trochę i zdecydowałem się na dwadzieścia pięć procent. I to jest to, co mamy. Budżetowe projekty w stosunku do rynkowych dochodzą do około trzydziestu milionów. Biorąc to jako liczbę wyjściową dodajesz dziesięć na wydatki uboczne. To daje czterdzieści milionów i tyle właśnie zebrałem. Zabrzmiało to cholernie mądrze, nie uważasz?

Devereaux odebrało mowę. Jego umysł cwałował, ale żadne słowo nie wychodziło na zewnątrz. MacKenzie, wojskowy szaleniec, stał się nagle finansistą. A to było bardziej przerażające od wszystkiego, o czym poprzednio myślał. Wojskowe zasady (lub ich brak) połączone z zasadami finansisty (których było brak) tworzyły kompleks militarno-finansowy. Hawk był chodzącym kompleksem militarno-finansowym. Jeżeli istniała nagła potrzeba, by Sam powstrzymał Hawka, to wzrosła ona teraz trzykrotnie.

– Jesteś niepokonany – wykrztusił wreszcie Sam. – Odwołuję wszystkie moje wcześniejsze rezerwacje. Pozwól mi przyłączyć się do ciebie, tak naprawdę przyłączyć. Pozwól mi zapracować na ten mój głupi milion.

Rozdział XXI

Każdy z oficerów został oznaczony kolorem w języku francuskim. Nie tylko dlatego, że każdy z nich mówił po francusku, ale brzmiały one lepiej w tym języku niż w innych.

Amerykańskiego Murzyna z Krety nazwano oczywiście Noir. Wiking ze Sztokholmu był Gris, Francuz z Zatoki Biskajskiej – Bleu, a jego rodak z Marsylii – Vert; człowiek z Rzymu otrzymał przydomek Orange, a z Aten – Rouge, ze względu na zawsze obecną czerwoną chustę. By wpoić poczucie dyscypliny i jedności, Hawk nalegał, by każdy kolor poprzedzało słowo „kapitan”. Ten znak nobilitujący i identyfikujący był wskazany ze względu na następne rozporządzenie MacKenzie’ego, które z konieczności odzierało każdego z nich z ich własnej indywidualności. Bowiem Akcja Zero musiała odbyć się w maskach. Żadnego zarostu, skóra upudrowana lub pomalowana na biało, cała twarz starannie zamaskowana, a włosy na głowie skrócone do minimum.

Wszyscy przyjęli ten rozkaz bez dyskusji. Poszły w ruch brzytwy, nożyczki i środki wybielające. Żaden nie chciał się wyróżniać. Anonimowość bowiem zapewniała bezpieczeństwo i oni o tym wiedzieli.

Manewry weszły w czwarty tydzień. Leśna droga, biegnąca wzdłuż pól Machenfeldu, została przystosowana tak, by odpowiadała wyglądem, o tyle, o ile było to możliwe, miejscu akcji. Otoczaki przesunięto, drzewa wyrwano z korzeniami, cały obszar leśny przesadzono. Podobnie przystosowano inne miejsce: była to kręta, wąska boczna droga, która opadała dość stromo w kierunku lasów.

Przy tych pracach posługiwano się powiększonymi fotografiami – 123 fotografiami gwoli ścisłości – przysłanymi przez sympatyczną turystkę z Rzymu nazwiskiem Lillian von Schnabe. Jednak pani von Schnabe nie była autorką tych filmów. Prawdę powiedziawszy rolki zostały przekazane bez wywołania przez dwóch niezależnych od siebie kurierów i dostarczone oszołomionemu Rudolfowi w Zermatt w pudełkach z tamponami. Rudolf schował tę dziwną przesyłkę do bagażnika włoskiej taksówki. Człowiek ma przecież swoją godność.

Trzeciego dnia w czwartym tygodniu Hawk zaplanował pierwszą próbę generalną. Z konieczności były to ćwiczenia start-stop na pozycję, bowiem każdy z nich musiał na zmianę

grać rolę przeciwnika. Motocykle ryczały, limuzyny pędziły, postacie w maskach wyskakiwały ze swoich stanowisk, markując zadania. MacKenzie odmierzał stoperem czas każdej fazy manewru. Opracował osiem głównych faz, poczynając od ataku, kończąc na ucieczce. I niech to diabli, jeśli jego oficerowie nie spisywali się na medal! Wiedzieli, że sukces Akcji Zero zależy od sukcesu każdego z nich. Myśl o niepowodzeniu nie była wcale atrakcyjna.

Dlatego też sprzeciwili się jednomyślnie pierwszej taktycznej zmianie Hawka: pozbyciu się ręcznej broni. Celnie umieszczony nóż lub szybko użyta garota zawsze służyły im pomocą, kiedy w grę wchodził wybór między przeżyciem a złapaniem. Ale MacKenzie był nieugięty. Da to gwarancję, że żadna krzywda nie stanie się papieżowi, dopóki okup nie zostanie zapłacony. Dlatego wyeliminowano wszelkie pistolety, noże, spirale, gwoździe, kliny, szpilki, a nawet kastety. Zabronił im również jakiegokolwiek walki wręcz wychodzącej poza podstawowy poziom jukato.

W końcu zaakceptowali te ograniczenia.

– W Szwecji się mówi – rzekł z właściwą Nordykom intonacją kapitan Gris – że jedno volvo w garażu warte jest darmowych przejazdów koleją przez całe życie. Zgadzam się z dowódcą.

– *Oui* – poparł go kapitan Bleu, Francuz z Zatoki Biskajskiej. – Za taką forszę gotów jestem zaśpiewać im do snu gaskońską kołysankę.

Ale kołysanki były zbyt ciche. Zastąpić je miały półcalowe podskórne igły dozujące pentotal sodu. Każdy oficer będzie wyposażony w cienki bandolier zawierający maleńkie igły w gumowych pojemniczkach. Wklute w szyję wywołują sen w ciągu kilku sekund. Problemem było jedynie, jak unieruchomić ofiarę zanim środek nie zacznie działać. Uznano, że nie ma się nad czym zastanawiać, bo nawet gdyby dobiegł jakiś hałas, to i tak przejdzie nie zauważony.

Tak więc oficerowie zgodzili się z Gris i Bleu i zaprzestali protestów. Na swój sposób było to wyzwanie i żaden z nich nie był zainteresowany darmowymi biletami na skandynawskie koleje. Nie wtedy, kiedy mogli mieć cały sznur volvo.

Hawk wykorzystał wszystkie specjalności swoich oficerów. Kapitanowie Gris i Bleu byli mistrzami w sztuce maskowania i ucieczki w terenie. Kapitan Rouge był specjalistą od materiałów wybuchowych; osobiście wysadził w powietrze sześć przystani w Cieśninie Korynckiej, kiedy rozeszła się pogłoska, że wpływa do niej flota amerykańska. Środki uspokajające były specjalnością Anglika, kapitana Bruna, który zmienił sobie kolor skóry na całe życie. Wypróbował bowiem na sobie większość narkotyków. Technika samolotowa i elektronika również miała swoich przedstawicieli. Pierwsza była terenem działalności kapitana Noira, którego wyczyny w Houston i Moskwie przeszły do legendy. W drugiej specjalistą był kapitan Vert, który uznał za konieczne założyć w Marsylii nadzwyczaj zróżnicowaną łączność radiową. To był tak ruchliwy port, w którym Interpol zawsze

trzymano pod butem.

Sprawy miejscowe przypadły w udziale kapitanowi Orange, który znał Rzym jak własną kieszeń. Do niego należało zaprojektowanie dziewięciu niewinnie wyglądających kompletów ubrań, które doskonale zlewały się z ulicą, następnie zaplanowanie minimum czterech wariantów przemieszczania się przy użyciu publicznych środków transportu, gdzie to możliwe aż do miejsca Akcji Zero. Każdy z kapitanów miał bowiem pod koniec czwartego tygodnia pojechać do Rzymu i osobiście zlustrować teren.

Z lotniskiem w Zaragolo nie będzie problemu; wszyscy się co do tego zgodzili. Ani też z helikopterem na terenie Akcji Zero. Może przylecieć w nocy przed akcją. Gris i Bleu zapewnili, że można go doskonale zamaskować.

Niech to diabli, pomyślał MacKenzie zatrzymując stoper pod koniec ósmej fazy, dwadzieścia jeden minut! Któregoś dnia dojdzie do optymalnych osiemnastu. Poczł napływ dumy w swej kiedyś pokrytej medalami piersi. Jego zespół wkrótce stanie się jedną ze wspanialszych mini uderzeniowych sił, opisywanych w podręcznikach wojskowości.

Nawet ci trzej szeregowcy (oddział dywersyjny) byli wspaniali. Mieli dwie funkcje do spełnienia: krzyczeć i kłamać. Ale najważniejsze, żeby o niczym nie wiedzieli. Zostali zwerbowani przez kapitana Bruna z pokrytych makami pól wysoko w górach Turcji, do których wrócą po zakończeniu akcji. Wynajęto ich za ustaloną sumę i niczym więcej się nie interesowali. Dla bezpieczeństwa zakwaterowano ich osobno i nawet posiłków nie spożywali w oficerskiej messie.

Otrzymali przydomki: Szeregowiec Pierwszy, Drugi i Trzeci.

Próba dobiegła końca i oficerowie zebrali się wokół Hawka przy ogromnej tablicy, którą ustawił w terenie na podstawce w kształcie litery A. Pot przesiąkał im przez maski. Ci w księżych sutannach zdjęli je ostrożnie, sprawdzając, czy nie potrzebne będą jakieś reperacje. Poszły w ruch papierosy i zapałki. Hawk zabronił im używać zapalniczek, bo pozostawały na nich odciski palców.

Trzech szeregowców odeszło na bok. Pozostali w polu widzenia, lecz niczego nie słyszeli. Nie wtajemniczano ich w analizy taktyczne. Nie było to konieczne.

Rozpoczęło się omawianie. Choć bardzo zadowolony, Hawkins nie zatrzymał się na tym, co zostało dobrze wykonane, lecz od razu przeszedł do błędów, notując je na tablicy z tak ostrą krytyką, że oficerowie kulili się jak strofowane dzieci.

– Precyzja, panowie! Precyzja jest wszystkim! Nie wolno wam dopuścić do dekoncentracji ani przez sekundę! Kapitanie Noir, za bardzo skrócił pan czas między fazą numer jeden, a fazą numer sześć. Kapitanie Gris, miał pan kłopoty z sutanną. Przecwicz to człowieku! Kapitanie Rouge i Brun, sfuszerowaliście fazę piątą! Wyjąć sprzęt radiowy! Poprawić ruchy! Kapitanie Orange! Pański błąd był najpoważniejszy ze wszystkich!

– *Che cosa?* Nie popełniłem żadnego błędu!

– Faza siódma, kapitanie! Bez właściwego wykonania fazy siódmej cała akcja pójdzie z

dymem! To jest zamiana, żołnierzu! Pan najlepiej mówi po włosku. Pakuję tego Frescobaldiego do samochodu papieża i zabieram papieża. Gdzie pan się podziewał, do diabła?

– Byłem na stanowisku, generale!

– Był pan po niewłaściwej stronie drogi! I kapitanie Bleu, jest pan ekspertem od maskowania się, a sterczał pan jak oskubana kaczka na swoim stanowisku w fazie czwartej! Ukryj się, człowieku! Wykorzystaj do tego liście!

Teraz co do tej pogłoski: podobno niektórym z was nie podoba się faza ósma i trasy ucieczki do Zaragolo; uważacie, że powinniśmy mieć dwa helikoptery. Pozwólcie sobie powiedzieć, że radar nie dopuści do tego, panowie. Jeden mały, nisko lecący ptaszek, może się przedrzeć przez obszar patrolowany przez włoskie siły powietrzne. Dwa zostaną natychmiast przechwycone przez radar. Nie sądzę, by któremuś z was podobało się wisieć tysiąc stóp nad ziemią w otoczeniu całej armii makaroniarzy. Bez obrazy, kapitanie Orange.

Oficerowie popatrzyli po sobie. Rzeczywiście, dyskutowali między sobą o fazie ósmej i o tym, że helikopter zabierze z miejsca akcji tylko Hawka, papieża i dwóch pilotów.

Argumenty dowódcy przekonały ich. Ucieczkę drogą lądową szczegółowo opracowali Gris i Bleu, którzy nie tylko byli najlepsi w swoim fachu, ale równocześnie braliby w niej udział. Niewykluczone, że lądem będzie bezpieczniej.

– Wycofujemy nasze zastrzeżenia – powiedział kapitan Vert.

– Dobrze – rzekł MacKenzie. – Teraz skoncentrujemy się na...

Tyle tylko zdążył powiedzieć, bowiem w oddali, przecinając pole od południa, biegł Sam Devereaux w spodenkach gimnastycznych krzycząc, ile sił w płucach.

– Raz, dwa, trzy, cztery! Po co tak biegasz bez przerwy? Dla zdrowia! Pięć, sześć, siedem, osiem, by kalorie mieć w nosie! Cztery, trzy, dwa, jeden! Biegać może każdy pedel!

– *Mon Dieu!* – krzyknął kapitan Bleu. – Ten przygłup nigdy nie przestaje! To już trwa siedem dni!

– Zaczyna, jeszcze zanim wstaniemy! – dodał Gris. – Podczas przerw na odpoczynek, jak tylko jakaś spokojniejsza chwila, on już jest pod oknem i wrzeszczy.

Pozostali chórem przytaknęli. Zaakceptowali decyzję generała, żeby nie zabijać tego idioty, nawet niechętnie przystali na to, by pozwolić temu głupkowi biegać na powietrzu pod warunkiem, że dwóch strażników będzie go pilnować. Ten osioł i tak nigdzie nie ucieknie, w spodenkach, z gołym torsem, nie przejdzie przez wysokie ogrodzenie z drutu kolczastego, za którym są tylko niedostępne lasy wysokogórskie. Ale postawili veto jego udziałowi w Akcji Zero.

Teraz znowu był tutaj, by popisywać się przed nimi swoją tężyzną. Patetyczny, biedny głupiec, który nie może stworzyć drużyny, ale nie przestaje próbować.

– Dobrze, już dobrze – powiedział Hawk tłumiąc śmiech. – Pogadam z nim jeszcze raz i spróbuję go uciszyć. Robi to tylko dla was. Bardzo chce dorównać wielkim facetom.

Doprowadzał ich do szału i wiedział o tym. Oczywiście zdarzały się okresy, kiedy myślał, że za chwilę padnie z wyczerpania, ale świadomość, że jego groteskowe zachowanie wywołuje zamierzony efekt, trzymała go przy życiu. Wszyscy go unikali, niektórzy nawet uciekali na jego widok. Jego szaleńcze zachowanie stało się irytującym, nieznośnym żartem. Trzy psy, które pojawiły się nie wiadomo skąd, by go pilnować, zabrano z korytarza, bo nieustannie szczekały. Znudzone krzykami na swoje doskonale naturalne reakcje, teraz tylko podnosiły głowy i patrzyły na niego z nienawiścią zza ogrodzenia, kiedy je mijał.

Miał go dość personel i oficerowie MacKenzie'ego. Sam był głośnym nudziarzem, żartem z długą brodą. Zaczynali się już przyzwyczajać do jego zachowania. Za kilka dni będzie mógł to wykorzystać.

Choć nie pozwolono mu jadać z Makiem i jego bandą psychopatów, to Hawk był na tyle ostrożny, by kontynuować swoje codzienne wizyty późnym popołudniem w jego pokoju, kiedy Sam wracał z treningu i zdejmowano mu spodenki. Devereaux to rozumiał. Hawkins potrzebował kogoś do wyładowania swojego entuzjazmu. Przechwalając się, zdradził informację, że on i jego ludzie wyjadą na dzień lub dwa, by przeprowadzić lustrację terenu. Po powrocie dokonają ostatnich poprawek w strategii.

Ale Sam nie powinien się tym przejmować. Nie będzie sam w Machenfeldzie. Zostaną strażnicy i psy, i personel.

Devereaux uśmiechnął się. Kiedy Hawk i jego potwory opuszczą zamek, nastąpi jego prywatna Akcja Zero. Zaczął powoli przygotowywać do niej swoich strażników, Rudolfa o dzikich oczach i jakiegoś mordercę bez imienia. Namówił ich, by usiedli na trawie, gdy tymczasem on zataczał wokół nich kręgi. Nawet chętnie na to przystali. Siadali na trawie z dwoma złowieszczo wyglądającymi pistoletami, wycelowanymi w niego, a on biegał i zatrzymywał się od czasu do czasu dla wykonania kilku ćwiczeń gimnastycznych. Zwiększał przy tym stopniowo odległość między nim a strażnikami i tego popołudnia znalazł się prawie 250 jardów od nich.

Wojsko nauczyło go czegoś o broni; wiedział, że nie ma takiej ręcznej broni, która byłaby skuteczna poza zasięgiem trzydziestu jardów. Wszystko zależało od celności, ale musiał zaryzykować. Powstrzymanie Hawka zmieniło się teraz w zadanie, które w czasie wojny rodzi bohaterów. Jak to MacKenzie powiedział? „To jest zobowiązanie. Nic nie zajmie jego miejsca. Cała amunicja świata nie jest w stanie go zastąpić”...

Sam czuł się odpowiedzialny. Perspektywa trzeciej wojny światowej z każdym dniem budziła coraz większy niepokój.

Jego plan był prosty i stosunkowo bezpieczny. Miał ochotę dać mu numer opcji, ale ponieważ żadna nie odniosła znaczącego sukcesu, postanowił z tego zrezygnować. Będzie biegać tutaj, na południowej łące, gdzie otaczający las jest gęściejszy, a trawa wyższa niż na

innych pastwiskach. Będzie zwiększał dystans między nim a strażnikami, tak jak to uczynił tego popołudnia i od czasu do czasu wykonywał ćwiczenia gimnastyczne, między innymi pompki, dzięki którym znajdował się blisko ziemi, poniżej wysokości trawy.

W odpowiednim momencie przeczołga się szybko, jak to możliwe, w stronę lasu i popędzi do ogrodzenia. Kiedy jednak do niego dotrze, nie będzie się po nim wspinał. Zdejmie tylko spodenki, odpowiednio rozedrze je i przerzuci przez mur. A potem, jeśli wszystko pójdzie dobrze, i Rudolf z Bezimiennym rozbiegną się w różne strony, wrzaśnie, jakby został zraniony i pogna do lasu.

Rudolf i Bezimienny przybiegną oczywiście do tego miejsca przy ogrodzeniu, zobaczą spodenki po drugiej stronie i podejmą stosowne kroki: jeden przejdzie przez ogrodzenie, a drugi popędzi do zamku po psy. Sam poczeka, dopóki nie usłyszy ujadania. Wówczas wróci do zamku, ukradnie ubranie i broń. Pozostanie tylko wsiąść do samochodu i postraszyć pistoletem strażnika przy bramie.

To musi się udać!

Cóż mogłoby pokrzyżować mu szyki?

Hawk nie był jedynym zdolnym do opracowywania planów. Dostanie nauczkę, że nie można igrać z adwokatem z Bostonu, pracującym dla Aarona Pinkusa!

Krzyki przerwały jego myśli. Znajdował się w miejscu, skąd widać było teren manewrów. Zobaczył dziwnie wyglądające znaki drogowe i pojazdy. Rudolf i Bezimienny dawali znaki, by wracał. Oczywiście musiał usłuchać. Nie miał prawa obserwować manewrów.

– Przepraszam, chłopaki! – odrzyknął, biegnąc po miękkiej ziemi. – Jeszcze do bramy i z powrotem i na tym koniec!

Obaj skrzywili się i podnieśli z ziemi. Rudolf pogroził mu palcem, a Bezimienny przytknął kciuk do zębów.

Sam każdego popołudnia dbał o to, by kończyć swój trening przy głównej bramie. Dobrze jest obejrzeć dokładnie teren, kiedy planuje się ucieczkę. Może się tak zdarzyć, że będzie zmuszony sam obsłużyć mechanizm, gdyby wybuchło zamieszanie. W najlepszym wypadku (jak by powiedział MacKenzie) brama może być otwarta.

Rozmyślał nad tą ewentualnością, biegnąc po zwodzonym moście, kiedy nagle coś zwróciło jego uwagę. Strażnik przy bramie przepuszczał właśnie długą, czarną limuzynę, kłaniając się przy tym i uśmiechając służalczo. Po chwili usłyszał słowa wykrzykiwane w jego kierunku, kiedy samochód przejeżdżał przez bramę. Przez głowę przebiegła mu myśl, czy by nie rzucić się do zamkowej fosy.

– Własnym oczom nie wierzę! – wołała Lillian Hawkins von Schnabe siedząca za kierownicą. – Sam Devereaux w spodenkach gimnastycznych! Wielki Boże, więc posłuchałeś mojej rady. Zabrałeś się za porządkowanie tego wraka!

A kiedy zastanawiał się, czy ma skoczyć do fosy, drugi głos, który zaraz potem usłyszał, sprawił, że rzucił się w stronę balustrady.

– Wyglądasz o wiele lepiej niż w Londynie! – zawołała Anne z Santa Monica, pani Hawkins numer cztery, ciężkie lecz wymowne. – Ta krótka podróż musiała ci przynieść mnóstwo korzyści!

Rozdział XXII

Plan ucieczki Devereaux nie upadł, jak to się stało z opcjami od jednej do cztery. Nie został też pominięty jak opcje pięć i sześć. Ani nie eksplodował w potoku obelg, jak miało to miejsce z opcją siódmą. Został po prostu odłożony. Sam otrzymał nagle dwóch dodatkowych strażników, z którymi musiał coś zrobić. Jeden z nich był w równym stopniu wstrząsem dla Hawka jak obaj dla Sama. MacKenzie stopniowo pogodził się z jego obecnością nie pozwalając jednak, aby popsuł jego plan. Wykorzystał sytuację, by ratować autorytet i przerzucił całą odpowiedzialność na cenny nabytek.

– Annie ma problem, panie doradco – powiedział Hawk podczas odwiedzin w pokoju Devereaux. – Mógłbyś zaproponować kilka prawnych rozwiązań. Zrób coś z tym, kiedy będzie po wszystkim.

– Wszystkie problemy bledną...

– Nie jej. Widzisz, rodzina Annie – cała ta cholerna rodzinka – więcej czasu spędziła w więzieniu niż na wolności. Matka, ojciec, bracia – ona jest jedyną dziewczyną – mieli kartoteki, które zajmowały większą część okręgowych rejestrów w Detroit.

– Nigdy się na nie nie natknąłem. Nie ma tego w bankach danych.

Troski Devereaux zostały chwilowo zepchnięte na boczny tor. MacKenzie nie próbował go do niczego namawiać. W jego oczach nie było ognia, tylko smutek. Najprawdziwszy smutek. Ale przecież w dossier Anne nie figurowała żadna wzmianka o jej kryminalnej przeszłości. Jeśli dobrze pamiętał, to została tam zapisana jako jedyna córka skromnych nauczycieli z Michigan, układających wiersze w starofrancuskim. Rodzice nie żyli.

– Oczywiście, że nie. Zmieniłem wszystko ze względu na wojsko. I na wszystkich innych, głównie na nią. Było to wielkim obciążeniem dla dziewczyny. – MacKenzie zniżył głos, jak gdyby te słowa sprawiały ból, tym niemniej rzeczywistości nie dało się odsunąć na bok. – Annie była prostytutką. Wychowywała się w nędznych warunkach, nieodpowiednich dla niej. Pracowała na ulicach. Nie знаła lepszego sposobu na zarabianie. Nie miała rodziny, a bardzo często nawet domu. Kiedy nie pracowała, przesiadywała w bibliotekach, oglądając piękne magazyny i marząc o przyzwoitym życiu. Stale próbowała wzbogacić swoje wiadomości. Nigdy nie przestała czytać, nawet teraz, gdy jej życie się poprawiło. Bo w głębi

duszy jest wspaniałym człowiekiem. Zawsze taka była.

Sam cofnął się myślami do hotelu „Savoy”: Anne siedząca w łóżku z grubą książką o żonach Henryka VIII w ręku. A później słowa wypowiedziane z takim przekonaniem w drzwiach korytarza, kiedy miała się ubrać. Słowa, które wiele dla niej znaczyły. Devereaux popatrzył na Hawka i powtórzył cicho:

– Nie staraj się zmieniać na siłę warunków zewnętrznych, bo zapaskudzisz wnętrze. Podobno ty jej to powiedziałaś.

MacKenzie wydawał się zakłopotany. To oczywiste, że nie zapomniał.

– Miała mnóstwo problemów. Jak już mówiłem, była wspaniałą osobą, ale nie zdawała sobie z tego sprawy. A ja tak, do diabła. Każdy by to zauważył.

– Jaki jest ten problem prawny? – zapytał Sam.

– Ten przekłety żigolak, jej mąż. Znosiła tego kutasa przez sześć lat. Pomogła mu z plażowego chłopca stać się właścicielem kilku restauracji. Wybudowała te restauracje. Jest z nich piekielnie dumna. Kocha życie. Lubi obserwować morze, wszystkie te łodzie, ludzi. Żyje teraz przyzwoicie i tak było dawniej.

– Więc?

– On chce ją wyrzucić! Ma inną kobietę i nie chce słyszeć słowa od Annie. Cichy rozwód i wynoś się do diabła.

– Czy ona nie chce rozwodu?

– To nieistotne. Ona nie chce stracić restauracji! To jest podstawa, Sam. Są dla niej wszystkim.

– On nie może tak po prostu ich zabrać. Trzeba wziąć pod uwagę umowę o własności. Prawa w Kalifornii są bardzo surowe.

– I on też. Pojechał do Detroit i odkopał jej kartotekę policyjną.

Sam milczał przez chwilę.

– To rzeczywiście problem prawny – powiedział w końcu.

– Popracujesz nad tym?

– Niewiele mogę tu zrobić. To jest problem konfrontacji. Coś w rodzaju wielkiego starcia. Ogień za ogień, wynajdywanie kontroskarżeń. – Devereaux strzelił palcami. Cudowne dziecko prawa wpadło na pomysł. – Powiem ci, co zrobić. Wypuść mnie stąd, a ja polecę prosto do Kalifornii! Wynajmę jednego z najlepszych prywatnych detektywów w Los Angeles, tak jak robią to w telewizji, który porządnie pochodzi za tym kutasem!

– Dobry pomysł, chłopcze – odrzekł Hawkins cmokając językiem w podziwieniu. – Podoba mi się ten agresywny ton; zatrzymaj go w głowie na później. Powiedzmy za miesiąc lub dwa.

– Dlaczego nie teraz? Mógłbym...

– Obawiam się, że nie mógłbyś! To jest poza dyskusją. Pozostaniesz tu na czas trwania akcji. Porozmawiaj jednak z Annie. Dowiesz się wszystkiego. Może Lillian będzie mogła pomóc; jest zaradną dzierlatką.

Tymi słowami MacKenzie pozbył się ciężaru i zyskał pomoc: Sam miał dwie dodatkowe osoby do pilnowania go. Mógł przechytryć Rudolfa i Bezimiennego, lecz dziewczęta to całkiem co innego.

Jednak wkrótce okazało się, że Lillian nie będzie miała czasu, by się nim zajmować. Jak zwykle rzuciła się w wir pracy, komenderując dwoma osobami przysłanymi jej do pomocy. Praca rozpoczęła się rano, kiedy oddział wyruszył na manewry.

W pokojach na najwyższym piętrze i na murach zamkowych. Dochodziło stamtąd stukanie młotków, zgrzyt piły i rozbijanie tynku. Wynoszono i wnoszono meble po kręconych schodach. Te zbyt duże i niewygodne wciągano lub spuszczano za pomocą specjalnego bloku ustawionego na zewnątrz. Dziesiątki roślin doniczkowych, krzewów i małych drzewek ustawiono wzdłuż blanków. Sam widział je z dołu, bo nie pozwolono mu wejść na trzecie piętro. Farby, pędzle i drewniane płyty wędrowały codziennie na górę. W końcu nie wytrzymał i zapytał Lillian, co robi.

– Małe przemeblowanie, to wszystko – odpowiedziała.

Wreszcie zaczęto wciągać skrzynie tłuczonego kamienia i piasku razem z kilkoma marmurowymi ławkami i (jeśli Sam się nie mylił, a skoro pochodził z Bostonu, to na pewno nie) modlitewną stallę.

Nagle wszystko stało się jasne. Lillian zmieniała górne piętro i mury obronne zamku w papieską rezydencję!

Z apartamentami i ogrodami, i stallami!

O mój Boże! Papieska rezydencja!

Za to Anne spędzała większość czasu z Samem. Ponieważ MacKenzie uznał za niestosowne, by dziewczęta jadały w oficerskiej messie – było niewskazane, aby kobiety łały się chlebem z wojownikami przed walką – ustalono, że Anne i Lillian wszystkie posiłki będą spożywać w pokoju Devereaux, a Sam oczywiście w łóżku. Ale Lillian rzadko tu bywała; większość czasu spędzała na górze.

Tak więc tylko Sam i Anne spędzali wspólnie czas. O dziwo, na zupełnie platonicznych zasadach. To prawda, że on nie zrobił żadnego kroku, a z jej strony również nie padła żadna propozycja. Tak jakby oboje rozumieli szaleństwo, które się wokół nich rozpętało i nie chcieli, aby któreś z nich w nie wciągnięto; jedno w sposób naturalny chroniło drugie. Im więcej ze sobą rozmawiali, tym lepiej Sam rozumiał, co MacKenzie miał na myśli mówiąc o Anne. Była niezwykle oryginalną, niezwykle szczerą osobą. Zresztą żadna z dziewcząt nie miała w sobie nawet cienia sztuczności, ale w przypadku Anne było to coś zupełnie innego. Podczas gdy one zdobyły pewność siebie i znały swoją wartość, Anne ciągle była z siebie niezadowolona. Emanowała z niej jakaś czarująca siła woli, która ogłaszała całemu światu, że ona może jeszcze coś osiągnąć, może doświadczyć czegoś nowego, ale, na Boga, po co się smucić z tego powodu.

Devereaux poczuł, że zbliża się niebezpieczeństwo i może zostać odciągnięty na boczny

tor. Zaczynał dochodzić do wniosku, że szukał takiej dziewczyny od jakichś piętnastu lat.

Ale nie wolno mu było o tym myśleć. Jego plan nabierał realnych kształtów i wiedział, że się powiedzie. Tego właśnie dnia Hawkins i brygada bananowych kapitanów wyruszyła na Akcję Zero.

Słodkie i nostalgiczne dźwięki wypełniły teatr. Guido Frescobaldi kłaniał się publiczności przed kurtyną, ocierając łzy z oczu. Musi porzucić teraz swoją sztukę i pomyśleć o obowiązku. Musi pospieszyć do garderoby i zamknąć pudełko z przyborami do charakteryzacji.

Wezwanie nadeszło! Jedzie do Rzymu! Jedzie, by spotkać się z ukochanym kuzynem, najbardziej uwielbianym ze wszystkich papieży, Giovannim Bombalinim, Franceskiem, Namiestnikiem Chrystusowym! Och! Jakież dobrodziejstwa na niego spłynęły! Ponownie zobaczyć się po tylu latach!

Ale musi zachować to w tajemnicy. Taka była umowa. Tego sobie życzył Bombalini – *Madre di Cristo!* – papież Francesco i nikt nie miał prawa kwestionować postanowień tak szczodrobliwego arcykapłana. Ale Guido troszeczkę się dziwił. Dlaczego Giovanni nalegał, aby opowiedzieć kierownictwu takie małe kłamstewko, że jedzie odwiedzić rodzinę w Padwie, a nie w Rzymie? Nawet jego przyjaciel reżyser mrugnął znacząco, kiedy mu o tym powiedział.

– Może byś mógł poprosić twoją rodzinę, by pomodliła się do świętego Piotra o małego świętego lira, Guido. Nie było w tym sezonie dobrej kasy.

Co reżyser wiedział? I kiedy się o tym dowiedział? To nie było w stylu starego Giovanniego. Lecz kim właściwie jest, by wątpić w mądrość swojego ukochanego kuzyna-papieża?

Guido dotarł do garderoby i zaczął zdejmować kostium. Jego wzrok spoczął nagle na odświętnym garniturze wiszącym schludnie na ścianie. Nagle poczuł, że jest niewdzięczny i zawstydził się swojego zachowania.

Giovanni był taki dobry dla niego. Jak mogła mu przyjść do głowy tak kompromitująca myśl?

Dziennikarka, która ma go do niego zaprowadzić, wypytywała o wymiary. Dokładnie wszystkie. Kiedy zapytał, po co jej one potrzebne, wyjaśniła mu. Wtedy się rozplakał.

Giovanni kupował mu nowy garnitur.

Hawk i jego oficerowie wrócili z Rzymu. Ostatnia lustracja terenu wypadła pomyślnie; żadne zmiany nie były konieczne.

Wszystkie dane wywiadowcze zostały zebrane i opracowane. Wykorzystując podstawowe

techniki inwigilacji stosowane na terytorium wroga, Hawkins przebrał się w strój nieprzyjaciela (w tym wypadku czarny garnitur i koloratka) i uzyskał watykańską przepustkę i dowód tożsamości, który zaświadczał, że jest jezuitą przeprowadzającym badania nad sprawnością Ministerstwa Skarbu. Miał wolny dostęp do wszystkich rejestrów i list personelu, poczynając od apartamentów, a kończąc na barakach.

Wszystko zgadzało się z planami Hawka.

Papież wyjedzie do Castel Gandolfo tego samego dnia, jak to czynił przez ostatnie dwa lata. Był zorganizowanym człowiekiem. Nadszedł czas, by rozdzielić zadania i wyznaczyć funkcje. Castel Gandolfo oczekiwało go, więc się tam zjawi.

Papież pojedzie w tej samej skromnej kolumnie samochodów, jak to zwykł robić poprzednio. Nie należał do rozrzutnych czy pretensjonalnych ludzi. Jeden motocykl poprzedzający, dwa z przodu i dwa z tyłu. Niezbędne minimum. Limuzyny ograniczono do dwóch: w jednej jechał on i sekretarze, w drugiej zaś niżsi prałaci, wiozący bieżące dokumenty.

Trasa przejazdu prowadziła malowniczą drogą, o której mówił z uczuciem, za każdym razem, kiedy wspominał Gandolfo: piękną Via Appia Antica z falistymi wzgórzami i pozostałościami po starożytnym Rzymie.

Via Appia Antica. Miejsce akcji.

Do Zaragolo dostarczono dwa helikoptery Lear. Zaragolo było lotniskiem dla bogatych. Mały fiat sedan, który miał być miejscem akcji tureckich szeregowców, został nabyty przez kapitana Noira w imieniu Ambasady Etiopii. Zaparkowano go w garażu czynnym całą dobę obok posterunku policji, gdzie wskaźnik przestępczości był najniższy.

Guido Frescobaldi jest w drodze do Rzymu. Zajmie się nim Regina. Zainstaluje go w pensjonacie „Doża” na Via Due Macelli, tuż obok Hiszpańskich Schodów i dobrze się nim zaopiekuje aż do następnego ranka. Wówczas zaaplikuje mu roztwór tiopentalu, który uczyni go nieszkodliwym przez prawie dwadzieścia godzin.

Hawk zaplanował, że zabierze go do fiata w drodze na miejsce akcji. Regina tymczasem odpowiednio go ubierze, włoży obszerny płaszcz, przykrywający jego nieco fantazyjny strój.

Pozostała jeszcze jedna sprawa do załatwienia. Dwie limuzyny wykorzystane w czasie prób należało przetransportować do Valtournanche, kilka mil na południowy zachód od alpejskiego miasteczka Champoluc, na rzadko używane prywatne lotnisko, wykorzystywane przez bogatych klientów przylatujących tu na narty. Limuzyny nikogo tu nie dziwiły. Zostały zarejestrowane na fikcyjnych Greków, a Szwajcarzy nigdy nie niepokoiili Greków, których stać było na takie samochody.

Zajmie się tym Lillian. Wykorzysta do tego dwóch ludzi, którzy pomogli jej urządzić apartamenty dla papieża. Kiedy samochody znajdą się na miejscu, wszyscy troje znikną. Mac

oczywiście da im premię.

Pozbędzie się także Rudolfa i tego bezimiennego psychopaty, jak tylko wrócą z Akcji Zero i umieścą papieża w jego mieszkaniu. Kucharz będzie musiał zostać. Co, do diabła, nawet gdyby się dowiedział, dla kogo gotuje, jest francuskim hugenotą poszukiwanym przez policję szesnastu krajów.

Pozostała Anne. I oczywiście Sam.

Z Samem mógł się uporać. Tyle już wiedział, że właściwie stał się uczestnikiem przedsięwzięcia. Ale nie mógł rozgryźć Anne. Czego ta dziewczyna chciała? Dlaczego nie wyjeżdżała? Dlaczego wykorzystwała przeciw niemu jego własną przysięgę?

– Daeś uroczyście słowo, że jeśli któraś z nas przyjedzie do ciebie po pomoc, nie zostawisz jej na lodzie. Nigdy nie pozwolisz, aby stała się nam niesprawiedliwość, jeśli będziesz mógł jej zapobiec. Jestem tu, bo znalazłam się w potrzebie i została mi wyrządzona niesprawiedliwość. Nie mam dokąd pójść. Proszę, pozwól mi zostać.

No cóż, musiał się zgodzić. W końcu było to słowo generała.

Ale dlaczego? Czyżby chodziło o Sama?

Niech to diabli!

Będzie więc umierał w Gandolfo. Mogło być gorzej, pomyślał Giovanni Bombalini, wyglądając przez okno swojego gabinetu. Pół wieku temu wszystkiego, czego mógł się spodziewać, to niezdrowej placówki na Złotym Wybrzeżu z długim rozwlekłym nabożeństwem wygłaszanym w połowie po łacinie, w połowie w języku kwa z rojami much krążących nad głową. Gandolfo przynajmniej nie dostarczy takich przyjemności.

Poza tym w Gandolfo lepiej mu się pracowało. Pozostałe mu tygodnie wykorzysta na uporządkowanie własnych spraw, których było niewiele i wszystkie swe siły skupi na zaplanowaniu najbliższej przyszłości Kościoła. Zabiera ze sobą kilkaset raportów o najprężniejszych diecezjach i propozycje awansów skłaniające się ku nowszym i śmielszym perspektywom, co często nie miało nic wspólnego z młodością.

Musiał ciągle pamiętać, że starych wojowników nie powinno się lekceważyć. Stare rumaki przeszły przez kościelne batalie, nie znane ogromnej większości, która domaga się reform i zmian. Niełatwo jest zmienić filozofię całego życia. Ale wspaniałe stare rumaki wiedzą, kiedy należy się usunąć, gotowe jednak udzielić rady, kiedy się o to poprosi. Innym – takim jak Ignatio Quartze – trzeba będzie pomóc odejść.

Papież Francesco zdecydował, że wśród ostatnich jego posunięć znajdzie się pewna forma nacisku. Będzie to rodzaj rozprawy, która zostanie przeczytana Kurii po jego śmierci, a potem ogłoszona publicznie. Zakrawało to trochę na zuchwalstwo, ale jeżeli Bóg nie zechce, żeby ją skończył, może zawsze wezwać go przed swoje oblicze.

Zaczął już ją dyktować czarnemu sekretarzowi. I wysłał papieskie memorandum do

wszystkich oddziałów watykańskich, mianując swego młodego sekretarza egzekutorem ostatniej woli w wypadku, gdyby został wezwany przed oblicze Pana.

Poinformowano Giovanniego, że Ignatio Quartze szalał przez godzinę po otrzymaniu papieskich instrukcji. Musiało to wywołać spustoszenie w kardynalskich przegrodach nosowych.

– Wasza Świątobliwość? – Młody czarny sekretarz wyszedł z sypialni niosąc walizkę. – Nie mogę znaleźć małej szachownicy. Nie ma jej w szufladzie z telefonem.

Giovanni pomyślał chwilę, a potem chrząknął z zakłopotaniem.

– Obawiam się, że jest w łazience, synu. Odkąd monsignor O’Gilligan rozwiązał swoje problemy związane z nawracaniem, stał się absolutnym postrachem szachistów. Konieczna była koncentracja.

– Tak, panie. – Młody ksiądz uśmiechnął się stawiając walizkę. – Włożę ją do kufra z szatami.

– Czy jesteśmy już spakowani? Powiedziałem my, ale to ty wykonałeś robotę.

– Prawie, Ojciec Święty. Pigułki i środki wzmacniające umieściłem w mojej teczce.

– Trochę dobrej brandy też nie zawadzi zabrać.

– Pomyślałem i o tym, Wasza Świątobliwość.

– Jesteś prawdziwym dzieckiem Bożym, mój synu.

Rozdział XXIII

RIGIRATI! COSTRUZIONE!

Wielki metalowy znak tkwił w samym środku drewnianego szlabanu ustawionego w poprzek bocznej wiejskiej drogi.

Wyglądał bardzo urzędowo, z małym czerwonym reflektorem i wspaniałymi insygniami władz Rzymu. Do tego zamykał odcinek Via Appia Antica dla wszystkich pojazdów, proponując w zamian objazd przez las w dół appijskiego wzgórza. A ponieważ ten odcinek drogi był najwęższym na całej trasie, pozostawał do wyboru tylko objazd, chyba że pojazd był wielkości małego fiata. Nie dałby rady nawet fiat sedan, którego Hawk zabrał z garażu przy posterunku policji, a który leżał teraz wywrócony u stóp wzgórza.

Żaden większy pojazd nie miałby miejsca na zawrócenie. By zmienić kierunek, kierowca musiałby cofać się dobrą milę przez niezliczone wyboje i liczne niewidoczne zakręty. Oczywiście kierowca mógł zdecydować się na przejazd przez pola wcinające się w okoliczne lasy, ale pełno było na nich hałd i resztek starożytnych murów. Nie tylko groziły niebezpieczeństwem, ale jazda po nich była zabroniona.

Wszystkie te myśli przepływały przez głowę kapitana Noira, który leżał ukryty w zaroślach na poboczu drogi za szlabanem. Nagle posłyszał w oddali warkot motocykli.

Wszystko czekało na ich przyjęcie.

Zaczynała się Akcja Zero.

Miejsce zostało doskonale wybrane. Tylko drzewa, pola i wzgórza. Generał wszystko dobrze zaplanował. Porwanie można było prawdopodobnie przeprowadzić na tym odludnym odcinku drogi bez objazdu, ale pod pewnymi względami stanowił on najważniejszy punkt Akcji Zero. Pojazdy mogą zawrócić cal po calu, ale nie zrobią tego. Wykorzystają objazd. Jednak gdyby się tak nie stało, kapitan Noir użyje przenikliwego gwizdka. Da w ten sposób znać, że plan numer jeden, faza pierwsza, stanowiska jeden do trzech, są odwołane. Natychmiast zastosować plan piekarz, faza zero zero, stanowiska 101 do 110: porwanie nastąpi w innym miejscu.

Na drodze za szlabanem pojawił się niebieski hełm z wymalowanym białym krzyżem błyszczący w słońcu jak ogromny klejnot. Tkwił on na głowie motocyklisty jadącego na czele

papieskiej kolumny; watykańska szpica, jak by go nazwał generał. Prowadzący policjant jechał ze średnią prędkością; większa prędkość na takiej starej drodze nie byłaby wygodna dla pasażerów limuzyn.

Policjant spostrzegł szlaban z wielkim znakiem i zatrzymał się przed nim. Kapitan Noir wstrzymał oddech. Oficer zeskoczył z motocykla, kopnął podnózek i podszedł do szlabanu. Uniósł brwi w zdziwieniu, zajrzał za barierę, popatrzył na oznaki budowy i mruknął coś niezrozumiale.

Potem odwrócił się i podniósł rękę. Nadeżdżająca limuzyna zatrzymała się około stu stóp przed barierą.

Policjant wrócił do motocykla, wsiadł na niego, podjechał wolno do limuzyny i zaczął mówić coś podniesionym głosem do pasażerów siedzących w środku.

Tylne drzwi się otworzyły i wysiadł ksiądz w czarnej sutannie. On i policjant podeszli do bariery i zaczęli przyglądać się drodze prowadzącej w dół wzgórza.

Nastąpiła szybka, niezrozumiała wymiana zdań, a potem seria gestów wyrażających niezdecydowanie. Za chwilę ksiądz się odwrócił, chwycił za brzeg sutanny i podbiegł do drugiej, papieskiej, limuzyny.

Kapitan Noir nie widział zbyt dobrze, ale lekki wiaterek przyniósł dźwięki podnieconej rozmowy. Kapitan przełknął ślinę i mocniej ścisnął gwizdek w garści.

Potem ku wielkiej uldze posłyszał śmiech. Ksiądz wrócił do prowadzącego samochodu, gestem wskazał policjantowi na lewo i wsiadł z powrotem do auta.

Ryzykowna decyzja została podjęta; generał znał swojego wroga.

Kolumna skręciła w lewo, kierując się w dół wzgórza. Pojazdy wjechały do lasu ostrożnie, bardzo wolno. Kiedy dwa zamykające kolumnę motocykle znalazły się na wysokości pierwszego zakrętu, Noir wyskoczył z zarośli, podbiegł do szlabanu i zatarasował nim objazd. Następnie zerwał znak, odsłaniając drugi.

DINAMITE! FERMA! PERICOLO!

Udało się! Na Boga, udało się! Uciekł z Machenfeldu i był w drodze do Rzymu, a jeśli wszystko dobrze pójdzie, nikt nie odkryje jego ucieczki aż do rana. Wtedy jednak będzie za późno! Hawk był już w drodze na Akcję Zero!

Żadnym sposobem nie dowiedzą się, że uciekł. Chyba że wyważą drzwi do jego pokoju, co było nieprawdopodobne ze względu na zaistniałe okoliczności. Anne obraziła się na niego. Zabarykadowała się w swoim pokoju w południowym skrzydle. Sprowokował kłótnię, którą można było usłyszeć na szczytach Matterhornu, a język którego użyła, pochodził zapewne od jej przestępczej rodzinki.

Rudolf i Bezimienny nie chcieli mieć z nim do czynienia. Po batalii z Anne zaczął uskarżać się na potworny ból w pachwinie. Zgiął się wpół i zaczął krzyczeć.

– Jezu! To kuwejskie encephalitis! Widziałem to w Algierii pięć tygodni temu! O, mój Boże! Złapałem to! Jądra puchną jak banie, albo jeszcze mocniej! Muszę do doktora! Dajcie mi doktora!

– Żadnego doktora. Żadnych zewnętrznych kontaktów, dopóki szef nie wróci. – Rudolf był twardy.

– Więc lepiej uważajcie! – uprzedził Sam. – To jest bardzo zaraźliwe!

Po czym zemdłał, trzymając się kurczowo za genitalia. Bezimienny i Rudolf przerażeni, cofnęli się w kierunku ściany salonu. Wracając do przytomności, ale w stanie agonalnym, Sam poczołgał się w kierunku schodów, by spotkać się ze Stwórcą w spokoju i z ogromnymi jajami.

Rudolf i Bezimienny trzymali się w bezpiecznej odległości, dopóki Sam nie dotarł do pokoju i nie zamknął drzwi. Kiedy ponownie je otworzył, ujrzał, że strażnicy stoją na drugim końcu korytarza z podwójnymi chusteczkami do nosa przy twarzy i rozpylają chmury dezynfekującego aerozolu wokół siebie.

Teren był czysty! Gotowy do pięknego, bezpiecznego wyjścia z Manchenfeldu.

Lillian i dwóch pomocników miała odwieźć limuzyny na lotnisko gdzieś na południu. Podszuchał, jak Hawk objaśnia drogę pani Hawkins numer trzy. Jazda miała potrwać cztery godziny i trzeba było ustawić samochody na poboczu przy zachodniej szosie prowadzącej do lotniska.

Lotnisko!

To oznacza samoloty! A samoloty latają do Rzymu! A jeśli nie, to są tam telefony! I radia!

Jego nowy plan natychmiast nabrał realnych kształtów. Schowa się w bagażniku drugiej limuzyny, tej kierowanej przez członka zamkowego personelu. Bez trudu zablokował zamek bagażnika, kiedy zęgnął się z Lillian, pomagając wkładać walizki.

Kiedy tylko jego strażnicy zniknęli w chmurze aerozolu, Sam związał trzy koce, spuścił się po nich na dół, popędził do limuzyny i wczołgał się do bagażnika.

Wewnątrz owinął kocami górną część ciała, wdzięczny, że nadal ma na sobie spodenki, i czekał. Polegał na losie, że poprowadzi go najkrótszą drogą do celu i nie rozczarował się.

Limuzyny minęły bramę i podróż się rozpoczęła. Po trzech i pół godzinach podskakiwania, nurkowania i pędzenia przez szwajcarskie góry. Sam posłyszał krótkie dźwięki klaksonu. Po kilku sekundach odezwały się podobne sygnały z prowadzącego samochodu i limuzyna zwolniła i stanęła. Kierowca wysiadł. Devereaux usłyszał kroki, a potem znajome odgłosy pluskania.

Otworzył bagażnik, wyszedł cicho i uderzył lewarkiem odlewającego się Szwajcara.

Nie minęło pół minuty, a Devereaux ściągnął z niego spodnie, marynarkę, koszulę i buty. Po włożeniu spodni i marynarki, wystarczających, by przestał świecić gołym ciałem, pobiegł do drzwiczek samochodu, wsunął się na miejsce kierowcy i nacisnął klakson dwa razy

sygnalizując, że można ruszać dalej.

Lillian odtrąbiła i natychmiast wystartowała.

Lotnisko w Valtournanche (jak stwierdziła tablica) nie było teraz problemem, bo znalazł wspaniałą sumę pieniędzy w marynarce Szwajcara. Pięć tysięcy dolarów amerykańskich! Hawk musiał dać personelowi premię. To automatycznie nasunęło mu na myśl następny nadzwyczajny plan!

Powstrzyma Hawka bez pomocy policji! Bez żadnych władz! Zatrzyma go z zimną krwią, przerwie Akcję Zero i rozpędzi brygadę – wszystko jednocześnie! Bez oddziałów ogniowych, katów czy grożącego więzienia! To było doskonałe. Bezbłędne.

Na drodze po zachodniej stronie lotniska pojawił się zakręt. Sam zwolnił i w chwili gdy samochód Lillian wziął ten zakręt, zatrzymał samochód, wyłączył stacyjkę, złapał koszulę i buty, wyskoczył z pojazdu i popędził do lasu.

Czekał w ciemności na to, co miało nastąpić. Posłyszał, jak samochód Lillian cofa się na wstecznym biegu. Po czym dziewczyna i jej eskorta wyskakują z limuzyny i podbiega do porzuconego pojazdu.

– To jeszcze nie koniec! – głos Lillian brzmiał gniewem. – Niewdzięczna gnida w ostatniej chwili stchórzyła! Po tym, jak Mac dał mu tyle pieniędzy. Cóż, wcale mnie to nie dziwi. Mięśnie jego szyi nie miały tonusa. To zawsze jest oznaką słabości. Wsiadaj! Jesteśmy prawie na miejscu.

Godzinę później Devereaux, ubrany w skórzaną marynarkę i za luźne spodnie, wyglądające trochę dziwnie, odliczał dwa i pół tysiąca dolarów oszołomionemu pilotowi w hangarze za natychmiastowy nie zaplanowany lot do Rzymu. Sam wybrał mężczyznę niższego od siebie bez jakichkolwiek widocznych mięśni. Po pilotach, którzy podejmują się tego typu zadań, nie oczekuje się wysokiej moralności. Nie miał ochoty zostać wyrolowany i wyrzucony z samolotu.

Ale udało mu się! Byli w powietrzu! Dotrą do Rzymu przed świtem. A wówczas on, Sam Devereaux, świetnie zapowiadający się młody adwokat z Bostonu, dokona najwspanialszego podsumowania swojej kariery.

Kapitan Gris i Bleu ubrani w dobrze dopasowane mundury policyjne stali nieruchomo za dwoma klonami po przeciwnych stronach krętej drogi. W prawych rękach trzymali krótkie igły tkwiące w odwróconych pierścieniach.

Zgodnie z przewidywaniami dowódcy dwa motocykle jadące po obu stronach papieskiej limuzyny cofnęły się i jechały teraz obok siebie przed dwoma motocyklami zamykającymi kolumnę. I tak jak przewidział szef, hałas był ogłuszający.

Jeden za drugim samochody przejechały. Kiedy dwaj ostatni policjanci znaleźli się na wysokości klonów, Gris i Bleu wyskoczyli zza drzew, zamknęli motocyklistów w stalowym

uścisku i każdy wbił igłę w szyję swojemu przeciwnikowi.

Po kilku sekundach policjanci zwiśli bezwładnie.

Gris i Bleu wypchnęli im motocykle spod nóg i wciągnęli ciała głębiej w las. Potem puścili się biegiem po zboczu wzgórza przez gęste listowie do miejsca następnego zadania. Ukryte leżały tu sutanny, które mieli włożyć na mundury.

Kapitan Orange i Vert leżeli na brzuchu naprzeciw siebie ukryci w wysokich zaroślach. Znajdowali się tuż na początku drugiego zakrętu po opadającej stronie drogi. Przez gęste suche badyłe dostrzegli – uśmiechając się na ten widok – że dwa zamykające kolumnę motocykle znikły. Druga para motocyklistów zmagala się z nierównym terenem usiłując utrzymać tempo jazdy.

Kapitan Orange przeżegnał się, kiedy papieska limuzyna minęła ich kryjówkę.

Kapitan Vert splunął. Był najwyższy czas, żeby wynieść na tron francuskiego papieża; Włosi to świnię. Papieski samochód właśnie brał zakręt. Orange i Vert wyskoczyli z ukrycia i wykonali przeciwiczone wcześniej czynności, błyskawicznie unieruchamiając eskortujących motocyklistów. Po chwili było po wszystkim. Papieska limuzyna wchodziła w zakręt u stóp wzgórza. Jedynie sekundy dzieliły od detonacji w fazie czwartej: bomby dymne z przewróconego fiata. Orange i Vert ruszyli biegiem do kolejnego zadania, najważniejszego ze wszystkich: fazy numer siedem. Faza pięć i sześć – zniszczenie pojazdów i unieszkodliwienie papieskiej świty – nastąpią za moment.

Faza siódma stanowiła szczytowy punkt Akcji Zero: wtedy następowała zamiana papieża, Giovanniego Bombaliniego na Guida Frescobaldiego.

Eksplozje dochodzące z fiata robiły imponujące wrażenie. Widowisko dopełniały histeryczne wrzaski Turków. Hawk uśmiechnął się z zadowoleniem. Niech to diabli! Cóż za wspaniały widok! Cały ten dym i hałas i... no, te wrzaski były doskonałe.

Kolumna zatrzymała się. Rozległ się chór podnieconych głosów. Jeden motocykl i dwie limuzyny na odludnej wiejskiej drodze ograniczone od południa spadzistym stokiem i wysokim, gęstym lasem od północy.

Optimum, ocenił Hawk, podtrzymując chwiejącego się Guida Frescobaldiego.

Kapitan Noir dotarł na swoje miejsce i dał znak kapitanowi Rouge i Brun; stali rozstawieni w dziesięciojardowych odstępach, gotowi do fazy piątej – zniszczenia wszystkich pojazdów papieskiej świty.

Zaczęło się.

Policjant jadący na przedzie, zeskoczył z motocykla i ruszył pędem do dymiącego fiata z uwięzionymi w nim krzyczącymi pasażerami. Wszystkie drzwi obu limuzyn otworzyły się. Kierowcy i księża krzyczeli i wymachiwali rękami wydając rozkazy wszystkim i nikomu, a potem również pobiegli do przewróconego samochodu.

Teraz!

Ubrani w sutanny, Noir, Rouge i Brun, wyskoczyli ze swych kryjówek. Brun i Rouge dali nura na przednie siedzenie pierwszej limuzyny wrywając wszystkie druty. Noir popędził do drugiej limuzyny, papieskiej, i przez otwarte drzwi rzucił się do tablicy rozdzielczej. Nagle poczuł, że jakaś ręka w białym rękawie wali go w kark! Lecz ta ręka nie była biała. Ona była czarna!

I chwyt, który poczuł na szyi, i towarzyszące mu szybkie, ostre ciosy w głowę przypominały taktykę znaną Noirovi doskonale. Zrosnięta była nierozzerwalnie z kawałkiem ziemi zwanym Harlemem! Noir gwałtownie skręcił obolałą szyję i, ku swemu zdumieniu, znalazł się twarzą w twarz z czarnym bratem! Brat w białej kościelnej sukni białego człowieka! Zada wielki gwałt naturze unieszkodliwiając go, ale nic na to nie może poradzić. Katolicki dzieciak był niezły, ale nie pobierał nauk ze 138 Ulicy i Amsterdamu. Noir uszczypnął kciukiem i palcem wskazującym wrażliwe ciało. Czarny ksiądz wrzasnął i puścił szyję Noira. W tym momencie Noir chwycił go nad oparciem siedzenia, westchnął i rąbnął w podstawę czaszki. Następnie powrócił do przerwanej pracy, wrywając druty i miażdżąc tablicę rozdzielczą. Gruby, stary biały człowiek w białych szatach – ten główny, pomyślał Noir – pochylił się i pociągnął chłopaka na tylne siedzenie, przytrzymując głowę księdza, jak gdyby naprawdę został ranny.

– Nic mu nie będzie, papciu. Nie wiem, jak wy, chłopaki, to robicie. Przysięgam, że nie wiem. Baptyści trzymają swój kościół w cuglach. Oni mają rytm! Wy za to macie gliny...

Sukinsyn! Co jeszcze może pójść nie tak? Jakie jeszcze przeszkody kryją się w oślepiającym słońcu rzymskiego portu lotniczego Leonardo da Vinci? To jakiś koszmar na jawie w oślepiającym świetle poranka.

Ten przeklęty, skarłały sukinsyn pilot z Valtournanche nalegał, żeby jego samolot przejrżeli inspektorzy od narkotyków! Pies z kulawą nogą by się nie zainteresował, nawet gdyby samolot przewoził sześć skrzyń kradzionego złota lub nie zgłoszone diamenty, albo plany obronne NATO, jeśliby pilot leciał sam. Nie pomogły żadne protesty. Wprost przeciwnie, spowodowały, że kazano mu się rozebrać i dokładnie przeszukano.

– Per favore, signore. Gdzie jest pańska bielizna. Gdzie pan ją zostawił? Przeszukać jeszcze raz samolot!

– To szaleństwo! – wrzasnął Devereaux. – Jak może para gaci...

– *Che cosa?* – zapytał kapitan podejrziwie.

– Spodenki! – Sam narysował kalesony. – Gdzież mógłbym je schować...

– Ahaaa – wpadł mu w słowo kapitan. – Ten Szwajcar nosi długie kalesony. Z kieszeniami i mnóstwem guzików. Rozporek jest na guziki.

– Nie jestem Szwajcarem! Jestem Amerykaninem!

Brwi kapitana strzeliły w górę i zniżył głos:

– Ahaaa... *Mafia*, *signore*?

I tak to trwało, aż wreszcie Sam wyciągnął dziesięć studolarówek amerykańskich, co się dziwnie zbiegło w czasie z końcem służby kapitana i Sama zwolniono.

– Gdzie mogę znaleźć taksówkę?

– Najpierw proszę wymienić pieniądze, *signore*. Żadna taksówka nie wyda reszty ze studolarówek amerykańskich.

– Nie mam więcej studolarówek. Mam tylko pięćsetki.

– To wezwą policję. Bo taki banknot nie może być prawdziwy. Będzie pan potrzebował lirów.

O, mój Boże, policja, pomyślał Sam. Policja i histeryczny taksówkarz to ostatnie osoby, z którymi chciałby mieć do czynienia. Oni nie należeli do jego grand finale, krzyżującego plany Hawka.

Musiał więc spędzić prawie godzinę w ogonku do wymiany pieniędzy tylko po to, żeby dama z wąsami powiedziała mu, że banknoty o takim nominale muszą być sprawdzone.

– Dziękuję, *signore* – powiedziała w końcu wąsata dama. – Przepuściliśmy je przez cztery różne maszyny. Banknoty są w porządku. Oto pańskie liry. Czy ma pan walizkę?

Była 9.45. Miał jeszcze czas! Droga z lotniska do Rzymu zajmie około godziny, jeśli weźmie się pod uwagę ruch uliczny i jeszcze jakieś pół godziny, by dotrzeć na południe miasta, do Via Appia.

Jazda Via Appia nie zajmie mu więcej niż dwadzieścia minut. Na pewno rozpozna znaki drogowe, które widział podczas manewrów, był tego pewny. Dotrze na miejsce akcji z co najmniej półgodzinnym zapasem!

Powstrzyma Hawka, zapobiegnie trzeciej wojnie światowej, usunie widmo życia w więzieniu i wróci do Bostonu z prawdziwym szwajcarskim kontem bankowym!

Cholera! Gdyby miał w tej chwili dwa cygara, zapaliłby oba jednocześnie!

Popędził przez terminal do drzwi wyjściowych, nad którymi w trzech językach było napisane „taxi”. Wybiegł bez tchu na chodnik.

Całą przestrzeń przed lotniskiem zajmowały setki nieruchomych wózków wypełnionych bagażem. Tłumy ludzi kłębiły się na ulicy, gotowe za chwilę wybuchnąć.

Sam podszedł do jakiegoś mężczyzny.

– Co się tu dzieje?

– Ci przeklęci taksówkarze ogłosili strajk!

Sam aż się cofnął z wrażenia. Miał kieszenie wypchane setkami lirów. Musiał być ktoś na

parkingu, kto dysponuje samochodem.

Znalazł się taki. Dwadzieścia po jedenastej. Sam zaproponował mu pieniądze. Im szybciej będzie jechał, tym więcej lirów dostanie.

Facet przystał na ten układ.

11.32! Jeszcze zdąży!

Musi!

To jest podsumowanie całej jego kariery.

Dlaczego oszukuje siebie? To jest całe jego życie.

Gris i Bleu zaciągnęli sznury, którymi mieli przewiązane sutanny. Klęczeli ukryci w gęstych zaroślach u stóp wzgórza przy drodze. Obaj czekali na moment, by wyskoczyć z ukrycia i wykonać fazę numer sześć – unieszkodliwienie papieskiej świty. Przewrócony fiat znajdował się dokładnie na wprost nich, buchały z niego kłęby dymu, a pięciu papieskich sekretarzy, dwóch szoferów i jedyny policjant robili, co mogli, by dotrzeć do krzyczących Turków.

Liczba nie stanowiła problemu. Skoro już Gris i Bleu dołączą do tego dymnego zamieszania, będą pracowali szybko i sprawnie, ich sutanny powiększą tylko ogólny rozgardiasz. Prostą sprawą będzie unieruchomienie jednego przeciwnika po drugim. Od zachodu dołączy do nich Rouge, powstrzymując każdego, kto mógłby odkryć spisek zbyt wcześnie i pobiec do pozostawionych samochodów.

Teraz!

Gris i Bleu wyskoczyli z gęstwiny w mieszaninę dymu, wrzasków i młóących ramion; ich szerokie sutanny falowały na wietrze, igły czekały w pogotowiu.

Jeden po drugim członkowie papieskiej świty padali na ziemię z błogimi uśmiechami na twarzach.

– Zwiążcie ich! Dajcie sznur! – krzyknął Gris do Turków, kiedy trzy „ofiary” wypęzły przez okna i spod samochodu.

– Nie za mocno, durnie! – dodał Bleu ostro. – Pamiętajcie, co powiedział dowódca!

– *Mon Dieu!* – ryknął nagle Bleu, chwytając Grisa za ramię i wskazując na ziemię poza kłębam dymu. – *Qu'est-ce que c'est que ca?*

Na środku drogi leżał Rouge z jednym ramieniem wzniesionym, z wygiętym nadgarstkiem, jak gdyby zastygł w półpiśmie. Maskę nie była w stanie ukryć wyrazu olimpijskiego spokoju malującego się na twarzy. W zamieszaniu potknął się o sutannę, wbijając sobie igłę w brzuch.

– Prędko! – wrzasnął Gris. – Antidotum! Generał pomyślał o wszystkim!

– Musi – skomentował krótko Bleu.

– Teraz! – rozkazał Hawk, przytrzymując Guida Frescobaldiego, który nagle zaczął śpiewać.

Po drugiej stronie pokrytej kurzem drogi Mac zobaczył Orange'a, żegnającego się przed wyskoczeniem z gęstwiny. To niepotrzebny ruch, pomyślał. Papież nie ma zamiaru uciekać. Ułożył właśnie swego sekretarza na siedzeniu i wysiadał z samochodu z gniewną twarzą.

Hawk chwycił Frescobaldiego za rękę i pociągnął w kierunku limuzyny.

– Życzę dobrego dnia, sir – zwrócił się Hawk do papieża. Było to wojskowe pozdrowienie składane poddającemu się.

– *Animale!* – ryknął arcykapłan głosem, który zahuczał jak grzmot i odbił się echem od okolicznych lasów i wzgórz.

– *Uccisore! Assassino!*

– Co to jest?

– *Basta!* – Grzmot ponownie zahuczał. I błyskawica rozświetliła oczy Francesca. Oczy giganta w śmiertelnym ciele.

– Weź i moje życie! Zabiłeś moje ukochane dzieci! Boże dzieci! Zabijasz niewinnych! Poślij mnie do Jezusa! Zabij mnie także! I niech Bóg ulituje się nad twoją duszą!

– Och, na Chry... na litość boską, zamknij się! Nikt nie zamierza tu nikogo zabijać.

– Przecież widzę! Te boże dzieci nie żyją!

– To absolutna bzdura! Nikt nie jest ranny i nikt nie będzie.

– Oni wszyscy są *morto* – powiedział Francesco już z mniejszą pewnością w głosie.

Rozglądał się na wszystkie strony w oszołomieniu.

– Tyle samo co i pan. Nie związywalibyśmy ich, gdyby byli martwi. Orange! Do mnie!

– *Si, Generale.*

Orange obszedł limuzynę od strony maski, ciągle się żegnając.

– Wyciągnij tego kolorowego chłopca z samochodu, musi być z pewnością gościem papieża.

– Ten człowiek jest księdzem. Moim osobistym sekretarzem!

– Coś takiego! Musi być niezłym chórzystą. Ostrożnie, Orange – przykazał, kiedy Włoch wyciągał nieprzytomnego czarnego księdza z pojazdu. – Połóż go w krzakach i rozepnij tę wielką szatę. Jest zbyt gorąco na takie ubranie.

– Twierdzi pan, że oni wszyscy żyją? – zapytał Giovanni niedowierzająco.

– Oczywiście, że tak – odrzekł MacKenzie, dając znaki Vertowi, by przygotował Frescobaldiego do zamiany. Sobowtór papieża siedział spokojnie.

– Nie wierzę panu! Zamordował ich pan! – ryknął nagle papież.

– Czy będzie pan cicho?! – zdenerwował się Hawkins. – Proszę posłuchać. Nie wiem, jak pan wydaje rozkazy, ale przypuszczam, że potrafi pan powiedzieć, czy żołnierz jest żywy czy nie.

– *Che cosa?*...

– Kapitanie Gris! – wrzasnął MacKenzie do zamaskowanego Skandynawa, przywiązującego księdza do koła pierwszej limuzyny.

– Proszę, podnieść tego człowieka i przynieść tu.

Gris spełnił rozkaz. MacKenzie wziął arcykapłana za rękę.

– Proszę przyłożyć palce do szyi nad obojczykiem. Czy czuje pan puls?

Oczy papieża zwięzły się; skupił się na dotyku.

– Serce... tak. Mówi pan prawdę. A inni? Czy z innymi jest to samo?

– Daję panu moje słowo – powiedział Hawkins poważnie. – Muszę pana zganić, sir. Wróg nie kłamie, kiedy ma już w garści zdobycz. Nie jesteśmy zwierzętami, sir. Ale nie mamy dużo czasu. – Hawk dał znak Vertowi, by przyprowadził chwiejącego się Frescobaldiego. – Obawiam się, że będziemy musieli zmienić niektóre części pańskiej garderoby. Będę musiał...

MacKenzie urwał. Papież Francesco wpatrywał się z natężeniem we Frescobaldiego. Teraz dopiero przyjrzał się uważniej śpiewakowi, który gładko ogolony, bez wąsów, wyglądał bardziej na Giovanniego Bombaliniego niż sam Bombalini.

– Guido! To Guido Frescobaldi! – Głos arcykapłana można było usłyszeć nad Zatoką Neapolitańską. – Guido, moje ciało! Moja krew! To Guido! *Madre di Dio!* Czy jesteś częścią tej... tej herezji?

Signor Guido Frescobaldi uśmiechnął się.

– *Che gelida... manina... a nigido esanine... ah, la-la la-laaa...*

– Wszystko w porządku, to on, tylko trochę nie w kursie. A teraz do roboty. Musimy zdjąć z pana ten pancerz i włożyć na niego. Kapitanie Orange? Kapitanie Vert? Proszę podać panu Francesco rękę.

– No! – powiedział Hawk tonem zwycięskiego generała. Podtrzymywał uśmiechającego się Guida Frescobaldiego za ramiona, podziwiając końcowy rezultat. – Wygląda naprawdę wspaniale, czyż nie?

Francesco, oniemiały, nie mógł jeszcze dojść do siebie.

– *Jesus et Spiritus Sanctus!* Szpetny Frescobaldi jest mną. To cud boski.

– Wyglądacie jak dwaj zawodnicy biorący udział w zawodach strzeleckich, panie papieżu!

Arcykapłan ledwo wydobywał z siebie głos.

– Chcecie posadzić... Frescobaldiego na tronie Piotrowym?

– Za niecałe dwie godziny, jeśli szczęście dopisze, według moich obliczeń.

– Ale dlaczego?

– Nic osobistego. Wiem, że z pana fajny gość.

– Ale dlaczego? Dlaczego na Boga? To nie jest odpowiedź.

– I nie miała być – odparł Hawk. – Po prostu nie chcę, żeby pan znowu zaczął wrzeszczeć. Ma pan wyjątkowo donośny głos.

– Wobec tego zacznę krzyczeć, jeśli pan mi nie powie... Aiyeee!

– Dobrze już, dobrze! Porywamy pana. Zatrzymujemy dla okupu. Wszystko będzie dobrze, żadna krzywda się panu nie stanie. Słowo generała.

Rozmowę przerwali kapitanowie Gris i Bleu.

– Teren zabezpieczony, generale! – warknął Gris.

– Wszyscy unieszkodliwieni – dodał Bleu. – Jesteśmy gotowi do wymarszu.

– Dobrze! Ruszajmy więc. Oddział! Opuścić teren! Przygotować się do ewakuacji! Według planu. Marsz!

Jakby w odpowiedzi posłyszeli szum obracającego się śmigła helikoptera, który dobrze ukryty, czekał na nich w odległości pięćdziesięciu jardów.

A potem dobiegł ich inny dźwięk. Ze szczytu wzgórza. Pisk opon samochodowych zmuszonych do hamowania.

– Stać! – rozległ się żalorny lament zza drzew. – Na litość boską, stać!

– Co!

– *Mon Dieu!*

– *Che cosa?*

– Coś takiego!

– *Tokig!*

– *Bakasi!*

– Cholera!

Drogą pędził Sam, potykając się na wybojach. Pokonał ostatni zakręt i padł na kolana przed papieżem.

Giovanni Bombalini popatrzył zdziwiony i automatycznie pobłogosławił klęczącą postać.

– *Deus et filius...*

– Zamkniesz się wreszcie? – MacKenzie wbił wzrok we Francesca. – Do cholery, Sam! Co ty tu robisz, u diabła? Podobno jesteś chory jak pies...

– Posłuchajcie – przerwał mu Sam. – Niech wszyscy tu podejda. – Wstał z klęczek. Kapitanowie pozostali na swoich miejscach z obojętnymi wyrazami twarzy. – Uciekajcie! Ratujcie swoje życie! Zostawcie w spokoju tego człowieka! To pułapka! Machenfeld padł! To się stało tej nocy! Setki policjantów z Interpolu się tam kłębią...

Samowi nagle opadła szczęka, z takim natężeniem wpatrywał się w Hawka. – Coś ty powiedział?

– Prawdziwy z ciebie pistolet, synu. Doceniam twoją energię, już ci to mówiłem. Ale nie mogę powiedzieć, żebyś zbyt doceniał moje know-how. – MacKenzie odpiął jeden z pasków, które krzyżowały się na piersi jego polowego munduru. Podtrzymywał on dużą

skórzaną torbę umocowaną nad biodrem. – Żadna operacja nie może się odbyć bez kontaktu z centrum dowodzenia. W każdym razie nie od 1971 roku. Do diabła, kiedyś utrzymywałem kontakt z Ly Sol w Kambodży z jednostkami Mekongu.

– Co takiego?

– Przenośna stacja nadawczo-odbiorcza, chłopcze. Umożliwia jednoczesny odbiór i nadawanie. Jesteś nie na czasie, Sam. Przed godziną w Machenfeld roiły się tylko motyle. Nie wiem, jak tego dokonałeś, ale jesteś prawdziwym szczęściarzem, że znalazłeś się tu sam... Zastanów się, byłbyś cholernym głupcem, gdybyś zjawił się tutaj w inny sposób... W porządku, panowie! Wracamy do fazy ósmej!... Chodź, Sam. Wybierzesz się na przejażdżkę. I jeszcze jedno, chłopcze. Jakies kłopoty, a otworzę drzwi na wysokości dwóch tysięcy stóp i będziesz leciał sam!

– Mac, nie możesz tego zrobić! Pomyśl o trzeciej wojnie światowej!

– Pomyśl o miłym samodzielnym locie bez spadochronu, prosto na talerz spaghetti!

Nagle doszedł ich jakiś dźwięk. Przerażający. Z wierzchołka wzgórza. Znowu od strony drogi. Kapitanowie i Turcy zamarli.

Hawk rzucił wzrokiem dokoła i spojrzał na Via Appia. Arcykapłan wyrzekł tylko jedno słowo:

– *Carabinieri*.

Jęczący, wibrujący, dwutonowy pisk syren policyjnych dobiegł z oddali i zbliżał się w ich kierunku.

– Cholera! Jak to się mogło stać? Sam, ty to zrobiłeś?

– Mój Boże, nie. Nie mógłbym!

– Sądzę, że jest to błąd w obliczeniach, *signore* – odezwał się cicho papież.

– Co? Jaki błąd w obliczeniach?

– Kolumna miała się zatrzymać w małej wiosce, no może nie takiej bardzo małej, Tuscabondo. To o jakąś milę za *deviazione*, pańskim objazdem.

– Chryste!

– Będzie miłosierny, *Signor Generale*.

– Te bękarty zaleją wzgórza, pola. Niech to diabli!

– I powietrze, generale – dodał kapitan Orange zdenerwowany, tracąc cierpliwość pod mokrą od potu maską. – *Carabinieri* mają całe tabuny *elicotteri*. Oni są *pazzi* w powietrzu.

– Jezu Chryste!

– *Figlio si Santa Maria... Figlio di Dio...* On ma rację, generale.

– Mówiłem, żeby się pan zamknął. Panowie! Wyjmijcie mapy, szybko! Gris i Bleu, sprawdźcie trasy ucieczki E-9 i E-12. Nasze poprzednie trasy były szybsze, ale bardziej widoczne. Oczekuję waszej decyzji za minutę! Orange i Vert, dajcie mi Frescobaldiego i dołączcie do pozostałych! Sam, zostaniesz tutaj.

Wycie syren zbliżało się, były już przy odciętym odcinku Via Appia. Frescobaldi,

chwiejąc się w uścisku MacKenzie'ego, zaczął śpiewać jeszcze głośniejsze.

– *Signiore* – Giovanni Bombalini zrobił krok w stronę MacKenzie'ego. – Mówił pan o słowie generała. W pańskim głosie brzmiała wielka szczerść.

– Co? Tak, oczywiście. Sądzę, że nie myli się pan. Dowodzenie jest wielką odpowiedzialnością.

– W istocie. A prawda jest prawą ręką odpowiedzialności. – Papież popatrzył raz jeszcze na nieprzytomne postacie ze swojej świty; wszystkie ciała wygodnie rozciągnięte, nikt nie został ranny. – I współczucie, oczywiście.

Hawk prawie go nie słuchał. Trzymał Frescobaldiego, nie spuszczał z oka oszołomionego Sama Devereaux i rzucał spojrzenia w stronę Grisa i Bleu, naradzających się nad trasą ucieczki.

– O czym pan mówi?

– Powiedział pan, że nie chce zrobić mi krzywdy.

– Oczywiście, że nie. Żaden pożytek przy okupie z ciała. Ale może z pańskimi ludźmi...

– A Frescobaldi jest silny jak byk – powiedział papież bardziej do siebie niż do MacKenzie'ego, patrząc na chwiejącego się Guida. – Zawsze taki był. *Signor Generale*, gdybym się zgodził pójść z panem bez oporów, a nawet przy pewnej dozie współpracy, wyświadczyłby mi pan małą przysługę?

Hawk popatrzył spod oka na papieża.

– Jaką przysługę?

– Krótka informacja, tylko kilka słów po angielsku pozostawionych przy moim sekretarzu. Oczywiście dałbym ją panu do przeczytania.

MacKenzie wyjął z kieszeni bluzy notes wojskowy, wydarł kartkę, wcisnął wodoszczelny długopis i podał papieżowi.

– Ma pan piętnaście sekund.

Francesco oparł się o przód limuzyny, napisał parę słów, po czym oddał ją Hawkowi.

Jestem bezpieczny. Jak Bóg da, skontaktuj się z tobą, kiedy grający w szachy O'Gilligan skontaktuje się ze mną. Biały.

– Jeśli to szyfr, to jest to niezłe wodolejstwo. Proszę iść i włożyć ją temu kolorowemu facecikowi do kieszeni. Podoba mi się to zdanie, że jest pan bezpieczny.

Giovanni podbiegł do sekretarza, włożył karteczkę pod sutannę i wrócił do Hawka.

– Teraz, *Signor Generale*, traci pan czas.

– Co takiego?

– Proszę umieścić Frescobaldiego w limuzynie! Prędko! W środku jest teczka z moimi pigułkami. Proszę ją wziąć.

– Co takiego?

– Wytrzymałby pan pięć minut w Kurii! Gdzie jest *elicottero*?

– Helikopter?

– Tak.

– Tam. Na polanie.

Kapitan Gris i Bleu zakończyli swoją krótką naradę.

– Naradziliśmy się, generale – powiedział Gris. – Ruszamy. Spotkamy się w Zaragolo.

– Zaragolo? – odezwał się arcykapłan. – Lotnisko w Monti Presentini?

– Tak – odpowiedział Hawk, patrząc z nagłą uwagą na papieża. – A o co chodzi?

– Niech pan im powie, żeby trzymali się na północ od Rocca Priora! W Rocca Priora są bataliony policji.

– To na wschód od Frascati...

– Tak!

– Słyszeliście, panowie? Obejść Rocca Priora! A teraz rozproszyć się! – ryknął Hawk.

– Nie! – wrzasnął Sam, odwracając się i patrząc na drogę. – Wszyscy poszaleli! Chyba potraciliście głowy! Mam zamiar was zatrzymać. Wszystkich!

– Młody człowieku! – Giovanni wyprostował się i zwrócił do Sama z papieską godnością:

– Zechce pan być cicho i robić to, co generał mówi?!

Z lasu wyłonił się Noir.

– Ptaszek gotowy, generale. Droga wolna.

– Będziemy mieć dodatkowego pasażera. Proszę zabrać mecenasa, kapitanie. Może pan mu pokazać igłę, jeśli pan chce.

– Z wielką przyjemnością.

– Jedna dawka, kapitanie!

– Cholera!

Giovanni Bombalini, Namiestnik Kościoła katolickiego i MacKenzie Hawkins, dwukrotnie odznaczony medalem Kongresu za odwagę, wsadzili Guida Frescobaldiego do papieskiej limuzyny i pobiegli, ile sił w nogach, przez las do helikoptera.

Było to dość uciążliwe dla Francesca. Arcykapłan skłął delikatnie świętego Sebastiana, patrona sportowców, i w końcu podciągnął w górę sutannę, odsłaniając raczej grube, chłopskie nogi i prawie pobił MacKenzie'ego w biegu do helikoptera.

Lear jet wzbił się nad pokrywą chmur z kapitanem Noirem za sterami i kapitanem Rogue'em, jako drugim pilotem. Hawk i papież siedzieli po przeciwnych stronach, każdy przy oknie.

MacKenzie rzucał od czasu do czasu zdezorientowane spojrzenia na Francesca. Wiedział z długoletniego doświadczenia, że kiedy wydanie rozkazu napotyka trudności, jedyne, co można zrobić, to nie robić nic do momentu, kiedy najbliższa potyczka będzie wymagać natychmiastowego kontruderzenia.

Ale obecna sytuacja nie pasowała do tego. Problem w tym, że Francesco nie zachowywał się jak wróg, z którym Hawk musi walczyć.

Niech to diabli!

Oto siedział sobie, z sutanną rozpiętą do połowy, bez butów, z rękami złożonymi niedbale na szerokim pasie, wyglądając przez okno jak jakiś zadowolony właściciel sklepu spożywczego podczas swojej pierwszej przejażdżki samolotem. To było zdumiewające i deprymujące!

Dlaczego?

MacKenzie doszedł do wniosku, że nie ma sensu kryć dłużej twarzy pod maską. Inni musieli dla własnego bezpieczeństwa, lecz w jego przypadku było to bezcelowe.

Zdjął ją z westchnieniem ulgi. Francesco przyjrzał mu się z sympatią. Kiwnął głową, jakby chciał powiedzieć: „Miło spotkać się z tobą twarzą w twarz”.

Niech to diabli!

MacKenzie sięgnął do kieszeni po cygaro, odgryzł koniec i wyciągnął pudełko zapalek.

– *Per favore?* – Francesco pochylał się w jego stronę.

– Słucham?

– Cygaro, *Signor Generale*. Dla mnie. Pozwoli pan?

– Ależ tak, proszę bardzo.

Hawkins wyjął drugie cygaro i podał papieżowi. A potem, jakby po namyśle, sięgnął do drugiej kieszeni po nożyczki.

Było jednak za późno.

Francesco odgryzł już koniec, wypluł go – jakoś bez przykrości – wziął zapalki z ręki Maca i potarł jedną.

Papież Francesco, Namiestnik Chrystusowy zapalił cygaro. A kiedy kółka aromatycznego dymu uniosły mu się nad głową, cofnął się na swoje miejsce, skrzyżował nogi pod siedzeniem i zaczął podziwiać krajobraz przez okno.

– *Grazie* – odezwał się po chwili.

– *Prego* – odpowiedział MacKenzie.

Część czwarta

Ostateczny sukces korporacji zależy od jej głównego produktu lub usług. Konieczne jest, żeby potencjalny odbiorca był przekonany, dzięki agresywnym środkom reklamowym, że dany produkt czy usługa są niezbędne w jego życiu.

Prawa Ekonomii Shepherda
Tom CCCXXI, rozdz. 173

Rozdział XXIV

Sam siedział w wyłożonym poduszkami, pięknie rzeźbionym, metalowym krześle w północno-zachodniej części ogrodów Machenfeldu. Anne wybrała to miejsce po głębokim zastanowieniu; była to ta część ogrodów, z której rozciągał się najpiękniejszy widok na Matterhorn, bielejący w oddali.

Minęły trzy tygodnie od tej strasznej rzeczy.

Akcji Zero.

Kapitanowie i Turcy odjechali w nieznane, by już nigdy nie dać o sobie znać. Personel został zredukowany do jednego kucharza, który pomagał Anne i Samowi w porządkach i pracy w ogrodach. MacKenzie nie nadawał się do takiej roboty, ale za to jeździł do wioski po gazety. Towarzyszył też codziennie wysoko opłacanemu doktorowi, który przylatywał z Nowego Jorku tak na wszelki wypadek. Doktor, specjalista od chorób wewnętrznych, nie miał pojęcia, dlaczego płacono mu tak bająnskie sumy absolutnie za nic, jedynie za byczenie się w rezydencji nad jeziorem, lecz zgodnie z zasadą Amerykańskiego Towarzystwa Lekarskiego przyjmował dodatkową gotówkę i nie narzekał.

Francesco (Sam nie mógł zmusić się do mówienia: „papież”) urządził się wygodnie w szczelnie zamkniętych apartamentach na górnym piętrze i pojawiał się codziennie na wałach obronnych, gdzie wybudowano dla niego ogród.

MacKenzie naprawdę tego dokonał! Zdobył największy militarny obiekt w jego karierze.

A teraz niezwykle skomplikowanymi, trudnymi do wykrycia kanałami przeprowadzał drugą część akcji, dotyczącą okupu. Drogą radiową płynęły zaszyfrowane wiadomości do Bejrutu i do Algieru, przekazywane dalej przez pustynne i morskie wieże do Marsylii, do Paryża, Mediolanu i dalej do Rzymu.

Zgodnie z rozkładem, który narzucił, odpowiedź Watykanu miała zostać nadana z Rzymu i przekazana mu z Bejrutu około piątej po południu.

MacKenzie opuścił Machenfeld i udał się do odosobnionego centrum transmisyjnego w samotnie stojącej chacie w Alpach, gdzie zainstalowano najlepszy, najwymyślniejszy sprzęt radiowy, jaki można było zdobyć. Dostarczyła go do Machenfeld firma „Les Châteaux Suisses”, ale zainstalował osobiście MacKenzie. I tylko on wiedział o górskiej kryjówce.

O mój Boże! To miało nastąpić dziś o piątej po południu! Sam siłą odegnał myśli od tej strasznej rzeczy.

Posłyszał zbliżające się kroki. Od strony zamkowego tarasu szła Anne z wielką książką pod pachą i srebrną tacą ze szklankami. Przeszła przez trawnik w kierunku ogrodów. Miała sprężysty, lekki chód: pełna naturalnej gracji tancerka, nieświadoma swego subtelного wdzięku. Jej blond włosy opadały niedbale na ramiona, okalając jasną karnację twarzy. Duże, jasnobłękitne oczy odbijały każde światło, na jakie spojrzały.

Każda z dziewcząt czegoś mnie nauczyła, pomyślał Devereaux. Czegoś zupełnie odmiennego, charakterystycznego tylko dla niej. Jeśli kiedykolwiek powróci do normalnego życia, będzie wdzięczny za ich dary.

Ale najważniejszej rzeczy nauczył się od Anne. Próbuje wszystkiego, bo to udoskonala twoje wnętrze, lecz nigdy nie wypieraj się przeszłości.

Od strony zamku dobiegł śmiech. Anne rozmawiała z Franceskiem, który ubrany w kolorowy sweter narciarski, wychylał się przez parapet.

To stało się ich prywatną zabawą. Kiedy Hawk znajdował się poza zasięgiem wzroku, prowadzili ze sobą rozmowy. I Sam był przekonany – Anne temu nie zaprzeczy – że odbywała liczne wycieczki na górę do jego prywatnych apartamentów, niosąc kieliszki z chianti, którego lekarz mu zabronił. Stali się dobrymi przyjaciółmi.

Kilka minut później to przekonanie się potwierdziło.

– Czy wiedziałeś, Sam, że Jezus był niezwykle praktyczną, mocno stojącą na ziemi osobą? Kiedy umył stopy Marii Magdaleny, dał wszystkim do zrozumienia, że jest ona ludzką istotą, wyjątkowo dobrą, pomimo tego, czym się niegdyś zajmowała. I że ludzie nie powinni rzucać w nią kamieniami, bo może ich stopy nie są tak czyste.

MacKenzie pokonał ostatni odcinek nad przepaścią, posługując się hakiem. Ostatnie dwieście jardów krętej stromej drogi tak były zasypane śniegiem, że motocykl nie mógł tamtędy przejechać. Szybciej pokona ten kawałek o własnych siłach. Była za jedenaście piąta czasu zuryjskiego.

Nadawanie rozpocznie się za jedenaście minut z Bejrutu. Będzie powtarzane w pięciominutowych odstępach dla wyeliminowania pomyłki. Po zakończeniu drugiej serii potwierdzi odbiór odpowiednim kodem: dwa razy po cztery kreski.

Po dotarciu na miejsce włączył generatory i patrzył z zadowoleniem na miriady pokręteł i na skalę, która zaczęła rejestrować moc wyjściową.

Kiedy zapaliły się dwa zielone światelka, sygnalizujące maksimum mocy, włączył mały elektryczny piecyk, rozgrzewając jarzące się spirale. Następnie ustawił przełącznik w położenie odbiór i nastawił maksymalne wzmocnienie. Pozostały jeszcze trzy minuty.

Podszedł do ściany. Wolno zaczął obracać rączką słysząc, jak zwalnia się zabezpieczenie.

Na zewnątrz, za okratowanym małym oknem, dojrzał antenę talerzową wykonującą wahadłowe ruchy.

Powrócił do tablicy odbiorczej i zaczął delikatnie obracać megacyklicznymi i tetracyklicznymi pokrętłami. Odezwały się głosy w różnych językach. Kiedy obie igły stanęły w tych samych punktach, zapanowała cisza. Pozostała jeszcze minuta.

MacKenzie wyjął z kieszeni cygaro i zapalił. Zaciągnął się z prawdziwą przyjemnością i bawił się przez chwilę, wypuszczając kółka z dymu.

Nagle rozległy się sygnały: cztery krótkie, ostre kreski i jeszcze raz to samo. Kanał był wolny.

Wziął do ręki ołówek i czekał z notatnikiem, gotowy do zapisania szyfru przekazanego z Bejrutu.

Przekaz zakończył się. Hawk miał pięć minut na rozszyfrowanie: musi przełożyć sygnały na cyfry, cyfry na litery i litery na słowa.

Kiedy skończył, zagapił się z niedowierzaniem na odpowiedź z Watykanu.

To niemożliwe!

Na pewno popełnił błąd przy odbiorze informacji.

Sygnały ponownie popłynęły.

Hawk zaczął pisać na czystej kartce.

Uważnie.

Dokładnie.

Przekaz zakończył się tak, jak zaczął: dwa razy po cztery kreski.

MacKenzie położył przed sobą klucz do szyfru. Nauczył się go na pamięć, ale nie miał czasu na popełnienie błędu. Sprawdził każdą kropkę, każdą kreskę.

Każde słowo.

Nie było pomyłki.

Zdarzyła się rzecz nie do uwierzenia.

„Odpowiadając na szalone żądanie przekazania sumy czterystu milionów dolarów amerykańskich, która ma zostać zebrana od wszystkich diecezji na całym świecie, licząc po jednym dolarze od każdego wiernego, Ministerstwo Skarbu Stolicy Apostolskiej nie jest w stanie przychylić się do takiej prośby lub w ogóle jakiegokolwiek przy tego typu dobroczynności. Ojciec Święty czuje się doskonale i śle swoje błogosławieństwo w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.

Ignatio Quartze

Cardinal Omnipitum

Skarbnik Watykańskiego Skarbca.”

Shepherd Company zawiesiła swoją działalność.

MacKenzie spacerował po posiadłości paląc cygara i gapiąc się bezmyślnie na nieskończone piękno Alp.

Sam dokonał podliczenia majątku spółki, wyłączając nieruchomości i wyposażenie. Z wyjściowego kapitału czterdziestu milionów dolarów pozostało 1 281 043 102. Plus fundusz na wydatki nieprzewidziane w wysokości 150 000 dolarów, który nie został naruszony.

Całkiem nieźle. Zwłaszcza kiedy inwestorzy odmówili przyjęcia pieniędzy od siejącego panikę szakala. Nie chcieli mieć nic wspólnego ze Spółką Shepherd'a lub z kimkolwiek z jej zarządu. Nikt też nie wniesie skargi z powodu strat spowodowanych przez podatki tak długo, dopóki kierownictwo spółki przyrzeknie na Biblię, na wykaz parów Burke'a, Mein Kampf i Koran, że zniknie im z oczu raz na zawsze.

Francescowi, paradującemu teraz w tyrolskim kapeluszu i ulubionym swetrze narciarskim, pozwolono wyjść z apartamentów na najwyższym piętrze. Wolno było zwracać się do niego per „zio Francesco”. Ponieważ nie wykazywał żadnej ochoty do wydostania się z zamku czy tym podobnych rzeczy, pozwolono mu poruszać się swobodnie. Zawsze był ktoś w pobliżu, nie, żeby udaremnić ucieczkę, lecz by mu pomóc. Bądź co bądź zio Francesco przekroczył już siedemdziesiątkę.

Najczęściej przebywał w towarzystwie kucharza, spędzając długie godziny w kuchni, pomagając przy przyrządzaniu sosów i bardzo często prosząc o pozwolenie zrobienia jakiejś potrawy.

Pewnego dnia zwrócił się z prośbą do Hawka. Jednak generał odmówił.

Nie! Wykluczone! Zio nie może zatelefonować do swojego apartamentu w Watykanie! To nieważne, że jego telefon nie jest podłączony do centrali, nie figuruje w spisie, czy też jest ukryty w szufladzie nocnej szafki. Rozmowy telefoniczne mogą być rejestrowane.

Nie, jeżeli będą nadawane drogą radiową, nalegał Francesco. Hawk zrobił na nich wrażenie, opowiadając o swoich skomplikowanych metodach komunikowania się z Rzymem. Oczywiście prosta rozmowa telefoniczna nie musiałaby być równie skomplikowana. Wystarczyłby jeden przekaźnik.

Nie! Całe to spaghetti wlaźło Ziowi do głowy. Mózg mu rozmiękł.

Może Hawk jest w jeszcze gorszym stanie, sugerował Francesco. Jakież to postępy generał poczynił? Czyż sprawy nie utknęły w martwym punkcie? Czyż kardynał Quartze go nie oszukał?

Jak jeden telefon może to zmienić?

Nie może też niczego pogorszyć, przekonywał Francesco. Hawk mógłby stać obok radia i trzymać rękę na wyłączniku, by natychmiast przerwać połączenie, gdyby Zio powiedział coś niewłaściwego. Czy nie byłoby to korzystniejsze dla generała, gdyby dwóch ludzi wiedziało, że on żyje? Że oszustwo było naprawdę oszustwem? Dla kogoś, kto już stracił, nie było w

tym nic do stracenia. A być może coś do zyskania. Może czterysta milionów amerykańskich dolarów.

Poza tym Guido potrzebował pomocy. Nie ma zamiaru krytykować kuzyna, który jest nie tylko silny jak byk, lecz także delikatny i troskliwy. Ale nic nie wie o pracy i na pewno posłucha rad swego kuzyna Giovanniego Bombaliniego. Wspomaga go na szczęście osobisty sekretarz Giovanniego, młody amerykański ksiądz z Harlemu.

Nie można tego zmienić w ciągu jednej nocy, ponieważ trzeba się zastanowić nad sprawami zdrowia i logistyki. Ale kiedy wszystko już zostało powiedziane i zrobione, jakie inne wyjście miał Hawk?

Oczywiście żadnego. Któregoś popołudnia MacKenzie zszedł ze swojej samotni w górach z trzema owiniętymi w brezent kartonami i zabrał się do instalowania urządzenia w sypialni zamkowej.

Kiedy przygotowania zostały zakończone, Hawk wydał nieodwołalny rozkaz. Tylko jemu i Zio wolno było pozostawać w pomieszczeniu podczas radiowych transmisji.

Z Anne i Samem nie było problemów. Wcale nie mieli ochoty tam wchodzić. Kucharz natomiast pomyślał, że wszyscy oszaleli i wrócił do kuchni.

Od tego dnia, co najmniej dwa razy w tygodniu, bardzo późną nocą, przymocowywano ogromną tarczową antenę do zamkowych blanków. Ani Sam, ani Anne nie wiedzieli, o czym się tam mówi, ani co się tam odbywa, ale często, kiedy siedzieli w ogrodzie rozmawiając i patrząc na piękny księżyc, słyszeli salwy śmiechu dochodzące z pokoju na górze. Hawk i papież jak mali chłopcy cieszyli się z nowej zabawy – sekretnej gry, w którą grali w ich prywatnym klubie.

Sam siedział w ogrodzie, przeglądając w roztargnieniu egzemplarz „The Times’a”. Życie w Château Machenfeld szło zwykłym torem. Na przykład codziennie rano jedno z nich jeździło do wioski po gazety. Kawa w ogrodzie z gazetami była najwspanialszym sposobem na rozpoczęcie dnia. Świat jest takim diabelskim bałaganem, a w Machenfeld życie płynie tak spokojnie.

Hawk odkrył tereny do jazdy konnej, zakupił więc kilka pięknych wierzchowców i odbywał częste przejażdżki trwające po kilka godzin. Znalazł coś, czego szukał, pomyślał Sam.

Francesco natomiast odkrył malarstwo olejne. Wędrował po polach w swoim tyrolskim kapeluszu z Anne lub kucharzem niosącym sztalugi i farby, utrwalając dla potomności swoje impresje na temat alpejskich krajobrazów. To znaczy robił to wtedy, kiedy nie był w kuchni albo nie uczył Anne grać w szachy lub nie dyskutował przyjaźnie z Samem na tematy prawnicze.

Była jednak pewna sprawa dotycząca Francesca, o której nikt nie mówił, lecz wszyscy

wiedzieli, że trzeba coś z tym zrobić. Francesco był chory, kiedy zabrano go z appijskiej drogi. Z tego właśnie powodu Mac nalegał na obecność specjalisty z Nowego Jorku.

Ale mijały tygodnie, a Francesco wydawał się wracać do zdrowia.

Czy w innej sytuacji byłoby tak samo?

Nikt oczywiście by się nad tym nie zastanawiał, ale Francesco powiedział przy kolacji coś, co dało im do myślenia.

– Ci lekarze. Przeżyję ich wszystkich. Pochowali już mnie miesiąc temu.

Hawk odpowiedział na to atakiem kaszlu.

A Sam? Co z nim?

Cokolwiek by było, wiązało się z Anne.

Patrzył na nią teraz w porannym słońcu, siedzącą na krześle z gazetą w ręku i zawsze obecną książką. Dzisiejsza nosiła tytuł: *Ilustrowana historia Szwajcarii*.

Anne była taka mocna, tak wspaniała. Pomoże mu się stać lepszym adwokatem i sprawi, że prawo nie będzie już dla niego najważniejszą sprawą w życiu.

Zaczął teraz myśleć o innych rzeczach, jak ciche czytanie, rozmyślanie, rozwijanie się.

Jak... sędzia Devereaux.

Och, Boston polubi Anne! Jego matka także ją polubi. I Aaron Pinkus. Aaron zaaprobuje ją całym sercem.

Jeśli sędzia Devereaux kiedykolwiek wróci do Bostonu.

Pomyśli o tym... jutro.

– Sam? – powiedziała Anna, patrząc na niego znad gazety.

– Co?

– Czytałeś ten artykuł w „Tribune”?

– Jaki artykuł? Nie widziałem „Tribune”.

– O, ten tu. – Pokazała, ale nie oddała mu gazety. Była zbyt nią zaabsorbowana. – O Kościele katolickim. Różne rzeczy. Papież zwołał piąty sobór ekumeniczny. I jest jeszcze informacja, że sto sześćdziesiąt trzy zespoły operowe będą dotowane, by móc rozwijać twórczą działalność. I znany kardynał... mój Boże, Sam... to Ignatio Quartze! Ten, o którym wyrzaskiwał Mac.

– Co z nim?

– Wygląda na to, że się wycofuje do jakiejś willi San Vincente. To ma coś wspólnego z dyskusjami papieskimi o wydatkach Watykanu. Czy to nie dziwne?

Devereaux siedział przez kilka chwil bez słowa, a potem rzekł:

– Myślę, że nasi przyjaciele byli bardzo zajęci tam na górze.

Z oddali dobiegł tętent galopujących kopyt. Kilka sekund później ukazał się MacKenzie Hawkins, pędzący po zakurzonej drodze, gdzie zaledwie kilka tygodni temu odbywały się manewry. Ściągnął koniowi wodze i pokłusował w kierunku północno-zachodniej części ogrodów.

– Niech to diabli! Czyż to nie wspaniały dzień? Można zobaczyć szczyt Matterhornu!

Rozległ się dźwięk trójkąta dochodzący z przeciwnego kierunku. MacKenzie zamachał ręką. Devereaux i Anne odwrócili się i zobaczyli Francesca przed drzwiami do kuchni ze srebrnym drążkiem w ręku. Ubrany był w wielki fartuch, a kapelusz tyrolski tkwił mocno na głowie. Zio Francesco wzywał wszystkich.

– Lunch gotowy. *Speciale di giorno* jest *fantastico*!

– Jestem głodny jak wilk! – ryknął Hawk, klepiąc swego wierzchowca. – Co nam dziś przygotowałeś, Zio?

Francesco wznosił głos ku alpejskim wzgórzom. W jego słowach brzmiała muzyka.

– Moi drodzy przyjaciele, to *Linguini Bombalini*!